Będąc młodym lekarzem.
Dla wielu osób jestem „chciwym konowałem”
▶4

Nowacka z Czarnkiem
nie dają dzieciom spać
▶8

WYSOKIE OBCASY
Lindsey Vonn
13 sekund i ten okropny wypadek

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

MAGDALENA CIELECKA

o siódmej płacze, o dziewiątej się śmieje

▶22

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 35>

Nowela w odcinkach
3.odcinek „Gustawa” Macieja Siembiedy
▶28

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

Kto ma lepszą AI
Ten wygrywa wybory
▶10

To Niemcy będą umierać za Białystok
▶20

Bogdan Borusewicz: „Solidarność” powoli zamiera
▶38

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

1 RP
Sobota – czwartek, 29 sierpnia – 3 września 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 201.11300, 1 Nakład 69 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl c0f49db8b5

Agnieszka Kublik

Na co stać TV Republikę

Właśnie się dowiedzieliśmy, że Tomasz Sakiewicz, szef TV Republika, chciał sprzedać Przemysławowi Kralowi, szefowi giełdy Zondakrypto, akcje telewizji. Jak podaje Onet, mogło chodzić nawet o 20 proc., czyli ok 16 mln zł.

Sakiewicz liczył na żywą gotówkę, tym bardziej, że już wcześniej Zonda dwie trzecie swojego budżetu na reklamy wydała właśnie w Republice. Od marca do grudnia 2025 – 37,5 mln zł.

Do umowy nie doszło, choć Sakiewicz jesienią zeszłego roku podpisał list intencyjny zakupu akcji. Ale nie podpisał go Kral.

Gotówki więc TV Republika nie dostała, i właśnie przed rokiem pojawił się problem z roczną ratą koncesyjną. Dopiero gdy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji ogłosiła wszczęcie postępowania egzekucyjnego, Sakiewicz przelał zaległości. 7 miesięcy po terminie. Bez konsekwencji.

Jak będzie w tym roku? Bo TV Republika ma do 1 września zapłacić kolejną opłatę – 2 043 718,10 zł. Czy i tym razem KRRiT przymknie na to oko?

Bo to właśnie ta KRRiT przyznała dwa lata temu TV Republice koncesję łamiąc ustawę medialną – wiemy to z wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego.

Sakiewicz teraz żebrze na transmisję obchodów 46. rocznicy porozumień sierpniowych

TV Republika jest powiązana formalnie i personalnie z PiS, a za koncesją głosowali nominaci tego środowiska, choć stacja nie pokazała, czy ma pieniądze.

Bo nie ma. Sakiewicz teraz żebrze na transmisję obchodów 46. rocznicy porozumień sierpniowych. Prosi o 150 tys. zł: „Jeśli nie chcemy oddać przekazu Solidarności w łapy mediów, w których rządzą różnego typu układy, co byłoby śmiechem historii, to my musimy zrobić porządną realizację. Na to trzeba wydać bardzo dużo pieniędzy, Stacja nie ma innych pieniędzy niż te, które zarobi, a jest je bardzo trudno zarobić. Jeśli chcemy mieć dobrą transmisję, to prosimy państwa o pomoc, bo bez tego nie zrobimy”.

Wcześniej stacja szukała kasy m.in. na relację z obchodów rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, czy na relacjonowanie zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta (500 tys. zł).

Zbierali na systemy oświetlenia, kamery, wóz transmisyjny.

Niedawno szefowie stacji wciskali widzom zegarek „Nowrocky”. Podczas specjalnego programu informacyjnego o rosyjskiej rakiecie, która spadła w Polsce, na ekranie widniał kod QR kierujący bezpośrednio do oferty. KRRiT kary nie wymierzyła, choć to jawne złamanie prawa.

TV Republika szczuje na Donalda Tuska i jego rząd, manipuluje i insynuuje. Ale każda kara wymierzona stacji jest okrzyczana jako atak na wolność słowa.

Czas patrzeć na fakty takie, jakimi są. TV Republika co zbiórka udowadnia, że WSA słusznie uchylił jej koncesję, bo stacja nie powinna jej dostać, skoro nie było i nie jest jej stać na nadawanie.

Państwo zda ten test? ●

Wildlife Photographer of the Year 2026
Strażnik nosorożca

FOT. ERNEST PORTER/WILDLIFE PHOT

Tak można przetłumaczyc ”askari wa kifaru” – nazwę bąkojada czerwonego w języku suahili. Ostrzega krzykiem przed niebezpieczeństwem, czyści z pasożytów. Przyjaciel po prostu. „Przyjaciele” to tytuł tego zdjęcia wyróżnionego w kategorii: Zachowanie ptaków. Zrobił je w Rezerwacie Manyeleti w RPA Ernest Porter.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Nowa inwestycja Musca
Największy kosmodrom na świecie

Na działce nad Zatoką Meksykańską o powierzchni 50,6 tys. ha SpaceX – kosmiczna spółka kontrolowana przez Elona Muska – zbuduje kosztem 100 mld dol. swój największy kosmodrom świata. Będzie można z niego wystrzeliwać tysiące rakiet rocznie, zapowiedziano w komunikacie urzędu Rozwoju Gospodarczego Luizjany.

– Szykujemy się do budowy portu kosmicznego, który dotąd istniał tylko w fantastyce naukowej -zadeklarował Elon Musk, cytowany w komunikacie urzędu Luizjany. A gubernator tego stanu Jeff Landry uznał plany SpaceX za punkt zwrotny dla Luizjany, porównując inwestycję SpaceX do odkupienia w 1803 r. Luizjany przez USA od Francji.

Budowa ma się rozpocząć w przyszłym roku, a pierwsze wystrzelenie rakiety zapowiedziano na 2029 r.

Na razie firma SpaceX wystrzeliwuje swoje rakiety z centrum kosmicznego NASA w Cape Canaveral na Florydzie, wojskowej bazy w Vandenberg w Kalifornii, a także z własnego portu kosmicznego w Chica Boca w Teksasie.

FOT. REUTERS/STEVE NESIUS

Baza w Luizjanie ma mieć także własną elektrownię i kompleks mieszkaniowy dla pracowników bazy i ich rodzin. Władze Luizjany szacują, że inwestycja SpaceX doprowadzi w ciągu 10 lat do stworzenia bezpośrednio 3 tys. miejsc pracy, a pośrednio – jeszcze 8,1 tys.

Kontrolowaną przez Muska kosmiczną spółkę stać na tak gigantyczne inwestycje. W czerwcu sprzedała w ofercie publicznej swoje akcje za rekordowe 85,7 mld dol. ●

Andrzej Kublik

Andrzej rysuje

Liczba tygodnia

16,7

MLD DOLARÓW
ma zapłacić Meta w ramach ugody, która kończy proces w sprawie wpływu Instagrama i Facebooka na dzieci

W poniedziałek w DF

Końcowe odliczanie przed emeryturą

Właściciel firmy: „Pracownicy w okresie ochronnym? Pozbywam się ich, zanim wejdą w ten wiek”.
Reportaż Ewy Pągowskiej o tym, kto jest chroniony w okresie ochronnym

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

PSL przepełza nad progiem

Hamlet z koniczynką

Kosiniak-Kamysz nie chce być w podręcznikach przedstawiany jako grabarz najstarszej, 130-letniej polskiej partii.

Naszkowska

Z sondaży jasno wynika, że ugrupowania prawicowe mają dziś przewagę i to one mogą tworzyć rząd po wyborach w 2027 roku. By obecna koalicja mogła nadal rządzić, kluczowe jest wejście PSL do parlamentu – bez ludowców raczej się to nie uda.

Problem PSL stał się więc problem całego obozu rządzącego. Dlatego pytanie: z kim ludowcy wejdą w sojusz wyborczy, nie jest tylko ich kłopotem.

Bo z kimś wejść muszą.

●

Wyrzucenie z PiS grupy posłów skupionych wokół Mateusza Morawieckiego mogłoby się wydawać spełnieniem snu Władysława Kosiniaka-Kamysza: wreszcie mają sojusznika na wybory.

Ale ten sen to bardziej nocny koszmar – kompletnie nie tak miało być.

Owszem, prezes PSL miał nadzieję na rozpad PiS i oderwanie się od Kaczyńskiego grupy posłów, która mogłaby stać się sojusznikiem ludowców. Grupy, która przyciągnie do siebie parę procent elektoratu prawicowego – tego umiarkowanego, wolnorynkowego, nie rewolucyjnego, a tradycjonalistycznego, z którym ludowcy mogliby wspólnie wystartować. By wreszcie stworzyć zapowiadaną od lat konserwatywną, przewidywalną chadecję z – jak w Niemczech – silnym poparciem prowincji i uzyskać wspólnie dwucyfrowe poparcie elektoratu wsi oraz małych i średnich miast. Chadecję nie na jeden sezon wyborczy, ale nawet na kilka. Na to liczyli cały czas ludowcy, głosząc hasło o samodzielnym pójściu do wyborów i podkreślając, że samodzielnie nie znaczy samotnie. Ich liderzy doskonale zdają sobie sprawę z ryzyka samotnego startu.

Bo PSL ma tylko jedno zadanie: przetrwać.

Ta najstarsza polska partia, której działacze nieustająco odwołują się do swojej historii i akcentują jej długowieczność, jest ogarnięta obsesją przetrwania. Przy niemal każdej okazji ludowcy podkreślają, że kiedy inne partie powstają i znikają lub przekształcają się w coś innego – oni trwają. Przy takim nastawieniu celowi przetrwania są w stanie podporządkować niemal wszystko. Do tego dochodzi obsesja samego lidera: Kosiniak w żadnym razie nie chce przejść do historii jako ten prezes, który po 130 latach wyprowadzi sztandar PSL z parlamentu.

●

Kiedy w 2015 roku jako 34-latek po raz pierwszy wygrał wybory na prezesa, podjął się bardzo trudnego zadania: ludowcom groził spadek pod próg wyborczy, a cały PSL tracił na znaczeniu politycznym.

Wtedy Kosiniak wygrał trochę dlatego, że bardziej szczwane lisy, starzy ludowi wyjadacze, nie za bardzo chciały wygrać. Po co dotykać gorącego kartofla, skoro klęska tuż, tuż. I faktycznie – PSL ledwo prześlizgnął się nad poprzeczką, osiągając 5,13 proc. Postawiono więc na młodego, ambitnego, mało kojarzonego ze wsią polityka, choć to było ryzyko. Należało liczyć się z tym, że młody człowiek nie udźwignie ciężaru i będzie grabarzem najstarszej polskiej partii.

Kosiniak zaryzykował, bo miał niewiele do stracenia, a zobaczył szansę na wejście z przytupem do wielkiej polityki.

I trzeba przyznać, że ją wykorzystał. Pod jego przewodnictwem PSL trwa, obsadza stanowiska, współdecyduje o państwie. A on sam osiągnął popularność, rozpoznawalność i zaufanie społeczeństwa, jakiego żadnemu ludowcowi przed nim po 1989 roku zdobyć się nie udało.

To dziś chyba najbardziej widoczny członek rządu, który w dodatku przy każdej okazji błyszczy przemówieniami: mówi logicznie, merytorycznie, bez patosu, ale z siłą przekonania taką, że nawet krytykom trudno się do czegoś przyczepić. Do tego ma doskonałą dykcję – nie krzyczy jak niektórzy politycy, a mimo to jest doskonale słyszalny. W rankingach zaufania jest na drugim miejscu po prezydencie kraju.

●

PSL trwa, bo prezes realistycznie ocenia sytuację – kiedy zdaje sobie sprawę, że samotne Stronnictwo może progu wyborczego nie przekroczyć, sięga po środki nadzwyczajne. Takim środkiem było w 2019 roku wciągnięcie na listy PSL Pawła Kukiza i jego grupy, co dało ludowcom dodatkowe mandaty. Kolejnym, po czterech latach, sojusz z Polską 2050 Szymona Hołowni. Zwłaszcza to połączenie sił okazało się spektakularnym sukcesem – koalicja PSL i Polski 2050 przyniosła wspólnikom 14,4 procent głosów, zapewniła ludowcom 32 mandaty i dała pozycję bardzo silnego rządowego koalicjanta obsadzającego cztery ważne resorty.

Dziś PSL ma bardzo małe poparcie wśród swojego tradycyjnego wiejskiego elektoratu – za to bardzo dużo do powiedzenia w polskiej polityce.

Kosiniak ma nie tylko fotel wicepremiera i superważny resort, jego ludzie też się liczą – budują drogi, otwierają nowe połączenia kolejowe i modernizują stare, obniżają ceny paliwa.

Ludowcy zablokowali też parę posunięć rządu zbyt trudnych do przyjęcia dla tradycyjnego i konserwatywnego elektoratu (a także być może dla samego Kosiniaka).

Ustawa o statusie osoby najbliższej została pod ich naciskiem tak przerobiona, że niewiele ma wspólnego z ustawą o związkach partnerskich, jaką szykował rząd (ostatecznie i tak zawetował ją prezydent).

Ustawa o finansowaniu Kościoła, którą Kosiniak miał przygotować, ciągle nie ujrzała światła dziennego.

Podobnie przepadły próby zmiany ustawy aborcyjnej.

Ewidentnie sojusz z Hołownią okazał się dobrą strategią, ale w szeregach ludowców, zwłaszcza na szczeblu gmin i powiatów, a nawet województw, nadal marzy się o kampanii wyborczej wyłącznie pod zieloną koniczynką. Dlatego na zeszłorocznym kongresie przyjęto uchwałę o samodzielnym starcie w 2027 roku.

I choć czołowi politycy Stronnictwa podkreślają, że samodzielnie nie znaczy samotnie, sugerując, że trzymają otwartą furtkę dla jakichś chętnych do roli sojusznika, to działacze w terenie są przekonani, że na listach wyborczych będą tylko „swoi".

Co będzie pewnym kłopotem dla Kosiniaka – ale tylko jeśli PSL do Sejmu nie wejdzie. Jeśli jednak znowu jego strategia brania pod swój sztandar sojuszników się powiedzie i wprowadzi na Wiejską silną ludową drużynę, nikt zwycięzcy nie będzie rozliczał.

●

Na razie era Kosiniaka trwa w najlepsze. Lecz jego wielka popularność nie przekłada się na wzrost poparcia dla samej partii. Polacy cenią lidera PSL, ale z tego powodu wcale nie cenią bardziej PSL. A to sprawa, że obecnie sytuacja ludowców jest trudna, by nie powiedzieć – bardzo trudna. Kosiniak czuje, że może zostać grabarzem PSL. I cóż, że nie z własnej winy. Uniknąć tego może tylko na dwa sposoby: startując samodzielnie i samotnie – albo w sojuszu z ugrupowaniem o umiarkowanie konserwatywnych poglądach.

Prezes PSL miał nadzieję na rozpad PiS i stworzyć zapowiadanej od lat konserwatywnej, przewidywalnej chadecji, takiej jak w Niemczech. Ale Morawiecki to sojusznik groźny, do tego kuty na cztery nogi

Oficjalnie nadal obowiązuje wariant pierwszy, choć sondaże są bezlitosne – zdarzają się co prawda dające ludowcom nadzieję na przekroczenie progu, ale to raczej chwilowy trend lub wypadek przy pracy. Zdecydowanej większości ośrodków badania opinii publicznej wychodzi to samo: wynik PSL oscyluje między 1 a 3 procent.

Ludowcy reagują jak zwykle, czyli przekonują, że sondażownie ich nie doceniają. Co jest prawdą, zwykle przedwyborcze sondaże dają PSL-owi mniej, niż potem dostaje. Ale nie czarujmy się: tak źle jeszcze nie było. Tak niskie prognozy oznaczają, że przy samodzielnym starcie PSL może przepaść. Jeśli przez kilka miesięcy sondaże oscylowałyby systematycznie wokół 4 procent, to jest szansa na przekroczenie progu, bo właśnie o ten półtora-dwa procent ludowcy zwykle są niedoszacowani.

Pytanie tylko, czy zdobycie 5-6 procent i kilkunastu mandatów zadowoliłoby partię w porównaniu z tym, co ma obecnie. Raczej nie.

Dlatego opowieści o samodzielnym starcie można włożyć między bajki. PSL cały czas szuka sojuszników. Na dalszy ciąg z Hołownią nie ma co liczyć, to jest karta niebiorąca. Nawet jeśli Hołownia odzyska kontrolę nad klubem Polski 2050 czy zostanie wicepremierem.

Od dawna w kuluarowych rozmowach działacze nie ukrywali, że najbardziej liczą na rozpad PiS i sojusz z umiarkowaną grupą pisowców. Uważają, że to mogłaby być powtórka z Trzeciej Drogi, gdzie ludowcy dominowali i nadawali kierunek, tylko z innym koalicjantem.

Taki sojusz mógłby dać im wynik dwucyfrowy, silne poparcie na wsi oraz w małych i średnich miastach. Zwłaszcza wieś, z której przez osiem lat rządów PiS-owi udało się wyrugować pozornie niewykorzenialny PSL, jest nadal dla starych działaczy istotna, marzą o powrocie na ten teren.

Oczywiście na czele takiej koalicji stanąłby Kosiniak, lider przewidywalny, sprawdzony w bojach, potrafiący dogadać się z różnymi partiami, konsekwentny, akceptowalny przez wiele opcji światopoglądowych i ideowych.

Ale z PiS oderwała się grupa „harcerzy", a nie o to chodziło działaczom Stronnictwa. Morawiecki byłby bardzo trudnym sojusznikiem, to nie Hołownia, który zajmował się szołmeństwem, koncentrował na celnych ripostach, nie na budowaniu struktur w terenie i nie miał żadnej strategii dla swojego ugrupowania.

Dla takich dwóch liderów jak Kosiniak i Morawiecki nie ma miejsca w jednym sojuszu, nawet jeśli dziś Morawiecki obiecałby Kosiniakowi złote góry, łącznie z premierostwem. To byłby sojusznik zbyt groźny, do tego kuty na cztery nogi.

No i polityk, który stał na czele rządu niszczącego PSL w jego mateczniku, aż do poziomu Ochotniczych Straży Pożarnych. Takie rzeczy działacze świetnie pamiętają. Dlatego do tego sojuszu raczej nie dojdzie. Poseł Jarosław Rzepa 7 lipca w Radio Koszalin przyznał, że sondaże go martwią, jednak „Morawiecki jest dla nas nie do przyjęcia, pamiętamy, co robił jako premier. Nie toczą się żadne rozmowy z nim".

Nie da gwarancji ludowcom także przygarnięcie pod swój sztandar samorządowców – to zbyt mało, by przejść nad progiem wyborczym.

●

Jest jeszcze Konfederacja, sklejona przecież z diametralnie różnych gospodarczych wolnościowców i obyczajowych konserwatystów-pragmatyków Sławomira Mentzena oraz narodowców Krzysztofa Bosaka. Gdyby doszło do jej rozłamu, to z grupą Mentzena ludowcom byłoby po drodze. Ale to wróżenie z fusów.

Więc najprędzej PSL zdecyduje się na start z listy Koalicji Obywatelskiej. Już teraz wielu działaczy po cichu przyznaje, że to najlepsze rozwiązanie, bo dające najpewniejsze mandaty. Nieoficjalnie wiadomo, że na stole leży opcja z premierostwem dla Kosiniaka – w końcu w żywotnym interesie KO jest, by PSL wszedł do Sejmu.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że decyzja, w jakiej konfiguracji świętująca dopiero co 130-lecie partia pójdzie do wyborów, by zapewnić sobie przynajmniej jeszcze kilka spokojnych urodzin, zapadnie na przełomie roku. ●

Krystyna Naszkowska

eprasa.pl c0f49db8b5

WAŻNY TEMAT

Jak można nauczyć kogoś etyki, poszanowania godności pacjenta, kiedy on już na studiach ich nie widzi?

Z **SEBASTIANEM GONCERZEM,** LEKARZEM REZYDENTEM, PRZEWODNICZĄCYM POROZUMIENIA REZYDENTÓW OZZL, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Będąc ***młodym*** *lekarzem*

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl c0f49db8b5

Jak się panu, 29-letniemu lekarzowi, słucha, że jesteście kastą, że przemawia przez was pazerność?
– To boli. Pracuję w publicznym szpitalu, w jednym miejscu, za dobrą stawkę, ale wciąż wydaje mi się zdrowa. Jednak dla wielu osób też jestem „chciwym konowałem".

Rozumiem, skąd się to bierze. Patologie systemu, które zostały ostatnio ujawnione, to jedno, ale jest też frustracja, że tak trudno się dostać do lekarza.

Dlaczego w ogóle chciał nim pan zostać?
– W liceum na profilu matematyczno-chemicznym pisałem jeszcze olimpiadę z historii, którą też się pasjonowałem. Na przełomie drugiej i trzeciej klasy stwierdziłem, że muszę te zainteresowania zawęzić. Znaczenie miało też na pewno to, że mój tata jest lekarzem. Nie pracuje klinicznie, jest redaktorem czasopisma medycznego i wykłada anatomię. Choć nigdy mnie nie namawiał na medycynę.

Z kolei osoba, która przygotowywała mnie do olimpiady historycznej, powiedziała, że zawsze mogę zostać lekarzem, który pasjonuje się historią...

...ale trudniej będzie panu zostać historykiem, który pasjonuje się medycyną?
– Mogłoby to być niebezpieczne.

Tata się ucieszył?
– Tak, ale i zestresował. Pamiętał czasy, kiedy medycyna wiązała się z ogromnymi wyrzeczeniami.

Mama jeszcze spała, kiedy wychodził z domu, a jak wracał, już spała. Finansowo bywało ciężko. Dziś praca jest nadal wymagająca, choć finansowo jest oczywiście lepiej. Poza tym mamy większą kontrolę nad tym, ile naszego życia i energii chcemy ładować w pracę.

Pochodzę z Krakowa i, żeby dostać się na medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim, musiałem zdać na wysokim poziomie trzy rozszerzone matury: z matematyki, biologii i chemii. Co oznaczało, że naukę z biologii musiałem sobie dorobić korepetycjami i pracą własną.

Pytał pan kolegów, dlaczego wybrali medycynę?
– Motywacje były różne, ale z czasem się zmieniały. Znam ludzi, którzy na pierwszym roku mówili, trochę jeszcze na takiej licealnej bucie, że są tu tylko dla pieniędzy, a teraz są wspaniałymi lekarzami – z sercem do pacjenta, nieskupieni na tej części finansowej. Osoby, u których ta motywacja była jedyną i się nie zmieniła, raczej nie dotrwały do końca studiów.

Część osób była pchana serialami, kulturą. Byliśmy pokoleniem, które zachwycało się „Doktorem House'em".

Niektórzy mieli w rodzinie lekarzy albo bliskich chorujących przewlekle lub z ciężką chorobą nowotworową. I to ich motywowało.

Pierwsze dwa lata studiów były najtrudniejsze. Poświęcone prawie wyłącznie na przedmioty przedkliniczne, które bardziej tłumaczą, jak w ogóle funkcjonuje ludzki organizm: anatomię, fizjologię, biochemię, histologię. Potem doszła patomorfologia i patofizjologia, czyli obszar choroby. Dopiero na trzecim roku weszliśmy w przedmioty klinicznie: kardiologię, internę, chirurgię czy neurologię. I tym samym na szpitalne oddziały.

Mieliśmy mnóstwo materiału do przyswojenia. Życie towarzyskie nie istniało. Na pierwszym roku pamiętam dwa, może trzy wyjścia z ludźmi na jakąś integrację. Na koniec roku odpadło ok. 20 proc. osób.

Nie zdały egzaminów?
– Wiele też rezygnowało. Niektórzy nie radzili sobie z tempem, z ogromem wyrzeczeń. Inni stwierdzali, że to jednak nie dla nich.

W wakacje od pierwszego roku przynajmniej miesiąc trzeba było poświęcić na praktyki. Najpierw pielęgniarskie. Niezwykle ważne, bo nie tylko dają wiedzę, ale i uczą pokory. Jako lekarze często zostajemy później kierownikami zespołów medycznych i wydajemy personelowi pielęgniarskiemu polecenia. Warto wiedzieć, na czym te zabiegi polegają. Nauczyć się na przykład pobierać krew, opatrzyć ranę.

Gdzie się tego uczyliście?
– Głównie w szpitalu, na pacjentach, w grupach klinicznych. Ale czasami też na sobie.

Teraz coraz częściej stosuje się plastikowe modele i na nich uczy studentów na przykład pobierania krwi. Ale one słabo oddają rzeczywistość.

Fantom nie może zemdleć.
– Nawet nie o to chodzi. W realnym kontakcie, czy to z innym studentem, czy z pacjentem, człowiek uczy się też tego, że pobieranie krwi boli. Takie doświadczenia zmuszają nas, żebyśmy umieli się postawić w roli pacjenta.

Modele są coraz częściej wykorzystywane?
– Tak. Ma to pewne zalety jako wstęp do nauki różnych procedur. Trudno się uczyć odbierania porodu od razu na prawdziwej rodzącej kobiecie. Jednak większość procedur warto spróbować przynajmniej raz przeprowadzić na żywym człowieku.

Gdzie jeszcze mieliście praktyki?
– Na oddziałach interny, chirurgii, pediatrii. Z medycyny rodzinnej, ratunkowej. Przez tydzień można było jeździć w karetce albo być na SOR-ze.

W trakcie praktyk na pierwszym roku miałem niezwykle rzadką okazję przyglądać się przeszczepowi serca. Dla mnie, wówczas 19-latka, to było coś niesamowitego – zobaczyć, jak serce, które przed chwilą było w wiaderku, wsadza się do klatki piersiowej, podłącza, strzela się i ono zaczyna bić.

Dobrze zorganizowane studia powinny pozwalać studentom zobaczyć takich rzeczy jak najwięcej.

Później, na szóstym roku, mogłem już asystować przy zabiegach. Asystowałem na przykład w usuwaniu macicy. Ta druga część studiów jest w ogóle bardziej praktyczna. Od trzeciego roku ma się zajęcia w grupach klinicznych, bezpośrednio z pacjentami, na oddziałach.

To są te momenty, kiedy leży się na łóżku szpitalnym, podchodzi lekarz, a za nim kroczy wianuszek studentów?
– I ten wianuszek powinien liczyć maksymalnie sześć osób. Między innymi za naszą, czyli Porozumienia Rezydentów, sprawą zaraz wejdzie rozporządzenie, które ma to uregulować.

Wcześniej standardy utrzymywały się niejako same, jednak odkąd zwiększono limity przyjęć na medycynę, a przede wszystkim odkąd zaczęto otwierać wydziały lekarskie na uczelniach, które wcześniej nie miały takich tradycji, zaczęły się pojawiać różne dziwne koncepcje.

Na przykład?
– Jedna z takich uczelni, zresztą z negatywną opinią Polskiej Komisji Akredytacyjnej, co oznacza, że w ogóle nie powinna była otworzyć kierunku lekarskiego, zamierzała prowadzić zajęcia w grupach klinicznych do 15 osób.

Jaki pacjent da się zbadać 15 osobom per rectum?

Kiedy pan zdawał na studia te 10 lat temu, na wydziały lekarskie przyjęto prawie 6 tysięcy osób, dzisiaj jest ich niemal 11 tysięcy. Jak te limity utrzymać?
– Dobre pytanie. Obawiam się, że będzie się to omijać. Na przykład tak, że dwie grupy połączy się w jedną.

Pracuję w małym powiatowym szpitalu na Śląsku. Co prawda na naszym oddziale jest 15 lekarzy, ale ludzie mają urlopy, po dyżurach 24-godzinnych ma się wolne. I zdarza się, że na oddziale zostaje nas pięcioro. Wprowadzenie dwóch grup studenckich znacznie zmniejszyłoby naszą uwagę dla pacjentów.

I jak słucham, żeby zwiększyć limity przyjęć na studia lekarskie o połowę albo żeby w ogóle je znieść, bo przecież potrzebujemy lekarzy, to mam wrażenie, że za rzadko się podkreśla, z czym się to wiąże.

A z czym się wiąże?
– Na przykład z tym, że do czyjejś mamy, czy córki, żeby obejrzeć, jak wygląda badanie ginekologiczne, nie pójdzie sześciu studentów, co i tak jest z małym poszanowaniem dla intymności, tylko dwunastu. Byłem raz przy takim badaniu, bo jeden prowadzący nie przyszedł, a drugi połączył dwie grupy, i tak radośnie poszliśmy do pacjentki oglądać wziernikowanie pochwy. To znaczy oglądały je może dwie osoby, pozostałe próbowały coś zobaczyć z tyłu. Drzwi do sali nie dało się zamknąć.

Proszę mi powiedzieć, jak można nauczyć kogoś etyki, poszanowania godności pacjenta, kiedy on już na studiach ich nie widzi?

Jakie miał pan relacje z lekarzami, którzy was uczyli?
– Bardzo różne. U nas, w Polsce, jest takie dziwne przekonanie, i nie dotyczy ono tylko lekarzy, że jak ktoś jest dobrym profesjonalistą, to będzie wspaniałym nauczycielem. A to są inne zestawy kompetencji.

Niektórzy nie potrafili dzielić się wiedzą. Zdarzało się, że nie przychodzili. Trafiały się osoby gburowate. Ale były też oddziały, gdzie cała kadra się jarała, że przychodzą młodzi ludzie, że można im będzie pokazać ciekawy przypadek czy zabieg. I to ich zapamiętałem.

Szósty, ostatni rok studiów w teorii powinien być czysto praktyczny. Wygląda to różnie. Może być tak, że obserwujemy i badamy pacjentów. Tak było na gastroentorologii dziecięcej, gdzie weszliśmy do zespołu, ale można też podpierać ściany. I znów, łatwiej jest znaleźć zajęcie dwóm osobom niż sześciu.

Co potem?
– Trzynastomiesięczny staż. Ja go odbywałem w szpitalu wojskowym. Po kolei przeszedłem przez wszystkie oddziały, od pediatrii po psychiatrię. Wtedy byłem już zdecydowany, że chcę zostać psychiatrą.

Wcześniej rozważał pan kardiologię. Co ostatecznie przeważyło?
– Oczekując na rozpoczęcie szkolenia specjalizacyjnego z psychiatrii, pracowałem w poradni Podstawowej Opieki Zdrowotnej (POZ) i wtedy miałem chwilę zawahania. To był fajny czas, taka żywa medycyna, blisko pacjenta.

Ucieka pan od pytania.
– Bo nie wiem, czy o tym mówić... W trakcie studiów udało mi się, mówiąc kolokwialnie, odwieść dwie osoby od stryczka.

Znajome?
– Tak. I te dwie sytuacje sprawiły, że zacząłem myśleć, że może mam jakieś predyspozycje w tym kierunku. Że może będę w tym dobry. A człowiek trochę potrzebuje takiego poczucia, że jest w czymś dobry. Szczególnie jeśli zajmuje się ludzkim życiem i zdrowiem.

Poza tym leki psychiatryczne są jednym z najbardziej skutecznych leków w medycynie.

Nie wszyscy się z panem zgodzą.
– Racja, jednak skuteczność leczenia psychiatrycznego najlepiej widać na oddziale.

Trafia ktoś w ostrej psychozie. Jest na przykład przekonany, że go ścigają, pobudzony, przestraszony. Podajemy leki i dwa dni później jest już spokojniejszy, a miesiąc później mówi, że go jednak nie śledzą.

Albo przychodzi ktoś z ciężką depresją. Nie ma już potrzeby wstać, jeść. W ogóle żyć. Nie rozumie nawet, dlaczego go ratujemy. Leczymy go i miesiąc później wychodzi o własnych siłach, podejmuje pracę.

W wielu obszarach medycyny troszeczkę człowieka regulujemy, natomiast rzadko kiedy udaje się go cofnąć do stanu sprzed choroby. Jak ktoś miał zawał, to możemy założyć stenty, dać leki, zmniejszyć ryzyko kolejnego zawału, ale serce już nie będzie takie jak wcześniej. A w psychiatrii czasem udaje się osiągnąć pełną remisję.

Czy podczas studiów miał pan taki moment, że pomyślał pan: rzucam to?
– Oczywiście, niejeden! Miałem chwile, kiedy myślałem, że będę dramatycznym lekarzem, że nic nie umiem. Te wątpliwości dotyczyły przede wszystkim ogromu wiedzy, jaki trzeba było przyswoić. Bałem się, że jak czegoś nie będę wiedział, źle zrozumiem, zapomnę...

...to ktoś może przez pana umrzeć?
– No... To nie tylko motywuje, ale czasem generuje lęk. Nigdy nie miałem wątpliwości co do samego zawodu, jednak czasem uderzała mnie taka odpowiedzialność, na co ja się w ogóle piszę. Z czym będę obcować.

Jak idziemy na te studia, mamy po 19 lat. Na pierwszym roku jest anatomia. Najpierw uczymy się z kości, ale po trzech miesiącach wchodzimy w głowę i szyję i zajęcia zaczynają się od tego, że na stole stawia się wielkie wiadro, a z niego wyciąga odciętą głowę ludzką z odpreparowaną skórą. Ona jest w formalinie, która trochę dehumanizuje ciało, ale to nadal jest ciało człowieka, który, umierając, przepisał swoje zwłoki na rzecz kształcenia.

I to zobowiązuje?
– Tak. Bo dzięki temu człowiekowi możemy się uczyć.

Teraz, jak mówiłem, idzie się w fantomy. Niektóre uczelnie mają stoły 3D, na których wyświetla się obraz ludzkiego ciała. Nie tylko jest to niedokładne pod kątem

Byliśmy pokoleniem, które zachwycało się „Doktorem House'em".

Sebastian Goncerz

• Absolwent Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, lekarz rezydent psychiatrii, przewodniczący Porozumienia Rezydentów OZZL, aktywista działający w obszarze ochrony zdrowia

eprasa.pl c0f49db8b5

prezentacji szczegółów anatomicznych, ale też nie pozwala studentowi na kontakt z odchodzeniem. A kontakt ze śmiercią, z cierpieniem, z ludzkimi dramatami będzie mu później towarzyszyć przez całe życie zawodowe.

Na UJ-ocie okresowo mieliśmy pochówki, podczas których symbolicznie spalano zwłoki ludzkie, z których już nie dało się uczyć. Na te wydarzenia przychodziły nie tylko rodziny tych osób, ale też inne, które zamierzały przekazać swoje zwłoki po śmierci. No i studenci. Kontakt z tym wydaje mi się kluczowy.

Kiedy po raz pierwszy był pan przy zgonie?
– Miałem 21 lat. Na trzecim roku, na neurochirurgii. Pacjent był po operacji, wystąpiły komplikacje. Pamiętam, że musiałem mu jeszcze wyjąć dren z głowy, co było dodatkowym przeżyciem. Na piątym roku miałem medycynę sądową, gdzie oglądałem zwłoki kierowcy po czołowym zderzeniu z TIR-em. Widziałem też zwłoki dziecka, które się udusiło.

To wszystko jest trudne, ale nie da się studentów przed tym uchronić. Bo my musimy tego doświadczyć. Co nie zmienia faktu, że ma to swoją cenę.

Jaką?
– Trudno mi to opisać, bo to nie jest trauma. Zresztą to nadużywane słowo. Nie czuję się przez to jakoś zniszczony, jednak nie da się zaprzeczyć, że jak ktoś ma taki zestaw doświadczeń od 19. roku życia wzwyż, to zostawia to w człowieku ślad.

Wracając do ścieżki kształcenia, mój staż trwał 13 miesięcy. Teraz Ministerstwo Zdrowia chce go skrócić do sześciu.

Słyszałam, że rozważa się też, żeby w ogóle z niego zrezygnować.
– Z oszczędności. Argumenty ministerstwa są takie, że szósty rok jest wystarczający, jeśli chodzi o praktykę.

Jeśli na ostatnim roku wszędzie zajęcia kliniczne byłyby prowadzone w grupach dwuosobowych (tak jest na UJ-ocie, ale to jeden z nielicznych wyjątków), wtedy możemy rozmawiać o skróceniu czy nawet likwidacji stażu. Póki co tak nie jest, więc skoro nie umiemy zrobić czegoś dobrze, musimy to robić dłużej.

Co stracą studenci, gdyby staż został jednak skrócony?
– Przede wszystkim dostęp do wypróbowania różnych praktycznych zabiegów. Czepiam się tego per rectum, ale już teraz statystyki pokazują, że 54 proc. studentów nigdy nie przeprowadziło tego badania, a 61 proc. nigdy nie wykonało szycia chirurgicznego.

Ale skoro już ktoś się zdecydował na specjalizację z psychiatrii czy z dermatologii, to po co mu takie umiejętności?
– Żaden pacjent nie jest izolowanym przypadkiem dziedziny medycyny, którą się zajmujemy. Często ma problemy w pozostałych i warto mieć o nich jakieś pojęcie oraz pewne wyczucie. Wiedzieć, kiedy pacjentowi zlecić jakieś badania czy wysłać go do specjalisty.

I nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś umiejętność się nam przyda. Pracuję w monospecjalistycznym szpitalu. U nas jest tylko psychiatria i nie mogę poprosić specjalisty z piętra wyżej o pomoc.

I co pan robi na przykład?
– Ręczną ewakuację stolca. Leki przeciwpsychotyczne często powodują zaparcia, które potrafią trwać tygodniami. To niebezpieczne powikłanie, które może się nawet zakończyć śmiercią, więc trzeba jelita jakoś udrożnić.

Mógłbym wezwać karetkę, która przetransportowałaby pacjenta do innego szpitala, ale oczekiwanie na transport, przejazd, a potem sam zabieg mogłyby trwać kilka godzin.

Co po stażu?
– Trzeba zdać lekarski egzamin krajowy, dostaje się pełne prawo do wykonywania zawodu i rekrutuje na szkolenie specjalistyczne.

Składacie przysięgę Hipokratesa?
– To przysięga historyczna. Zawiera nieaktualne treści, na przykład to, że „nigdy nie wykonam zabiegu chirurgicznego", bo kiedyś chirurg i lekarz to były dwie odrębne sprawy. Dziś składa się przyrzeczenie lekarskie.

Pamięta pan jego treść?
– Niedokładnie, ale możemy sprawdzić. O, mam.

„Przyjmuję z szacunkiem i wdzięcznością dla moich Mistrzów nadany mi tytuł lekarza i w pełni świadomy związanych z nim obowiązków przyrzekam: obowiązki te sumiennie spełniać; służyć życiu i zdrowiu ludzkiemu; według najlepszej mej wiedzy przeciwdziałać cierpieniu i zapobiegać chorobom, a chorym nieść pomoc bez żadnych różnic, takich jak: rasa, religia, narodowość, poglądy polityczne, stan majątkowy i inne, mając na celu wyłącznie ich dobro i okazując im należny szacunek; nie nadużywać ich zaufania i dochować tajemnicy lekarskiej nawet po śmierci chorego; strzec godności stanu lekarskiego i niczym jej nie splamić, a do kolegów lekarzy odnosić się z należną im życzliwością, nie podważając zaufania do nich, jednak postępując bezstronnie i mając na względzie dobro chorych; stale poszerzać swą wiedzę lekarską i podawać do wiadomości świata lekarskiego wszystko to, co uda mi się wynaleźć i udoskonalić".

Niewiele osób ją wybierało i progi były niskie. Teraz jest boom na tę specjalizację i, żeby się na nią dostać w małopolskim, trzeba mieć 90 proc. z egzaminu lekarskiego, a w mazowieckim – dziewięćdziesiąt parę.

Szkolenie specjalizacyjne, które trwa pięć, sześć lat, można odbywać w dwóch trybach – rezydenckim i pozarezydenckim. W tym pierwszym szkoli się obecnie 25 tysięcy osób, w drugim ok. 5 tysięcy. Za tryb rezydencki płaci Ministerstwo Zdrowia. Musi się on odbywać w oparciu o umowę o pracę i podlega większej kontroli.

Ile to jest godzin w miesiącu?
– Pełen etat, czyli ok. 160 plus minimum 40 godzin dyżurów. Na marginesie, okres specjalizacji ministerstwo też chciałoby skrócić.

W trybie pozarezydenckim lekarza zatrudnia dany szpital. I podpisuje z nim albo umowę o pracę, albo umowę cywilnoprawną.

Tak był zatrudniony Dawid Kacprzyk ze Szpitala Południowego.
– Z tym że z reguły zarabia się mniej niż na rezydenturze. No a w przypadku pana Kacprzyka, jak widać, można było zarobić wielokrotność tego, co zarabia niejeden specjalista. Bo szpitale zatrudniają na swoich warunkach.

Ile dostaje rezydent?
–

Ortopedów w przeliczeniu na populację mamy dwa razy więcej niż w Niemczech, za to kolejki mamy dłuższe

Moim zdaniem dobrze zorganizowane studia powinny sprawić, że wszystko, co zawarte w tej przysiędze, nie będzie dla młodego lekarza zaskoczeniem.

Pomyślałam teraz o lekarzach pracujących tylko prywatnie. Jak oni podchodzą to tego fragmentu przyrzeczenia, który mówi, że chorym należy nieść pomoc bez względu na ich stan majątkowy?
– Jestem idealistą, więc dla mnie prywatna opieka medyczna to trudny temat. Uważam, że państwo powinno dążyć do tego, żeby wszystko, co tylko się da, było możliwe do zrealizowania w systemie publicznym. Na razie nasze państwo podąża w odwrotnym kierunku.

Mówi się o postępującej stomatologizacji, czyli prywatyzacji kolejnych obszarów medycyny. Jednym z nich jest psychiatria.
– Oczywiście są obszary, których aktualnie nie da się zrealizować w systemie publicznym. Duży problem jest np. z seksuologią, pewne zabiegi są dostępne wyłącznie prywatnie. Czasem NFZ kontraktuje daną metodę leczenia, podczas gdy są inne, lepsze. Jednak co do zasady nasze państwo nie spełnia swojej funkcji, jaką powinno być dbanie o sektor publiczny.

Nie może być tak, żeby ogromne prywatne sieciówki zastępowały usługi publiczne. Albo miały wpływ na kształtowanie polityki zdrowotnej.

Jak wygląda rekrutacja na szkolenie specjalistyczne?
– Przede wszystkim zależy od wyniku krajowego egzaminu lekarskiego.

Najbardziej chciałem trafić na szkolenie do małopolskiego, ale nie starczyło mi punktów. Ostatecznie dostałem się do szpitala w Bielsku-Białej i jestem bardzo zadowolony.

Kiedy zaczynałem studia, chodził taki żart, że żeby się dostać na specjalizację z psychiatrii, wystarczy mieć puls.

To zależy, czy jego specjalizacja jest deficytowa czy nie. Jest cała lista takich specjalizacji, wśród nich są: neurologia, wciąż psychiatria czy chirurgia ogólna.

Na niedeficytowej specjalizacji na I i II roku można dostać ok. 9,5 tys. brutto, po drugim trochę więcej. Na deficytowej po drugim roku można dostać już ok. 12 tys. brutto. Do tego dochodzą dodatkowo płatne dyżury. W sumie wypada 10-12 tys. na rękę.

To nie są małe pieniądze.
– Nie są.

Jakie obowiązki ma lekarz na specjalizacji?
– Z jednej strony ma się nadal uczyć, a z drugiej – to pracownik. I czasami te dwie rzeczy są w konflikcie. Bo na przykład wysyła się nas na oddział, którego program naszej specjalizacji nie obejmuje, żebyśmy łatali dziury kadrowe. Albo każe się nam pełnić dyżur jednocześnie na oddziale macierzystym i na SOR-ze, gdzie często brakuje specjalistów.

Zasadniczo lekarz powinien mieć dyżur na jednym oddziale. A proszę zgadnąć, jaki procent lekarzy rezydentów psychiatrii dyżuruje tylko na jednym oddziale?

Dziesięć?
– Trzy. 20 proc. ma ponad 300 pacjentów pod opieką podczas dyżuru, a rekordzista miał ich 700.

Z waszego raportu na ten temat zapamiętałam, że 20 proc. rezydentów psychiatrii na dyżurze nie ma obok siebie żadnego lekarza specjalisty.
– A co trzeci nie może się z nim nawet skonsultować telefonicznie.

Czy te problemy są wspólne dla wszystkich rezydentów?
– Nie do tego stopnia. W szpitalach wielospecjalistycznych jest wiele oddziałów. Rezydenta ortopedii trudno wysłać na dyżur na ginekologię, więc najczęściej ma jeden oddział pod sobą. Ale już można mu dorzucić SOR.

Głównym problem wszystkich rezydentów jest brak stosownego nadzoru bardziej doświadczonych lekarzy. Bo lekarz rezydent może zrobić prawie wszystko pod warunkiem, że będzie przy nim starszy lekarz, który albo mu pomoże, albo powie: „dobrze robisz, rób tak dalej".

Niektórzy zarzucają nam, że bronimy się przed pracą. To nieprawda. Chcemy pracować w bezpiecznych warunkach, ze względu na siebie i na pacjentów.

Zgłaszacie te nieprawidłowości Ministerstwu Zdrowia i co?
– I nic. Nasz raport o dyżurach rezydentów psychiatrii leży na biurku pani minister od roku. Kiedy półtora miesiąca temu byłem na spotkaniu w Ministerstwie Zdrowia i zauważyłem, że nic się w tej sprawie nie zmienia, a w szpitalu w Radomiu lekarz rezydent nadal ma pod opieką 700 pacjentów, to pani minister powiedziała: „Zapisuję: Radom. Czy możemy już zmienić temat, panie doktorze?".

Później usłyszałem, że przygotowuje własny raport na ten temat. Co chyba jest przyznaniem się do tego, że ministerstwo nawet nie potrafi sprawdzić, czy mamy rację.

Za to planuje różne zmiany w rezydenturze. Jedna ma dotknąć głównie młode lekarki.
– Do tej pory osoby, które z powodów rodzicielskich albo na przykład choroby nie dyżurowały w trakcie szkolenia specjalizacyjnego, nie musiały tych dyżurów odrabiać, o ile ten okres nie przekroczył w sumie dwóch lat. Teraz ministerstwo życzy sobie, żeby te dyżury zostały odrobione.

Co oznacza wydłużenie czasu specjalizacji.
– A przede wszystkim stawia młode lekarki przed decyzją: albo macierzyństwo i wydłużenie specjalizacji, albo odsunięcie macierzyństwa na później.

Nie mówiąc o tym, że osoby chore, które są na zwolnieniu na przykład z powodu depresji, nie mają żadnego wyboru.

Ministerstwo deklaruje, że chodzi o jakość szkolenia, żeby rezydent zaliczył wszystko. W rzeczywistości moim zdaniem chodzi o zabezpieczenie dyżurowe szpitali.

Gdzie chciałby pan pracować w przyszłości?
– Być może przemawia przeze mnie jeszcze młodzieńcza energia, ale najbardziej chciałbym zostać w szpitalu. Pasjonują mnie stany ostre. Ciężka, żywa psychiatria, z którą ma się do czynienia w systemie publicznym.

Też jestem orędowniczką tego systemu, ale kiedy ten system mówi mi, że skomplikowaną operację stopy mogę przeprowadzić dopiero w 2031 roku, to nie wiem, czy do tego czasu będę jeszcze chodzić.
– To jest oczywiście patologia.

Powiem tak, nasz system, w sensie projektu, nie jest zły, tylko nikt go na bieżąco nie kontroluje, nie weryfikuje i nie pielęgnuje. I przez to się rozregulował.

Mówi się, że specjalistów brakuje, stąd te kolejki.
– Ortopedów w przeliczeniu na populację mamy dwa razy więcej niż w Niemczech, za to kolejki mamy dłuższe.

Powodów jest kilka. Zbyt późno kierujemy do nich pacjentów, co sprawia, że ich stany są cięższe, a leczenie trudniejsze.

A drugą rzeczą jest to, że w podstawowej opiece zdrowotnej można byłoby zrobić dużo z pacjentem, ale zamiast tego realizuje się to w poradni specjalistycznej, bo i pacjent czasem woli konsultację u specjalisty, i lekarz, który go tam kieruje, też. Natomiast to, co mogłoby być realizowane w poradni specjalistycznej,

eprasa.pl c0f49db8b5

realizowane jest na oddziale. Mamy tendencję do robienia trudniej i drożej.

Da się ten system zreformować?
– Wierzę, że tak. Tylko nie wielką reformą, bo to jest żywy organizm. Nie da się wcisnąć przycisku „restart" i sprawdzić, czy działa.

Moim zdaniem należałoby to robić etapami. Czyli na przykład reformujemy najpierw ambulatoryjną psychiatrię, patrzymy, jak to wpływa na szpital psychiatryczny, na poradnię neurologiczną itd. I idziemy dalej.

Akurat system opieki psychiatrycznej usiłuje się zreformować od 2017 roku na bardziej dostępny i sprzyjający zdrowieniu.
– No i aktualnie ministerstwo chce tę reformę dobić. A projekt rozwiązań, które zostały przez lata przetestowane, wyrzucić do kosza.

A co pan sądzi o propozycjach zmian, o których jest najgłośniej, że lekarska stawka za godzinę ma wynieść 240 złotych, że lekarz nie będzie mógł pracować na więcej niż dwa etaty, a maksymalnie będzie mógł zarobić 76 tysięcy brutto miesięcznie.
– Regulacja czasu pracy medyków i walka z kominami płacowymi, czyli sytuacją, w której niektórzy lekarze zarabiają znacznie więcej od pozostałych za podobną pracę, jest potrzebna.

Fakt, że jeden lekarz, robiąc dokładnie to samo co drugi, zarabia 10 razy więcej, jest po prostu niesprawiedliwy.

Jednocześnie uważam, że projekt ustawy, która ma to uregulować, nie spełni tego założenia i ostatecznie pogorszy dostęp do świadczeń zdrowotnych.

Proszę wyjaśnić.
– Podam oczywisty przykład. Jestem przeciwnikiem pracy na akord. Uważam, że po pewnym czasie staje się niebezpieczna i jakieś ograniczenia czasu pracy trzeba wprowadzić, ale jeśli ustawa z dnia na dzień zakaże lekarzom pracy powyżej dwóch etatów, to jakaś liczba świadczeń, które wykonują, zniknie. Nie ma żadnej analizy, żadnych badań, które by nam powiedziały, jakich dokładnie świadczeń to dotknie.

Inny przykład. Ustawa chce wprowadzić zapis, że jak się pracuje w więcej niż jednym miejscu, to w każdym z tych miejsc trzeba to robić na co najmniej pół etatu, a w przypadku kontraktów – co najmniej 80 godzin w miesiącu. Co jest bez sensu, bo istnieje wiele świadczeń, które są realizowane w dużo mniejszym wymiarze.

Na przykład?
– Szpital wielospecjalistyczny zatrudnia psychiatrę, który co tydzień konsultuje kilkunastu pacjentów. Po zmianie prawa taki szpital będzie wolał zawrzeć umowę ze szpitalem psychiatrycznym i cięższe przypadki będzie odsyłał do niego karetką. A lżejszych nie będzie konsultował w ogóle.

Tu chciałbym zrobić dygresję.

Nasz system ochrony zdrowia opiera się na rozwiązaniu „fee for service". To znaczy, że NFZ płaci placówkom za usługę: procedurę albo osobodzień, czyli pobyt pacjenta w szpitalu i wszystko, co się przy nim wtedy robi.

I teraz tak: celem – na przykład szpitala powiatowego – jest zabezpieczenie podstawowych potrzeb zdrowotnych lokalnej populacji. Powinien mieć internę, ginekologię, pediatrię, chirurgię plus jakiś SOR.

Problem w tym, że te niezbędne świadczenia są tak wycenione przez NFZ, że jak szpital zajmuje się tylko tym, to jest stratny. Co więc robi? Znajduje jakąś bardzo wysoko wycenianą procedurę, dajmy na to ablację, i stara się ją robić u siebie. Tylko, żeby móc to robić, musi znaleźć specjalistę, któremu odpowiednio zapłaci, więc oferuje mu, że od każdego zabiegu zapłaci mu na przykład 5 albo 10 proc.

Przychodzi taki specjalista, robi tych ablacji dużo i rzeczywiście zarabia ogromne pieniądze, ale szpital dzięki temu może w ogóle funkcjonować.

I nie mówię tego, by bronić takich lekarzy czy ich zarobków, tylko po to, żeby pokazać, że system jest tak fatalnie skonstruowany, że lekarz, który pracuje w takim szpitalu na przykład na internie i zarabia kilkukrotnie mniej, de facto generuje koszty dla tego szpitala.

Absurd.
– Ustawa, która jest procedowana, chce zlikwidować „procent za procedurę". I super! Tylko że nie odnosi się do problemu, który sprawił, że takie kontrakty się w ogóle pojawiły. A szacuje się, że w tej chwili już 30 proc. wszystkich umów kontraktowych z lekarzami opiera się na tym mechanizmie. I jeśli z dnia na dzień staną się one nielegalne, to wszystkie świadczenia realizowane w ten sposób też znikną.

Nie muszą. Po prostu lekarze nie będą już dostawali procentu.
– Tylko jacy lekarze będą te zabiegi wykonywać? Naiwnie jest zakładać, że po wejściu ustawy wszyscy lekarze na nowych warunkach będą robić dalej to samo. Wywoła to raczej ogromny potencjał migracyjny, bo, jeśli ktoś wcześniej dostawał procent za procedurę w szpitalu powiatowym, a to zniknie, to może woleć wykonywać tę procedurę w dużym mieście. A jeśli do tej pory płacono mu procent od liczby wykonanych zabiegów, a teraz zacznie mu się płacić za godzinę, to będzie tych zabiegów robił mniej.

Idźmy dalej, ustawa wprowadza kwoty maksymalne. Czyli lekarz za godzinę pracy może zarobić maksymalnie 240 złotych brutto, a w wyjątkowych sytuacjach 360. Nie spieram się o kwoty. Jak dla mnie są duże. Chodzi o to, że kwota maksymalna staje się w pewnym sensie stawką docelową. I wszystko, co powyżej i co poniżej, zaczyna do niej dążyć.

Chce pan powiedzieć, że dużo lekarzy otworzyło oczy, że można tyle zarabiać, i teraz będą żądać wyższych stawek?
– Sam szpital może chcieć płacić więcej. I tak jak wcześniej płacił 160 złotych za godzinę, tak teraz będzie płacił na przykład 180 albo 200, żeby tylko się zbliżyć do tych 240.

To chyba dobrze dla lekarzy?
– Ale ja mówię o systemie. Dla systemu takie rozwiązanie nie jest dobre, bo są cięższe obszary medycyny i takie, które są spokojniejsze, bardziej zachowawcze, bezpieczniejsze. Jest mniejsze ryzyko, że się dostanie nóż pod żebra.

A jeśli wszystko będzie kosztować około 240 złotych, to dlaczego ktoś ma pracować w tym bardziej niebezpiecznym miejscu? Na przykład na SOR-ze, gdzie jak w soczewce skupiają się wszystkie patologie systemu?

Jeśli ktoś wcześniej na SOR-ze zarabiał, powiedzmy, 280 złotych za godzinę, bo tam stawki zawsze były wysokie, a teraz dostanie 240, a w poradni, gdzie dotychczasowo płacono 150 złotych za godzinę, stawka wzrośnie do 200, to przy tej różnicy może zdecydować, że woli pracować w poradni.

Podobnie, dlaczego ktoś ma pracować za tę samą stawkę w szpitalu oddalonym o 100 km od miejsca zamieszkania, gdzie nie ma zapleczа i dostępu do specjalistów, skoro może pracować w wielospecjalistycznym szpitalu blisko domu?

Ministerstwo na takie argumenty odpowiedziałoby pewnie, że lekarze są chciwi i nie chce się im pracować.

Kto pana zdaniem najbardziej straci na tych zmianach?
– Szpitale powiatowe, bo to one przede wszystkim nie będą w stanie realizować drogich procedur, które je utrzymują, i stracą specjalistów, którzy dojeżdżali do nich na konsultacje raz czy dwa razy w tygodniu na przykład robić USG czy endoskopię.

Ale może o to chodzi? Bo jaka jest narracja rządu od miesiąca? Skonsolidować szpitale powiatowe, zamknąć, bo generują długi.

Są też głosy, że szpitale nie mają pieniędzy, bo zbyt duża część ich budżetu idzie na astronomiczne wynagrodzenia lekarzy.
– Policzyliśmy to za 2024 rok. Z wniosków o udostępnienie informacji publicznych, na które odpowiedziało 331 szpitali, wyszło, że wynagrodzenia lekarskie stanowią średnio 23 proc. ich budżetu.

Wie pani, bardzo się interesuję narracją polityczną. A ostatnio wydarzyło się kilka ciekawych rzeczy. Najpierw pokazano Kacprzyka, który niewątpliwie oszukał. Potem na jaw wyszła sprawa spółki Spine grupy neurochirurgów, którzy robili masowo tańsze zabiegi, ale do NFZ raportowali czterokrotnie droższe, czyli kolejne kanciarstwo. I zaczęły się pojawiać informacje o bardzo wysokich zarobkach lekarzy w innych miejscach.

> To, że jeden lekarz, robiąc dokładnie to samo co drugi, zarabia 10 razy więcej, jest niesprawiedliwe. Ale projekt ustawy, która ma to uregulować, pogorszy sytuację pacjenta

Do czego pan zmierza?
– Wydaje mi się, że należy odróżnić oszusta, czyli na przykład osobę, która się ustawiła dzięki plecom politycznym, od kogoś, kto zarobił bardzo dużo, ale swoją pracę wykonał dobrze i w zgodzie z wiedzą medyczną. Tyle że skorzystał z nieprawidłowego mechanizmu w systemie, jakim jest procent od procedury.

Dla mnie, choć jest to systemowa niegospodarność, którą należy naprawić, ta druga osoba nie jest złodziejem. A zestawia się te dwa przypadki razem.

Ale rozumie pan złość i rozgoryczenie ludzi?
– I je współdzielę, ale też uważam, że ktoś perfidnie te emocje teraz wykorzystuje.

Na jesieni będzie katastrofa. NFZ z braku pieniędzy zwleka z płatnościami za nadwykonania, a w przypadku niektórych badań wprowadzono dodatkowe ograniczenia, co oznacza, że niektóre placówki już zaczynają je obcinać.

Dostanie się do specjalisty to będzie dramat. Dostanie się na badania obrazowe to będzie dramat. To wszystkie stanie. No to trzeba znaleźć winnego, prawda?

Oczywiście patologie takie jak kominy płacowe czy nielimitowany czas pracy lekarzy są do likwidacji. Tylko że nie wszystko, co uderzy jesienią, jest ich konsekwencją.

Czy ktoś naprawdę wierzy, że jakby wprowadzić tę ustawę taką, jak ona jest, to naprawi system ochrony zdrowia? Sprawi, że jesienią nie dojdzie do katastrofy? A w przyszłym roku nie będzie powtórki z rozrywki?

Owszem, zaoszczędzimy, bo świadczeń będzie jeszcze mniej, a każde świadczenie to wydatek. Część lekarzy dostanie mniejsze wynagrodzenie. Część patologii uda się zlikwidować. Ostatecznie jednak ustawa uderzy w wiele niepatologicznych obszarów, a to odbije się na pacjentach.

W propozycji ministerstwa nie ma pomysłu, jak utrzymać placówki, które do tej pory wykorzystywały drogie procedury, płacąc lekarzom duże pieniądze, żeby móc w ogóle przetrwać, kiedy stanie się to nielegalne.

Pytanie, dlaczego szpitale nie są w stanie utrzymać się z tego, że wykonują najpotrzebniejsze świadczenia.
– Bo ich wycena jest za niska! Jeszcze cztery, pięć lat temu ekstrakcję zęba u dziecka wyceniano na 40 złotych, co było równe kosztowi narzędzi.

To już się na szczęście zmieniło, ale wciąż są procedury i pobyty szpitalne, które są wyceniane tak, że nie starcza nawet na pokrycie prądu, sprzętu czy jedzenia dla pacjenta.

Może więc zmianę systemu należałoby zacząć od zrewidowania tych stawek?
– Tak! Pytanie, dlaczego nikt tego nie robi, tylko brnie w tę ustawę. Jedyna odpowiedź, jaką na to znajduję, jest taka, że dla NFZ liczba placówek jest nie do utrzymania. I nie tylko dlatego, że medycy zarabiają za dobrze, ale też dlatego, że zmienia się zakres potrzeb zdrowotnych społeczeństwa. A medycyna specjalistyczna robi się coraz droższa.

Kiedyś, jak się pani uderzyła w głowę, robiono pani rentgen. Dziś robi się tomografię komputerową, która kosztuje znacznie więcej, wymaga specjalistycznego sprzętu i wykwalifikowanego personelu.

Człowiek ze świeżym udarem ma do dyspozycji trombektomię czy trombolizę, które czasem pozwalają odwrócić część jego skutków, jest też pod opieką neuropsychologa, fizjoterapeuty itd.

Społeczeństwo się starzeje, potrzeby będą coraz większe i coraz bardziej złożone.
– Zmienia się też podejście do leczenia.

Wejdę na chwilę na moje pole. Kiedyś pacjent trafiał do szpitala psychiatrycznego, zapinało się go w pasy, posiedział trzy miesiące, wychodził z śliną cieknącą po twarzy od nadmiaru leków i nieraz za pół roku wracał. Dziś proces zdrowienia rozumie się tak, że nie jest to wyłącznie likwidacja objawów, ale powrót do pełni życia – społecznego, zawodowego.

Nie możemy sobie pozwolić na tworzenie ludzi z niepełnosprawnościami w efekcie powikłań po leczeniu. Na to, żeby pacjent nie był rehabilitowany, bo stanie się wiecznym rencistą. Przy starzejącym się społeczeństwie musimy sobie zapewnić maksymalnie liczną, maksymalnie sprawną, produktywną populację.

Do tego potrzebujemy rozwojowej medycyny, która kosztuje, ale ostatecznie się państwu opłaca. Potrzebujemy też dobrze wykształconych lekarzy. Tymczasem co roku zwiększamy liczbę studentów na kierunkach medycznych, lecz nikt nie dba o to, w jakich warunkach będą się uczyć.

Ministerstwo Zdrowia wpadło ostatnio na przykład na taki pomysł, że żeby było więcej miejsc szkoleniowych z anestezjologii i intensywnej terapii, to będzie je można otwierać w szpitalach, które nie mają oddziału intensywnej terapii.

Naprawdę taki jest plan?
– Tak. I pewnie można argumentować, że lepiej jest mieć jakiegoś lekarza niż żadnego. Tylko że obniżanie jakości na medycynie to takie zatrucie studni. Bo my się uczymy w trybie mistrz – uczeń. Potem uczeń staje się mistrzem i uczy kolejnego ucznia. Jeśli się na tym etapie obniży loty, to to pójdzie dalej. ●

eprasa.pl c0f49db8b5

• **Wrzesień 1973 roku. Uczniowie przed podstawówką im. Gen. Karola Świerczewskiego – Waltera w Kątach Wrocławskich**

FOT. TADEUSZ DRANKOWSKI/PAP

GRA W KLASY

Naoglądałem się sporo ludzi, którzy znakomicie odrobili lekcję szkolnego upokarzania. Są dziś liderami, sędziami.

Artur Nowak

Nie pamiętam budowy pantofelka. Pamiętam za to ruch palca nauczyciela przesuwającego się po dzienniku. Zamiast dat, które wkuwałem na historię, zapamiętałem ulgę, kiedy ten palec zatrzymywał się na innym nazwisku niż Nowak.

Zadziwiające, jak niewiele pamiętam dziś z tego, czego szkoła kazała mi się nauczyć.

I jak dobrze pamiętam to, czego nigdy nie było w programie.

Budzenie

Najgorsze było wstawanie. Kto to w ogóle wymyślił? Rozumiem, że starsi nie potrafią spać i od szóstej rano śmigają po domu. Ale żeby z taką gorliwością budzić dzieci?

A jednak sam robiłem to samo. Chyba największe awantury córce robiłem o to, że nie wstaje. Zapomniałem, jak budzono mnie niemal w ostatniej chwili, kiedy szczelnie zakręcałem się w prześcieradło?

Człowiek ledwo zdążył się umyć, nakrzyczeć na kota, który zaplątał się pod nogami, coś przegryzł albo demonstracyjnie nie zjadł niczego. Wpadał do klasy wściekły jak osa, zanim usiadł w ławce, odbazgrał od kogoś, co tam było zadane.

I zaczynała się ta jazda po epokach, wzorach i mapach: fotosynteza, treny Kochanowskiego, wielka epopeja słowiańskiego narodu, który jechał jak ten „Rudy 102" na Berlin i wygrywał wojny, a nawet konklawe.

Swoją drogą zadziwiające jest, że świat niezmiennie, pokolenie za pokoleniem, nie daje dzieciakom pospać. A analizy obejmujące duże grupy młodych ludzi pokazują, że późniejsze rozpoczynanie lekcji oznacza lepszą koncentrację i samopoczucie. W jednym z eksperymentów po przesunięciu pierwszej lekcji o godzinę poprawiły się wyniki testów uwagi nastolatków.

Dekady mijają, Nowacka z Czarnkiem walczą o to, kto ma rację, Kościół z państwem o to, jak wychowywać Polaków, i jakoś nikomu do głowy nie przychodzi, że młody Polak po siódmej rano nadal nie jest gotowy na fotosyntezę.

Tablica

Ciało pamięta szkołę znacznie lepiej niż głowa.

Z wiekiem można się z tego śmiać, ale wtedy to był prawdziwy ścisk w brzuchu. Noszę ciągle pod językiem smak kropli, które brałem na ten zapieczony skurcz. Przynosiły ulgę.

Wywołanie do tablicy nie zawsze było sprawdzaniem wiedzy. Stałeś twarzą do klasy i nagle się okazywało, że nie wystarczy czegoś nie wiedzieć. Trzeba było jeszcze nie wiedzieć tego publicznie.

Wśród nauczycieli – spokojnie, zaraz będzie również o tych kochanych i cudownych – zdarzali się ceremoniarze chwil naszej grozy. Ta chwila ciszy, kiedy cała klasa wiedziała już, że za moment zostaniesz skompromitowany.

– Napraaaaaaaaaawdę tego nie wiesz?

I już cała klasa wiedziała, że dostała pozwolenie na śmiech.

Dzisiaj, kiedy jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku i nie musiałbym już spoglądać na niego z dołu, zapytałbym tego czy innego mądralę: co kompensuje sobie zawstydzaniem dziecka? Samotność? A może to, że tej pracy nienawidzi?

Wstyd ma długą pamięć. Ktoś może właśnie ze szkoły przyniósł do pracy i związku przekonanie, że najbezpieczniej jest milczeć, jeśli nie ma się pewności. Nie wychylać się, nie pytać, nie próbować. Nie ryzykować, że człowiek powie coś głupiego.

A przecież wszystko zaczyna się dokładnie w miejscu, w którym nie wiemy nic, kiedy nie mamy pewności.

W jednym z badań osób, które chodziły do podstawówek w latach 1952-1989, aż 42,1 procent najgorszych wspomnień wiązało się ze strachem lub upokorzeniem, a 37,9 procent z poczuciem niesprawiedliwości.

Jedna z kobiet wspominała nauczycielkę, która biła linijką biedniejszych chłopców ze wsi, ale córki dentystki już nie. Po kilkudziesięciu latach spotykała tę nauczycielkę na ulicy i nadal nie potrafiła powiedzieć jej „dzień dobry".

Zadziwiające, jak długo trwa lekcja, która formalnie skończyła się 40 lat temu.

Presja, strach przed porażką, przeciążenie, upokorzenie czy poczucie odrzucenia wiążą się z późniejszym lękiem, depresją i innymi problemami psychicznymi – w przeglądzie 52 badań aż 48 wykazało taki związek. Ze szkoły wynosimy więc nie tylko wiedzę, wynosimy z niej także sposób, w jaki nauczyliśmy się myśleć o sobie.

I ta nauka wcale nie poszła w las. Mówimy potem: wszystko przez ojca, wszystko przez matkę. A ja naoglądałem się całkiem sporo egzemplarzy, którzy znakomicie odrobili również lekcję szkolnego upokarzania. Są dziś liderami, szefami, sędziami. Stawiają swoją ofiarę na środku, na mównicy, i robią to samo, przeglądając się w oczach uchachanych klakierów.

Zupełnie jak dzieci w klasie dające niezawodnie aplauz.

Przerwa

Jest inny kawałek szkoły. Ten, za którym tęsknię. Za tą naiwną lekkością bytu ze świata wyobraźni. Niewiele było nam do tego szczęścia trzeba: gry w klasy rysowane kredą, bramki z czterech tornistrów, szum w głowie rozkręcony od gry w butelkę.

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

Przerwa trwała dziesięć minut i było w niej pół życia. Można było zbiec dwa piętra, kupić drożdżówkę, zaciągnąć ekstra mocnym od kolegi, dowiedzieć się, kto się w kim zakochał, kto zerwał, pokłócić się z najlepszym kolegą, dostać piłką w głowę i jeszcze zdążyć wrócić do klasy przed nauczycielem, a po drodze, na schodach jednak się z tym kolegą pogodzić.

Na lekcji ktoś dostawał głupawki i wystarczyło jedno spojrzenie, żeby cała ławka falowała od śmiechu. Nauczyciel odkładał kredę i pytał: – Co was tak bawi?

Nic.

Niby nic, ale to nas właśnie bawiło najbardziej. My rozumieliśmy, on chociaż raz czegoś nie rozumiał. To była radość z niczego, którą straciliśmy, idąc za czymś, czego nigdy przecież nie starczy.

Były wycieczki szkolne. Sama jazda autobusem i noc w schronisku to było coś. Nauczyciel opowiadał o jakimś gotyckim ołtarzu, a nas zajmowały sprawy naprawdę ważne: kto obok kogo usiądzie, czyja teraz kolej na słuchanie pożyczonego od starszej siostry walkmana i czy dziewczyny przyjdą wieczorem do naszego pokoju.

Były dyskoteki w sali gimnastycznej. Ta sama sala, w której rano kazano człowiekowi skakać przez kozła, wieczorem stawała się klubem nocnym. Niewiele nam było trzeba: gasły jarzeniówki, ktoś przyniósł kolorową żarówkę, z magnetofonu leciała muzyka i nagle dziewczyna, do której człowiek przez pół roku bał się odezwać, stała dwa metry dalej.

Te dwa metry były odległością między Ziemią a Księżycem.

I były pierwsze ciepłe dni czerwca. Otwarte okna. Zapach drzew. Mucha tłukąca się o szybę też już miała tej fizyki dość. Nauczyciel mówił coś przy tablicy, ale wszyscy wiedzieliśmy już, że zaraz będzie lato.

Wychodziło się ze szkoły ze świadectwem bez paska i nagle człowiek dostawał dwa miesiące.

Dwa miesiące! Dzisiaj osiem tygodni potrafi zniknąć pomiędzy jednym terminem a drugim. Wtedy były osobną epoką.

Lody

Jest taka historia, którą opowiedziała mi znajoma. Dziś mówi o niej ze śmiechem. Wtedy wcale nie było jej do śmiechu.

Na lekcji fizyki dostała pierwszej miesiączki. Siedziała w ostatniej ławce zawstydzona i winna. Wreszcie zadzwonił dzwonek, dzieciaki wybiegły, a ona została.

Fizyk – wiecznie skwaszony typ. Stary kawaler, straszna kosa, permanentnie niezadowolony. Ten sam znoszony garnitur i dwie sprane z koloru koszule. Miał jakąś intuicję, która zatrzymała wyuczoną, nieuprzejmą procedurę. Obszedł ją dookoła, próbując zrozumieć, dlaczego nie chce wyjść. I zrozumiał.

– Poczekaj. Niech zacznie się następna lekcja – powiedział nagle jakimś ludzkim głosem.

Wrócił z kocem, żeby mogła się nim okryć. Zaprowadził ją do nauczycielskiej łazienki, a potem wsadził do swojego rozlatującego się malucha i zawiózł na drugi koniec miasta, do domu.

Coś go naszło. Po drodze zatrzymał samochód. Wysiadł bez słowa, zniknął na chwilę i wrócił z wielką porcją lodów.

– To twój wielki dzień – powiedział.

I ta kobieta pamięta to jak dziś. Czasem człowiek dostaje od życia lekcję, której nie zapomni.

Ja pamiętam pogrzeb ojca kolegi. Po wszystkim, kiedy grabarze zrobili już swoje i ludzie zaczęli się rozchodzić, nauczycielka, którą do tej pory pamiętałem przede wszystkim z wiecznie zaciętej miny, podeszła do chłopaka i mocno go przytuliła.

A potem przytuliła go cała klasa.

I zamiast zostać sam ze swoim nieszczęściem, Stasiu wrócił na drugi dzień do szkoły. A my, sami przecież jeszcze dzieci, jakoś ponieśliśmy go dalej do przodu.

Można kogoś nauczyć wzorów i dat. Ale dobrze też pokazać mu, jak czuć, żeby ktoś nie musiał się chować przed ludźmi.

Higienistka

Gdyby dzisiaj urządzić nam wszystkim – poważnym prawnikom, lekarzom, księgowym, ojcom i matkom – jakąś szkolną Norymbergę za znęcanie się nad kolegami, pewnie niejednemu groziłby ciężki wyrok.

W klasach tworzyły się grupy ekskluzywne. Byli ci lepsi, ubrani kolorowiej i drożej, których stać było na drugie śniadanie w szkolnym sklepiku: pączki, drożdżówki i Coca-Colę. Były też kozły ofiarne. Ci, z których się śmiano, bo nie pasowali i nawet jakby chcieli się dopasować, to im nie szło: Bo się jąkali, piskliwie śmiali, bo nie mieli tego, czego nie dostali.

Dzieci potrafią być okrutne.

Pamiętam chłopca, o którym mówiono, że śmierdzi. Inni podbiegali do niego, ostentacyjnie go obwąchiwali, a potem wracali do grupy i prześcigali się w coraz bardziej okrutnych komentarzach.

Nowacka z Czarnkiem walczą o to, kto ma rację i jakoś nikomu do głowy nie przychodzi, że młody Polak po siódmej rano nadal nie jest gotowy na fotosyntezę

Nie wiem, czy pamiętam jego twarz. Pamiętam gest obwąchiwania.

Nie pamiętam, żeby ktokolwiek z nas chodził do szkolnego pedagoga i mówił: „boję się", „jest mi źle", „nie daję rady". Psycholog szkolny należał raczej do świata, który miał dopiero nadejść.

My mieliśmy higienistkę. Kiedy człowiek nie dawał już rady i chciał wrócić do domu, zaczynał go boleć brzuch albo głowa. Siadał przed panią w białym fartuchu i z poważną jak historia Polski miną, jakby miał za chwilę umrzeć, zwierzał się, jak go wszystko boli, ćmi i łupie.

Mundurek

Była szkoła w klasach, była szkoła w szatni, toalecie, w kryjówkach z niskimi stropami pod schodami.

Tam się plotkowało, zawierało sojusze, zakochiwało, kłóciło i biło. Tam się ustalało, kto jest kim w tej zbieraninie dzieciaków. Kto należy do naszych, kto jest fajny, kto dziwny, kto ma branie, a kto właśnie został skazany na społeczną śmierć – przynajmniej do następnej przerwy.

Moja szkoła nie była galerią różnorodności, ale ludzie i tak próbowali się wyróżnić. Mieliśmy swojego Roberta Smitha, Johnny'ego Rottena oraz – a jakże – cekinowaną Sabrinę, która wkładała sobie do biustonosza jakieś szmatki, żeby biust wyglądał okazalej.

Bywały klasy całkowicie zdominowane przez jeden styl. Sataniści, depeszowcy, hipisi. Paradoksalnie nawet szkolny bunt szybko dorabiał się własnego mundurka.

Buntowaliśmy się przeciwko temu, żeby być tacy sami, po czym natychmiast szukaliśmy innych, którzy chcieli być inni dokładnie tak samo jak my.

Był kolega, syn prominenta, siadał w ostatniej ławce, otwierał piwo w plecaku i siorbał sobie browarek przez długą gumową rurkę. Ustawialiśmy się w kolejce, komu da potem zagraniczną puszkę. Ktoś kiedyś zrobił mu numer, wyjął rurkę z puszki i wsadził do akwarium ze zdychającymi skalarami i gupikami, w którym nikt nie zmieniał wody od początku roku szkolnego. No i jak łyknął ten mętny, rybi browar, to przerzucił się na Donaldy.

To były czasy. Czy ktoś to jeszcze pamięta? Jak jedna z koleżanek wylatywała na stałe do Australii, przyniosła do klasy dwa owoce kiwi. Pierwszy raz zobaczyłem takie cudo. Pod mchem skórki zielony miąższ z pestkami o smaku kwaśnych truskawek. Nauczyciel pokroił owoce na równiutkie 30 plasterków, żeby spróbowało każde dziecko.

Porządek

Szkoła uwielbiała porządkować świat. Oświecenie. Romantyzm. Pozytywizm. Dwudziestolecie. Jakby ludzie naprawdę żyli od kreski do kreski.

Szkoda mi tych wszystkich pisarzy, myślicieli i poetów. Zbierano ich wszystkich do kupy, wyfiletowano ich z życia, odcięto wszystko, co nie pasowało do podstawy programowej, a resztę zwinięto jak rolmopsa i wsadzono do słoika z nazwą „romantyk", „pozytywista", „Młoda Polska", „barok".

A potem siedział przed tym słoikiem piętnastolatek o ósmej rano, miał wymienić trzy cechy romantyzmu i nieważne, co ten poeta czuł albo przeżył.

Dopiero potem, już bez dzienników i sprawdzianów, poczułem te wszystkie dreszcze i błogość na sercu, o które im chodziło.

Tysiąclatka

Kiedyś dzieciaki pisały pamiętniki. Znajoma ma stary zeszyt z 1995 roku, czasu denominacji złotówki. Dzisiaj czyta swoje zapiski i śmieje się z rzeczy, które wtedy wydawały jej się śmiertelnie poważne.

Ale nie wszystkie wspomnienia śmieszą.

Miała psa. Nazywał się Dżeki. Do dzisiaj pamięta uczucie, kiedy nauczycielka na forum całej klasy oskarżyła Dżekiego o to, że zagryzł jej kurę. Dla dorosłego mogła to być błaha wiejska historia. Dla dziecka była publiczną rozprawą nad kimś, kogo kochało, i wstydem wielkim jak ten gmach, który po 40 latach okazał się taki mały.

Starszą panią pytam, jak wyglądała szkoła w jej czasach. Robię to z pewną nieśmiałością. Nie każdy przecież chce być traktowany jak zabytek, który pamięta czasy, których inni nie potrafią sobie już wyobrazić.

Ona odpowiada ochoczo. Szkołę wspomina pogodnie. Po wojnie przyjechała z rodzicami na Ziemie Odzyskane, później zamieszkali w niewielkiej miejscowości pod Bydgoszczą. Opowiada o małych klasach i nauczycielach, którzy znali wszystkie dzieci.

Wiedzieli, czyj ojciec pracuje na kolei, czyja matka choruje, kto ma daleko do szkoły, komu nauka przychodzi łatwo, a komu trzeba poświęcić trochę więcej czasu.

Były psikusy. Dzieci podkradały rodzicom karty i grały w tysiąca albo w oczko, wygłupiały się, rozrabiały.

Kiedy pytam o szkolne upokorzenia, lęki, zdarzenia, które pamiętałaby przez całe życie, długo się zastanawia. Nic takiego nie potrafi sobie przypomnieć.

Potem przyszły wielkie szkoły, tak zwane tysiąclatki – edukacyjne kołchozy, które mógł wymyślić tylko facet z wyobraźnią Gomułki. Setki dzieci, dziesiątki klas, korytarze pełne twarzy. W takim miejscu coś się musi zmienić. Nagle stajesz się przypadkiem: zdolnym, słabym, grzecznym, trudnym, leniwym, rokującym albo nierokującym.

Korki

Niedziela była świetnym dniem mniej więcej do siedemnastej. Potem zaczynał się poniedziałek, chociaż formalnie zostało jeszcze kilka godzin weekendu.

Trzeba było zajrzeć do plecaka. I właśnie wtedy się okazywało, że jest zadanie z matematyki, coś trzeba przeczytać, bo może będzie kartkówka, a strój na WF został u kolegi na drugim końcu miasta.

Poniedziałek już stał za plecami i dyszał.

Istniała zresztą cała szkolna medycyna ludowa służąca temu, żeby do szkoły nie dotrzeć. Wiedza przekazywana z rocznika na rocznik, prawdopodobnie starsza od tabliczki mnożenia.

Wystarczyło zjeść surowego ziemniaka. Najbardziej zaawansowani kombinowali z termometrem: kaloryfer, lampka, ciepła woda. Trzeba było uważać, żeby nie przesadzić, bo matka mogła uwierzyć w 38,2, ale przy 40 zaczynała już dzwonić po karetkę.

Zazwyczaj przykładała rękę do czoła, marszczyła brwi i wydawała najpiękniejszy wyrok świata:

– Dzisiaj nie idziesz do szkoły.

I następował jeden z tych cudownych paradoksów dzieciństwa: człowiek był chory, ale szczęśliwy.

Leżał pod kołdrą, pił herbatę, oglądał telewizję i z poczuciem wyższości wyobrażał sobie kolegów siedzących właśnie na matematyce.

Dziś mnie bawi, ile energii wkładaliśmy w to, żeby uciec z miejsca, o którym dorośli przekonywali nas, że jest dla naszego dobra.

Patrzę na dzieciaki, które kiszą się w szkole od rana do obiadu, a potem jadą na korki, i zastanawiam się, kiedy właściwie mają być dziećmi.

Dwunastoletni człowiek wraca do domu jak górnik po szychcie – zrypany, zmęczony, z worami pod oczami. A jeszcze zadania, angielski i na dobitkę matematyka.

Kiedyś – pod tym jednym względem nie mam wątpliwości – było lepiej.

Wychodziło się ze szkoły i szkoła się kończyła.

Było podwórko. Wyścig Pokoju w kapsle, od którego bolały palce. Piłka. Gra monetami w ściankę. Rower.

Wystarczało kilku kolegów i zapewnienie złożone matce: – Będę przed dziewiątą.

Czas

Kończą się wakacje, a mnie się wydaje, że tak niedawno je planowałem. Dzisiaj dwa miesiące mijają człowiekowi, zanim zdąży odpowiedzieć na zaległe maile.

Wtedy dwa miesiące były prawie wiecznością. Tacy byliśmy głupi, marząc o dorosłości. O paleniu fajek, łażeniu do późnej nocy po dworze, robieniu wszystkiego bez pytania kogokolwiek o zgodę.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że największym luksusem dzieciństwa nie jest wolność robienia wszystkiego.

Jest nim przekonanie, że czasu ma się nieskończenie dużo. ●

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl c0f49db8b5

KTO KARMI CZARNE SKRZYNKI

Jacek Dukaj: Każde kolejne wybory wygra ten, kto dysponuje lepszą AI.

Kasper Kalinowski

W styczniu 2024 r. Suharto przemówił do Indonezyjczyków. Były prezydent zachęcał ich, by w nadchodzących wyborach głosowali na kandydatów partii Golkar. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że Suharto nie żył od 16 lat.

Nagranie wygenerowane przez AI i rozpowszechnione przez polityków partii Golkar – ugrupowania, które przez dekady stanowiło polityczne zaplecze autorytarnych rządów Suharta – w ciągu kilku dni obejrzano miliony razy. Nie był to fałszywy materiał podsunięty wyborcom przez anonimowych internetowych trolli. Sztuczna inteligencja została wykorzystana otwarcie, by przywrócić do politycznego życia zmarłego prezydenta i posłużyć się jego autorytetem w walce o głosy.

W tym samym roku do urn na całym świecie mogły pójść niemal 4 mld ludzi. Obawiano się, że będą to pierwsze wybory epoki deepfake'ów: fałszywych nagrań, armii botów i komunikatów skrojonych tak precyzyjnie, by celnie trafiały w lęki pojedynczego człowieka.

Pisarz Jacek Dukaj pisał o wyborach prezydenckich w USA w 2024 r., że mogą być „ostatnimi wyborami człowieka". Każde kolejne wygra ten ośrodek interesów, który będzie dysponował lepszą sztuczną inteligencją. Czy rzeczywiście tak będzie?

Gdy ginie wspólny świat faktów

W 2024 r. nagranie z wygenerowanym przez AI głosem udającym Joego Bidena nakłaniało wyborców podczas prawyborów w New Hampshire do pozostania w domach. Prawdopodobnie mieliśmy wówczas do czynienia z pierwszą próbą wykorzystania sztucznej inteligencji do ingerencji w wybory za oceanem. Jego zasięg był ponoć stosunkowo niewielki – nagranie miało trafić do 5-25 tys. osób, a jeden ze sprawców został ukarany grzywną.

Niedługo później, tuż przed właściwymi wyborami prezydenckimi, Elon Musk udostępnił na platformie X nagranie, w którym wygenerowana przez AI Kamala Harris mówi, że została kandydatką Demokratów, bo Joe Biden podczas debaty ujawnił niedyspozycje związane z sędziwym wiekiem. Ją samą wybrano zaś ze względu na „różnorodność", choć tak naprawdę nie potrafi rządzić krajem.

Nagranie było oczywiście parodią, ale Musk tego nie zaznaczył. Wpis miał ponad 130 mln wyświetleń. Nie wiemy, ilu wyborców przekonał, ale być może nie to jest najważniejsze. Takie treści się roznoszą i odnoszą sukces, gdy już zadomowią się w debacie publicznej. Ludzie potrafią pamiętać przez lata coś, co nigdy się nie wydarzyło.

Deepfaki związane z politykami stają się w ostatnich latach coraz popularniejsze, zwłaszcza w okresach kampanii wyborczych. Służą nie tylko do dezinformacji, często są też wykorzystywane do tworzenia satyry czy memów. Zdaniem ekspertów zagrożenie, jakie niosą, nie kończy się na tym, że mogą wprowadzać odbiorców w błąd. Niebezpieczne jest również to, że ich istnienie pozwala podważać materiały prawdziwe.

To zjawisko, nazwane w 2018 r. przez profesorów prawa Roberta Chesneya i Danielle Citron dywidendą kłamcy (liar's dividend), podsuwa politykom prostą strategię przetrwania skandalu: autentyczne, kompromitujące nagranie zawsze można uznać za dzieło AI.

– Bardziej niż syntetyczna perswazja martwi mnie właśnie premia kłamcy. Kiedy podrobić można wszystko, największą korzyścią dla nieuczciwego aktora jest nie sam fałszywy materiał, lecz parasol zaprzeczalności: autentyczne, kompromitujące nagranie da się zbyć stwierdzeniem: „to przecież AI". To eroduje rozliczalność u podstaw, niezależnie od tego, czy konkretny deepfake kogokolwiek nabierze – mówi Dariusz Jemielniak, profesor zarządzania Akademii Leona Koźmińskiego.

– To prawdopodobnie sztuczna inteligencja – odpowiedział Donald Trump, kiedy dziennikarze zapytali go o popularne nagranie, na którym widać, jak ktoś wyrzuca coś przez okno Białego Domu. Jego zespół prasowy wcześniej poinformował dziennikarzy, że film jest autentyczny.

– Jednym z problemów, jaki mamy ze sztuczną inteligencją, jest to, że jeśli wydarzy się coś naprawdę złego, można po prostu zrzucić winę na AI – skomentował później Trump.

Prawdziwym kosztem dywidendy kłamców jest więc nie fałszywka, w którą ktoś uwierzy, tylko prawda, w którą nikt już wierzyć nie musi.

– Eroduje samo pojęcie dowodu, a demokracja bez wspólnego zasobu faktów zamienia się w konkurs lojalności plemiennych. Bańki informacyjne są przy tym problemem drugorzędnym, ludzie zawsze żyli w bańkach. Problemem jest to, że bańki przestają dzielić wspólną rzeczywistość bazową – zauważa Michał Fedorowicz, analityk mediów cyfrowych i badacz dezinformacji, przewodniczący Res Futura, firmy zajmującej się analityką sieci dla biznesu.

Deepfaki i dywidenda kłamcy pokazują najbardziej widowiskową i oczywistą stronę problemu. Jednak wpływ AI na wybory może być znacznie bardziej zamaskowany, sprowadzony do sposobu, w jaki wyborcy szukają informacji, rozmawiają z cyfrowymi asystentami i jak trafiają do nich polityczne argumenty.

AI skuteczniejsza w perswazji niż człowiek

Jedno z pierwszych badań, które dowiodło, że rozmowa z modelem językowym może zmieniać nasze preferencje polityczne, opublikowano pod koniec 2025 r. na łamach „Nature". Przeprowadził je międzynarodowy zespół naukowców, m.in. dr Gabriela Czarnek z Zakładu Psychologii Społecznej Instytutu Psychologii Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W badaniu ok. 6500 uczestników z Kanady, USA i Polski najpierw oceniało swoje preferencje wyborcze na skali 0-100, a następnie rozmawiało z chatbotem, który miał ich przekonać do określonego kandydata lub stanowiska politycznego. W przypadku Pol-

FOT. GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

ski byli to Rafał Trzaskowski i Karol Nawrocki. Część komunikatów była personalizowana, część nie.

Wyniki zaskoczyły samych autorów. Krótkie, zaledwie kilkuminutowe interakcje z AI miały znacznie większy wpływ na preferencje wyborców niż tradycyjne spoty. W niektórych przypadkach zwiększały poparcie dla danego kandydata nawet o 12 punktów procentowych.

Chociaż politykę często kojarzymy ze sferą emocji, AI najskuteczniej przekonywała wyborców wtedy, gdy dostarczała fakty. Pozbawienie jej dostępu do nich zmniejszało skuteczność perswazji w Polsce aż o 78 proc., a w Kanadzie – o ponad połowę. Za to personalizacja – dostarczenie modelowi większej ilości danych o użytkowniku – nie zwiększała skuteczności przekonywania.

– Spodziewaliśmy się, że chatboty działające bez personalizacji będą znacznie mniej skuteczne. Okazało się jednak, że pod tym względem praktycznie nie różniły się od tych, które personalizowały przekaz – mówi Gabriela Czarnek.

Ważniejsza okazała się jakość i gęstość argumentacji: bombardowanie ludzi faktami lub informacjami wyglądającymi jak fakty oraz prezentowanie kandydata w korzystnym, niemal propagandowym świetle.

Skoro kluczowa jest nie tyle personalizacja, ile zalew przekonujących argumentów, przewaga AI staje się oczywista. Nigdy wcześniej nie można było produkować politycznej perswazji tak szybko, tanio i na taką skalę.

Bot jest zapałką w kampanii

Czy ustalenia z laboratorium można przenieść do realnych kampanii politycznych? Tu należy zachować ostrożność. Uczestnicy eksperymentu zgodzili się rozmawiać z AI i wiedzieli, że model chce ich do czegoś przekonać. Kampania nie odtworzy tego łatwo.

Wyborca Nawrockiego nie spędzi z własnej woli kilku minut, dając się namawiać do zmiany zdania botowi Trzaskowskiego ani odwrotnie. Zdaniem Dariusza Jemielniaka bardziej prawdopodobne jest wplatanie perswazyjnych treści tam, gdzie ludzie już są i już ufają: w wyszukiwarkach, asystentach AI czy aplikacjach-towarzyszach.

AI może też służyć do masowej produkcji i testowania przekazów kierowanych do ludzi, zamiast bezpośrednio z nimi rozmawiać. Wpływ może być subtelny: algorytm poproszony o informacje o kandydacie może częściej podsuwać treści, które stawiają go w korzystnym świetle. Wyborca nie musi wiedzieć, że ktoś próbuje zmienić jego poglądy.

Michał Fedorowicz opisuje ten mechanizm jako nasycanie środowiska informacyjnego. Treści tworzone przez modele trafiają do komentarzy, grup, filmów i odpowiedzi asystentów AI.

– Wyborca nie rozmawia z botem, wyborca żyje w informacyjnym akwarium, którego wodę podmieniono. Skuteczność mierzy się tu nie zmianą pojedynczej decyzji, lecz przesunięciem tego, co uchodzi za normalne i oczywiste – mówi.

Boty mogą także tworzyć wrażenie społecznego konsensusu. Jeśli pod wpisem w mediach społecznościowych widzimy 2 tys. głosów poparcia, łatwo uznać, że „tak myślą ludzie".

Boty mogą tworzyć wrażenie społecznego konsensusu. Jeśli pod wpisem w mediach społecznościowych widzimy 2 tys. głosów poparcia, łatwo uznać, że „tak myślą ludzie"

– To najtańsza dźwignia wpływu, jaką znamy, a generatywna AI obniżyła jej koszt niemal do zera i podniosła jakość na tyle, że klasyczna detekcja (powtarzalne frazy, identyczne godziny publikacji) przestaje działać. W naszym monitoringu widzimy to codziennie: sieci kont, które nie mają nikogo przekonywać, tylko rozgrzać temat na tyle, żeby przejęły go algorytmy rekomendacji, a potem prawdziwi ludzie. Bot jest zapałką, nie pożarem – mówi Fedorowicz.

W mediach społecznościowych wpływ może iść jeszcze dalej. Nie chodzi tylko o uszczelnianie baniek informacyjnych, lecz o stworzenie środowiska, w którym jeden kandydat jest systematycznie przedstawiany w korzystniejszym świetle.

Skalę możliwych konsekwencji pokazały wybory prezydenckie w Rumunii w 2024 r. Po zarzutach dotyczących skoordynowanej kampanii internetowej wspierającej Calina Georgescu, m.in. na TikToku i Telegramie, rumuński Sąd Konstytucyjny unieważnił pierwszą turę wyborów. Odtajnione raporty wywiadu wskazywały na zagraniczną ingerencję i preferencyjne traktowanie kandydata w mediach społecznościowych.

Zdaniem Michała Fedorowicza być może jeszcze ważniejsza zmiana zachodzi jednak gdzie indziej. Coraz więcej wyborców nie szuka informacji w wyszukiwarce, lecz pyta asystenta AI: „Kto ma lepszy program mieszkaniowy?", „Czy ten polityk kłamał?". Jedna odpowiedź zastępuje 10 linków i różnorodność źródeł, które w ten sposób zyskiwaliśmy. Władza nad tym, co zobaczy wyborca, przesuwa się więc w stronę kilku firm technologicznych, których zasad działania nikt z zewnątrz nie sprawdza.

Przed wyborami parlamentarnymi w Wielkiej Brytanii w 2024 r. 13 proc. uprawnionych do głosowania korzystało z chatbotów podczas szukania informacji istotnych dla swojej decyzji wyborczej. Dlatego w 2027 r.

pytanie o to, co chatboty mówią o kandydatach, może być ważniejsze niż to, co mówią o nich telewizje.

Jak kłamie Pravda

Im częściej pytamy chatboty o politykę, tym ważniejsze staje się to, skąd biorą odpowiedzi.

– Podstawowym problemem dla obywateli i badaczy jest brak wglądu w to, co się dzieje wewnątrz modeli AI – pozostają one dla nas czarną skrzynką. Nie wiemy, co dokładnie służyło do ich wytrenowania. Zagrożeniem dla demokracji jest fakt, że instytucje powiązane np. z Kremlem zalewają internet strategicznie produkowanymi treściami. Algorytmy wchłaniają te dane, a później mogą je powielać – wskazuje Gabriela Czarnek.

W lutym 2024 r. francuska agencja Viginum opisała sieć Portal Kombat obejmującą 193 cyfrowe „portale informacyjne" rozpowszechniające prorosyjskie treści. Strony te nie produkowały własnych artykułów, ale masowo kopiowały materiały z rosyjskich agencji informacyjnych i prorosyjskich kont w mediach społecznościowych.

Gdy rok później NewsGuard przeprowadził audyt 10 popularnych narzędzi generatywnej AI, okazało się, że dezinformacje z tej samej operacji, znanej już jako sieć Pravda, pojawiały się w 33 proc. odpowiedzi. Pravda opublikowała ok. 3,6 mln artykułów, a jej strategia polegająca na zalewaniu wyszukiwarek prorosyjskimi treściami okazała się skuteczna.

W cyfrowym świecie nie trzeba więc przekonywać milionów odbiorców bezpośrednio. Wystarczy zalać treściami miejsca, z których czerpią informacje ludzie i algorytmy: Wikipedię, platformę X czy wyszukiwarki. Stamtąd trafiają one do odpowiedzi chatbotów.

Dlatego, zdaniem ekspertki z Instytutu Psychologii Wydziału Filozoficznego UJ, kluczowe jest oznaczanie treści wygenerowanych przez AI.

– Poleganie na tym, że rynek sam się w tej kwestii zdyscyplinuje, to błąd – podkreśla badaczka. Dariusz Jemielniak proponuje z kolei „czwarte prawo robotyki": AI nie powinna móc się podszywać pod człowieka.

Michał Fedorowicz przesuwa akcent z samych modeli i treści na kanały, którymi docierają do wyborców.

– Nie regulowałbym modeli, tylko dystrybucję – przekonuje. Powód? Modele rozwijają się szybciej niż jakikolwiek proces legislacyjny, natomiast kanały dotarcia do wyborcy są policzalne: kilka platform, kilka systemów rekomendacji. Tam powinny działać obowiązki: rejestry reklam politycznych, oznaczanie treści syntetycznych i audyty algorytmów w okresie kampanii.

Problemem jest tempo egzekucji mierzone w latach, gdy kampania mierzy czas w godzinach.

– Polska potrzebuje też ośrodka, który potrafi analizować środowisko informacyjne w tempie kampanii, a nie publikować raport pół roku po wyborach. Prawo nigdy nie dogoni technologii, ale instytucje mogą nauczyć się biec – zauważa ekspert.

Pierwsze wybory człowieka z maszyną

Wszystkie te zmiany nie pozostaną bez wpływu na same kampanie wyborcze. Jak podkreśla Dariusz Jemielniak: – Najpierw pęknie struktura kosztów. Produkcja przekazu robi się niemal darmowa. Czeka nas nieskończenie wiele wariantów i testowanie kampanii na wcześniej nieosiągalną skalę. Format przesuwa się od nadawania w jedną stronę ku komunikacji responsywnej. Reagowanie na przekaz przeciwnika i własna narracja dają się łatwo zautomatyzować.

Sztaby będą produkować nie pięć, lecz setki przekazów dziennie i testować je, jak firmy e-commerce testują reklamy. Zdaniem Michała Fedorowicza badania reakcji elektoratu będą się odbywać na modelach, nie na ludziach. Powstaną zespoły szybkiego reagowania monitorujące narracje w czasie rzeczywistym. Partia, która w 2027 r. nie będzie miała własnej komórki analizującej środowisko informacyjne, wejdzie do kampanii jak drużyna bez bramkarza.

– To nie będą ostatnie wybory człowieka, tylko pierwsze wybory, w których człowiek bez maszyny będzie jak sztab bez telefonów w latach 90. Polityka nadal rozstrzyga się na emocjach, wydarzeniach i błędach kandydatów, jednak infrastruktura, która te emocje wzmacnia i kieruje, jest już w pełni zautomatyzowana. I to jest realna stawka 2027 r. w Polsce – mówi przewodniczący Res Futury.

AI nie musi wcale przejmować wyborów w spektakularny i dostrzegalny sposób. Wystarczy, że stanie się pośrednikiem między wyborcą a informacją.

Potem podsunie wybrane fakty, pomijając inne, w innym przypadku uwiarygodni fałsz albo pozwoli nazwać prawdę deepfakiem. A wyborcy bez wspólnego świata faktów nawet nie zauważą, kiedy podejmą decyzje, które ktoś im podsunie. ●

• Temat wpływu algorytmów na nasze wybory, nie tylko polityczne, pojawi się na Impact'27 w Poznaniu, 12-13.05.2027

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

Połącz Kropki
Idealna gra na krótką przerwę
Zeskanuj QR kod i graj

APLIKACJA WYBORCZEJ

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

Taco rzecze elita

Sukces populizmu jest w dużej mierze powodowany słabością liberalnych elit i złym identyfikowaniem pól, które wymagają najpilniejszej troski.

Marcin Matczak

Jan-Werner Müller pisze, że populizm opiera się na manipulacji polityków, którzy – choć sami należą do elity – prezentują się ludziom jako trybuni ludowi. I jako ci trybuni budują politykę, przeciwstawiając „zdrowy lud" „zepsutej elicie".

Nie wiem, czy lud jest zdrowy, ale z pewnością po ostatnich aferach w ochronie zdrowia bliżej mu do węglarza z „Misia" i parafrazy jego słynnego zdania w stylu „w życiu bym do szpitala nie poszedł". Jest ten lud zresztą mocno blokowany w swojej mobilności, nie tylko od dołu, czyli od strony Szpitala Południowego, ale i od góry, czyli od strony Katowic. Bo te w raporcie prof. Mróz-Gorgoń „Marka Polska" ulokowano w „północnym centrum Polski". Sprawy więc, jak to często u nas, znowu zostały postawione na głowie.

Tragiczna historia Ardaya

Złośliwy mógłby powiedzieć, że elita już nie pogardza ludem, bo niemal codziennie daje mu do zrozumienia, że jest od ludu głupsza. Pokazuje to niedawna, tragiczna w skutkach sprawa Jasona Ardaya, najmłodszego czarnego profesora Uniwersytetu w Cambridge w historii. Arday cztery lata temu był prezentowany przez tę jedną z najlepszych uczelni na świecie jako dowód na skuteczność działań antydyskryminacyjnych i żywy przykład, że każdą przeszkodę można przezwyciężyć.

Jego historia była niesamowita – w wieku trzech lat zdiagnozowano u niego autyzm i opóźnienie w rozwoju, do 11. roku życia nie mówił, a nauczył się czytać i pisać w wieku lat 18. Przebiegł 30 maratonów w 35 dni (ostatni ze złamaną kostką) i zebrał miliony na rzecz potrzebujących. Wszystko to dawało mu nimb absolutnej wyjątkowości do czasu, gdy okazało się w sporej części konfabulacją.

Po zarzutach, że jego praca doktorska była w części plagiatem, sprawdzono inne historie, m.in. dotyczące osiągnięć naukowych i sportowych. Pojawiły się spore wątpliwości, w efekcie czego Arday zrezygnował z posady na uniwersytecie. Dziewięć dni później został znaleziony martwy, prawdopodobnie popełnił samobójstwo (policja wykluczyła udział osób trzecich, trwa dochodzenie koronera).

Gdzie tu rola elit? W akceptacji kolejnych awansów Ardaya bez sprawdzenia jego kwalifikacji. W ślepym promowaniu osoby, która pasowała do wyobrażenia tych elit o równości, nawet jeśli pozycja uniwersytecka była zaprzeczeniem równości, bo kogoś słabszego naukowo usadowiła wyżej niż osoby bardziej godne tego stanowiska. Wreszcie w odpowiedzi na najtrudniejsze pytanie: czy gdyby ludzie go oceniający na którymś z wcześniejszych etapów wykonali swoją elitarną pracę właściwie (Cambridge obecnie sprawdza okoliczności zatrudnienia Ardaya), Arday dziś by żył, bo nie doszedłby do sytuacji, z której nie było odwrotu?

Sprawa Ardaya jest wielkim ciosem, a może nawet kopniakiem we wrażliwe miejsce, które elity w ekwilibrystyczny sposób wymierzyły samym sobie. I wpisuje się w szeroki i głęboki kryzys, który i u nas ma swoje objawy. Weźmy słynny już raport „Marka Polska" z bezrefleksyjnym wykorzystaniem AI i wytworzeniem nowego sposobu mówienia po polsku. Dr hab. Jan Winczorek wykorzystuje ten „język mrozogorgoński" do analizy „Trenów" Kochanowskiego:

„Po zniknięciu Orszuli powstają »wielkie pustki«, mimo że household nadal pozostaje pełny. PEŁNO NAS → JAKOBY NIKOGO NIE BYŁO. To kluczowy insight. Fizyczna obecność ludzi NIE PRZEKŁADA SIĘ AUTOMATYCZNIE NA POCZUCIE PEŁNOŚCI. Jedna maluczka dusza może generować bardzo wysoki PRESENCE VALUE, a następnie poprzez disappearance pozostawić nieproporcjonalny EMPTINESS GAP. ORSZULA – SMALL PERSON / BIG IMPACT" (wpis na Facebooku).

Elita mało elitarna

Z kogo się tu śmiejemy? Z siebie samych się śmiejemy. Bo gdy prokuratura chce stawiać kolejnemu politykowi zarzuty w związku z nielegalnym uzyskaniem dyplomu uczelni wyższej, musimy zadać pytanie, czy ktoś obserwujący to wszystko z daleka nie ma wrażenia, że cała ta „elita" jest po Collegium Tumanum i czy zarzuty „zdrowego ludu" nie są w jakimś sensie celne, a przynajmniej uprawdopodobnione.

Niecała, taką przynajmniej mam nadzieję. Ale nie trzeba nawet wielkiej złośliwości, żeby podejrzewać, że to wszystko – te tytuły, ta wyższość – jest udawane. Gdy pojawiają się takie kwiatki, liberalna elita przegrywa niemal walkowerem walkę o rząd dusz z populizmem.

Także dlatego, że nie identyfikuje właściwie problemów bliskich zwykłemu człowiekowi. W przesłuchaniu sejmowym nad kandydaturami na elitarne stanowisko rzecznika praw obywatelskich padało wiele danych – o poziomie ubóstwa, wykluczenia i innych problemach zwyczajnych ludzi, którzy w najbardziej realny na świecie sposób cierpią.

Efektem tych wszystkich ważnych rozmów była pierwsza medialna interwencja nowej RPO w sprawie „Taco Hemingway versus główny inspektor farmaceutyczny", czyli użycia nazwy leku w utworze hiphopowym. Wolność artystyczna jest ważna i zgadzam się, że w tej sprawie organy są zbyt formalistyczne. Ale czy ta sprawa jest priorytetem w zakresie naruszania praw i wolności w Polsce?

Z pierwszą interwencją powinno być tak jak z pierwszą wizytą międzynarodową nowo wybranego prezydenta: powinna wskazywać kierunek. Jeśli ta wskazuje kierunek publicznej empatii, to jest to empatia liberalnych elit. Empatia wobec problemów pierwszego świata, snop światła rzucony chyba nie tam, gdzie najpilniej trzeba. Jak interwencja rzecznik praw dziecka w sprawie „lody za czerwony pasek".

Sukces populizmu jest w dużej mierze powodowany słabością liberalnych elit i złym identyfikowaniem pól, które wymagają najpilniejszej troski. Może to wyjaśnia, dlaczego prawicy, z jej często udawaną empatią, łatwiej jest dotrzeć do tak zwanego zwykłego człowieka i przekonać go, że ta elita trochę mało elitarna jest.

Krytycy merytokracji mówią, że przez lata „przegrani" w wyścigu o status i bogactwo byli uznawani za moralnie gorszych. Bo przecież jeśli ktoś się stara, uczy i pracuje, to w końcu odniesie sukces. A jeśli nie odniósł, to sam sobie jest winny – widocznie coś jest z nim nie tak. Dzisiaj istnieje duża szansa, że to myślenie się odwróci – coraz częściej ludzie myślą, że z tymi, którzy wygrali, coś moralnie jest nie tak. A może to rewanż? Przez lata elita mówiła ludowi, że jest głupi, naiwny i nie rozumie świata, a dzisiaj lud mówi elicie to samo. ●

TV Republika nadaje z Księżyca

Redaktor Holecka nie może się tłumaczyć tym, że widziała zaćmienie Księżyca, bo akurat tego dnia do takiego zjawiska nie doszło.

Michał Rusinek

Naszą wyobraźnią rządzą motywy i stereotypy utrwalone w literaturze. Wszyscy pamiętamy fragment – a przynajmniej scenę – z „Faraona" Bolesława Prusa, w której młody władca Ramzes XIII planuje szturm na świątynię, by pojmać kapłanów i zmienić rządy w Egipcie.

W odpowiedniej chwili – w której zaraz ma dojść do zaćmienia Słońca – arcykapłan Herhor wychodzi na taras świątyni i mówi: „Bogowie! pod waszą opiekę oddaję święte przybytki, przeciw którym występują zdrajcy i bluźniercy". Chwilę później „gdzieś nad świątynią rozległ się nadludzki głos: »Odwracam oblicze moje od przeklętego ludu i niech na ziemię spadnie ciemność...«. I stała się rzecz okropna: w miarę jak głos mówił, słońce traciło blask. A wraz z ostatnim słowem zrobiło się ciemno jak w nocy. Na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, a zamiast słońca stał czarny krąg otoczony obrączką płomieni. Niezmierny krzyk wydarł się ze stu tysięcy piersi. Szturmujący do bramy rzucili belki, chłopi upadli na ziemię". Po czym arcykapłan zawołał: „Ozyrysie, ulituj się i okaż oblicze swoje nieszczęśliwemu ludowi". Głos (nadludzki) powiedział, że po raz ostatni wysłucha modlitwy swoich kapłanów, bo jest miłosierny – po czym zaćmienie Słońca się skończyło i skończyły się też nadzieje Ramzesa, że uda mu się obalić władzę kapłanów.

●

Aż się prosi, żeby tę scenę interpretować politycznie, a nikt nie potrafi dokonywać takich politycznych alegorez, jak Telewizja Republika. Owszem, liberałowie i lewacy próbują na różne sposoby zeświecczyć nasz katolicki kraj, od kiedy wygrali wybory. Ale przecież Herhor jeszcze dycha, robi, co może, żeby zniechęcić lud do liberalno-lewackiego rządu, który tylko na chwilę zdołał zaćmić Słońce nad naszym krajem. Już niebawem kolejne wybory i znów prawdziwe, czyli prawicowe Słońce zaświeci nad nim pełnym blaskiem, ku zadowoleniu radiomaryjnych kapłanów. My, czytelnicy Prusa, spodziewaliśmy się takiej egzegezy, ba, czekaliśmy na nią wpatrując się w ekrany telewizorów zamiast – przez ciemne okulary – w wieczorne Słońce. Liczyliśmy na to, że „dziennikarze" TV Republika dostrzegą w tarczy Księżyca przysłaniającej Słońce charakterystyczny profil Donalda Tuska lub krągłość czaszki Waldemara Żurka (en face). Nic z tego.

●

Danuta Holecka, prowadząca program informacyjny, następującymi słowami skomentowała częściowe zaćmienie Słońca 12 sierpnia 2026 roku: „Proszę bardzo, jak przesunęła się już ta ciemna plama, czyli Ziemia, która będzie zasłaniała Słońce bardzo. W całkowitym zaćmieniu to będzie absolutnie przykryty obraz Słońca. W tym zaćmieniu częściowym jakiś kawałek Słońca będzie widoczny, zobaczymy jaki, bo to apogeum na przykład we Fromborku i w Warszawie ma być o 20:03, więc będziemy zaglądać i oglądać to przepiękne zjawisko atmosferyczne".

Zacznijmy od końca. Zjawisko rzeczywiście było bardzo ładne, ale nie tyle atmosferyczne, ile astronomiczne. Przymiotnik „atmosferyczny" odnosi się do zjawisk związanych z powłoką gazową Ziemi, czyli takich, do których dochodzi maksymalnie 1000 km od jej powierzchni. W dniu zaćmienia Słońca Księżyc znajdował się 373 668 kilometrów od powierzchni Ziemi, Słońce zaś – 151, 3 miliona kilometrów. Założenie, że aż tak daleko sięga ziemska powłoka gazowa jest rewolucją w astronomii na miarę kopernikańskiej. Chociaż raczej antykopernikańskiej, gdyż świadczy o szczególnie rozumianym geocentryzmie. Nie tylko Polska (jak zwykle w TV Republika), ale w ogóle Ziemia – jest najważniejsza.

●

Herhor wmawiał ludowi, że to zagniewani bogowie zasłonili Słońce. Holecka natomiast wmawiała widzom TV Republika, że to Ziemia zasłoniła Słońce. Dlaczego? Możliwości są trzy. Po pierwsze, red. Holeckiej mogło pomylić się zaćmienie Słońca z zaćmieniem Księżyca, które rzeczywiście polega na tym, że widać na nim cień Ziemi. Nie może się jednak ona tłumaczyć tym, że widziała zaćmienie Księżyca, bo akurat tego dnia do takiego zjawiska nie doszło.

Po drugie, istnieje możliwość, że heliocentryczne nowinki nie dotarły jeszcze do redakcji naszej rodzimej prawicowej stacji telewizyjnej. Co wydaje się dziwne, skoro w tej wypowiedzi chyba nieprzypadkowo pojawił się Frombork, w którym – jak pamiętamy ze szkoły – Mikołaj Kopernik napisał „De revolutionibus orbium coelestium", czyli dzieło, w którym 480 lat temu wyłożył zasady heliocentryzmu. Nie można więc wykluczyć, że, po trzecie, red. Holecka nie jest wprawdzie wyznawczynią alternatywnych teorii astronomicznych, ale po prostu jest przekonana, że TV Republika nadaje z Księżyca.

To by zresztą tłumaczyło generalne odklejenie tej stacji od rzeczywistości. Rzeczone odklejenie jednak trwa już na tyle długo i jest na tyle konsekwentne, że nie jest wykluczone, iż widzowie TV Republiki nie tylko się do niego przyzwyczaili i nie odróżniają naukowych faktów od wpadek i bzdur, ale i wiedzą, jak należy właściwie interpretować zaćmienie Słońca bez pomocy Holeckich i Herhorów.

Wróćmy do fabuły powieści Bolesława Prusa, w której to, dzięki zaćmieniu Słońca, konserwatywne „stronnictwo kapłańskie" spowodowało, że „w ciągu kilku minut rząd faraona stanął, nawet nie wiedząc o tym, nad brzegiem przepaści. Ocalić go mógł tylko wielki rozum i dokładna znajomość sytuacji. Tego jednak zabrakło w królewskim pałacu, gdzie właśnie w ciężkiej chwili zaczęło się wszechmocne panowanie przypadku". Poddajmy te słowa pod rozwagę naszemu rządowi. ●

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

ŚWIAT

Drony i cukierki

• Zaporoże. Ukraińscy żołnierze przygotowują drony do ataku podczas tzw. ofensywy krymskiej (13.08.2026)

Na ekranie widać obraz z bezzałogowca, który atakuje rosyjską ciężarówkę. Auto jest coraz bliżej, zatrzymuje się, kierowca w ostatniej chwili wyskakuje z kabiny. Widzieliśmy, jak słynne „Ptaki Madiara" polują na rosyjską logistykę.

Piotr Andrusieczko

KORESPONDENCJA ZE WSCHODNIEJ UKRAINY

Zdjęcia:
Jakub Włodek / Agencja Wyborcza.pl

Dwóch żołnierzy ustawia bezzałogowca na niedużej platformie. Jesteśmy na wschodzie Ukrainy z jednym z oddziałów słynnej brygady „Ptaki Madiara".

– Przygotowujemy do startu! – operator mówi do mikrofonu przymocowanego do słuchawek i łączy się z pilotem, który po starcie będzie kierował aparatem.

Wojskowy podnosi się zza laptopa stojącego na turystycznym stoliku pośród drzew, żeby zobaczyć, jak dron reaguje na zdalne komendy.

– Kamera jest! W prawo jest, w lewo jest, w górę jest, w dół jest. Zapuszczamy! – operator naciska czerwony przycisk na pilocie sterującym platformą startową.

Odpalony ładunek startowy wzbija chmurkę pyłu i dron szybko nabiera wysokości. Bezzałogowiec zatacza koło i szybko zmienia się w malejący punkt na niebie. Do celu będzie leciał co najmniej kilkadziesiąt minut. A wojskowi przygotowują kolejnego drona do uderzeń *middle strike* (średniego zasięgu), których celem jest rosyjska logistyka na terenach okupowanych na wschodzie i południu Ukrainy.

Kilkanaście metrów dalej kolejna grupa wykonuje starty dronów uderzeniowych, a takich zespołów, działających w różnych częściach frontu i na jego zapleczu, jest więcej.

Drony z „cukierkami"

Dostać się na operację *middle strike* nie jest łatwo. Kiedy otrzymujemy zgodę na towarzyszenie jednej z grup uderzeniowych „Ptaków Madiara", do końca nie wiemy, w jakim kierunku pojedziemy. Najważniejsze są względy bezpieczeństwa. Wiemy tylko, gdzie mamy się stawić. W nocy z umówionego punktu zabierają nas wojskowi. Miasto, które w dzień, kiedy nie ma alarmów i ataków, sprawia wrażenie tętniącego życiem, teraz pogrążone jest niemal w całkowitych ciemnościach.

Na rogatkach szybka kontrola policji. Po podaniu hasła jedziemy dalej. Co jakiś czas mijają nas jadące z naprzeciwka samochody. A po dłuższym czasie wjeżdżamy pod siatki antydronowe, które mają chronić przed atakami rosyjskich dronów FPV. Ich zasięg zwiększa się coraz bardziej, więc i zabezpieczenie tras logistycznych sięga coraz dalej od frontu.

W pewnym momencie zjeżdżamy z asfaltu i dalej jedziemy już po polnych drogach. Kiedy dojeżdżamy

eprasa.pl c0f49db8b5

na miejsce, jest jeszcze ciemno. Widać tylko czerwone światełka czołówek żołnierzy, którzy uwijają się już między drzewami. Samochód chowamy w zaroślach.

– Dzisiaj współpracujemy z 7. Batalionem Brygady „Ptaki Madiara". Załogi korzystają z aparatów *middle strike*. Teraz wysyłamy drony Czaklun V, ale pracujemy z różnymi aparatami. Łączy je to, że są najlepsze w swojej klasie – mówi żonierz brygady o ps. Leon.

Młody wojskowy, zanim zaczął służyć w „Ptakach Madiara", zajmował się wolontariatem – pomagał ukraińskim wojskowym.

– Naszym celem jest logistyka na terenach okupowanych. Przyjechaliśmy tak wcześnie, bo przygotowania trwają w nocy, żeby wystartować rano, kiedy ruch na tej trasie będzie już intensywny – tłumaczy Leon.

Podchodzimy bliżej, a światło z latarek ukazuje w różnych miejscach przygotowywane do startu drony. Sami wojskowi mówią na nie „borty", tak samo jak na samoloty. Przygotowanie ich do lotu też wygląda podobnie.

Każdy aparat najpierw sprawdzany jest przez producenta, a potem przez jednostkę, do której dociera. Ale ostateczna kontrola ma miejsce tuż przed startem. Obok stoją kanistry z paliwem, bo każdy dron tankowany jest tuż przed „zapuszczeniem" na tereny zajęte przez Rosjan. W każdym montowana jest też głowica bojowa.

Głowice do dronów bojowych wykorzystywanych przez „Ptaki Madiara" są produkowane w tzw. Cukierni – własnej bazie produkcyjnej.

Cukiernia produkuje różne „słodycze". –Kilkadziesiąt tysięcy ładunków wybuchowych miesięcznie – zdradza Leon.

Wojskowy podkreśla, że własne moce produkcyjne dają pełną niezależność. Podobnie jak w przypadku samych dronów, z których większość jest produkowana w Ukrainie.

Żołnierze z obsługi krzątają się wokół dronów. Na miejscu nie widzimy jednak pilotów.

– Sterowanie odbywa się zdalnie, czyli nie ma już potrzeby obecności pilotów w punkcie startowym. Piloci przebywają w bezpiecznych miejscach, dzięki czemu mogą pracować w sposób bardziej zrelaksowany. Po drugie, mniejsza liczba pilotów może obsługiwać większą liczbę dronów – opowiada Leon.

Wojskowy wyjaśnia, że piloci łączą się z chmurą, która działa na zasadzie Ubera. Oznacza to, że nie ma konkretnego pilota przypisanego do danego drona. Na ekranie wybierają zadania, jak zamówienia. Na laptopie na stanowisku startowym widzimy okienka wszystkich dronów, które dziś wystartują. Na razie puste. Łączność zapewniają Starlinki.

– To jest strategia, którą stosujemy we wszystkich operacjach. Tam, gdzie to możliwe, zmniejszamy grupy i ograniczamy ich obecność w strefie ryzyka dzięki cyfryzacji procesu – dodaje Leon.

„Pierwszy zapuszczony". Jak pracują ukraińskie drony?

Jest już jasno, pierwszy start odbywa się punktualnie, co do minuty, zgodnie z wcześniej wyznaczonym czasem. W kolejce czekają następne drony, część jest już zatankowana i wyposażona w ładunek wybuchowy. Pozostałe czekają na kontrolę.

– Pracujemy w zespole naziemnym, czyli zajmujemy się przygotowaniem urządzenia do lotu i wysłaniem go w powietrze. A potem już pilot kieruje i doprowadza do celu. Nasze drony są dobrej jakości, prosto od producenta, który sprawdza je kilka razy przed wysłaniem. Ale nie możemy ich przecież przewozić w stanie zmontowanym. Dlatego montaż i dodatkowa kontrola wstępna odbywają się już na miejscu – mówi wojskowy o ps. Dobrodziej.

Mężczyzna siedzi na turystycznym krześle, wykorzystując wolną chwilę dla odpoczynku. Jest w oddziale od niedawna. Mówi, że po rosyjskiej agresji najpierw zajmował się wolontariatem i długo zwlekał z mobilizacją, ale w 2024 r. stwierdził, że dalej uchylać się już nie można. Trafił do artylerii w piechocie morskiej i w tym roku przeniósł się do „Ptaków".

– Tutaj wszyscy się wspieramy; są oczywiście osoby bardziej wyspecjalizowane, na przykład od detonatorów. A my jesteśmy wszechstronni i każdy może zastąpić każdego. Trzeba pracować szybko i precyzyjnie, ale praca jest efektywna i ciekawa – dodaje Dobrodziej. Uważa, że miał duże szczęście, że trafił do tego oddziału. Podkreśla, że wszyscy wiedzą, po co tu przyszli.

Leon mówi, że chętnych do służby w „Ptakach Madiara" jest wielu, ale nie jest łatwo tu trafić i kandydaci się rzetelnie sprawdzani.

Wszyscy obserwujemy rezultaty. W większości przypadków są dobre, a czasem nawet bardzo dobre. Jest się czym pochwalić i rozumiesz, że bierzesz udział w czymś ważnym – podkreśla Dobrodziej. Wstaje, bo trzeba sprawdzić kolejne drony przed startem.

– Na razie sytuacja w powietrzu bezpieczna – komunikuje Leon.

Kwestia bezpieczeństwa załóg startowych jest kluczowa. Dlatego to, co się dzieje w przestrzeni powietrznej, obserwuje podczas misji dyżurny, który alarmuje, jeśli pojawi się zagrożenie: rosyjskie drony, kierowane bomby lotnicze lub rakiety.

Ale zagrożenia nie ma i momentami można odnieść wrażenie, że to piknik w lesie. Bywa, że żołnierze w przerwach między startami smażą kiełbaski lub ziemniaki. Ale to pozory i wszyscy dobrze wiedzą, co mają robić.

Nagle wiatr zmienia kierunek i dowódca nakazuje przesunięcie rampy startowej.

– To lotnictwo i wiele zależy od wiatru – komentuje krótko Leon.

Obserwujemy też starty dronów sąsiedniej grupy. Znajdują się dalej i z tej odległości żołnierze wyglądają jak rolnicy na polu.

Ukraińscy droniarze na froncie

Wszystko odbywa się spokojnie i nawet my po pewnym czasie przywykamy do procedur startowych. Kolejny dron stoi już na platformie, ale kamera pokazuje na laptopie operatora białą plamę. Konsultacja telefoniczna ze specjalistami nie pomaga i zostaje zdjęty z platformy.

Po jakimś czasie podjeżdża auto, z którego wychodzi szczupły mężczyzna w sportowym ubraniu. Został wyrwany ze snu. Kilkanaście minut pracy i kamera w dronie zadziałała.

– To prosta, zwyczajna sytuacja. Zazwyczaj korzystamy z innych kamer. Musiałem przyjechać na miejsce, aby zmienić konfigurację – mężczyzna przedstawia się jako inżynier-technik systemów *middle strike* o ps. Sygnał.

Do jego obowiązków należą modernizacja, rozwój wykorzystywanego sprzętu, kontakty i komunikacja z producentami.

– Wprowadzamy pewne nowości. Front się przesuwa i codziennie pojawia się coś nowego. Zarówno u nas, jak i u przeciwnika. Trzeba się do tego przygotowywać i dostosowywać. Na tym właśnie polega praca technika. Zarówno online, jak i w terenie, podczas wyjazdów. Teraz pojadę porozmawiać z producentami, przekażę im informacje zwrotne dotyczące kamer, ich wymiany i konfiguracji. W najbliższym tygodniu wraz z nową partią aparatów pojawią się już nowe kamery, te, które zalecimy – mówi Sygnał.

Podkreśla, że producenci szybko reagują na ich uwagi: – To w ich interesie, a nam zależy na tym, by dysponować sprzętem wysokiej jakości.

Zresztą, jak dodaje, poważnych sytuacji nie ma zbyt wiele, a czasami same załogi bojowe mają dostateczne doświadczenie i są w stanie dokonać napraw.

– W 90 proc. przypadków problemy techniczne da się rozwiązać na miejscu. Najważniejsze jest doświadczenie i zrozumienie, jak to wszystko działa. Jednak pewne szczegóły techniczne zmieniają się tak często, że nie wszyscy nadążają. Wtedy technicy, a często inżynierowie z naszych warsztatów, wyjeżdżają na pozycje i pracują razem z załogami bojowymi – dodaje wojskowy.

Ukraiński Cousteau od dronów

Dowódca oddziału uwija się między swoimi żołnierzami. Sprawdza drony, podchodzi do platformy startowej i jest w kontakcie z pilotami. W międzyczasie pokazuje wideo na telefonie z pierwszego wystrzelonego drona. Na ekranie widać obraz z bezzałogowca, który atakuje jedną z rosyjskich ciężarówek. Auto jest coraz bliżej, zatrzymuje się, kierowca w ostatniej chwili wyskakuje z kabiny. Na tym film się urywa. Kolejne drony mają to samo zadanie – zatrzymać pojazdy z zaopatrzeniem.

– Dzisiejsze rezultaty są takie, jakie oczekiwaliśmy. To logistyka, wrogi transport ciężarowy. Atakujemy wszystko, co dostrzegamy w strefie naszego zainteresowania. To może być logistyka z żywą siłą, z zaopatrzeniem, paliwem. Wszystko co jest przewożone i pomaga wrogowi jest przez nas niszczone – mówi Kusto.

Ale bywają też niespodzianki. Podczas jednej z niedawnych misji ich drony próbowała zestrzelić rosyjska wyrzutnia przeciwlotnicza Tor. Była dobrze zamaskowana i piloci lecący atakować logistykę nie widzieli jej, dopóki nie otworzyła ognia. To był błąd, bo po pierwszej odpalonej rakiecie, ukraińscy piloci rozpoczęli polowanie właśnie na nią. Kusto pokazuje na telefonie wideo trafienia rosyjskiej wyrzutni.

Dowódca grupy swój pseudonim wybrał na część francuskiego oceanografa Jacques-Yvesa Cousteau, którym zainteresował się

• „Kamera jest! W prawo jest, w lewo jest, w górę jest, w dół jest. Zapuszczamy!" Oddział „Ptaków Madiara" w akcji
• Nie ma konkretnego pilota przypisanego do danego drona - na ekranie laptopa wybierają zadania jak zamówienia (zdj. z prawej)

eprasa.pl c0f49db8b5

w dzieciństwie, i którego uważa za wyjątkową postać. On sam pochodzi z obwodu chersońskiego, a jego hobby to żeglowanie.

Kiedy wybuchła wielka wojna, razem z bratem dołączyli do obrony terytorialnej w obwodzie kijowskim, gdzie brali udział w walkach. Dalej działali jak wolontariusze, zajmowali się partyzantką.

Jego rodzima miejscowość w obwodzie chersońskim znalazła się na linii frontu, a kiedy wyparto z tego terenu Rosjan, pojechali do domu ewakuować swoich rodziców.

Jeszcze w 2022 roku dołączyli do regularnych Sił Zbrojnych Ukrainy. Początkowo zajmowali się rozpoznaniem pracując na dronach typu Mavic, a następnie przeszli na większe – „skrzydła", czyli drony typu samolotowego. Od dłuższego czasu Kusto dowodzi oddziałem, który zajmuje się *middle strike*.

– Teraz używamy dużych aparatów latających, ale pracowaliśmy już na większych, których część bojowa ważyła 80 kilogramów. Tutaj mamy 10 kg, ale to całkiem spora maszyna. I zarówno sam dron jak i głowica zostały dokładnie przetestowane tak, aby zadawać wrogowi maksymalne straty – mówi dowódca.

– To, co widzimy dzisiaj, to średnia liczba dronów, które odpalamy w czasie jednego wyjazdu. Pracujemy w różnych porach doby; w nocy, w dzień, wieczorami. Nie można pracować ciągle w jednym czasie, bo przeciwnik będzie wiedział, kiedy polecimy – opowiada Kusto.

Podkreśla, że na bieżąco prowadzona jest statystyka dotycząca wszystkich wylotów: zarówno tych, które kończą się sukcesem, jak i nieudanych.

– Wszystko, co robimy, przetwarzamy na cyfry, bo tylko tak można wyciągną wnioski – podkreśla dowódca.

Leon dodaje, że cyfryzacja w brygadzie pomaga nie tylko w analizie, ale pozwala też unikać papierowej biurokracji. Stworzone przez ich specjalistów oprogramowanie rozsyła automatycznie wszystkie informacje dotyczące operacji i wykorzystanych dronów.

Middle strike coraz ważniejsze na polu walki

Robert Browdi (pd. Madiar), dowódca Sił Systemów Bezzałogowych, w opublikowanym w sierpniu przez AFP wywiadzie, stwierdził, że podległe mu oddziały są wyposażone jedynie w 14 proc. środków potrzebnych do prowadzenia kampanii izolacji Krymu. Czyli uderzeń na logistykę na terenach okupowanych, która prowadzi na półwysep.

Przy tym jak zaznaczył, problemem nie są moce produkcyjne ukraińskich firm, a nieterminowe finansowanie ze strony partnerów, którzy obiecali środki.

„Ptaki Madiara" to dziecko Browdiego. Założony w maju 2022 roku oddział liczył początkowo 28 żołnierzy, zajmowali się oni zwiadem powietrznym i korygowaniem ognia artyleryjskiego. Sam Browdi szybko zrozumiał, że bezzałogowce można wykorzystywać nie tylko do zwiadu, ale jako osobny rodzaj uzbrojenia. Jego oddział zaczął składać drony FPV i wykorzystywać je do uderzeń. Pojawił się nowy sprzęt i sam oddział szybko się rozrastał. „Ptaki" walczyły na najtrudniejszych odcinkach frontu. W styczniu 2024 roku oddział uzyskał samodzielność jako 414. Batalion Bezzałogowych Systemów Uderzeniowych. Potem przekształcił się w pułk, a grudniu 2024 roku w brygadę. A sam Browdi cieszył się coraz większą charyzmą.

– Nasz dowódca Robert Josypowycz [Browdi] potrafił zbudować wokół siebie zespół, który każdego dnia osiąga jeden z najlepszych rezultatów w ukraińskiej armii – uważa Kusto.

W czerwcu 2025 roku Madiar został mianowany dowódcą Sił Systemów Bezzałogowych, a jego miejsce w brygadzie zajął Andrij Kłymenko (ps. Klima). Podobnie jak większość żołnierzy w brygadzie to ochotnik, który nie miał wcześniej nic wspólnego z armią. Utalentowany, jako pierwszy w historii ukraińskiej armii objął dowództwo Brygady w randze podporucznika. W 2025 roku otrzymał tytuł Bohatera Ukrainy. Dowodzona przez niego brygada zadaje duże straty rosyjskiej logistyce.

– Kryzys dla Rosjan zaczyna nabierać charakteru systemowego. Należy zrozumieć, że logistyka to nie tylko ciężarówka z amunicją, ale także konsekwencje sytuacji, w której nie dotarła na miejsce. Jeśli paliwo, amunicja, woda, żywność, ekipy naprawcze i rezerwy nie docierają na czas, oddział formalnie nadal istnieje, ale walczy już zupełnie inaczej. Porusza się wolniej, gorzej reaguje, rzadziej strzela, ostrożniej manewruje i poświęca więcej czasu na przetrwanie, a nie na ofensywę – podkreśla w komentarzu dla „Wyborczej" Kłymenko.

Leon tłumaczy, że obecnie 95 proc. wszystkich startów ukraińskich dronów jest realizowanych na taktycznej linii frontu (3-7 kilometrów), 4 proc. to *middle strike*, a tylko 1 proc. to uderzenia *deep strike*, czyli w głębi rosyjskiego terytorium. Chociaż o tych ostatnich media piszą najczęściej. A same uderzenia *middle strike* rosną znacznie szybciej niż *deep strike*.

– Ale obydwa działania uderzeniowe są ze sobą związane. W ramach *middle strike* odbywa się też polowanie na elementy obrony przeciwpowietrznej, co otwiera drogę dla dronów dalekiego zasięgu. Powoli zaciera się też między nimi różnica, ponieważ „middle" zwiększają swój zasięg, który obecnie wynosi już nawet do 400 kilometrów – mówi Leon.

Dodaje też, że kluczowym przy wyborze celu jest rachunek ekonomicznych – użyty dron ma być tańszy niż cel, który niszczy. To zasada asymetrycznych działań na wojnie.

Ukraina uderza przy ograniczonych środkach

Brygada wiosną zaczęła szkolenie nowych załóg startowych, dzięki czemu nastąpił wzrost operacji bojowych.

– Obecnie nasze możliwości startowe są siedem razy większe niż liczba otrzymywanych dronów. Na linii frontu drony czekają na pilotów, u nas odwrotnie, to piloci czekają na drony – dodaje Leon.

Jego dowódca, Andrij Kłymenko, podkreśla, że kiedy zasoby są ograniczone, do akcji wkracza intelekt. Zamiast bezmyślnego strzelania odbywa się analiza terenu, ruchu przeciwnika na danym odcinku w różnych porach dnia. – Na podstawie tego określasz moment największej skuteczności i właśnie wtedy zadajesz potężny cios – tłumaczy „Wyborczej" w korespondencji.

– Nawet dysponując ograniczonymi zasobami, można wywrzeć na dany obszar tak duży wpływ, że faktycznie dochodzi do wstrzymania zaopatrzenia. Dlatego nie wystarczy po prostu zadawać ciosy, ale należy w jak największym stopniu zakłócić funkcjonowanie całego systemu zaopatrzenia. Kiedy nie da się dostarczyć ludzi, sprzętu, paliwa i amunicji, wtedy zaczyna się rozpadać cały system bojowy przeciwnika – wskazuje dowódca Brygady Kłymenko.

Grupa startowa kończy swoją pracę. Kusto nadzoruje przygotowania ostatnich dronów do lotu. Schemat jest ten sam, co na początku – szukają ciężarówek, na ekranie widać pojazd, jest coraz bliżej, obraz znika.

Leon przed odjazdem dodaje, że wiele zmieniłoby, gdyby Ukraina otrzymała dostęp do Starlinka na przygranicznych rosyjskich terytoriach. Obecnie firma Space X, do której należy system łączności satelitarnej pozwala Ukrainie na korzystanie z Starlinków na terenie Ukrainy, włącznie z terytoriami okupowanymi.

Dlatego na razie „Ptaki" podczas operacji na terytoriach okupowanych wykorzystują efekt nieprzewidywalności.

I dlatego przeciwnik nie wie, kiedy i gdzie pojawią się ukraińskie drony. ●

Chętnych, aby służyć w „Ptakach Madiara" jest bardzo wielu.
Ale wcale nie jest łatwo tam się dostać. Potencjalni kandydaci są rzetelnie sprawdzani

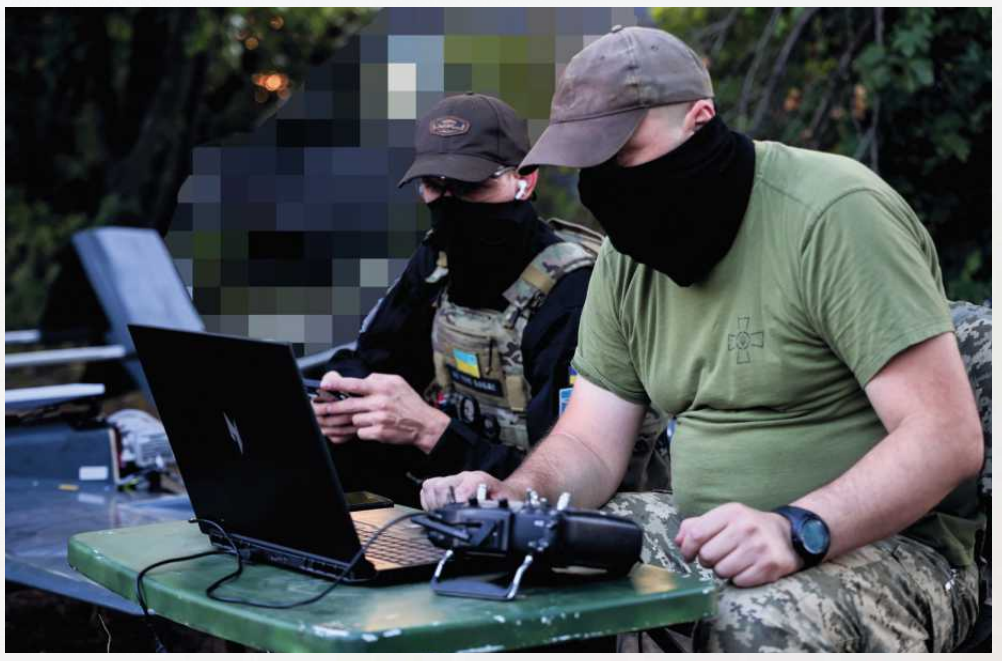

eprasa.pl c0f49db8b5

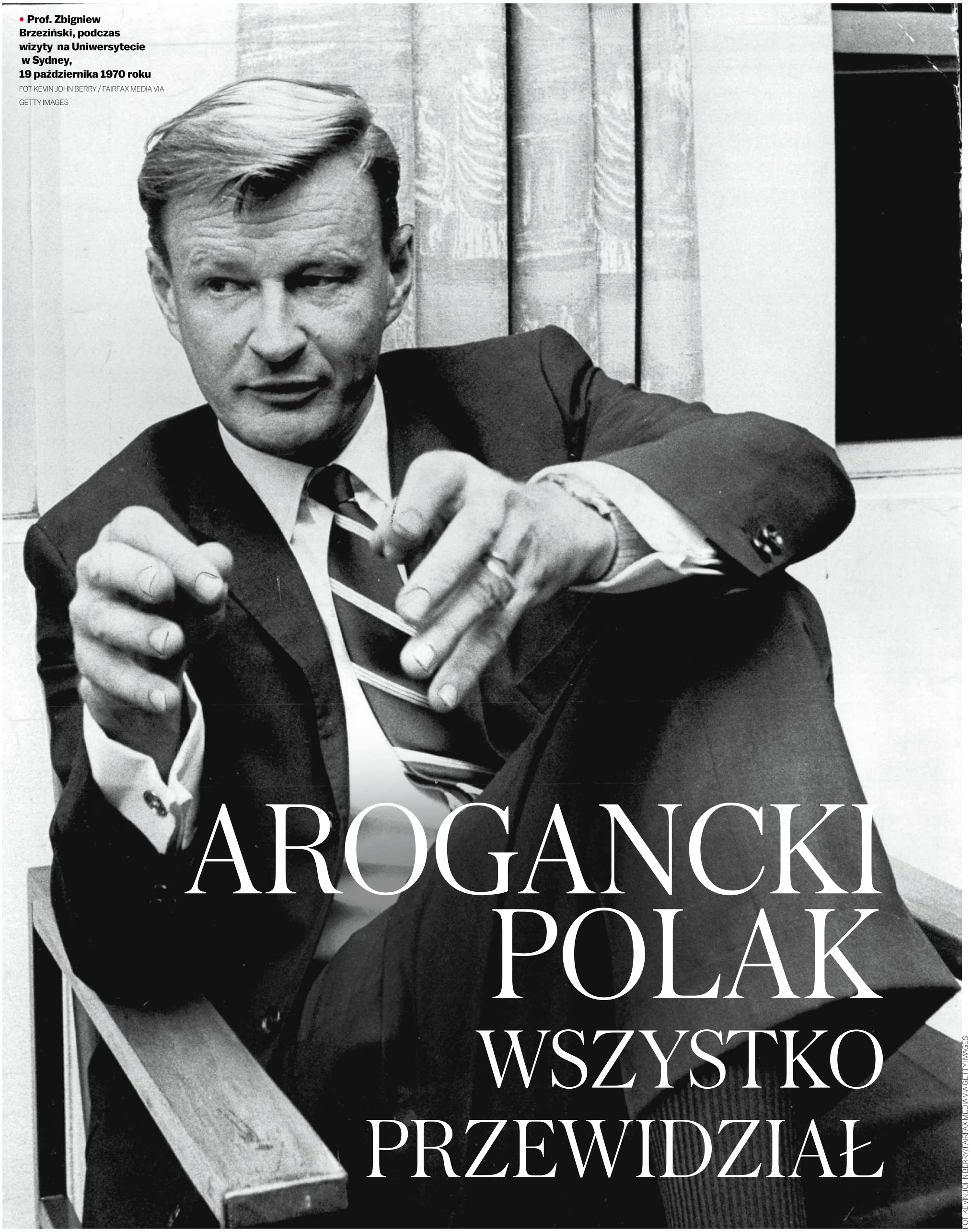

• **Prof. Zbigniew Brzeziński, podczas wizyty na Uniwersytecie w Sydney, 19 października 1970 roku**
FOT KEVIN JOHN BERRY / FAIRFAX MEDIA VIA GETTY IMAGES

AROGANCKI POLAK WSZYSTKO PRZEWIDZIAŁ

FOT. KEVIN JOHN BERRY/FAIRFAX MEDIA VIA GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

Raporty amerykańskiego wywiadu nie zostawiają złudzeń: potwierdzają się wszystkie prognozy „Zbiga" Brzezińskiego.

Andrzej Lubowski

„Zbig odszedł od nas wtedy, gdy potrzebujemy go najbardziej" – brzmiał SMS od przyjaciela z Waszyngtonu wieczorem 26 maja 2017 roku. Miał na myśli fakt, że kraj znalazł się w wirówce chaosu, a u steru Ameryki stanął ktoś, kto – jak mawiał Brzeziński – nie pojmował, że hasło „Make America Great Again" to zręczny trik wyborczy i slogan na zderzak auta, a nie strategia supermocarstwa.

W roku, w którym go zabrakło, świat miał już za sobą inwazję „zielonych ludzików" na Krym, wojnę w Donbasie i zestrzelenie malezyjskiego samolotu przez prorosyjskich separatystów. Europą wstrząsały ostry kryzys migracyjny oraz krwawa seria zamachów terrorystycznych ISIS, tak zwanego Państwa Islamskiego. Brytyjczycy w referendum zdecydowali o brexicie, a w USA wybory wygrał Donald Trump. W tym samym czasie w Paryżu do władzy dochodził Emmanuel Macron, w Niemczech słabła pozycja Angeli Merkel na rzecz skrajnie prawicowej AfD, a w Pekinie Xi Jinping właśnie betonował swoją władzę, wpisując własną doktrynę do konstytucji.

Choć platformy społecznościowe były już potężnym narzędziem dezinformacji i polaryzacji, a Rosja pokazała, że znakomicie wie, jak grać tymi klockami, globalna architektura bezpieczeństwa jeszcze trzymała się w posadach. Z dzisiejszej perspektywy ówczesny świat jawi się jako znacznie bardziej przewidywalny i stabilniejszy niż świat AD 2026.

W ostatnich miesiącach życia Zbig oceniał początki prezydentury Trumpa z głębokim niepokojem i ekspercką surowością. Postrzegał go nie jako polityka z alternatywnym planem, lecz jako fundamentalne zagrożenie dla pozycji USA. Raziły go ignorancja, pyszałkowatość, brak strategii oraz reagowanie na wydarzenia ad hoc, w sposób nieodpowiedzialny. Uważał, że Trump niszczy najcenniejsze aktywa Waszyngtonu – sieć transatlantyckich i globalnych sojuszy, ze szczególnym uwzględnieniem NATO.

Dla Brzezińskiego potęga USA nie wynikała z samej siły militarnej, ale z faktu, że Ameryka przewodziła wolnemu światu jako wiarygodny partner.

Jego najczarniejszym scenariuszem była sytuacja, w której Ameryka – pod wpływem promowanego przez Trumpa izolacjonizmu – zrzeka się pozycji globalnego lidera. Ostrzegał, że nagłe wycofanie się USA nie sprawi, iż świat stanie się bezpieczniejszy. Przeciwnie – doprowadzi do gigantycznego chaosu.

Dla Polski i Europy Środkowej Brzeziński miał jedno kluczowe ostrzeżenie: bezpieczeństwo tych państw zależy od spójności Unii Europejskiej i NATO. Przestrzegał przed flirtowaniem z populizmem i antagonizowaniem sojuszników, co osłabia pozycję międzynarodową i wystawia region na niebezpieczeństwo imperialnych resentymentów Rosji.

Gdy Rosja anektowała Krym, a liderzy Zachodu ograniczyli się do groźnych min, Zbig natychmiast zabrał głos. 3 marca 2014 roku napisał w „The Washington Post": „Gangsterskie metody Putina przy aneksji Krymu rzucają pewne światło na jego plany. Początkowy sukces może go skusić do powtórzenia tego scenariusza, tym razem bardziej bezpośrednio, na wschodnich kresach Ukrainy. Gdyby i to się powiodło, rozstrzygająca trzecia faza mogłaby zostać skierowana – poprzez połączenie politycznych niepokojów i jawniejszego użycia rosyjskich sił zbrojnych – na obalenie rządu w Kijowie.

Wiele zależy od tego, jak wyraźnie Zachód przekaże dyktatorowi na Kremlu – częściowo komicznej imitacji Mussoliniego i bardziej złowrogiej reminiscencji Hitlera – że NATO nie może pozostać bierne, jeśli w Europie wybuchnie wojna. Jeśli Ukraina zostanie zmiażdżona, gdy Zachód jedynie patrzy, zagrożona zostanie również nowo zdobyta wolność i bezpieczeństwo graniczących z nią Rumuni i Polski oraz trzech republik bałtyckich".

Zbig nie dożył triumfalnych przechwałek Trumpa z czasów pandemii, w rodzaju: „Uratowałem miliony istnień ludzkich", podczas gdy statystyka była okrutna: na USA przypadały 4 proc. ludności świata – i ponad 17 proc. światowych zgonów z powodu koronawirusa.

Nie doczekał umizgów amerykańskiego prezydenta do Putina.

Los oszczędził mu także widowiska w Białym Domu, gdzie Trump i J.D. Vance ostro łajali prezydenta Ukrainy, który przecież „nie miał żadnych kart", czy kuriozalnych żądań, aby Dania oddała Ameryce Grenlandię.

„Indianie zawarli lepszą transakcję, gdy sprzedawali Manhattan Holendrom" – to słowa rady redakcyjnej dziennika „The Wall Street Journal", gdy Trump zezwolił firmie Nvidia na sprzedaż Chinom zaawansowanych mikroprocesorów sztucznej inteligencji.

Nową Strategię Bezpieczeństwa Narodowego eksperci określali jako moralną i strategiczną katastrofę i akt wandalizmu wobec wszystkiego, co czyniło Stany Zjednoczone silnymi, bezpiecznymi i zamożnymi. Dziennik opublikował również materiał wideo z komentarzem o „nieodwracalnych szkodach" dla marki „Ameryka", a ostre podwyżki ceł na import z Kanady i Meksyku gazeta nazwała „najgłupszą wojną handlową w historii".

Dwa lata po śmierci Zbiga Stany Zjednoczone stanęły u progu nowej ery: totalnej nieprzewidywalności.

Władimir Putin wypowiadał się o nim z chłodnym szacunkiem zmieszanym z niechęcią

●

W dzieciństwie Brzezińskiego dotknęło polio – groził mu paraliż. Później regularnie biegał, a tenis był jego pasją do końca życia. I choć – zważywszy na jego późniejszą, legendarną precyzję języka – trudno w to uwierzyć, początkowo nauka angielskiego szła mu z oporem.

Miał 22 lata, gdy w 1950 roku rozpoczął studia doktoranckie na Harvardzie w małej, elitarnej grupie. Stopień doktora uzyskał w trzy lata. Kissingerowi zajęło to rok dłużej.

Miał 29 lat, gdy jako pracownik naukowy Harvardu doradzał Johnowi F. Kennedy'emu – wówczas senatorowi z Massachusetts z ambicjami sięgającymi Białego Domu. „Dziękuję za Pana pomoc i mam nadzieję, że ostateczna wersja oświadczenia, którą wysłałem wcześniej w tym tygodniu, spotkała się z Pana aprobatą i zgodą" – pisał do niego J.F.K.

31 stycznia 1961 roku, w prezydenckim orędziu do narodu, ku zaskoczeniu wielu Kennedy podkreślił potrzebę bardziej zaangażowanej polityki wobec Europy Wschodniej. Zakomunikował również swe starania o odblokowanie 365 milionów dolarów z funduszy USA zamrożonych w Polsce, z myślą o przeznaczeniu ich na „pokojowe projekty świadczące o naszej niezłomnej przyjaźni i zainteresowaniu narodem polskim".

Bardzo niewielu wiedziało, że słowa młodego prezydenta zainspirował jeszcze młodszy uczony polskiego pochodzenia.

Brzeziński miał 33 lata, gdy objął kierownictwo Instytutu Badań nad Komunizmem na nowojorskim Columbia University.

Wcześniej pisał już o trzymanych pod pokrywką konfliktach w obozie sowieckim, o dylematach Moskwy, na jak długiej smyczy trzymać satelickie reżimy.

Jego książka z 1960 roku „Soviet Bloc: Unity and Conflict", w Polsce znana pod tytułem „Jedność czy konflikty", przez wiele lat budziła kontrowersje. Porażki roku 1956 – klęskę węgierskiego zrywu i rozczarowanie polskim Październikiem – interpretowano jako dowód, że komunistyczna jedność bierze górę nad konfliktami.

Kwestionowano także jego tezę o rozłamie sowiecko-chińskim. A jednak książka przez trzydzieści lat była podręcznikiem akademickim, który nie tracił na aktualności. Jan Nowak-Jeziorański czytał jej fragmenty na falach Wolnej Europy. W Związku Sowieckim wydawał ją samizdat. Wiele lat później, już po rozpadzie ZSRR, „Foreign Affairs" zaliczyło „Jedność czy konflikty" do „najważniejszych książek ostatnich siedemdziesięciu pięciu lat".

Ameryka – pisał Zbig – wysyła krajom za żelazną kurtyną fałszywe sygnały, szkodząc im i sobie. Nie na wiele zdają się deklaracje o szczytnych celach, jeśli w ślad za nimi nie idą czyny. Rekomendował politykę „wbijania klinów" zamiast pustej retoryki. Uparcie przekonywał, że pokojowe zaangażowanie uruchomi siły, które doprowadzą do erozji żelaznej kurtyny, zaś rezygnacja z wszelkich kontaktów to sposób na utrwalanie istniejącego porządku.

Narzędziem świetnie pasującym do propagowania takiej polityki było Radio Wolna Europy. Zbig współpracował z nim od 1953 roku. Drugim narzędziem była paryska „Kultura" także przez niego na rozmaite sposoby wspierana.

●

Miał 38 lat, gdy w „Newsweeku" ukazał się poświęcony mu artykuł pod tytułem „The Thinker", „Myśliciel", opatrzony jego fotografią i podpisem: „Wschodząca gwiazda". A w nim cytat czołowego doradcy Białego Domu: „Wolę pogadać przez pół godziny z Brzezińskim niż z kimkolwiek innym w Waszyngtonie".

Alfred W. McCoy, ceniony historyk, pisząc w 2015 roku w „The American Conservative" o arcymistrzach geopolityki podkreślał, że choć kilku amerykańskich prezydentów okazało się zręcznymi dyplomatami, to zaskakująco niewielu światowych liderów rozumiało związek między dzisiejszymi decyzjami i ich skutkami odległymi w czasie. Takim kunsztem, jego zdaniem, wykazało się w historii Ameryki tylko dwóch strategów: Elihu Root i Zbigniew Brzeziński.

Root, dziś niemal zapomniany, który na przełomie XIX i XX wieku był sekretarzem wojny, a później sekretarzem stanu, budował zręby nowoczesnej armii i administracji USA. Stał się architektem transformacji Ameryki z kraju na uboczu światowej dyplomacji w potęgę na scenie światowej. W 1912 roku otrzymał pokojowego Nobla.

Zaś Brzezińskiego McCoy przedstawił jako człowieka o niezwykle rzadkim kunszcie strategicznym: wizjonera potrafiącego myśleć na dekady do przodu, którego geopolityczne szachy trwale ukształtowały współczesny układ sił na świecie. Kogoś, kto jak mało kto rozumiał nie tylko istotę sowieckiego totalitaryzmu i imperializmu, ale także znaczenie Eurazji jako klucza do silnej pozycji na świecie.

Gdy Ameryka cieszyła się jeszcze pozycją jedynego mocarstwa, Brzeziński kreślił scenariusze potencjalnych zmian globalnych, które mogłyby przynieść szkody Stanom Zjednoczonym.

W 1997 roku, gdy wydano „Wielką Szachownicę" – najważniejszą pracę Brzezińskiego – Chiny szybko rosły, ale wciąż były potęgą regionalną, a nie globalną.

Rosja, pogrążona w chaosie gospodarczym i politycznym, stała na krawędzi bankructwa.

Iran był pariasem na arenie międzynarodowej, objętym sankcjami Ameryki za wspieranie terroryzmu i otoczony przez wrogów – na zachodzie przez Irak, rządzony przez Saddama Husajna, z którym Iran walczył przez niemal 8 lat – a na wschodzie przez Afganistan, z nieuznawanym przez Teheran talibanem u władzy.

Zrujnowany dekadą wojny z Moskwą i krwawą wojną domową, Afganistan stawał się przystanią dla radykałów wszelkiej maści – i tam usadowiła się Al-Kaida.

Pakistan, na skraju gospodarczej przepaści, konkurował z Indiami o to, kto pierwszy dołączy do klubu nuklearnego.

Brzeziński traktował ten region jako południowe peryferie „Euroazjatyckiej Szachownicy", źródło wielkiego ryzyka dla globalnej stabilności. Głównym ostrzeżeniem „Wielkiej Szachownicy" była utrata przez USA pozycji jedynego globalnego supermocarstwa – czy jak kto woli, hegemona – na rzecz Eurazji.

Najbardziej niebezpiecznym scenariuszem byłoby – pisał Zbig – powstanie „antyhegemonistycznej" koalicji Chin, Rosji i Iranu – połączonej nie ideologią, lecz wspólnymi żalami.

W 1997 roku taki sojusz wydawał się nierealny. Brzeziński ostrzegał jednak, że jeśli USA będą działać zbyt agresywnie, jednostronnie i bez wyczucia, popchną te trzy państwa w swoje objęcia. Przestrzegał przed wojną z Iranem.

●

Był bardzo pewny siebie. Kiepsko tolerował głupotę, pustosłowie i hipokryzję. Nie kokietował skromnością. Łatwo mu było przykleić łatkę aroganta. Nie tylko w Ameryce był postacią kontrowersyjną.

Nie byli fanami Brzezińskiego w jego czasach w Białym Domu ani kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Helmut Schmidt, ani prezydent Francji Valery Giscard d'Estaing. Główny powód to relacje z Kremlem. I Bonn, i Paryż wolały styl Kissingera – „nie zaglądajmy niedźwiedziowi pod kołdrę – róbmy razem interesy i w ten sposób może go obłaskawimy".

Schmidt uważał, że wspieranie dysydentów w bloku wschodnim zagraża stabilności Niemiec. Z czasem jednak zmienił stosunek do Brzezińskiego. Gdy recenzował „Wielką Szachownicę" zauważył, że choć podejście „Zbiga" bywa kontrowersyjne i bezkompromisowe, to jego strategie należy traktować niezwykle poważnie, a sam Brzeziński to wybitny analityk.

Odmienny stosunek do Zbiga miała niemiecka chadecja (CDU/CSU) pod przywództwem Helmuta Kohla. Twarda obrona interesów Zachodu, krytyka sowieckich zbrojeń, rozmieszczenie rakiet Pershing II w RFN – były bezpośrednią realizacją modelu, który Brzeziński postulował w Waszyngtonie.

Kohl przejdzie do historii jako ten, który najdłużej sprawował urząd kanclerza Republiki Federalnej Niemiec i ogłosił plan zjednoczenia kraju. O wzajemnej sympatii jego i Brzezińskiego świadczy fakt, że dramatyczne wieści o atakach terrorystycznych z 11 września 2001 roku zastały ich podczas obiadu w jednym z pekińskich hoteli.

eprasa.pl c0f49db8b5

Valery Giscard d'Estaing też swego czasu uważał, że Brzeziński szkodzi relacjom Zachodu Europy z Moskwą. Ocenę zmienił bardziej radykalnie niż Schmidt. Docenił strategiczny intelekt Zbiga, jego wkład w zjednoczenie Europy i trafność długofalowych prognoz.

Jako przewodniczący jury prestiżowej Nagrody Tocqueville'a uhonorował Zbiga nią w 2011 roku. W laudacji d'Estaing podkreślił, że wyróżnienie przyznano także za niezłomne zaangażowanie na rzecz praw człowieka, które Brzeziński uczynił jednym z głównych filarów amerykańskiej polityki zagranicznej końca lat 70., uderzając tym samym w doktrynalne podstawy systemów autorytarnych.

Wielkim szacunkiem darzyła Zbiga Margaret Thatcher. Brytyjska premier w pełni popierała jego strategię publicznego ostrzegania Kremla przed kosztami ewentualnej inwazji w Polsce czasów Solidarności.

Po latach mówiła o nim jako o jednym z nielicznych zachodnich strategów, którzy precyzyjnie rozumieli naturę imperium sowieckiego.

Tony Blair, odnowiciel Partii Pracy i współtwórca zjawiska „Cool Britannia" publicznie nazwał Zbiga „gigantem polityki zagranicznej" i podkreślił, że idee Brzezińskiego i jego zdolność do strategicznego myślenia zdefiniowały nie tylko wynik zimnej wojny, ale też ukształtowały współczesne podejście świata zachodniego do wyzwań globalnych.

●

Dla Kremla Brzeziński przez dekady był wrogiem publicznym numer 1. Leonid Breżniew publicznie potępiał go za podnoszenie kwestii praw człowieka w bloku wschodnim, co uznawał za ingerencję w sprawy wewnętrzne.

Władimir Putin wypowiadał się o nim z chłodnym szacunkiem zmieszanym z niechęcią. Po śmierci Zbiga wysłał telegram kondolencyjny do jego rodziny, w którym nazwał go „jednym z najbardziej wpływowych, ugruntowanych i ideowych strategów" amerykańskiej polityki zagranicznej.

Równocześnie rosyjska propaganda traktowała „Wielką Szachownicę" jako biblię amerykańskiej rusofobii, obwiniając jej autora o budowę planu rozczłonkowania Rosji i oderwania od niej Ukrainy.

Wyjątkowo dobre relacje łączyły Zbiga z Dengiem Xiaopingiem, następcą Mao, który popchnął Chiny na tory modernizacji. Podczas wizyty w USA w 1979 roku – była to pierwsza oficjalna wizyta najwyższego przywódcy komunistycznych Chin – Deng niedługo po wylądowaniu w bazie lotniczej Andrews pod Waszyngtonem jadł niedzielną kolację w domu państwa Brzezińskich. Oficjalne powitanie na trawniku Białego Domu zaplanowano na poniedziałkowy poranek. Wprawdzie atmosfera tego wieczoru była swobodna, a w charakterze kelnerów wystąpiły dzieci Zbiga, to Deng wyłożył Brzezińskiemu plany Chin dotyczące „udzielenia lekcji" i militarnego ukarania Wietnamu, sojusznika Moskwy.

Niespełna trzy tygodnie później Pekin zrealizował ten plan.

Zbig cieszył się w Pekinie wyjątkowym statusem przez kilkadziesiąt lat po odejściu z Białego Domu. Za każdym razem przyjmowali go kolejni przywódcy – Deng Xiaoping, Jiang Zemin, Hu Jintao i Xi Jinping.

W historii dyplomacji zapisał się fakt, że podczas jednej z prywatnych wizyt Brzezińskiego, Chińczycy powitali go na lotnisku w Pekinie z galą wojskową, w bezprecedensowym geście przysługującym wyłącznie urzędującym głowom państw lub szefom rządów.

Pekin złamał protokół, aby publicznie zademonstrować szacunek. Zapamiętano, że traktował Chiny jako globalnego gracza, a nie jedynie pionek w rozgrywkach z Kremlem. Do dziś w chińskiej telewizji państwowej i publikacjach naukowych Brzeziński jest przedstawiany jako wzór zachodniego mędrca geopolitycznego.

Szczerze nienawidził Brzezińskiego i regularnie atakował w wielogodzinnych przemówieniach Fidel Castro. Jego największą wściekłość budziły działania Brzezińskiego w Afryce, gdzie Zbig dążył do zablokowania kubańskiej ekspansji wojskowej, co Castro publicznie piętnował jako imperialistyczny spisek.

Różnie bywało z liderami Izraela. Przywódcy Egiptu i Izraela, Anwar as-Sadat i Menachem Begin, komplementowali rolę Brzezińskiego w sukcesie negocjacji w Camp David (1978). Sadat podziwiał jego precyzję, a Begin, mimo wielu kłótni, szanował jako twardego negocjatora, który potrafił przełamać każdy dyplomatyczny pat.

Zbiga nigdy nie zmienił przekonania o jałowości szukania bezpieczeństwa Izraela drogą przejmowania kolejnych kawałków terytorium. Za to niektórzy przykleili mu łatkę antysemity. Mimo to uparcie powtarzał, że paraliż procesu pokojowego ma fatalne konsekwencje nie tylko dla Palestyńczyków i dla regionu, także dla USA, a w końcowym rozrachunku dla przetrwania Izraela.

Spora część wrogości wobec Ameryki w świecie muzułmańskim bierze się z postrzegania jej nie jako bezstronnego arbitra, ale strażnika interesów Izraela. Podobnego zdania był prezydent Jimmy Carter. Swego czasu powiedział, że nie wierzy w pokój tak długo, jak długo premierem jest Netanjahu.

●

Choć Brzeziński był zawsze Demokratą, to po porażce wyborczej Cartera Ronald Reagan zaproponował mu pozostanie na stanowisku doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego. Zbig odrzucił propozycję, motywując to publicznie tezą, że nowo wybrany prezydent potrzebuje „świeżej perspektywy" i własnego zespołu, aby móc kształtować autorski program polityki zagranicznej USA.

Zawsze odważnie stawiał czoła modom. Śmieszył go, a częściej irytował koktajl ignorancji i pobożnych życzeń, jakim ulegał Zachód, obserwując roszady wśród wierchuszki Kremla. Nie interesowały go ani eleganckie garnitury, ani mniej siermiężne maniery kolejnych moskiewskich dygnitarzy. Nie miał złudzeń co do ich przekonań i intencji.

Jako darzony ogromnym zaufaniem doradca prezydenta Cartera, uzmysłowił szefowi potrzebę bardziej stanowczego kursu wobec agresywnej polityki Moskwy. Świetnie rozumiał źródła słabości Sowietów i nie wahał się atakować ich miękkie podbrzusze.

Jego najlepszy student, Jimmy Carter, był pierwszym prezydentem USA, który w czasie zimnej wojny publicznie kwestionował legitymację władzy Sowietów w ich własnym kraju. Polityka praw człowieka, której architektem był Zbig, była ogromnym wsparciem dla tych, którzy stawiali opór komunizmowi.

●

Trudno czytać Brzezińskiego bez podziwu dla jego zdolności przewidywania przyszłości.

Gdy ważyły się losy koncepcji rozszerzenia NATO, to Brzeziński był dla Kongresu najbardziej wiarygodnym adwokatem tej idei, która miała w USA sporo oponentów.

Przed senacką komisją spraw zagranicznych powiedział w 1997 roku: „Dla mnie rozszerzenie NATO nie dotyczy głównie zagrożenia ze strony Rosji, bo ono obecnie nie istnieje – choć nie można wykluczyć jego ponownego pojawienia się, a co za tym idzie, pewne ubezpieczenie przed nim jest pożądane.

Dla mnie rozszerzenie NATO nie jest przede wszystkim krucjatą moralną mającą na celu naprawienie niesprawiedliwości, jakich narody Europy Środkowej doznały podczas półwiecznego radzieckiego ucisku – choć nie można ignorować moralnego prawa nowo wyzwolonych i demokratycznych Europejczyków z Europy Środkowej do życia nie mniej bezpiecznego niż to, którym cieszą się Europejczycy z Zachodu lub my sami.

Dla mnie główną stawką w rozszerzeniu NATO są długofalowe, historyczne i strategiczne relacje między Ameryką a Europą. Rozszerzenie NATO ma kluczowe znaczenie dla żywotności więzi amerykańsko-europejskiej, dla zasięgu bezpiecznej i demokratycznej Europy oraz dla zdolności Ameryki i Europy do wspólnego działania na rzecz promowania bezpieczeństwa międzynarodowego".

W tym samym roku Zbig przestrzegał przed scenariuszem, w którym zmęczona globalną rolą Ameryka uzna, że płaci za dużo za obronę Europy i zmusza ją, aby sama zaczęła więcej łożyć.

W 2012 roku w książce „Wizja strategiczna. Ameryka a kryzys globalnej potęgi" Zbig pisał, że zadowolona z siebie Europa zachowuje się tak, jakby za swój cel polityczny uważała stworzenie najbardziej luksusowego domu starców na świecie.

Krytykując nasz kontynent za bierność militarną i geopolityczne wygodnictwo, uważał Amerykę za naturalnego i odpowiedzialnego lidera wolnego świata. Przekształcenie gwarancji bezpieczeństwa w relację czysto transakcyjną – „płaćcie za ochronę" – stało w sprzeczności z jego wizją globalnej roli USA jako mocarstwa opartego na przewidywalności i zaufaniu sojuszników.

Dwa tygodnie po 9/11 Brzeziński opublikował w „Wall Street Journal" artykuł „Plan wojny politycznej". Pisał, że terroryzm to broń polityczna, że jego celem jest złamanie ducha oponenta, więc działania antyterrorystyczne muszą też mieć charakter polityczny. Że terroryzm napędzają polityczne resentymenty, więc trzeba zrozumieć ich źródła – prawdziwe lub urojone krzywdy.

W przypadku akcji militarnych zalecał ostrożność, wybiórczość, unikanie przewlekłego zaangażowania. Gdy amerykańskim siłom specjalnym nadspodziewanie łatwo udało się przegonić talibów z Kabulu w 2001 roku, wysłał szefowi Pentagonu Donaldowi Rumsfeldowi telegram: „Don, ogłoś zwycięstwo i wracaj".

●

Myśli Zbigniewa Brzezińskiego niczym dobre czerwone wino nabierają z czasem wartości: czy to ostrzeżenie przed odradzającym się rosyjskim imperializmem, czy trzeźwa refleksja, że Ameryka w końcu pomyśli, iż płaci za wiele za obronę Europy, czy wreszcie jego prognozy przed tykającą bombą rosnących nierówności w USA – wszystko to z dzisiejszej perspektywy uderza celnością.

W artykule dla „The Washington Post" z 2013 roku ostrzegał przed atakiem USA na Iran, argumentując, że zdestabilizuje Bliski Wschód i przyniesie jedynie krótkotrwałe opóźnienie irańskiego programu nuklearnego. Zamiast wojny prewencyjnej, rekomendował utrzymanie presji dyplomatycznej i sankcji gospodarczych. Był gorącym zwolennikiem rozwiązań dyplomatycznych. Popierał porozumienie nuklearne Obamy z Iranem.

W 1970 roku ukazała się jego książka „Between Two Ages: America's Role in the Technetronic Era". Oxford English Dictionary informuje, że „technetronic" to zlepek słów technologia i elektronika, którego twórcą w 1967 roku był właśnie Zbigniew Brzeziński. Oznacza epokę, w której głównymi motorami zmian, rozwoju i kształtowania ludzkich zachowań stają się komputery, zaawansowana technika oraz nowoczesne systemy komunikacyjne.

Już wtedy, kiedy nikomu nie śniły się cyberbronie w rodzaju Palantira – Zbig przewidywał, że społeczeństwo będzie kontrolowane i monitorowane za pomocą zaawansowanych systemów komputerowych, a powszechny dostęp do danych osobowych zmieni relację między obywatelem a państwem. W dobie systemów rozpoznawania twarzy, Big Data i algorytmów sztucznej inteligencji jego wizja okazała się prorocza.

Brzeziński ukuł także termin „globalne przebudzenie polityczne", *global political awakening*. Twierdził, że po raz pierwszy w historii ludzkości populacja globu jest politycznie aktywna, świadoma i połączona technologicznie. Przewidział, że łatwy dostęp do informacji oraz poczucie niesprawiedliwości uderzą w dotychczasowe elity. Współczesna polaryzacja polityczna, podsycana przez algorytmy mediów społecznościowych, idealnie wpisuje się w tę diagnozę.

W książce „Strategic Vision" postawił tezę, że największym zagrożeniem dla pozycji USA nie są wrogowie zewnętrzni, ale paraliż systemowy wewnątrz kraju. Wskazywał na rosnący dług publiczny, załamanie infrastruktury, kryzys edukacji oraz głębokie podziały partyjne.

●

Zbig spopularyzował pojęcie „sworzni geopolitycznych", *geopolitical pivots*, autorstwa brytyjskiego geografa Halforda Mackindera. Są nimi państwa, których znaczenie nie wynika z ich potęgi czy ambicji, lecz raczej z ważnego położenia geograficznego i skutków ich potencjalnej niestabilności dla zachowań graczy geostrategicznych.

W „Wielkiej Szachownicy" pisał: „Niekiedy samo istnienie sworznia geopolitycznego ma bardzo istotne konsekwencje polityczne i kulturalne dla jednego z sąsiadów, będącego bardziej aktywnym graczem geostrategicznym. Z tego względu kluczowym aspektem globalnej geostrategii Ameryki jest identyfikacja i ochrona państw, które w epoce po zakończeniu zimnej wojny pełnią rolę sworzni geopolitycznych".

Wśród pięciu sworzni w Eurazji wymienia Ukrainę.

„Bez niej Rosja przestaje być imperium eurazjatyckim: może wciąż próbować zdobyć status imperialny, lecz byłaby wówczas imperium głównie azjatyckim, stale wciąganym w rujnujące konflikty z od niedawna suwerennymi narodami Azji Środkowej, które nie pogodziłyby się z utratą niepodległości i byłyby wspierane przez bratnie kraje islamskie na południu. Chiny także sprzeciwiałyby się restytucji rosyjskiej dominacji w Azji Środkowej, gdyż są coraz bardziej zainteresowane nowymi niepodległymi państwami położonymi na tym obszarze".

Zbig bez dyplomatycznych uników ostrzegał Amerykanów przed uleganiem naciskom Izraela. W listopadzie 2012 roku na konferencji zorganizowanej przez Arms Control Association (Stowarzyszenie Kontroli Zbrojeń) oraz National Iranian American Council (Narodową Radę Irańsko-Amerykańską), powiedział: „Nie sądzę, aby istniał jakikolwiek domyślny obowiązek Stanów Zjednoczonych, by podążać jak głupi muł za wszystkim, co robią Izraelczycy".

Zbig odnosił się do ówczesnych nacisków ze strony rządu Izraela na podjęcie działań militarnych przeciwko Iranowi w związku z jego programem nuklearnym. I dodał: „Jeśli zdecydują się rozpocząć wojnę, opierając się po prostu na założeniu, że automatycznie zostaniemy w nią wciągnięci, to uważam, że obowiązkiem wynikającym z przyjaźni jest powiedzieć: »nie będziecie podejmować za nas decyzji o charakterze narodowym«".

Lecz najbardziej uderzające potwierdzenie geopolitycznych prognoz Brzezińskiego to współczesna oś Pekin–Moskwa–Teheran. Zbig ostrzegał przed tym scenariuszem jako największym zagrożeniem dla globalnej dominacji USA już w 1997 roku.

Uważał ten sojusz za arcygroźny, gdyż jego zdaniem kontrola nad Eurazją decyduje o losach świata. Połączenie potencjału demograficzno-gospodarczego Chin, zasobów naturalnych i nuklearnych Rosji oraz strategicznego położenia Iranu na Bliskim Wschodzie tworzy blok, którego Zachód nie jest w stanie łatwo zrównoważyć. Ta architektura pozwala trójce Chiny-Rosja-Iran wywierać jednocześnie presję na trzech kluczowych frontach: w Europie Wschodniej, Azji Wschodniej oraz na Bliskim Wschodzie.

W obliczu wojny przeciwko Ukrainie Iran stał się kluczowym dostawcą technologii wojskowych dla Kremla (słynne drony Shahed oraz transfer technologii do ich produkcji

eprasa.pl c0f49db8b5

w Rosji). W zamian Rosja oferuje Iranowi nowoczesną broń konwencjonalną.

Pekin pełni w tym trójkącie rolę głównego sponsora ekonomicznego. Masowo kupuje surowce ropę i gaz zarówno z Rosji, jak i z Iranu. Zapewnia obu reżimom stały dopływ gotówki oraz technologii podwójnego zastosowania, co pozwala im skutecznie omijać sankcje.

Wspólnym celem tych trzech państw jest odejście od rozliczeń w dolarach w handlu ropą naftową i innymi surowcami i szeroko pojęty demontaż ładu finansowego opartego na dominacji dolara i instytucjach takich jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, określanego mianem „Bretton Woods".

Dziś sojusz ten wpływa też na bezpieczeństwo Polski i całego regionu bałtycko-czarnomorskiego. Dzięki irańskim dronom kamikadze, pociskom balistycznym oraz chińskiej elektronice, Rosja była w stanie stosunkowo szybko przestawić gospodarkę na tory machiny wojennej. Pozwala jej to prowadzić długotrwały konflikt w Ukrainie i jednocześnie odtwarzać zdolności bojowe tuż przy granicach NATO.

Brzeziński ostrzegał także, że Ameryka nie poradzi sobie z równoczesnym kryzysem na kilku teatrach działań. Eskalacja wywoływana przez Iran na Bliskim Wschodzie oraz prężenie muskułów przez Chiny wokół Tajwanu odciągają uwagę, zasoby i amunicję Pentagonu od Europy Środkowej. Wymiana doświadczeń w zakresie cyberataków, wojny informacyjnej oraz operacji sabotażowych godzi w krytyczną infrastrukturę państw wschodnioeuropejskiej flanki.

Chiny budują pozycję w Zatoce Perskiej jako partner stabilny, handlujący zarówno z Iranem, jak i z jego śmiertelnymi wrogami – Arabią Saudyjską oraz Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Destabilizacja tego regionu przez Teheran i Rosję podnosi ceny ropy, co uderza w chińską gospodarkę, która jest importerem netto energii.

Brzeziński pozostawił jasne wytyczne strategiczne, jak Zachód powinien reagować, aby nie dopuścić do konsolidacji tego bloku: uważał, że USA muszą uświadomić Pekinowi, iż pełny sojusz z destrukcyjną Rosją i radykalnym Iranem zniszczy rynki zbytu, od których Chiny są uzależnione.

Powtarzał przy tym, że Ameryka nie utrzyma Eurazji sama. Silna, zintegrowana militarnie Europa (z kluczową rolą Polski jako łącznika wschodniej flanki) musi przejąć odpowiedzialność za konwencjonalne odstraszanie Rosji, zwalniając zasoby USA do balansowania Chin w Azji.

●

Gdyby żył, skrytykowałby obecny Waszyngton za brak długofalowej, wielostronnej strategii i zbytnią impulsywność, a wojnę z Iranem z instygacji Netanjahu określiłby jako akt nieodpowiedzialności.

Choć uderzenie USA w Iran miało osłabić jeden z filarów osi, stało się paliwową kroplówką dla Moskwy i finansowym wybawieniem dla budżetu wojennego Kremla. Destabilizując szlaki morskie wokół Bliskiego Wschodu, Waszyngton zmusił Chiny do jeszcze głębszego związania się z Rosją, aby zapewnić sobie lądowe dostawy surowców. To przeciwieństwo tego, co radził Brzeziński – zamiast rozbijać blok eurazjatycki, presja militarna USA cementuje gospodarczy sojusz Pekinu i Moskwy.

Amerykańska operacja stała się zarazem poligonem analitycznym dla Pekinu, który otrzymuje od Waszyngtonu darmowe lekcje. Fakt, że Iranowi udało się częściowo spenetrować zaawansowaną obronę przeciwlotniczą – systemy Patriot i THAAD – przy użyciu tanich dronów Shahed oraz masowych ataków rakiet balistycznych, pokazuje Chinom, że ich własna, nieporównywalnie potężniejsza doktryna oparta na rojach dronów i pociskach hipersonicznych może skutecznie odciąć Amerykanów od pomocy Tajwanowi.

Amerykańskie zaangażowanie w Iranie pokazało Chinom, jak szybko operacja militarna może utknąć. Wniosek: ewentualny atak na Tajwan musi być błyskawiczny i oparty na szybkim obaleniu władz w Tajpej, zanim USA i ich sojusznicy zdołają zmobilizować i przerzucić siły z innych regionów świata.

Raporty amerykańskiego wywiadu nie pozostawiają złudzeń: Chiny wykorzystują rozproszoną uwagę Pentagonu do eskalacji działań w tak zwanej szarej strefie oraz wojny psychologicznej. Pekin zaczął masowo wysyłać straż przybrzeżną zamiast regularnej marynarki do stałych patroli na wschód od Tajwanu. Z pomocą „narzędzi policyjnych", przetestowano już możliwość całkowitej blokady wyspy pod pretekstem egzekwowania krajowego prawa, co paraliżuje militarną odpowiedź USA. Jednocześnie chińskie lotnictwo regularnie narusza strefy zastrzeżone dla tajwańskiej armii. Cel? Psychologiczne wycieńczenie obrońców i oswojenie świata z ciągłą obecnością wojsk ChRL u brzegów wyspy.

Dopełnieniem tej strategii jest agresywna propaganda uderzająca w wiarygodność Waszyngtonu. Przekaz Pekinu surowo podsumowuje sytuację: „Spójrzcie na Iran – Ameryka jest przeciążona, chaotyczna i ostatecznie poświęci Tajwan dla własnych interesów".

Xi traktuje wojnę w Iranie również jako kartę przetargową w relacjach z Trumpem. Pekin daje do zrozumienia, że może pomóc Ameryce w stabilizacji Bliskiego Wschodu – na przykład poprzez ograniczenie zakupów irańskiej ropy i pomoc w trwałym odblokowaniu Cieśniny Ormuz. W zamian żąda jednak wstrzymania sprzedaży broni dla Tajpej.

Co ciekawe, zamiast straszyć Tajwan nieuchronną inwazją, Chiny zaczęły mamić wyspę „gwarancjami energetycznymi i stabilizacją" w zamian za pokojowe zjednoczenie. Cała chińska strategia nacisku opiera się dziś na złamaniu woli oporu Tajwańczyków. Służy temu narracja, że tylko odsunięcie od władzy partii niepodległościowej uratuje wyspę przed tragicznym losem Bliskiego Wschodu.

●

W 2016 roku na łamach „The American Interest" Zbigniew Brzeziński opublikował esej „Toward a Global Realignment" – „W stronę globalnej reorganizacji" lub „W stronę globalnego przegrupowania". Dowodził w nim, że era dominacji jednego mocarstwa bezpowrotnie minęła. Jedyną drogą dla USA jest sprawne pokierowanie rekonfiguracją globalnego systemu bezpieczeństwa.

Tekst opiera się na pięciu filarach geopolitycznych:

1. Stany Zjednoczone pozostają najpotężniejszym podmiotem gospodarczym, politycznym i militarnym, ale utraciły status globalnego imperium – którego nie posiada dziś żadne inne mocarstwo.

2. Rosja przechodzi właśnie ostatnią, bolesną fazę imperialnego demontażu.

3. Chiny stale rosną w siłę, jednak Pekin preferuje powolne, organiczne wypieranie USA. Unika otwartego konfliktu, dążąc do roli głównego partnera Ameryki w świecie dwubiegunowym.

4. Stabilność międzynarodowa jest poważnie zagrożona przez gwałtowne przebudzenie polityczne narodów, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie. Region ten pozostaje głęboko niestabilny, a zachodnie interwencje militarne tylko pogłębiają chaos.

5. Globalne Południe – Brzeziński pisał wówczas o świecie nie-zachodnim i postkolonialnym – domaga się moralnego oraz gospodarczego zadośćuczynienia za wieki wyzysku. Chce uczestniczyć w tworzeniu nowej architektury świata, a brak reakcji na te dążenia doprowadzi do globalnej anarchii.

Nadziei na silniejsze związanie Waszyngtonu z sojusznikami w Europie oraz w regionie Azji i Pacyfiku Brzeziński upatrywał w TTIP i TPP. Były to dwie wielkie umowy handlowe negocjowane przez administrację Baracka Obamy.

Tyle że w odróżnieniu od Białego Domu, spojrzenie Zbiga nie było jawnie antychińskie. Był przekonany, że bez silnej i lojalnej Europy USA utracą status globalnego gracza. Dlatego za cel nadrzędny TTIP -Transatlantyckiego Partnerstwa Handlowego i Inwestycyjnego – uznawał stworzenie największej strefy wolnego handlu na świecie, obejmującej niemal połowę globalnego PKB. Ponieważ średnie cła między USA a UE były już wtedy bardzo niskie (poniżej 3 procent), kluczem stała się likwidacja barier pozataryfowych, takich jak różnice w normach technicznych czy certyfikatach.

W TTIP Brzeziński widział sposób na trwałe zakotwiczenie Europy przy USA i stworzenie potężnego, zachodniego bloku gospodarczego. Z kolei TPP – Partnerstwo Transpacyficzne – miało powołać do życia strefę wolnego handlu zrzeszającą 12 państw rejonu Azji i Pacyfiku, w tym USA, Japonię, Kanadę, Australię, Wietnam i Meksyk.

Obama promował ten projekt jednoznacznym hasłem: „to my musimy pisać zasady światowego handlu, a nie Chiny", przez co Pekin został z góry wykluczony z negocjacji. Brzeziński widział w tym przedsięwzięciu coś zgoła innego – azjatycki filar stabilności. Dla niego umowa była drugą nogą globalnej strategii Waszyngtonu i drogą do zabezpieczenia amerykańskich wpływów w regionie. Uważał, że silne więzi gospodarcze z Tokio, Canberrą czy Hanoi są niezbędne, by Ameryka utrzymała status kluczowego gracza.

Jednocześnie postulował, by zostawić Pekinowi otwartą furtkę pod warunkiem spełnienia rynkowych standardów. Marzyła mu się wielka architektura geopolityczna, w której powiązane umowami USA, Europa oraz Azja – włączając w to Państwo Środka – stworzą stabilny i przewidywalny ład globalny.

Zaledwie trzy dni po zaprzysiężeniu Trump wycofał USA z umowy TPP. Brzeziński uznał to za kardynalny błąd, który oddał pole Chinom w budowaniu własnej strefy wpływów w Azji. Z kolei negocjacje w sprawie TTIP, choć nigdy formalnie nieprzerwane, wygasły tuż po wygranej Trumpa. W 2019 roku Rada Unii Europejskiej oficjalnie uznała dalsze rozmowy w tej sprawie za bezprzedmiotowe.

Cła to dla Trumpa ulubiony instrument polityki handlowej – wielokrotnie nazywał je „najpiękniejszym słowem w słowniku". Na dodatek ostentacyjnie odrzucał wszystko, co kojarzyło się z Obamą. Podczas jednego z wieców wyborczych grzmiał: „Partnerstwo Transpacyficzne to kolejna katastrofa stworzona i przepychana przez grupy interesów, które chcą zgwałcić nasz kraj".

Deficyt handlowy Trump zrównuje z oszustwem. Szczerze nie znosi też układów wielostronnych, preferując negocjacje bilateralne, w których chce dyktować warunki z pozycji siły. Mimo to, gdy Waszyngton opuścił TPP, pozostałe 11 państw kontynuowało projekt. W 2018 roku podpisały nową umowę, która z powodzeniem funkcjonuje do dziś, przyjmując kolejnych członków, w tym Wielką Brytanię w 2023 roku.

Polityka Trumpa stała się całkowitym zaprzeczeniem geostrategicznych zaleceń „Zbiga", który zakładał, że mądra dyplomacja USA musi zapobiec powstaniu bloku antyzachodniego. Na naszych oczach realizuje się najczarniejszy scenariusz, przed którym Brzeziński ostrzegał rok przed śmiercią.

Izolacjonizm Trumpa oraz jego nieprzewidywalność wobec sojuszników przyspieszyły strategiczne zacieśnienie współpracy między Moskwą a Pekinem. W długofalowej perspektywie doprowadziło to do powstania silnej osi autorytarnej. Trump odrzucił wielostronną dyplomację na rzecz działania w pojedynkę.

„Zbig" przewidział, że takie podejście nie przywróci Ameryce dawnej dominacji, lecz pogłębi globalny chaos i przyspieszy utratę przez Zachód kontroli nad kształtowaniem międzynarodowych norm.

●

Gdy 9 czerwca 2017 roku Waszyngton z honorami żegnał Zbigniewa Brzezińskiego, w katedrze świętego Mateusza Apostoła, w tej samej, w której w roku 1963 celebrowano mszę żałobną po śmierci prezydenta Johna F. Kennedy'ego, odczytano także list od Henry'ego Kissingera. Mimo wieloletniej i legendarnej rywalizacji politycznej obu strategów, słowa tego listu podkreślały głęboki szacunek dla intelektu i mądrości Zbiga.

„Dążył do nadania struktury światu wiecznie kuszonemu przez chaos i mylącemu miraże z prawdziwą wizją. ... Świat jest pustszym miejscem bez Zbiga przesuwającego granice swoich spostrzeżeń". ●

Był bardzo pewny siebie. Kiepsko tolerował głupotę, pustosłowie i hipokryzję. Nie kokietował skromnością. Nie tylko w Ameryce był postacią kontrowersyjną

• Właśnie ukazała się biografia **„Zbig. Życie Zbigniewa Brzezińskiego proroka czasów zimnej wojny"**, w której Edward Luce, korespondent „Financial Timesa", opisuje – niczym powieść szpiegowską i esej geopolityczny w jednym – życie Brzezińskiego na tle ostatniego stulecia.
• Uzupełnia ją, rozwija i rzuca inne światło na wiele aspektów **„Zbig. Człowiek, który podminował Kreml"**, wnikliwa biografia pióra Andrzeja Lubowskiego.
• A o Brzezińskim ojcu, mężu, dziadku, człowieku, opowiada jego syn Mark Brzeziński, prawnik i dyplomata, były ambasador USA w Polsce i Szwecji, w wywiadzie-rzece **„Partnerstwo. Mark Brzezinski, Olga Leonowicz w rozmowie z Anną Pamułą"**.

Wszystkie książki dostępne na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków i audiobooków na Publio.pl.

eprasa.pl c0f49db8b5

TO NIEMCY BĘDĄ UMIERAĆ ZA BIAŁYSTOK

FOT. BUNDESWEHR/BILL DRECHSLER

• **Lotnisko w Poniewieżu na Litwie. Griffin Lightning 2025 - manewry wojskowe, które odbywały się (12-23 maja 2025) na wschodniej flance NATO, głównie w Polsce, Litwie, Łotwie i Estonii. Uczestniczyło w nich m.in. ponad 800 żołnierzy niemieckiej Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych oraz ponad 30 śmigłowców**

Kiedy Kaczyński ostrzega przed zbrojeniami Bundeswehry, wspiera AfD i niemiecką **lewicę**

Klaus Bachmann

Można odnieść wrażenie, że wojnę z Polską prowadzi nie Rosja, a Niemcy. Podrzucają „nielegalnych imigrantów", uzależniają polskie wojsko od Komisji Europejskiej za pomocą programu SAFE, prowadzą „agresywną politykę historyczną" i nawet skłócili Polskę z Ukrainą.

Wiem, bo czytam „DoRzeczy", wPolityce i oglądam TV Republikę. Decyzja Zełenskiego o nadaniu jednostce wojskowej nazwy upamiętniającej UPA to intryga Niemiec, aby zawiązać sojusz z Ukrainą nad głowami Polski. Nie wiem, dlaczego Niemcy to robią swojemu agentowi Tuskowi, ale to nie ja muszę tłumaczyć zwolennikom prawicy. Ale gdybym musiał, zacząłbym od pytania, dlaczego za rządów PiS niemieckich żołnierzy w Polsce było więcej niż kiedykolwiek po 1945 roku.

Tak, owszem: całą tą awanturą z ostatnich 10 lat, z żądaniami reparacji, antyniemieckimi spotami udawaną niemczyzną w telewizji Jacka Kurskiego, plakatami Polskiej Fundacji Narodowej i konwulsjami prawicowych publicystów na każdy pojawiający się w Polsce niemiecki radiowóz albo czołg, PiS i Konfederacja robili zwolenników w konia.

W tym samym czasie niemiecki generał rezydował w Szczecinie i dowodził wielonarodowym korpusem, koło Rzeszowa i Zamościa stacjonowała bateria Patriot – której obsługa wymaga około 200 niemieckich żołnierzy – i chroniła niebo nad lotniskiem Jasionka, a przez Polskę przetaczały się kolumny Bundeswehry na drodze do Litwy.

Ta absurdalna kampania miała skutki. W ten sposób prawica mozolnie budowała pułapkę dla następnych rządów. Po PiS nikt nie może żądać mniej od Niemców niż 6 bilionów 22 miliardów złotych posła Arkadiusza Mularczyka, jeśli nie chce być oskarżony o służalczość wobec Niemiec. Dlatego nie liczyłbym też na jakiś finansowy gest państwa niemieckiego wobec żyjących jeszcze ofiar okupacji. Każdy niemiecki i polski rząd, który się zgodzi na jakąkolwiek konkretną liczbę poniżej, zderzy się ze świętym oburzeniem prawicy. Zamiast uspokoić spór, tylko ją zaogni. Każdy w Berlinie, kto zna temat, to wie.

•

Innym dalekosiężnym skutkiem tej polityki jest przekonanie, które daleko sięga poza kręgi PiS – aż po think tanki i media związane z rządzącą koalicją – że bezpieczeństwa można szukać tylko w Waszyngtonie i poprzez stałą, możliwie liczną obecność wojsk amerykańskich w Polsce. Tego przekonania nie zmieniły nawet tyrady Trumpa, nagłe zapowiedzi redukcji amerykańskich wojsk w Niemczech, potem w Polsce, a potem wycofanie się z tych zapowiedzi odnośnie Polski. Liczono – aż do kręgów rządowych – że Amerykanie odbiorą Niemcom amerykańskich żołnierzy i przesuną ich do Polski.

Ale *Schadenfreude* jest tu nie na miejscu: po pierwsze, amerykańscy żołnierzy od dawna nie stacjonują już w Niemczech, aby „chronić Niemcy", lecz aby utrzymać gigantyczną bazę w Ramstein, która pozwala Stanom Zjednoczonym na prowadzenie interwencji na Bliskim Wschodzie i w Afryce i – w razie konfliktu w Europie – na szybkie uzupełnienie posiłków. Front w takim konflikcie byłby w Polsce, nie w Niemczech. Więc z punktu widzenia niemieckiej polityki obronnej to drugorzędne, czy Amerykanie stacjonują w Polsce, czy w Niemczech. Kiedy Rosja atakuje, Polacy i Amerykanie będą między Rosjanami i Bundeswehrą.

A wtedy ważniejsze z polskiej perspektywy będzie nie to, gdzie wcześniej Amerykanie stacjonowali, lecz co zrobią. Za Bidena można było śmiało zakładać, że będą walczyć. Za Trumpa można również śmiało zakładać, że zostaną wycofani, na przykład tak jak z Kabulu w 2021 roku. Nikt, nawet sam Trump, nie wie, jak zareaguje na rosyjską agresję.

Wobec niemieckich żołnierzy w Polsce nie mam takich wątpliwości: będą walczyć, bo broniąc Polski, trzymają Rosjan daleko od swoich granic, tak, jak Ukraina trzyma Rosjan daleko od polskich granic. W Bundeswehrze każdy o tym wie – i generałowie, i ci niżsi oficerowie, którzy mogą się swobodnie wypowiadać, więc potwierdzają to niemal codziennie w mediach.

Między innymi dlatego wojskowi są za wprowadzeniem z powrotem powszechnego obowiązku obrony, a nie, jak większość polityków, za „dobrowolną rekrutacją", za tworzeniem dużych rezerw, a niektórzy nawet za wprowadzeniem gospodarki wojennej i rozbudową przemysłu obronnego.

•

Rzecz jasna są też politycy, którzy uważają, że „to nie nasza wojna", że Putin, zdobywszy Ukrainę, zaprowadzi tam trwały, szczęśliwy pokój, a nawet jeśli nie tak szczęśliwy, to nie ma dalszych planów i nigdy nie zaatakuje Niemiec. W ich optyce to naprawdę nie jest „nasza wojna", lecz „wojna Ukrainy", a kiedy Ukraina padnie, „wojna Polski." Takie głosy słychać nie tylko z AfD, również z Lewicy – Die Linke, z BSW – czyli Sojuszu Sahry Wagenknecht, niedawnej liderki Die Linke, a nawet z części SPD.

Dla tych, którzy widzą w obecnej wojnie zagrożenie dla Niemiec, każdy głos z Polski wzywający Niemcy do zaangażowania i odpowiedzialności jest ważnym argumentem w wewnętrznym sporze. Dla tych, co wierzą, że Rosja się zatrzyma w Ukrainie albo w Polsce, każdy głos z Polski ostrzegający przed zbrojeniem się Niemiec – też. Kiedy Jarosław Kaczyński w 2022 roku powiedział: „czy Niemcy chcą się zbroić przeciw Rosji, czy przeciw nam, to ja nie wiem, ale w każdym razie się zbroją" – wspierał, chcąc nie chcąc, niemiecką skrajną lewicę, AfD i pozostałości po polityce odprężenia w SPD. Tak samo, jak ci wszyscy, którzy po lutym 2022 głosili, że „Niemcy prowadzą wojnę z Polską".

W obecnej sytuacji całe bezpieczeństwo Polski wisi nie na Stanach Zjednoczonych ani nawet na NATO. Brak ponadnarodowych procedur, fakt, że nikogo nie może przegłoso-

eprasa.pl c0f49db8b5

wać, zasada jednomyślności przy podejmowaniu decyzji – to, co kiedyś w Polsce uchodziło za główną zaletę Sojuszu i jego przewagę nad Unią Europejską, teraz stało się jego wadą: każdy kraj członkowski może go zablokować swoim wetem.

Nie ma takiej możliwości wobec analogicznego artykułu 42, ustęp 7 Traktatu o UE: tu decyduje wniosek napadniętego kraju. Po nim państwa członkowskie spotykają się i są – acz uzgadniają zakres pomocy w rozmowach bilateralnych – automatycznie zobowiązane do wsparcia. Ten artykuł uprawnia też do ubiegania się o pomoc w przypadku jakiejkolwiek, niekoniecznie zbrojnej agresji, również wtedy, gdy nie da się ustalić, czy stoi za nią inne państwo. Może zostać uruchomiony w przypadku ataku hybrydowego niewiadomego pochodzenia.

●

Liczni również w szeregach liberałów i zwolenników integracji europejskiej „niemcosceptycy" mają jeden bardzo poważny argument: no dobrze, wszystko prawda, nasi sąsiedzi są przewidywalni i będą walczyć – ale co będzie, kiedy tymi uzbrojonymi, zmobilizowanymi, z rozbudowaną Bundeswehry i odbudowanym przemysłem obronnym Niemcami zacznie rządzić AfD albo koalicja z udziałem AfD?

Obecnie ta partia ma w sondażach na szczeblu federalnym aż 28 procent, a w niektórych landach jest największym ugrupowaniem. We wrześniu odbędą się wybory regionalne w Berlinie, Saksonii-Anhalt i Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Może tam dojść do sytuacji, w której pozostałe partie nie będą w stanie tworzyć wspólnego rządu. Wówczas powstaną albo rządy mniejszościowe AfD, albo bardzo niestabilne koalicyjne rządy mniejszościowe bez AfD, albo będą ponowne wybory.

Można powiedzieć: żaden problem, to i tak tylko kraj związkowy, mały, bez wpływu na politykę zagraniczną i obronną – one są wyłącznej gestii rządu federalnego – a w przypadku kolizji landu rządzonego przez AfD z rządem federalnym i tak, zgodnie z konstytucją, prawo federalne ma pierwszeństwo przed prawem krajów związkowych.

A poza tym, choć na szczeblu federalnym AfD ma szansę na jedną czwartą mandatów, to w Bundesracie – czyli izbie wyższej parlamentu krajowego, reprezentującej kraje związkowe – w ogóle nie ma przedstawicielstwa.

Owszem, to może ulec zmianie, jeśli w Turyngii i Meklemburgii-Pomorzu Przednim stanie się najsilniejszą partią, a utworzenie rządu bez jej udziału stanie się niemożliwe. Jednak nawet w przypadku najgorszego scenariusza, czyli dwóch samodzielnych rządów AfD w dwóch krajach związkowych, przedstawiciele AfD w Bundesracie mieliby zaledwie 11 z 69 głosów.

Spekulujmy dalej. Obecnie oficjalna polityka chadecji to *Brandmauer*, firewall przeciwko AfD, który zabrania partyjnym strukturom wchodzenia w jakikolwiek, nawet tylko taktyczny sojusz z alt-rightem. To niemiecki odpowiednik *cordon sanitaire* Belgii przeciwko Vlaams Belang, czyli przefarbowanemu Vlaams Blok, Blokowi Flamandzkiemu, albo francuskich partii demokratycznych przeciwko Rassemblement National, Zjednoczeniu Narodowemu, czyli dobrze znanemu Frontowi Narodowemu rodziny Le Pen. Jeśli gdzieś, od rady miejskiej do Bundestagu, jest możliwość uzyskania większości dla nowej ustawy tylko z udziałem AfD, należy tej inicjatywy zaniechać albo szukać poparcia w innych partiach. Dodajmy, że podobny chadecki firewall otacza też Die Linke, skrajnie lewicową partię na lewo od socjaldemokratów.

Wyobraźmy więc sobie, że w CDU/CSU w pewnym momencie przeważają przeciwnicy firewallu, dochodzi do konstruktywnego wotum nieufności wobec Friedricha Merza i powstaje rząd mniejszościowy tolerowany przez AfD albo koalicja CDU z AfD.

W pierwszym przypadku AfD nie ma własnych ministrów, w drugim następują albo przedterminowe wybory (ponieważ CDU ulega rozłamowi i traci większość parlamentarną), albo AfD otrzymuje stanowisko wicekanclerza (lub ministra spraw zagranicznych czy obrony), jednak CDU pozostaje partnerem decydującym, zatrzymuje prawo obsadzenia fotela kanclerza. I tym samym jego „prawo do ustalenia głównych kierunków polityki" – *Richtlinienkompetenz* – która pozwala kanclerzowi rozstrzygnąć spory między ministrami i partiami koalicji. Minister, który w ten sposób zostaje przegłosowany, musi działać według wskazań kanclerza, odejść z rządu albo skłonić własne ugrupowanie do wyjścia z koalicji.

Podobną władzę kanclerz ma wobec Bundestagu: może powiązać projekt ustawy z głosowaniem nad wotum zaufania dla siebie. Wtedy posłowie rządzącej koalicji muszą wybrać między zgodą na ustawę albo rozpisaniem nowych wyborów – i utratą swojego mandatu.

Z tego wszystkiego AfD nie będzie mogła korzystać, dopóki nie stanie się największą partią w Bundestagu z własnym kanclerzem.

Do tego dochodzi fakt, że polityka zagraniczna i bezpieczeństwa podlega również nadzorowi Trybunału Konstytucyjnego. Gdyby minister obrony z AfD w ramach koalicji miał przygotowywać wojnę agresywną, zostałby powstrzymany przez Karlsruhe. Wówczas śledztwo prowadziłaby prokuratura federalna, a nakaz aresztowania wykonałaby berlińska policja krajowa – na żadną z tych instytucji AfD nie miałaby wpływu.

●

To zbyt daleko idące hipotezy, ale zapędzamy się po to, by dojść do prostej konkluzji: aby móc wykorzystać niemiecki kompleks zbrojeniowy przeciwko sąsiadom, AfD potrzebowałaby nie tylko bezwzględnej większości w Bundestagu, ale musiałaby również podporządkować sobie wymiar sprawiedliwości na szczeblu federalnym i krajowym.

Sędziowie TK w Karlsruhe są jednak wybierani na 12 lat; do 2030 roku do obsadzenia pozostają tylko trzy z 16 stanowisk. W krajach związkowych kadencja sędziego Trybunału Konstytucyjnego trwa od 7 do 12 lat. Aby podporządkować sobie wymiar sprawiedliwości i policję również na szczeblu krajów związkowych, jedna partia musiałaby zatem uzyskać bezwzględną większość w dwóch (a w niektórych krajach związkowych nawet w trzech) kolejnych kadencjach – oprócz bezwzględnej większości w Bundestagu. Być może wystarczyłoby osiągnąć to w największych krajach związkowych i w ten sposób zapewnić sobie większość w Bundesracie. Tyle tylko, że AfD ma realną szansę na większość jedynie w małych, słabo zaludnionych krajach związkowych. A one nie zapewniają większości w Bundesracie.

Innymi słowy: niebezpieczeństwo związane z uzbrojoną Republiką Federalną Niemiec rządzoną przez AfD, która wykorzystuje swoje siły zbrojne, by pokazać sąsiadom, kto tu rządzi, jest czystą fantazją.

Jest jednak jedno „ale". Całkiem spore i niepokojące. Radosław Sikorski ujął kiedyś to „ale" w następujący sposób: bardziej obawia się niemieckiej bierności niż niemieckiej potęgi – powiedział w 2011 roku podczas wykładu w Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej.

Wtedy chodziło o ratowanie euro, a nie o zbrojenia, a AfD jeszcze w ogóle nie było. Jednak dzisiaj to spostrzeżenie jest jeszcze bardziej uzasadnione niż wtedy. I to nie dlatego, że mamy rząd federalny, który nie chce nic robić, ale dlatego, że być może wkrótce będziemy mieli taki, który nie będzie już w stanie robić cokolwiek. Aby nic nie robić, nie potrzeba bowiem większości dwóch trzecich w Bundestagu, nie trzeba wygrywać wyborów ani podporządkowywać sobie sądów i organów policyjnych. Trzeba po prostu – nic nie robić.

Wyobraźmy sobie zupełnie inny, bardziej realistyczny scenariusz „worst case".

●

Przyjmijmy, że Rosja testuje NATO i atakuje jedno lub kilka wschodnich państw członkowskich, na przykład Polskę z Białorusi i Obwodu Kaliningradzkiego. Jednocześnie, w celu odwrócenia uwagi i zastraszenia, przeprowadza ataki hybrydowe na Niemcy – od bezzałogowych dronów, przez cyberataki po akcje sabotażowe wymierzone w kolej, autostrady, budynki publiczne, lotniska, system zaopatrzenia w wodę i szpitale.

Już samo ogłoszenie *Spannungsfall*, stanu napięcia, czyli czegoś w rodzaju wstępnego stanu wyjątkowego, który pozwala na wykorzystanie Bundeswehry do zadań policyjnych na terenie kraju, wymaga większości dwóch trzecich głosów w Bundestagu. To samo dotyczy stanu obrony, który następuje w przypadku ataku na terytorium federalne. Partie centrowe – SPD, CDU/CSU i Zieloni – już teraz nie dysponują taką większością dwóch trzecich, czyli 420 mandatami; mają łącznie tylko 413 mandatów.

W obliczu wyborów jesienią i możliwego powstania rządu z udziałem AfD w Saksonii-Anhalt i Meklemburgii-Przedmorzu ministerstwa federalne, Bundeswehra i policja federalna przygotowują się do kryzysowego omijania tych krajów w planach tranzytowych wojsk i sprzętu z innych krajów NATO do krajów bałtyckich czy Polski

Samo w sobie nie stanowi to dużego problemu. W przypadku ataku na terytorium RFN rząd federalny może zmobilizować Bundeswehrę, podjąć wszystkie niezbędne decyzje, a dopiero potem skierować sprawę do Bundestagu. Jeśli ów nie jest w stanie podjąć decyzji, jego miejsce może zająć wspólna komisja Bundestagu i Bundesratu. A do przeprowadzenia operacji Bundeswehry na Litwie lub w Polsce wystarczy nawet decyzja samego NATO.

Jednak właśnie w tym tkwi pułapka. Po pierwsze, taka decyzja NATO musiałaby zostać podjęta jednogłośnie i mogłaby zostać zablokowana przez Stany Zjednoczone lub jednego z europejskich członków. Po drugie, może się zdarzyć, że koalicja w Berlinie z udziałem AfD nie może osiągnąć konsensusu w rządzie. W takiej sytuacji – a zdarzało się to często z bardziej błahych powodów – rząd w Brukseli wstrzymuje się od głosu.

Wówczas NATO nadal może podjąć decyzję – wstrzymanie się od głosu ani w NATO, ani w UE nie zablokuje jej – ale artykuł 80a niemieckiej konstytucji wymaga, aby została podjęta „za zgodą rządu federalnego". Zgoda jest też potrzebna, jeśli decyzja o wspólnej obronie nie pochodzi z NATO, lecz z Unii. Wówczas NATO decyduje o obronie Litwy lub Polski, ale RFN nie bierze w tym udziału – pomijając na razie kwestię, czy transport zaopatrzenia NATO na wschód będzie mógł odbywać się przez terytorium Niemiec, czy też nie. Nawet gdyby minister obrony z CDU mimo wszystko wysłał Bundeswehrę, sędziowie Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe mogliby go powstrzymać na wniosek AfD.

Innymi słowy: wszystkie mechanizmy kontroli i równowagi, wszystkie hamulce instytucjonalne wbudowane w system federalny w celu ochrony innych krajów przed Niemcami oraz Niemców przed własnym rządem, przyniosą dokładnie odwrotny skutek. A całe zbrojenie, którego obawiają się krytycy w kraju i za granicą, okaże się wówczas bezskuteczne, bo nie będzie mogło zostać użyte.

●

Jesienią 2024 roku przeprowadzono kilka sondaży, według których AfD, BSW i Die Linke mają duże szanse na wejście do Bundestagu i mieć prawie jedną trzecią mandatów. W niektórych sondażach, w których BSW nie odgrywa już żadnej roli, AfD i Die Linke osiągają nawet lepszy wynik – do 40 procent poparcia na szczeblu federalnym.

Republice Federalnej nie grozi zatem prorosyjski, pacyfistyczny rząd, ani taki, który wystawiłby Rheinmetall i Bundeswehrę przeciwko Polsce czy Francji. Grozi natomiast paraliż rządu federalnego, zablokowanego przez pacyfistyczną lub prorosyjską mniejszość blokującą – czyli Niemcy, które nie są agresywne, lecz bierne i nie są w stanie wywiązać się z zobowiązań sojuszniczych.

Wtedy cały ten gigantyczny potencjał wojskowy i ten imponujący, eksportujący na cały świat przemysł obronny nie będą atakować nikogo. Ale też nie będą nikogo bronić. Marzenie pacyfistów z ramienia AfD, BSW, Die Linke i lewego skrzydła SPD stanie się rzeczywistością nawet bez wygrania wyborów.

Partie demokratyczne przygotowały się na taki scenariusz – ale w sposób, który jest niewystarczający i uwidacznia, jak bardzo Niemcy tkwią jeszcze, mimo ataków hybrydowych i kampanii dezinformacji, w paradygmacie pokojowym.

Kilka krajów związkowych w międzyczasie zmieniło sposób wyboru sędziów do związkowych sądów konstytucyjnych tak, aby AfD nie mogła ich zablokować. Tak samo stało się w Bundestagu.

W obliczu wyborów jesienią i możliwego powstania rządu z udziałem AfD w Saksonii-Anhalt i Meklemburgii-Przedmorzu ministerstwa federalne, Bundeswehra i policja federalna przygotowują się do kryzysowego omijania tych krajów w planach tranzytowych wojsk i sprzętu z innych krajów NATO do krajów bałtyckich czy Polski. Taki rząd związkowy dysponuje bowiem policją i infrastrukturą, którą może zamykać, choć prawa do tego nie ma, przed transportami NATO.

Polscy narodowcy, prawicowcy i populiści mogą dalej ostrzegać przed niemieckimi żołnierzami (którzy obsługują systemy Patriot, chroniące polskie miasta) i wozami Bundespolizei (która może przebywać w Polsce na zasadach wzajemności na mocy umowy, która obowiązuje od ponad 10 lat), ale ich zwolennicy nie powinni dać się robić w konia: tym, co Polsce grozi, nie jest niemiecka agresja, lecz paraliż niemieckiego państwa w przypadku rosyjskiej agresji. ●

Klaus Bachmann

• Rocznik 1963. Niemiecko-polski dziennikarz, publicysta, historyk, profesor nauk społecznych, politolog. Był korespondentem niemieckich i austriackich gazet w Warszawie, Kijowie, Mińsku i Wilnie oraz w Brukseli i krajach Beneluksu. Kierował katedrą politologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Obecnie wykładowca Uniwersytetu SWPS. Napisał m.in. „The Rwandan Genocide in Comparative Perspective", Routledge" (2025). „Polska kaczka w europejskim stawie..." i „Długi cień Trzeciej Rzeszy".

eprasa.pl c0f49db8b5

KULTURA OBYCZAJE

Urodzenie

Po żadnej premierze teatralnej ani filmowej **nie dostałam aż tak stuprocentowego wsparcia i miłości widzów.**

Z AKTORKĄ **MAGDALENĄ CIELECKĄ**
ROZMAWIA **DOROTA WYŻYŃSKA**

Wiadomo, że jesteś aktorką do zadań specjalnych, ale „The Second Woman" na festiwalu Malta w Poznaniu to był wyczyn niemalże sportowy: teatralny maraton, 24-godzinny performans. Dla mnie – wydarzenie sezonu! Jak się po tym czujesz? Czego dowiedziałaś się o sobie jako aktorce i jako człowieku?
– Czuję się, jakbym poleciała w kosmos i wróciła. Było to doświadczenie niezwykłe na wielu poziomach. Oczywiście po tym wszystkim byłam zmęczona, ale jednocześnie naładowana satysfakcją, dumą, frajdą. I niesamowitą energią od publiczności.

Byłam przygotowana na różne kryzysy. Reżyserki „The Second Woman" uprzedzały mnie, że mogę mieć gorsze momenty o najtrudniejszych porach w nocy i nad ranem. Byłam zabezpieczona pod każdym względem. Ale okazało się, że poza opieką ludzi, którzy za kulisami cudownie się mną zajmowali w przerwach, które były co dwie godziny, nic nie było mi potrzebne. Ja nawet nie jadłam, poza makaronem na scenie, który był wpisany w scenariusz.

Nie czułam się głodna. Z rozsądku o 8 rano drugiego dnia poprosiłam o owsiankę na śniadanie, żeby organizm wiedział, że to poranek. Ani przez moment nie zabolała mnie głowa, nie poczułam się znużona, nie chciało mi się spać. Adrenalina robi z człowiekiem coś nieprawdopodobnego. Czuję się tym uskrzydlona.

Drugiego dnia, mniej więcej od 6 rano, każde moje otwarcie drzwi, rozpoczęcie nowej sekwencji, przyjmowane było aplauzem, co czytałam: „Jesteś, żyjesz, przyszłaś, dajesz radę". Z godziny na godzinę te oklaski były coraz większe. Nie muszę ci mówić, że na koniec emocje były takie, że chciało mi się płakać. Zresztą popłakałam się potem na ukłonach. To są takie momenty, być może właśnie sportowcy to mają, może pianiści na ważnym koncercie, że czujesz totalną euforię.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłam. Po żadnej premierze teatralnej ani filmowej nie dostałam aż tak stuprocentowego wsparcia i miłości widzów.

Reakcje publiczności były rzeczywiście niesamowite. Jadąc do Poznania na Maltę, wiedziałam, że to będzie ciekawy eksperyment teatralny. Ale nie spodziewałam się tak wciągającego i zachwycającego spektaklu. Ani że jedna scena, powtórzona sto razy, za każdym razem z inną osobą partnerską, może wywołać aż tyle emocji i refleksji.
– Na początku myślałam, że będzie to eksperyment z gatunku „Czyż nie dobija się koni" – że obserwujemy aktorkę w zmaganiach i widzimy, jak ona słabnie, jak jej kondycja wpływa na to, że gra inaczej, może coraz gorzej. Będziemy jej kibicować, żeby dotrwała do końca, ale być może w tych ostatnich godzinach będzie już ledwo żywa.

Tymczasem okazuje się, że daliśmy spektakl, który ludzi naprawdę zainteresował. Ktoś powiedział, że to się oglądało jak dobry serial.

Mało tego, relacje na scenie, choć każda scena z nowym partnerem trwała zaledwie kilka minut, naprawdę się tworzyły. Wzruszałam się albo byłam poirytowana, czasem było mi przykro, że muszę się z kimś pożegnać. Popłynęła mi łza albo przejęłam się jakąś osobą.

Podobało mi się, że starałaś się w kolejnych scenach nawiązać do sytuacji z poprzednich.
– To się wydarzyło naturalnie, jako rodzaj porozumienia z widownią. Moje odniesienia do poprzednich scen mogły zaistnieć jak puenta w farsie. Chwilami zresztą czułam się, jakbym grała na West Endzie w popularnej komedii.

Wyzwoliło się we mnie coś niesamowitego, takie flow, że miałam refleks, szybkie riposty. Sama się po sobie tego nie spodziewałam. One przychodziły natychmiastowo. Momentami czułam się jak stand-uperka. Jakbym grała improwizowany kabaret w kontakcie z publicznością albo właśnie stand-up. A tego w swoim zawodowym życiu w ogóle się nie tykam, bo nie wydaje mi się, żebym umiała to robić.

Pytałaś na początku, czego się dowiedziałam o sobie. Zawsze wydawało mi się, że nie jestem za dobra w tego rodzaju improwizacji. Odkryłam w sobie nowe umiejętności, o których nie wiedziałam. Oczywiście pilnowałam się, żeby nie przekroczyć granicy. I trzymałam się wszystkich reguł, które były ustalone.

A nie obawiałaś się, że któryś ze stu partnerów wyłonionych w castingu może dopuścić się przekroczenia?

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

– Obawiałam się, brałam to pod uwagę, ale nie było takich przypadków. A jeśli ktoś był zbyt, powiedziałabym, ekspansywny, to miałam – dostałam takie zadanie od reżyserek – sprowadzać go na właściwe tory. Czasem nie było to łatwe, ale podczas tych 24 godzin nie spotkało mnie nic, co w jakikolwiek sposób mogłam odebrać jako przekroczenie.

Pięknie poskromiłaś pisarza Edwarda Pasewicza...
–...jak zaczął swój elaborat? To pisarz, który pisze grube książki (*śmiech*). Tak, złapałam go za twarz i powiedziałam: „Skup się".

Zagrał po prostu typowego Polaka... Oglądaliśmy zresztą różne typy ludzkie, różne reakcje na te same sytuacje.
– W pewnym momencie moja bohaterka potyka się – podczas tych stu scen zawsze w tym samym miejscu. Ale tylko kilka, chyba cztery albo pięć osób ze stu, zareagowało na moje potknięcie, które było wymyślone, żeby sprawdzić reakcję. Mężczyźni właściwie nie reagują na takie sytuacje albo udają, że nie widzą. Może się boją. Albo są tak zajęci zadaniem, które mają do wykonania, że rzeczywiście nie zauważają.

I tu wygrał strażak. W sekwencji potknięcia się zerwał się z krzesła, chciał mnie natychmiast podnieść i uratować. Dostał gorące brawa. Potem czytałam w wielu relacjach, że był dla wielu osób numerem jeden. Wspaniały, na luzie, bardzo męski, opiekuńczy, a jednocześnie zrozumiał od razu, w co chcę grać, jeśli chodzi o mundur, w którym przyszedł do „The Second Woman". Bo mundur nam się kojarzy z określonymi archetypami i pewnymi fantazjami kobiet. Spotkaliśmy się jeszcze później na bankiecie, poznałam jego żonę.

• Kadr z serialu Netflixa „Lalka". Magdalena Cielecka jako charyzmatyczna pani Wąsowska oraz Sandra Drzymalska jako Izabela Łęcka. Premiera serialu 16 września br.
FOT. ROBERT PAŁKA/ NETFLIX

Na scenie pojawiły się też osoby, z którymi się znasz i pracujesz. Np. muzyk Michał Pepol, który – w tej części improwizowanej – zaproponował ci udział w operze „Madzia". Albo Mateusz Atman, współreżyser spektaklu telewizyjnego „Wszystko na sprzedaż", który przywitał cię cytatem z tego przedstawienia.
– Dostałam jeszcze dwie propozycje zawodowe od dwóch dyrektorów teatrów. Ze Starego i z Nowego.

Poruszyła mnie scena z Jackiem Poniedziałkiem. Wiele lat gracie razem w teatrze, widziałam was w wielu spektaklach. W waszym spotkaniu na scenie było coś niezwykle prawdziwego, prywatnego, szczerego... Wiedziałaś wcześniej, kto ze znajomych osób weźmie udział w „The Second Woman"?
– Nie. Niektórych przeczuwałam. Niektórym sama delikatnie podpowiadałam, że można się zgłosić na casting, ale nie wiedziałam ostatecznie, czy się na to zdecydowali. W większości były to dla mnie zaskoczenia.

Scena z Jackiem Poniedziałkiem dla mnie też była wzruszająca. Jacek przyszedł jako przyjaciel, był poruszony, czuły, jakby chciał podsumować lata naszej pracy.

Nasłuchałaś się też komplementów na swój temat, bo mężczyźni w kolejnych scenach próbowali nazwać waszą relację. Jacek Poniedziałek powiedział, że jesteś „tak ironiczna, że trzeba nosić przy tobie kask na głowie". Z kolei dyrektor Nowego Teatru, Michał Merczyński, mówił: „tak inteligentna, że się nie mieści w ramach".
– Pojawiło się też wiele zaskakujących określeń. Dowiedziałam się, jak mnie widzą różne osoby. Zwłaszcza te, które zupełnie mnie nie znały. I jakie mają wyobrażenie na mój temat. Ale nawet bliscy mnie zaskakiwali.

Dopiero teraz, dzięki relacjom, a przede wszystkim nagraniom, które cały czas dostaję, mogę zobaczyć, jak to wyglądało z drugiej strony.

> Wiesz, ja ciągle słyszę pytanie: „W której »Lalce« grasz?". Wszystkim się to myli

Bo podczas „The Second Woman" każdy mógł filmować fragmenty i robić zdjęcia.
– Nie wiedziałam, że tak będzie. W teatrze podczas spektakli nie można robić zdjęć, a kiedy zdarzy się, że ktoś, mimo zakazu, wyciągnie telefon i zaczyna nas fotografować, to jestem tym zirytowana, rozprasza mnie to, detonuje. A tutaj, pewnie z powodu specyfiki tego projektu, kiedy zobaczyłam te telefony na widowni, poczułam się fenomenalnie. Jak Tracey Emin śpiąca w Tate Modern czy Marina Abramowicz. Podbiło to performatywność wydarzenia.

Dawało mi to naprawdę niesamowitego kopa. Jednocześnie, w momentach napięcia i wzruszenia, była taka cisza na tej ogromnej sali, na której siedziało około 3 tys. osób. Czułam tę ciszę, słyszałam ten wstrzymany oddech i to oczekiwanie.

Udało ci się uwieść widownię. „Uwodzenie, panie Wokulski, to jest cały spektakl!" – mówi pani Wąsowska, którą grasz w netfliksowym serialu „Lalka".
Uwodzenie to umiejętność, która się na pewno przydaje. Ja to ewidentnie mam i tego, świadomie czy nie, używam. No oczywiście, że świadomie.

Jestem pewnie tak postrzegana, więc w naturalny sposób jest to jeden z moich środków transportu tej energii na widownię, ale też do partnera.

Muszę powiedzieć, że w przypadku „The Second Woman" to było bardzo specyficzne, bo oczywiście scena jest o uwodzeniu, uwodzeniu partnera. Virginia uwodzi go, żeby się ostatecznie przekonać, że to jednak nie zadziała, i trzeba się pożegnać.

Ale uwodzenie widowni tym razem nie było moim udziałem. To się po prostu wydarzyło.

Na przykład u nas, w Nowym Teatrze, czasem gramy z widownią. Krzysztof Warlikowski tak ustawia niektóre sceny, że mówimy wprost do publiczności, widzę ludzi, którzy przyszli do teatru, lubię mieć bezpośredni kontakt, najczęściej wiem, kto ze znajomych jest na sali. Patrzymy im w oczy, zwracamy się do publiczności, takich używamy środków.

W „The Second Woman" absolutnie tego nie robiłam, bo, po pierwsze, takie mieliśmy ustalenia, po drugie, ten tiul, za którym graliśmy, powodował, że widziałam tylko zarys pierwszych rzędów. Graliśmy z tzw. czwartą ścianą, żeby widz nie miał poczucia, że ja wiem o jego obecności. Żeby mógł mnie obserwować. To, że dali się uwieść moim improwizacjom i ripostom, było czymś fenomenalnym, ale ja też bardzo się pilnowałam, żeby nie przesadzić. Byłam przede wszystkim bardzo skupiona na partnerze.

Natomiast często jestem tak obsadzona – jako pewien archetyp kobiecości, ktoś, kto może nieść takie treści jak Wąsowska, która – tak jak ja – jest kobietą dojrzałą, niezależną, spotykamy ją w takim momencie życia, kiedy niewiele już musi, ale wiele jeszcze może.

Od nikogo nie jest zależna, nigdy nie wyszła za mąż, prowadzi życie, wtedy powiedziałoby się hulaszcze. Ale jest pewnego rodzaju wzorem, autorytetem i taką niedoścignioną fantazją dla Izabelli Łęckiej.

Łęcka chciałaby być kiedyś taka jak Wąsowska. I to Wąsowska pokazuje Łęckiej inne możliwości obcowania z mężczyznami i bycia w tym sobą – wybierania własnej drogi w byciu z mężczyznami. Ale też pewnego wykorzystywania ich i grania z nimi.

Może Wąsowska widzi w Izabelli młodą siebie? Opiekuje się nią. Czuwa nad nią. Nie tylko dlatego, że chce chronić Łęcką przed błędami, które ta może popełnić, bo tego nie da się zrobić, ale widzi pokrewieństwo dusz. Łęcka jest jej bliska.

Z reżyserem Pawłem Maśloną rozmawialiśmy o tym w trakcie prób, że gdyby zrobić prequel o młodej Wąsowskiej, to być może byłaby ona taką Łęcką.

We wrześniu odbędą się premiery dwóch „Lalek" – serialowej i kinowej. Rozmawiacie o tym w środowisku aktorskim? Czuje się konkurencję?
– Wiesz, ja ciągle słyszę pytanie: „W której »Lalce« grasz?". Wszystkim się to myli, od dziennikarzy po znajomych aktorów. A z drugiej strony myślę, że dobrze, że się tak wydarzyło i że będą dwie „Lalki" w tym samym czasie. Uważam, że jedna pracuje na drugą.

Myślę, że te dwie propozycje są też dla różnych widzów. Film, wyobrażam sobie, będzie bardziej klasyczną adaptacją powieści Bolesława Prusa, na którą będą mogli liczyć uczniowie i jak obejrzą, nie czytając książki, to mają szansę zdać ewentualną maturę z „Lalki". Jeżeli oprą się tylko na naszym serialu, to boję się, że mogą oblać. Netflix jest skierowany trochę do innego odbiorcy i pozwala na większy luz, jeśli chodzi o dbałość o pierwowzór literacki.

Paweł Maślona i dramatopisarz Paweł Demirski, który jest współautorem scenariusza, znani są z tego, że rozbierają nasze narodowe mity na czynniki pierwsze. Obaj lubią wkładać kij w mrowisko, zabawić się i konwencją, i naszymi oczekiwaniami. Mnie zachwycił scenariusz serialowej „Lalki", który jest ekstrawagancki i nowoczesny.

A w środowisku, jeżeli ktoś ma oczywiście luz na swój temat, to się z tego po prostu wspólnie śmiejemy.

Kręciliśmy to równolegle, depcząc sobie po piętach, niemalże w tych samych lokacjach. Powstawały nawet żarty, że super byłby taki dzień wymiany. Że na przykład w naszej „Lalce" nagle gdzieś w tle przy stoliczku pojawiają się Marcin Dorociński i Marek Kondrat, czyli Wokulski i Rzecki z kinowej „Lalki", albo odwrotnie – u nich siedzą Tomasz Schuchardt i Sandra Drzymalska – Wokulski i Łęcka z naszego serialu – i piją kawę jako statyści w tamtej produkcji.

„Lalka" jest teraz na tapecie, a ja w tym sezonie miałam jeszcze inną lalkę – „Sexy Doll"!

Mówisz o teledysku do piosenki Kasi Lins, w którym wzięłaś udział. Odważny projekt. To jedno z twoich zadań specjalnych. A gdybyś dziś – z perspektywy czasu – miała wymienić swoje najtrudniejsze zadania? Dajmy na to, z początków swojej aktorskiej drogi.
– Muszę powiedzieć, że chyba łatwiej byłoby mi wyliczyć spektakle, które mnie nie kosztowały albo których bym nie zaliczała do zadań specjalnych.

eprasa.pl c0f49db8b5

Pamiętam twoją wstrząsającą rolę w „4.48. Psychosis" według Sarah Kane w reżyserii Grzegorza Jarzyny. Grałaś to w czasach, kiedy nie myślało się w teatrach o dobrostanie aktorów i nie było koordynatorów scen intymnych.
– Z „4.48 Psychosis" objechaliśmy pół świata przez prawie 20 lat, ale pamiętam taki spektakl, tu w Warszawie, w Teatrze Rozmaitości.

Jeden pan tak się przejął moim losem, gdy wcześniej naga krzyczałam do widowni: „Dotknij mnie, uratuj mnie, pokochaj mnie", że wszedł na scenę, ja go nie widziałam i chciał mnie po prostu z tej sceny zabrać, żeby mnie uratować.

Nie było to agresywne, choć zaskakujące. W sumie świetna recenzja dla mnie, że mi aż tak uwierzył.

Tak, rola w „4.48 Psychosis" to było rzeczywiście wyzwanie: i fizyczne, i emocjonalne pod każdym względem. Ale takie pierwsze zadanie specjalne, którego ślady noszę na swoim ciele do dziś, to była „Iwona, księżniczka Burgunda" w reżyserii Grzegorza Jarzyny w Starym Teatrze w Krakowie. Kiedy z młodzieńczym poświęceniem i brakiem wyobraźni o tym, jakimi trzeba dysponować siłami na scenie, rozbijałam się o te ściany, o te stoły, właściwie na oślep.

Takie też były, jak wspomniałaś, czasy. Wtedy nie było różnego typu narzędzi, żeby powiedzieć „nie". Ale myśmy uwielbiali pracować z pełnym oddaniem. To był moment tworzenia się tego nowoczesnego teatru, czas nowego pokolenia reżyserów, do którego należeli Krzysztof Warlikowski i Grzegorz Jarzyna.

Myśmy ten teatr tworzyli i nikt się nie zastanawiał, czy zrobisz sobie siniaka albo czy masz się rozebrać na scenie.

I to nas oczywiście kosztowało, to nas rozdzierało, to nas raniło fizycznie, psychicznie, ale tym się też karmiliśmy. Przepiękny młodzieńczy czas.

Skoro cofnęłyśmy się do tamtych czasów, to chciałam jeszcze przypomnieć twoją Ofelię w głośnym „Hamlecie" w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego. Teraz wszyscy byli pełni podziwu, że przez 24 godziny w „The Second Woman" i nie chciało ci się spać. Ale kiedyś zasnęłaś na scenie – jako Ofelia w grobie.
– 43 minuty leżałam na scenie w grobie. Krzysztofowi zależało, żeby Ofelia po śmierci wciąż była widoczna w tym zagłębieniu sceny. I ja tam leżałam bez ruchu, ale przyszedł dzień, kiedy pewnie byłam bardziej zmęczona, na chwilę się wyłączyłam i zasnęłam. Obudziłam się w panice, byłam przerażona, że przedstawienie się skończyło i wszyscy o mnie zapomnieli. Ale na szczęście jeszcze trwało i nikt nie zauważył, że sobie smacznie śpię.

Za to innego dnia jednemu z aktorów wypadł miecz, który trafił prosto do mojego grobu i lekko mnie poturbował. Wtedy powiedziałam Krzyśkowi, że koniec z moim leżeniem, bo to może być niebezpieczne, i zmieniliśmy tę scenę.

Mam to szczęście, że oglądałam cię w wielu wybitnych teatralnych rolach, tych dawnych i najnowszych. Natomiast dla niektórych widzów, pewnie też wielu tych, którzy przyjechali dla ciebie do Poznania na Maltę, jesteś... Chyłką. Co dla aktorki, która osiągnęła szczyty w teatrze, znaczy popularność serialowa? Czy na pewnym etapie zawodowej drogi jest potrzebna czy uciążliwa?
– Ja ją bardzo cenię. Nie mam aż takiej popularności, żeby ludzie się na mnie rzucali w galeriach handlowych. Zazwyczaj to są słowa uznania, wyrazy sympatii, podziękowania. Nie na tyle męczące, żebym miała powody do narzekania.

Chyba żaden aktor nie zrezygnowałby z popularności na rzecz tego, żeby mieć święty spokój. Nie wierzę w to.

FOT. ALEKSANDRA BEBENEK/FESTIWAL MALTA AV

• W czasie 24-godzinnego spektaklu „The Second Woman" na Festiwalu Malta

To nas rozdzierało, to nas raniło fizycznie, psychicznie, ale tym się też karmiliśmy. Przepiękny młodzieńczy czas

Serial czy udział w reklamie – ta bardziej komercyjna gałąź naszego zawodu – jest przywilejem. Na to się pracuje latami, żeby potem podpisywać kontrakty reklamowe czy dostawać główne role w serialach.

Oczywiście taka rola jak Chyłka może być niebezpieczna, kiedy wchodzi się w nią na samym początku aktorskiej drogi, nie mając jeszcze dorobku i nazwiska. Ja zresztą, mimo że zagrałam Chyłkę po prawie 30 latach w zawodzie, to i tak w pewnym momencie powiedziałam „Stop, wystarczy! Czuję, że już wypełniłam sobą tę postać i tę historię. Nie chcę umrzeć jako Chyłka".

Czułaś, że grając Chyłkę, tracisz inne propozycje?
– Chyłka była tak intensywna czasowo, ale też medialnie, wizerunkowo, że na pewno również z tego powodu nie dostawałam wtedy zbyt wielu innych propozycji. Albo machano na mnie ręką i mówiono, że i tak nie ma czasu, bo jest zajęta w „Chyłce". Albo byłam tak silnie kojarzona z postacią, że trudno było mnie obsadzać w czymś innym.

Więc świadomie, przepraszając producentów i parę innych osób, musiałam się pożegnać z Chyłką, żeby iść dalej, żeby trochę odczekać i robić nowe rzeczy. I to się wydarzyło.

Jestem teraz równolegle na dwóch planach zdjęciowych. Dołączyłam do obsady „Zatoki Szpiegów". Gram taką fałszywą baronessę, podającą się za brytyjskiego szpiega, w rzeczywistości będącą Rosjanką na usługach Sowietów, która jest podstawiona głównemu bohaterowi, granemu przez Bartosza Gelnera. Konwencja trochę bondowska, ale trochę też taki nasz Hans Kloss. A drugi plan to obyczajowa komedia dla Netflixa, o której nie mogę na razie zbyt wiele mówić.

Czekam na premierę serialu „Lalka". Czekam na premierę serialu kryminalnego „Zmora" w HBO. Obie produkcje zobaczymy we wrześniu. Tymczasem w moim Nowym Teatrze rozpoczynamy tournée z naszym najnowszym spektaklem „Europa" według tekstu Wajdiego Mouawada w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego, ale już szykują się kolejne premiery. Dawno nie byłam tak zajęta zawodowo.

Mam to szczęście, że mogę wybierać i nie muszę brać wszystkiego, co mi proponują. Przyjmuję te role, które naprawdę mnie interesują. W ostatnich latach dostaję sporo zaskakujących mnie propozycji. Malta była tego najlepszym przykładem, ale też myślę tu o wspomnianym teledysku Kasi Lins czy koncercie „Urodziny Kory" Michała Pepola, w którym miałam przyjemność wziąć udział i zaśpiewać u boku takich artystów jak Natalia Przybysz czy Ralph Kaminski.

A co znaczy dla ciebie kubek Cybulskiego, który dostałaś od Daniela Olbrychskiego w spektaklu Teatru TV „Wszystko na sprzedaż"?
– Dobrze, że wspominasz ten spektakl inspirowany filmem Andrzej Wajdy, bo to również było zadanie z gatunku wyjątkowych. Spotkanie z duetem reżyserskim Agnieszki Jakimiak i Mateusza Atmana, tak ciekawymi ludźmi, tak kreatywnymi, tak supernowocześnie myślącymi, to jedna z tych propozycji teatralnych, która mnie naprawdę uskrzydliła.

Ktoś zresztą, à propos komentarzy po Malcie, napisał mi, że tylko ja mogłam zagrać w „The Second Woman", bo mam kubek Cybulskiego. Więc traktuję ten gest jako takie symboliczne namaszczenie. I jeśli ten kubek nadal będzie mi przynosił szczęście, czego bardzo bym sobie życzyła, to jestem gotowa na kolejne zadania specjalne.

A pamiętasz cytat ze spektaklu „Wszystko na sprzedaż", którym przywitał Cię Mateusz Atman, przychodząc do ciebie w „The Second Woman"?
– Tak, oczywiście. „O siódmej płaczesz, o dziewiątej się śmiejesz, to jest niezdrowe".

To jest niezdrowe?
– Bywa niezdrowe. Kiedyś – tak jak już mówiłam – było dla mnie niezdrowe, bo nie miałam narzędzi, żeby sobie z tym poradzić, ale też po prostu nie miałam doświadczenia aktorskiego i życiowego.

Dzisiaj radzę sobie z tym chyba bardzo dobrze, jeśli nie znakomicie. Umiem to wykorzystać, przekuć na efekt, czasem zmylić czy wręcz – mówiąc brzydko – tak zmanipulować widza, żeby uwierzył, że naprawdę mnie to kosztuje.

Ale też jestem w dobrym momencie życiowym. Jestem, odpukać, w dobrym miejscu, w dobrym czasie i jest mi na tyle dobrze ze sobą i z ludźmi, których mam wokół w życiu, że nie rozdzieram się wewnętrznie z innych powodów niż te, które mam do rozdarcia w pracy nad rolami. ●

Magdalena Cielecka

• Od 2009 r. aktorka Nowego Teatru w Warszawie, wcześniej związana z Teatrem Rozmaitości (2001–08) i ze Starym Teatrem w Krakowie (1995–2001). Stworzyła wiele znakomitych kreacji, m.in. w spektaklach Grzegorza Jarzyny i Krzysztof Warlikowskiego. W filmie zadebiutowała w 1995 r., nagrodzoną na Festiwalu Filmowym w Gdyni rolą zakonnicy w „Pokuszeniu" Barbary Sass. Wyraziste i charyzmatyczne bohaterki stworzyła m.in. w filmach: „Egoiści" Mariusza Trelińskiego, „Katyń" Andrzeja Wajdy, „Córki dancingu" Agnieszki Smoczyńskiej, „Zjednoczone stany miłości" Tomasza Wasilewskiego i „Lęk" Sławomira Fabickiego.
Jej popularną rolą serialową jest prawniczka Joanna Chyłka w serialu „Chyłka" (2018-22), ekranizacji serii kryminałów Remigiusza Mroza, ale wystąpiła też w „Magdzie M.", „Belfrze", „Pakcie", „Prokuratorze", „Trzecim Oficerze" czy „Belle Epoque".
W czerwcu 2026 r. wzięła udział w 24- godzinnym „The Second Woman" na Festiwalu Malta w Poznaniu. Od 16 września będziemy mogli zobaczyć ją w roli Pani Wąsowskiej w serialu „Lalka" (Netfilx). Jesienią zobaczymy ją w też w nowym serialu HBO „Zmora" według kryminału Roberta Małeckiego.

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

AI NIE JEST CZUŁYM NARRATOREM

Uwielbiam polską szkołę filmową, Młynarskiego, Kabaret Starszych Panów, Breakout, Republikę... **Wydaje mi się, że teraz wszystko jest takie płaskie i słabe.**

FOT. GETTY IMAGES

1 RP

Z **MAJĄ KIERUL,** AUTORKĄ NAGRODZONEJ PRACY MAGISTERSKIEJ „»LITERATURA NIE JEST DLA IDIOTÓW«? ANALIZA DYSKURSU WOKÓŁ PRAKTYK CZYTELNICZYCH W POLSCE W LATACH 2015-2025” ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Napisałaś pracę magisterską o tym, jak rozmawiamy o czytelnictwie, czytających i nieczytających. Przytaczasz w niej fragment rozmowy z „GW” Grzegorza Wysockiego i Tomasza Makowskiego, dyrektora Biblioteki Narodowej. Makowski mówi: „Natomiast w Polsce nie ma żadnego prześladowania osób nieczytających...”. Na co dziennikarz ironicznie wtrąca: „Szkoda”.

Maja Kierul: Punktem wyjścia była dla mnie wypowiedź Olgi Tokarczuk, która obwieściła, że „literatura nie jest dla idiotów”, i debata, którą ta wypowiedź wywołała. Słowa noblistki padły w bardzo newralgicznym momencie dla naszego społeczeństwa. Był rok 2022, krajem rządziło Prawo i Sprawiedliwość, przed nami były wybory wiążące się z silnymi napięciami. Słowa Tokarczuk padły na żyzny grunt, uznano je za antagonizujące.

Wczytując się w analizy wypowiedzi Tokarczuk przeprowadzane przez publicystów, pisarzy i polityków, szybko zdałam sobie sprawę, że badanie dyskusji o czytaniu pozwala wniknąć w głąb polskiej debaty klasowej. Zebrane materiały podzieliłam na kilka dyskursów.

Pierwszy to obóz elitarny, znany z utyskiwań nad upadkiem czytelnictwa, przekonany, że zmierzamy ku intelektualnej katastrofie. To między innymi słowa Jana Hartmana, który żałował „ukłonów i skinięć głowy, francuskich słówek, gracji i dowcipu niekoniecznie zrozumiałego dla wszystkich wokół” czy wyznania Krzysztofa Vargi, który pisał, że bliżej mu do bohaterów Prousta niż do „żywych ludzi” i że w związku z tym – razem z profesorem Koziołkiem – są „straceni dla ludzkości i zostaną wymazani z dziejów świata”.

Dyskurs elitarny od ponad dekady charakteryzuje retoryka zbliżającego się końca. Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania, na łamach „Rzeczpospolitej” powiedziała wprost: „Osuwamy się w przepaść!”.

Z takich profetów otwarcie żartował w „Dwutygodniku” Łukasz Najder: „Przyszłość jawi się koszmarem. To ziemia wyjałowiona z Prawdy i Piękna, na której odbywają się całodobowe dzikie tańce w ramach kultu Pieniądza, Sieci, Niskich Rozkoszy i Blazy”.

Dlaczego ci, którzy tworzą dyskurs elitarny, tak się zachowują?

– Według socjologa Tomasza Zaryckiego zapowiadanie zbliżającego się końca czy deklarowanie własnej śmierci stanowi ważną część gry praktykowanej przez inteligencję. W ten sposób podtrzymuje ona własny, uprzywilejowany status i odróżnia się od tych, którzy nie podzielają jej stylu życia.

Dlatego też inteligenci pozostają z pomysłem demokratyzacji kultury w skrajnie ambiwalentnej relacji.

Co o dyskursie wokół czytelnictwa ma do powiedzenia lewica?

– W dyskursie lewicowym Maja Staśko czy Stanisław Skarżyński zwrócili uwagę na społeczno-ekonomiczne uwarunkowania uczestnictwa w kulturze. „Powiedzcie człowiekowi, który wraca wycieńczony ciężką pracą do domu i nie ma sił utrzymać w ręku książki, że ma czytać co naj-

eprasa.pl c0f49db8b5

mniej godzinę dziennie, a nie oglądać te »głupie seriale«. Książki to nie są żadne nadistoty, przed którymi mamy się kłaniać i je wyznawać" – pisała Staśko.

Typowa dla tego dyskursu jest figura inteligenta, który demaskuje klasizm innych inteligentów. W ten sposób chce udowodnić, że mimo przewagi w postaci kapitału kulturowego wciąż rozumie wysiłek „zwykłych ludzi". Przedstawia się dzięki temu jako doskonale „samoświadomy".

Wyodrębniłam jeszcze dyskurs konserwatywny, w którym czytanie książek – a w zasadzie wyłącznie lektur, bo o innej literaturze się w nim nie wspomina – postrzega się jako praktykę narodowotwórczą.

Jest jeszcze dyskurs wernakularny, wytwarzany przez „zwykłych" czytelników, którzy nie dzielą literatury na lepszą i gorszą, bo czytają dla przyjemności i rozrywki, a nie podtrzymania statusu społecznego.

Wróćmy do „literatury nie dla idiotów". Co sądzisz o tym zdaniu?
– Zasadniczo Tokarczuk miała rację, ale użyła antagonizującej retoryki. Miała rację, bo żeby czytać literaturę, trzeba nabyć wcześniej odpowiednie kompetencje kulturowe. W związku z tym czytelnikami będą najczęściej osoby pochodzące ze środowiska, dla którego literatura i czytanie są ważne. W tym sensie mogę się z Tokarczuk zgodzić. Nie mogę się jednak zgodzić na język, którego użyła. To on najbardziej poruszył komentujących, bo nie pasował do pisarki, która wielokrotnie mówiła o empatii i czułości. Za to spotkała ją słuszna krytyka.

Bardziej interesujące od samej wypowiedzi Tokarczuk wydawało mi się to, co się zadziało później. Pojawiło się mnóstwo wypowiedzi, które trudno określić inaczej niż klasistowskie.

Dziennikarka „Wyborczej" Anna S. Dębowska napisała, że ataki na noblistkę świadczą o niechęci do tych, którzy „chcą czegoś więcej niż Netflix, piwko na kanapie przy oglądaniu meczu i czytanie kulawych kryminałów". W tej wyliczance brakuje tylko 500+ czy w ogóle życia na socjalu. Obrońcy Tokarczuk zaczęli reprodukować pogardliwy język. Im więcej takich wypowiedzi, tym silniejszy staje się konflikt między czytającymi „elitami" a nieczytającym „ludem".

Bardziej rozdarte były osoby o lewicowych sympatiach.
– W dyskursie lewicowym miesza się elitaryzm z populizmem.

Z jednej strony mamy lewicę, którą nazwałam „opiekuńczą". Tacy opiekuńczy publicyści traktują nieczytających jako społecznie poszkodowanych. Solidaryzują się z nimi, by symbolicznie zdystansować się od klasistowskich elit. W efekcie zamiast przeciwstawiać się skutkom dominacji klasowej, lewica opiekuńcza je normalizuje.

Jest też „lewica etosu", która mówi o inkluzywności i egalitarności czytania, o tym, że dostęp do kultury powinien być prawem każdego człowieka. I chociaż regularne oddawanie się lekturze wysokoartystycznych powieści nie jest niezbędne dla funkcjonowania, „lewica etosu" jest przekonana, że niesie nieczytającym kaganek oświaty, dzięki któremu ich życie może stać się pełniejsze i lepsze, „takie jak należy". Ta postawa wydaje mi się mimo wszystko o wiele pożyteczniejsza od pierwszej.

Na temat tego, co powiedziała Tokarczuk, wypowiedzieli się niemal wszyscy. Od Jakuba Żulczyka po Galopującego Majora, wówczas bardzo wpływowego komentatora. Nie bez znaczenia jest tu oczywiście rola, w jakiej wielu Polaków obsadziło Olgę Tokarczuk.

Dla jednych jest „naszą Olgą", a dla drugich – by użyć sformułowania Jarosława Kaczyńskiego – „łże-elitą". Niewątpliwie Tokarczuk była w pewnym momencie centralną figurą polskiego dyskursu publicznego. To jej książki palono, a z drugiej strony to ona spotykała się z Trzaskowskim tuż przed wyborami, zatem wydaje się, że świadomie bierze udział w tej grze.

Temperatura debaty wokół słów Tokarczuk i różnorodność argumentów przykryły pewien realny problem, któremu – gdy mówimy o czytelnictwie – powinniśmy się przyjrzeć. Mianowicie temu, że czytanie jest praktyką uklasowioną. A powinno być, w co głęboko wierzę, narzędziem, które służy pogłębianiu samorozumienia społecznego.

Co rozumiesz przez „praktykę uklasowioną" i „samorozumienie społeczne"?
– Uklasowienie wiąże się bezpośrednio z tym, na co zapewne próbowała wskazać Tokarczuk, gdy mówiła o „pewnej wrażliwości i rozeznaniu w kulturze". O takich estetycznych dyspozycjach decyduje bowiem to, co socjolog Pierre Bourdieu nazwał habitusem.

Habitus to nasza społeczna „natura", którą wynosimy z dzieciństwa i która kształtuje nasze późniejsze nawyki kulturowe. Łatwo zapomnieć, że w wielu środowiskach rozmową o książkach wciąż można się narazić na zarzut pretensjonalności. W Polsce widok książek kojarzy się z inteligencją, która zadziera nosa. Trudno w związku z tym traktować czytanie jako społecznie neutralną praktykę.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Maja Kierul: Często towarzyszy mi poczucie, że mojemu pokoleniu przyszłość została odebrana

Kiedy mówię o samorozumieniu społecznym, mam na myśli niebywałą właściwość literatury, która dostarcza nam opisu doświadczeń wykraczających poza to, co sami przeżyliśmy i możemy przeżyć. Dzięki temu prędzej zdamy sobie sprawę z uwikłania w różne procesy społeczne, które układają się w zbiorową opowieść.

To niezwykle cenne, bo żyjemy w czasach, w których wszyscy nawzajem wmawiamy sobie, że problemy są zawsze „prywatne" w tym sensie, że są wypadkową indywidualnych niepowodzeń.

Czy każdy rodzaj lektury oferuje taki wgląd w rzeczywistość? Zdecydowanie nie. Naszym problemem jest to, że z jednej strony literatura – i szerzej sztuka – są wciąż widziane jako przestrzenie wolności, jako narzędzia emancypacji, a z drugiej niemal w całości podporządkowane są logice rynkowej.

Jeśli dodamy do tego jeszcze pogłębiające się trudności z czytaniem związane z dominacją technologii informacyjno-komunikacyjnych, to nagle „zatapianie się w literaturze", do którego tęskni Tokarczuk, okazuje się praktyką dostępną nieszczególnie szerokiemu gronu krajanów.

Świetnie mówiła o tym Dorota Masłowska w wykładzie „Gimnastyka duszy i języka": „Pisanie i czytanie jeszcze chwilę temu stawało się najbardziej elementarnym kluczem do rzeczywistości, kluczem, który nagle niemal z dnia na dzień przestaje do niej pasować, tak jakby ktoś zupełnie jawnie, ale mimo wszystko potajemnie, zmienił zamki".

W czasach zaniku głębokiej uwagi, która pozwala skoncentrować się na wykonywaniu jednej czynności – chociażby czytaniu powieści – jakość literatury siłą rzeczy ulega pogorszeniu. W efekcie obserwujemy wypłaszczenie się kultury.

Czym jest to wypłaszczenie?
– Polega na usunięciu z niej sprzeczności, napięć i niejednoznaczności. Pozostaje tylko zalew obrazów domagających się skrajnych reakcji, bo to one zapewniają klikalność, zasięgi. To one potrafią jeszcze utrzymać naszą uwagę. Płyniemy z prądem, nie stawiamy oporu.

W książce „Immediacy, or The Style of Too Late Capitalism" amerykańska literaturoznawczyni Anna Kornbluh pisze, że obecnie dominującym stylem w kulturze jest bezpośredniość, która, zamiast sugerować określoną interpretację rzeczywistości, zalewa obrazami pozbawionymi kontekstu i słowami bez znaczenia, a przede wszystkim oferuje nieskończoną, niczym niezapośredniczoną przyjemność. Efektem jest zlanie się rzeczywistości wytwarzanej w ramach kultury z naszą codziennością.

Fikcja przestaje być fikcją, a stara się być jak najbliżej świata, w którym żyjemy.

Stąd popularność kryminałów, które przeważnie dzieją się w bardzo nam bliskim świecie, i autofikcji?
– Kornbluh rzeczywiście krytykuje autofikcję, w szczególności Knausgårda, który w 2018 roku w „New Yorkerze" powiedział, że obowiązkiem literatury powinno być zwalczanie fikcji.

Dla Kornbluh autofikcja oznacza podkopywanie fundamentów literatury, czyli wymyślania i opowiadania historii.

Bezpośredni styl literatury tak ciasno do nas przylega, że coraz trudniej wyobrazić sobie inne światy. Narracja trzecioosobowa czy mowa zależna nie pobudzają afektywnie w takim stopniu, w jakim robi to czytanie osobistych przeżyć autora czy autorki. A przecież możemy mieć już tego dość, skoro bez przerwy doświadczamy czegoś podobnego przez technologie informacyjno-komunikacyjne.

Jest coś, czego możesz zazdrościć pokoleniu twoich rodziców?
– Wydaje mi się, że kiedyś było więcej czasu.

Nie było takiej presji, by szybko zaczynać życie zawodowe, a przede wszystkim zbierać doświadczenie, bez którego nikt nie otworzy twojego CV. Wtedy też istniała szansa, że w ogóle dostanie się jakąś pracę, co dzisiaj przestało być takie oczywiste.

W narracji neoliberalnej to pracę traktuje się jako źródło sensu życia i to w niej szuka się własnej wartości. Jeżeli tak się nie wydarzy, to najprawdopodobniej jest coś ze mną nie tak. Wystarczy popatrzeć na to, ilu studentów kiedyś było zmuszonych do pracy, a ilu jest dzisiaj. Mój profesor powiedział kiedyś, że za jego czasów do pracy chodzili przede wszystkim ci, którzy chcieli zarobić na wakacje.

Dzisiaj, jeśli nie pochodzisz z zamożnego domu, a chcesz iść na studia, musisz jednocześnie pracować, by mieć gdzie mieszkać, by mieć co jeść. W efekcie osoby nieuprzywilejowane nie mogą korzystać z tego, co miało być dobrem publicznym, czyli wyższej edukacji.

Było też więcej miejsca na beztroskę. Ale wiadomo – być może opowieści, które słyszę, są obarczone nostalgią i nie można im ufać.

Masz poczucie, że kiedyś było lepiej?
– Tak.

Uwielbiam polską kulturę XX wieku. Polską szkołę filmową, Młynarskiego, Kabaret Starszych Panów, Breakout, Republikę... Naprawdę wydaje mi się, że teraz wszystko jest takie płaskie i słabe. Nie chodzi mi tylko o krytykę kultury współczesnej. To byłoby zbyt proste. Po prostu mam wrażenie, że wszystko zaczyna się sypać.

To znaczy co?
– Coraz częściej towarzyszy mi poczucie, że mojemu pokoleniu przyszłość została po prostu odebrana.

W 2025 roku dwunastu najbogatszych ludzi na świecie zgromadziło więcej majątku niż połowa ludzkości. Dzięki bogactwu współpracują z przywódcami największych mocarstw, rozmontowują systemy regulacji klimatycznych, są odpowiedzialni za ludobójstwa i wojny. Rozwój technologii przyniósł nie upragnioną emancypację, ale nowe formy cierpienia. Także sfery autonomii – takie jak edukacja czy kultura – w których szukało się nadziei, są nieuchronnie skazane na klęskę.

Wróćmy do czytelnictwa. Co nam to wszystko o nim mówi?
– Że będzie coraz gorzej. Do czytania – oprócz nawyku – trzeba czasu i spokoju. A co zabierają nam technologie informacyjno-komunikacyjne? Właśnie czas i spokój. Teraz wraz z rozwojem chatbotów ludzie rezygnują z samodzielnego przesiewania, weryfikowania informacji. Pojawiają się badania, że efektem tego jest spadek aktywności mózgów.

Czuję niezgodę na taki świat, bo wiem, jak wiele dały mi książki, edukacja uniwersytecka i relacje, które dzięki nim nawiązałam.

Bez czytania, rozmawiania o lekturach nie byłabym w stanie napisać tej pracy. I jest mi smutno, gdy myślę, że ta rzeczywistość może niedługo zniknąć. Jest mi przykro, gdy czytam, że Tokarczuk mówi do AI „kochana", bo wiem, że sztuczna inteligencja nie jest czułym narratorem, ale narzędziem, które nie tylko odbiera językowi jego podstawową funkcję międzyludzkiej wymiany myśli, lecz także prowadzi do katastrofy klimatycznej i oferuje nowe możliwości mordowania cywilów, np. w Palestynie czy Libanie. Nagle robi się średnio czuło.

Mnie niefrasobliwość tej wypowiedzi zmartwiła, bo pokazuje, jak przezroczyste stało się AI, weszło do naszego życia niepostrzeżenie i trudno nam dostrzec zagrożenia, które za sobą niesie.
– Dla mnie to też opowieść o tym, że nie dostrzegliśmy, jak starsze pokolenia bezrefleksyjnie korzystają z technologii. Media społecznościowe zalane są fake newsami rozsiewanymi także często przez starszych, którzy traktują sociale jak zabawkę. Nie rozumieją, że w tym czasie ktoś zbiera wszystkie ich dane, by później na nich zarobić.

Często narzeka się na młodych, że to im grozi uzależnienie od technologii, ale dzisiaj to właśnie młodzi są bardziej świadomi zagrożeń, jakie niosą technologie. Według badań to przede wszystkim pokolenie boomerów jest najsilniej eksponowane na skrajnie prawicowe treści w internecie.

Obracam się w środowisku, w którym przyznanie się do korzystania z AI wciąż budzi sprzeciw. Ale wiem, że poza moją bańką jest mnóstwo osób, które pytają ChataGPT o każdą sprawę, piszą z nim prace dyplomowe i opisują mu niemal całe swoje życie. Gemini zosta-

eprasa.pl c0f49db8b5

ło już autoryzowane przez Uniwersytet Warszawski. Można wejść do niego z poczty uniwersyteckiej.

A może ten opór nie ma sensu?
– Nie ma łatwej odpowiedzi. Kiedyś na zajęciach, które poświęciliśmy sztucznej inteligencji, ktoś wspomniał, że gdy pojawił się kalkulator, obawiano się o przyszłość matematyki w szkołach. Gdy w latach 60. gitara elektryczna podbiła świat muzyki, starsze pokolenia nie potrafiły znieść jej hałasu. Problem w tym, że ani za gitarą elektryczną, ani kalkulatorem nie stali ludzie, których celem było po prostu sprawowanie realnej władzy politycznej.

Producent kalkulatorów nie chciał przy okazji wcisnąć nas do króliczej dziury, w której po dwóch godzinach scrollowania budzimy się z przerażeniem, że minął nam wieczór.
– Postęp zawsze potrzebuje tych, którzy za niego zapłacą. Dzisiaj zapłacimy za niego wszyscy.

Gdyby ktoś przyszedł do ciebie i powiedział: pani magister, jak ratować czytelnictwo...
– Oczywiście nie mam recepty.

Już w 2015 roku Roman Chymkowski pisał, że „po wyjściu ze szkoły gremialnie przestajemy czytać". Tutaj nic się nie zmieniło.

Z pewnością problemem jest sposób, w jaki traktuje się literaturę na lekcjach polskiego. Każdą lekturę trzeba omówić szybko, byle tylko zdążyć do matury. Nie uczy się czytania dla przyjemności. Czytanie to środek do celu, jakim jest egzamin czy matura.

Polonistka Aleksandra Korczak w OKO.press zastanawiała się, czy nie byłoby dobrym pomysłem przywrócenie egzaminów wewnętrznych na studia, co pozwoliłoby trochę odetchnąć na polskim i nie dobierać lektur wyłącznie z klucza filologicznego.

Wykładanie historii literatury polskiej zajmuje w końcu tyle czasu, że na rozmowę o książkach spoza narodowego kanonu – takich, które mogłyby wspomóc nawyk czytania, a przede wszystkim pozwolić młodym ludziom odkryć przyjemność płynącą z lektury i stopniowo ją ulepszać – już go nie wystarcza.

Niedawno przeczytałam „Przedwiośnie", które udało mi się ominąć w czasie liceum. Jaka to jest świetna książka!

Nie czytałaś lektur?
– Nie wszystkie. Kombinowałam w liceum, żeby umknąć przed rutyną. Zawsze się znalazł jakiś konkurs, olimpiada, dzięki której mogłam uciec od rygoru szkolnego. W ten sposób stawiałam sobie coraz wyżej poprzeczkę.

Wracając do czytelnictwa... wydaje mi się, że nawet najdroższe i najlepiej przygotowane akcje proczytelnicze nie pomogą na dłuższą metę, jeśli nie będzie zmian w edukacji polonistycznej.

Ostatecznie jednak wszystko sprowadza się do kapitalizmu. Jedni produkują, drudzy konsumują. I tego podziału nie da się w żaden magiczny sposób naprawić, można go jedynie znieść. Naczytałam się Marksa...

Opowiedz mi o tym.
– Kapitalistyczny sposób produkcji działa w ten sposób, że mówi nam się, że dostajemy wynagrodzenie za 8 godzin pracy, a w rzeczywistości dostajemy tyle, ile jest niezbędne, żebyśmy jutro mogli znowu pracować. Wytwarzamy naszą pracą dużo większą wartość, niż wskazywałyby na to nasze zarobki. Z punktu widzenia rynku i zarabiania na marce nawet najpopularniejsi piłkarze i tak nie zarabiają tak dużo.

Marks twierdzi, że gdyby produkcja była społecznie regulowana, uwolniłoby to drzemiący w ludziach potencjał, umożliwiłoby realizację własnych projektów i wizji. Dzisiaj większość życia zajmuje nam praca. Róża Luksemburg nie pozostawia nam zbyt dużego wyboru: albo socjalizm, albo barbarzyństwo.

Lektura Marksa pozwala na zrozumienie tego, co się teraz wokół nas dzieje.

Czytanie jest dla mnie sposobem na odzyskanie orientacji w tej przestrzeni. W świecie, w którym ostatecznie chodzi tylko o to, żeby sprzedawać, literatura może być narzędziem emancypacji. Obok działań lokalnych i aktywizmu jedynym narzędziem oporu. ●

Maja Kierul

• Studentka filozofii, absolwentka Instytutu Kultury Polskiej UW. Pracę magisterską „»Literatura nie jest dla idiotów«? Analiza dyskursu wokół praktyk czytelniczych w Polsce w latach 2015-25" (prom. dr Paweł Dobrosielski) obroniła w 2025 r. W 2026 r. otrzymała za nią wyróżnienie w organizowanym przez Otwartą Rzeczpospolitą Konkursie Prac Magisterskich im. J.J. Lipskiego.

*Autor rozmowy był jednym z recenzentów pracy w konkursie. Rozmowa została umówiona i odbyła się już po głosowaniu

Korzyści z rodzinnych pogrzebów

Jeżeli rodziny są rozległe jak moja, widują się na ogół na pogrzebach. Na weselach i chrzcinach już rzadziej – młode pokolenia stosują własne kryteria selekcji gości biorące pod uwagę m.in. właśnie i to, że – no właśnie – rodziny widują się głównie na pogrzebach.

Jarosław Mikołajewski

FELIETON Z CYKLU „ZA PIĘĆ TRZYNASTA"

W mojej rodzinie zdarzyły się tydzień temu dwa pogrzeby, które okazały się nieoczekiwanym dobrem. Nie wiązały się z rozpaczą. Chodziło o dwie ciocie – siostry, które przeżyły 90 lat, a zmarły niezależnie od siebie w ciągu dwóch godzin.

Pierwszym dobrem było spotkanie kuzynek, kuzynów, z którymi spędzałem fragmenty dzieciństwa. Ta dziwna radość, której nie łakniesz na co dzień, nawet latami, a która wyzwala się nagle pod dotknięciem wspomnienia. Jakiś śmiech, zabawy, wspólne unikanie przymusowego uczestnictwa w mszy poprzez prześmiewcze wystawanie w kościelnym przedsionku... Dziwna radość dobrowolnego tym razem uczestnictwa w mszy pogrzebowej, i ten zapomniany moment kiedy więdną kolana na śpiew organisty:

„Przybądźcie z nieba na głos
naszych modlitw,
mieszkańcy chwały, wszyscy
święci Boży;
z obłoków jasnych zejdźcie aniołowie,
z rzeszą zbawionych spieszcie
na spotkanie..."

Czy ktoś jeszcze pamięta tę chwilę, kiedy „po ciebie wyjdzie litościwa Matka" szydzi bezlitośnie ze wszystkich naszych sceptycyzmów, uśmieszków, prześmieszków?...

•

Tak więc zdarzyło mi się. W dodatku – spotkanie ze zmarłą ciocią w otwartej trumnie. Widok coraz rzadszy, często wyrugowany z doświadczenia dzieci. Dla mnie – prawie naturalny od kiedy zobaczyłem twarz martwego dziadka.

No właśnie – dziadek Konstanty... Umarł w 1975 roku, na dwa dni przed babcią (taki widać rodzinny obyczaj, umierać jedno po drugim). Rok później jego synowie sprzedali dom z kuźnią, mitycznym miejscem mojego dzieciństwa. Jaskinią Hefajstosa, gdzie dziadek walił wielkim młotem, uwalniając w nieprzeniknionej nocy roje czerwonych i białych iskier.

I oto, na marginesie tych nowych pogrzebów, znalazłem się przed tym domem z kuźnią, 50 lat później. I nie wiem co sprawiło, że nacisnąłem klamkę furtki.

•

Na mój widok, z ławki przed domem wstał mężczyzna, i wydawało się, że wcale nie dziwi się komuś, kto mówi: „tu mieszkał i pracował mój dziadek kowal, i chcę tylko spytać, czy nie znaleźliście potem w kuźni jakiegoś kowalskiego narzędzia albo podkowy, pogrzebacza, który dla was jest bez wartości, a dla mnie byłby pamiątką..."

„Coś panu dam", powiedział po krótkiej rozmowie mężczyzna, i kazał iść za sobą, do kuźni. Która nie jest już kuźnią, tylko warsztatem samochodowym.

Otworzył drzwi ciasnego pomieszczenia i zdjął ze ściany zardzewiałe szczypce, które natychmiast ożyły w mojej pamięci. Nienaturalnie długie, robione własnoręcznie na pewno przez dziadka, lecz długie wytłumaczalnie, skoro służyły do przekładania podków, krzyży i bógwieczego w palenisku.

Powiedziałem, że kupię. Mężczyzna odparł, że nie chce żadnych pieniędzy. Na pożegnanie dodał, że jest mu miło.

I takie, w wielkim skrócie, są korzyści z rodzinnych pogrzebów. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

INGA IWASIÓW znalazła klucz, który otwiera świat. O jej nowej powieści „Tobiasz i wielki liść" – książce o emeryturze, samotności, końcu pewnego świata i... króliku, który niespodziewanie wypełnia pustkę

ARTUR DOMOSŁAWSKI o legendarnym reporterze i „Operacji Masakra". Pióro, pistolet i srebrnolistne topole, czyli o tym, dlaczego niektóre reportaże stają się legendami

Dlaczego jesteśmy coraz bardziej zmęczeni i czy książki o wypaleniu naprawdę pomagają z niego wyjść?

Spotkanie Książkowego Klubu Książki, przegląd jesiennych nowości, kryminały i powieści z dreszczykiem oraz książki dla młodszych czytelników.

W sprzedaży, również z dostawą do paczkomatu

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**
Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

MACIEJ SIEMBIEDA

Gustaw

FOT. GETTY IMAGES

ODCINEK 3

Jakoś w połowie lat pięćdziesiątych, tuż po Wielkanocy ktoś zapukał wieczorem do drzwi domu na wzgórzu Szymurów. Odwiedziny zdarzały im się niezwykle rzadko, bo dla nowych mieszkańców Kolonii byli w najlepszym wypadku „dziwakami ze wzgórza", a w gorszym – „Szwabami". Dlatego Achim z matką popatrzyli po sobie zdziwieni, a ojciec, przykuty do łóżka przez chorobę kości, niespokojnie poruszył się na posłaniu.

Achim poszedł do sieni, spytał, kto tam, a usłyszawszy odpowiedź, otworzył drzwi.

W progu stał kierownik tartaku, jeszcze zdyszany po jeździe pod górę na rowerze, który oparł o ławkę przed domem.

– Przepraszam, że nachodzę – powiedział – ale sprawę mam, panie Joachimie.

Szymura spojrzał na niego uważniej.

– Nasza najstarsza córcia ma w maju komunię. Nie szłoby załatwić paru wędzonych węgorzy? Na stół dla gości. Z całej Polski się zapowiedzieli. Chrzestny aż spod Białegostoku przyjedzie. – Kierownik zmrużył chytre oczy.

Achim podrapał się w głowę.

– Pan wie, że milicja już dwa razy ostrzegała, że jak mnie złapią na wędzeniu większej ilości, będę miał sprawę za kłusownictwo – oświadczył.

– Dobrze zapłacę.

Szymura się wahał i wtedy kierownik coś sobie przypomniał.

– Wszystko będzie po cichu i między nami, panie Joachimie. Przecież pan jesteś kolegą Antka Kaweckiego, mojego kuzyna, co był tu w zeszłym roku na rybach!

Achim często myślał o tamtym spotkaniu nad jeziorem. Chociaż starał się wtedy Kaweckiego spławić, nieraz nachodziła go myśl, że z chęcią wybrałby się z nim na ryby. Popłynęliby daleko na Weissdorf i łowili razem na florety...

Teraz jednak, kiedy kierownik wymówił nazwisko kuzyna, Achim nagle się przeląkł, że Kawecki naprawdę przyjedzie i zechce zapolować na Gustawa.

– Będzie na komunii? – spytał z obawą.

Kierownik zmarkotniał.

– Zmarło mu się zaraz na początku roku. To był dobry człowiek, świeć Panie nad jego duszą. Bohater. Walczył w konspiracji. Gruźlicy dostał w Oświęcimiu i w polskim więzieniu, gdzie go zamknęli za Stalina. Na pewno by przyjechał, gdyby żył – stwierdził z przekonaniem, sprawdzając świdrującymi oczami, czy ten argument podziała. I najwyraźniej podziałał, bo Szymurę na chwilę zamurowało.

– Dobrze... – zgodził się w końcu. – Pan przyjdzie w piątek po zmroku. Trzy sztuki będzie dobrze?

– W sam raz – ucieszył się kierownik. – Oj, byłbym zapomniał. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Antek przed śmiercią przysłał z sanatorium list, a w nim widokówkę dla pana.

– Dla mnie?

Szef tartaku podał mu kartkę z panoramą Tatr.

Na odwrocie było to, co zawsze jest na pocztówkach. „Serdeczne pozdrowienia z gór zasyła Kawecki". A na dole dopisek brzmiący jak konspiracyjny szyfr: „Wątróbkę pokroić na kawałki i potrzymać dwa dni na słońcu, aż zacznie śmierdzieć".

– Nie wiem, o co chodzi z tą wątróbką – powiedział kierownik. – Pan wie?

Ale Szymura nie odpowiedział.

– To wiele będzie za te węgorze, panie Joachimie? – zmienił temat kierownik. – A może chce pan coś na ząbek? Załatwiam akurat na komunię od znajomego szefa masarni. Schabiku może kawałek? Albo szyneczkę?

Achim popatrzył na niego jakoś dziwnie.

Wymienił sumę za ryby, nieco niższą niż normalnie, a na widok zadowolonej miny kierownika dodał:

– I kilo wątróbki.

Tydzień później wypłynął na jezioro, przygotowany tak, jak zalecała pocztówka Kaweckiego.

Kierując się punktami orientacyjnymi na brzegu, odnalazł wieżę zatopionego kościoła i spuścił do wody kotwicę zrobioną z kawałka szyny kolejowej. Musiała osiąść na dachu świątyni, bo szybko napotkała opór.

Achim wyrzucił za burtę pierwszą partię nadpsutej wątróbki i zapalił papierosa.

Myślał o koledze z dzieciństwa, którego zgubiło kościelne złoto. Wyobrażał sobie jego szkielet, wyczyszczony przez węgorze z każdej cząsteczki mięsa i bielejący gdzieś na ołtarzu, na którym nie składano już ofiar. Myślał o Kaweckim, dobrym człowieku, który przed śmiercią wyjawił mu tajemnicę swojej przynęty. Myślał o ojcu i o tym, że stary nigdy już nie wypłynie na jezioro. Jego kości były kruche jak zaschnięta biała piana wyrzucana na brzeg przez trujące glony. A dni policzone.

Więcej przyjaciół nie miał.

Z wyjątkiem suma, którego nazwał Gustawem.

Pół godziny później wrzucił do wody kolejne kawałki wątróbki, ale nic się nie wydarzyło. Gdy wiatr zupełnie się uspokoił, w dole widać było hełm wieży kościoła, a na nim blaszany krzyż, którego ciągle nie zjadła rdza.

Achim utopił resztę przynęty, usiadł na dnie łodzi, oparł plecy o ławeczkę i zamknął oczy, żeby lepiej przypomnieć sobie przedpotopowy Weissdorf, ukryty kilkanaście metrów niżej.

Nie wiadomo kiedy zasnął.

Obudził się po kilkunastu minutach. Rozmasował zastałe mięśnie i uznał, że dłużej nie ma co czekać. Dźwignął się na ławeczkę, ujął wiosła, aby umieścić je w dulkach, i w tym samym momencie znieruchomiał.

Wielki sum, mierzący już prawie półtora metra, o płaskim szerokim łbie ozdobionym blizną nad lewym okiem, przepływał obok wieży, ciągnąc za sobą długie wąsy. Niewidocznym ruchem skierował się ku górze, jakby chciał znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego stojąca tam łódź nie dostarcza więcej przysmaku, a wtedy spojrzenia człowieka i ryby się spotkały.

To był ułamek sekundy, który Joachim Szymura zapamiętał na resztę życia.

●

Dorota Kawecka zalotnie nakręcała na palec kosmyk włosów i przyglądała się wysiłkom kolegi z ósmej klasy, który przygryzając język, mozolnie dłubał ostrzem scyzoryka w korze dorodnego buku.

Rezultatem dłubania były inicjały jej i jego zamknięte we wspólnym sercu. Serce miało pozostać na zawsze i rosnąć wraz z drzewem. Szeroko i strzeliście. Jak buk da.

Dorota była czwartą, najmłodszą i trochę spóźnioną córką kierownika tartaku. Przyszła na świat w tym samym majowym dniu, w którym cztery lata wcześniej odbyła się komunia jej najstarszej siostry. Pamiętana z uwagi na wędzonego węgorza podanego na stół i wspominanego odtąd w całej rodzinie. Takiego rarytasu wielu krewnych nie kosztowało nigdy dotąd.

Około siódmej klasy Dorota przeistoczyła się z poczwarki w czarnym satynowym mundurku w kolorowego motyla. Nosiła spódnicę bananówę jak piosenkarki w telewizji, a do niej obcisły sweterek z importu, który robił wrażenie na młodzieńcach pokroju wycinacza serc.

Wycinacz miał na imię Mirek i był ładny jak młody ułan z obrazu, którego reprodukcja wisiała w klasie do nauki historii. Jego ojciec był prywaciarzem. Prowadził w mieście fabryczkę abażurów do lamp wysyłanych za granicę. Miał pieniądze, dużego Fiata, skórzaną kurtkę, perfumy i kochanki. Chodził na dewolaje i dancingi. Rok temu zbudował dom w Kolonii, żeby matka nie mogła go kontrolować. Przyjeżdżał na niedziele i głównie spał. Że niby przemęczony pracą.

Ale plotkarki spod sklepu GS-u wiedziały swoje.

Bo w Kolonii od dawna był już sklep. Z chlebem, mlekiem i blaszanymi wiadrami. W ogóle osada roztyła się i wypiękniała. Jednakowe domki tułaczy z Weissdorfu teraz były nazywane dzielnicą. Mówiono na nią Kolonia Osiedle. Poza nimi była jeszcze Kolonia Willowa, graniczącą z dawnym parkiem hrabiego von Gröbena, Kolonia Centrum z remizą ochotniczej straży pożarnej, świetlicą i przystankiem pekaesu. Oraz Kolonia Jezioro, gdzie na razie utwardzono nadbrzeżny deptak i postawiono kiosk Ruchu. Otwierano go tylko w niedziele dla wygody turystów, którzy przyjeżdżali z miasta i lubili w zdrowym powietrzu zapalić papierosa.

Mirek skończył dzieło, spojrzał na nie z uznaniem i spróbował przyciągnąć do siebie Dorotę, ale się wyślizgnęła. Pobiegła przez park, klucząc między drzewami i śmiejąc się, jakby zachęcała go do zabawy w berka. Mina chłopaka nie wyrażała zachwytu tą formą wspólnego spędzania czasu.

Dogonił ją dopiero na drodze. Prowadziła do jeziora, nie do czułości. Za dużo wścibskich oczu. Był naburmuszony i zły. Nie po to ryzykował uszkodzenie nowego scyzoryka, aby ganiać się między drzewami.

Przeszli kilkaset metrów bez słowa, odprowadzani wzrokiem plotkarek spod sklepu.

– Gdzie idziesz do średniej? – spytał Dorotę, gdy milczenie zaczynało robić się nieznośne.

– Do ogólniaka – odparła. – A ty?

Rozmawiali o tym parokrotnie, ale w ósmej klasie wybór następnej szkoły zawsze jest niezawodnym tematem zastępczym.

– Technikum. Skończę i będę pomagał ojcu. Firma się rozwija. Kiedyś ją przejmę, a wtedy...

– Nie warto planować – uznała Dorota.

– Dlaczego? – obruszył się. Chciał roztoczyć przed dziewczyną wizję swojego sprytu i bogactwa, ale ten zamiar też spalił na panewce.

– Oni pewnie też planowali. – Wskazała dłonią jezioro. – I co im z tego przyszło?

– Oni, czyli kto?

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nie wiesz, że przed wojną była tutaj niemiecka wieś?

– Mieszkamy w Kolonii od niedawna – usprawiedliwił się. – Co się stało z tą wsią?

– To, co widzisz. Woda ją zalała. Leżała tam, gdzie pływa ten człowiek na łódce. Widzisz go?

Mirek przyjrzał się uważnie.

– To ten kulawy dziwak ze wzgórza? – upewnił się. – Skąd wiesz, że jest tam, gdzie była wieś?

– Zawsze tam wypływa. W to samo miejsce.

– No i co?

– Myślę – powiedziała Dorota, zniżając głos – że on czegoś tam pilnuje. To musi być jakaś straszna tajemnica.

– Eee, bajek się naczytałaś. – Mirek machnął ręką. Nie lubił takich klimatów. Drwił z nich i mówił, że to zabobony, ale w głębi duszy po prostu się bał. – Tacy pomyleńcy jak on – kiwnął głową w stronę jeziora – nie mają żadnych tajemnic.

– Nie mów tak. Mój tato powiedział, że to dobry człowiek. Tylko samotny.

Mirek nie zareagował. Miał już serdecznie dość tej randki. Po co ja się z nią dziś umówiłem? – zastanawiał się. Nie dała się pomacać, zaczęła latać po parku jak głupia gówniara, a teraz zasuwa mi drętwą gadkę o zatopionej szwabskiej wsi i wariacie na łódce.

Dorota miała dopiero piętnaście lat, ale kobieca intuicja podpowiedziała jej, że dalsza rozmowa o samotniku ze wzgórza zupełnie zniechęci do niej Mirka. Odwróciła się więc i pocałowała go w policzek. Bardzo blisko ust.

– Jak chcesz – zmieniła temat – to możesz mnie zaprosić na lody. Sklepowa mówiła, że dziś mieli przywieźć.

●

Szczupły, piegowaty wyrostek stanął przed pniem buku w dawnym parku pałacowym i twarz stężała mu z gniewu. Najchętniej wróciłby tu z jakimś ostrym narzędziem i zniszczył serce wycięte w korze, ale potrafił zachować zimną krew. Niczego by to nie dało poza przyznaniem się do winy. Wszyscy w szkole wiedzieliby, że to on.

Kochał się w Dorocie od dwóch lat.

Niestety. Wolała paniczyka w dżinsach kupionych przez tatusia prywaciarza. Nie mógł jej tego wybaczyć, ale złość i zazdrość zatruwające mu życie to jeszcze za mało, aby wybić sobie Dorotę z głowy. Sam więc wydał na siebie wyrok. Rozdarty między nienawiścią a miłością snuł się za tamtymi po Kolonii jak duch z poezji Mickiewicza, którą przerabiali na lekcjach polskiego.

Sytuacji nie ułatwiał fakt, że Dorota naprawdę go lubiła. Chwalony przez nauczycieli za solidność, zawsze był przygotowany do lekcji i nieraz jej po-

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

magał. Tłumaczył algebrę, podpowiadał, nawet podrzucał ściągi robione specjalnie dla niej. Dużo czytał, a w kiosku otwieranym w niedziele prenumerował „Małego Modelarza” – sklejał z papieru statki, samoloty i makietę Zamku Królewskiego, który właśnie odbudowywano w Warszawie.

Dorota uważała go za bardzo zdolnego i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego z woli rodziców ma iść do zawodówki i zostać tokarzem albo spawaczem. Uznawała to za rodzaj marnotrawstwa i żal jej było tego ponurego odludka wytykanego palcami, gdy na długich przerwach stał przed szkolnym sklepikiem wpatrzony w witrynę z pączkami, choć nigdy sobie pączka nie kupił. Koleżanki twierdziły, że jest sknerą i koszmarnym nudziarzem, niemającym za grosz gestu i fantazji Mirka. Ale im ściąg nie podrzucał.

Tymczasem piegowaty chłopak wyszedł z parku i ruszył w stronę jeziora jak pies podążający za tropem. Minął drogę, betonowymi schodami wiodącymi najpierw w górę, a potem w dół pokonał wał i znalazł się na deptaku.

Pary uwiecznionej w bukowej korze już nie było, ale do brzegu akurat przybijała łódź samotnika ze wzgórza.

Chłopak podszedł bliżej i stąpając po kamieniach, aby nie zamoczyć butów, chwycił dziób krypy.

– Niech pan przejdzie na rufę, to wyciągnę łódź na piach – zaoferował.

Szymura bez słowa przeniósł się na tył, co zmieniło środek ciężkości i pozwoliło przesunąć łódkę na tyle daleko, że mógł po chwili wysiąść z niej suchą stopą.

– Dziękuję ci, synek – powiedział.

– Proszę, panie Szymura.

Mężczyzna przyjrzał się piegowatemu chłopcu uważniej.

– Znasz mnie?

– Wszyscy pana znają.

– A ty kto jesteś?

– Krystian.

– Miejscowy? – zainteresował się Achim.

Chłopak wskazał głową jezioro.

– Dziadek miał kuźnię w Weissdorfie.

– Poliwoda?

Krystian skinął głową.

– Oni wyjechali do Reichu – skwitował Szymura.

– To prawda. Pod koniec wojny uciekli przed Ruskimi i tam pomarli. Ale mój ojciec wrócił. Źle się czuł w Niemczech. Jak przyjechał z powrotem do Polski, to napisali o nim w gazecie i dali pracę w tartaku.

Joachim Szymura nie skomentował. Rozejrzał się dookoła, jakby chciał sprawdzić, czy pozostawiona tu łódź będzie bezpieczna.

– Mogę zostać i popilnować – domyślił się Krystian.

– Dobry z ciebie synek. Idę tylko do sklepu. Zaraz będę.

– Poczekam.

Achim skinął głową i pokuśtykał w stronę wału, aby za chwilę wspiąć się na schodki.

Wrócił pół godziny później.

Krystian oparty o burtę wyprostował się, odebrał siatkę z zakupami i podał ją z powrotem, gdy tamten wsiadł do łodzi.

– Panie Szymura – zaczął nieśmiało, gdy samotnik ze wzgórza ujął wiosła i poprosił go o zepchnięcie łódki na wodę. – Czy mógłby pan nauczyć mnie łowić ryby?

Achim spojrzał na niego zaskoczony.

– A po co ci to umieć?

Chłopak nie spodziewał się tego pytania.

– Bo... Bo to bardzo mi się podoba. Można poznać zwyczaje ryb, no i... ja lubię spędzać czas sam, bez ludzi.

Szymura chciał odmówić, ale było w tym chłopaku coś... Nie nosił długich włosów, upodabniających jego rówieśników do ludzi jaskiniowych, nie ubierał się cudacznie i nie pozował na hipisa. Poza tym był stąd, z rodziny, której korzenie wyrosły w Weissdorfie. Jezioro i mieszkające w nim ryby stanowiły poniekąd jego dziedzictwo.

– Wędkę masz? – spytał.

– Nie. Ale na początek wytnę sobie z leszczyny.

– Szkoda drzewa – stwierdził Achim. – Pożyczę ci jedną z moich. Przyjdź w sobotę zaraz po wschodzie słońca na pomost, przy którym trzymam łódkę. Wiesz gdzie?

Chłopak energicznie pokiwał głową. Wyglądał na szczęśliwego.

●

Jezioro o świcie było nieruchome jak tafla szkła i tak ciche, że każdy ruch wioseł wydawał się Krystianowi bezczeszczeniem świętego spokoju natury.

Szymura nie miał takich rozterek.

Pochylony na ławce łodzi pracował nad kolejną ze swoich tajemnic. Tym razem była to przynęta na sandacza. Kogut – tak ją ochrzcił. Składała się z niewielkiej ołowianej kulki, w której zatopił ramię długiego haczyka. Teraz obkładał je kawałkami piór bażanta zebranymi przez Krystiana pod lasem i owijał czerwoną przędzą. Taki wynalazek, umiejętnie prowadzony tuż nad dnem, imitował ruch rannej rybki. Drapieżnik uznawał ją za łatwą zdobycz i atakował nawet wtedy, gdy nie był głodny.

Od kilku lat zbiornik retencyjny w Kolonii umacniał swoją sławę najlepszego jeziora sandaczowego w Polsce. Amatorzy spinningu przyjeżdżali tu z najdalszych zakątków kraju, aby zmierzyć się z pasiastym drapieżnikiem, co kończyło się różnie. Tym, którzy mieli fart, udawało się złowić piękne okazy, ale reszta wracała do namiotów rozbitych nad brzegiem „o pustym kiju”. Gotowali wodę na herbatę na kuchenkach turystycznych, zerkali z irytacją na bezużyteczne patelnie i otwierali na kolację puszki ze szprotkami w pomidorach.

Samotnik ze wzgórza nie lubił przybyszów. Krzywił się na widok ich wymyślnych wędkarskich kamizelek z niezliczoną ilością kieszeni, płóciennych kapeluszy obwieszonych odznakami, dmuchanych pontonów, wędek i przynęt sprowadzanych z Zachodu za ciężkie pieniądze. Gardził ich napuszeniem, wyższością i przechwałkami.

Krystian był kiedyś świadkiem, jak dwóch facetów wystrojonych i wyposażonych jak manekiny na wystawie niemieckiego sklepu wędkarskiego kpiło z Szymury, jego starej krypy, bambusowych wędek i przedpotopowych kołowrotków.

Wszystko działo się na nabrzeżu tuż przy deptaku. Paru przechodniów przystanęło, żeby zobaczyć, jak Achim zareaguje, ale on w milczeniu pakował swój sprzęt do łodzi.

– Jak już ta stara balia nabierze wody – zagadnął jeden z mistrzów spinningu – to krzycz pan. Przypłyniemy na ratunek – obiecał i wskazał dłonią swoją zgrabną łódź z silnikiem spalinowym.

Szymura spojrzał spode łba i też wyciągnął rękę.

– Widzi pan ten kiosk? – spytał, kierując wzrok w stronę budki Ruchu. – Idźcie tam i kupcie se mydło.

– Po co nam mydło? – spytał ten drugi.

– Żeby umyć ręce, jak gówno złapiecie – odparł Achim, a publiczność na deptaku ryknęła śmiechem.

Przybysze poczerwienieli z gniewu.

wyborcza.pl

• **Nowela Macieja Siembiedy „Gustaw” w odcinkach w „Gazecie Wyborczej” i na wyborcza.pl!** To część najnowszej książki pisarza pt. **„Gustaw i Gadająca żaba”** (Wydawnictwo Agora). **Premiera książki 23 września.** Też w formie e-booka i audiobooka (czyta Mariusz Bonaszewski) od **12 września na Publio.pl.**

Kolejne 4 odcinki w Wyborczej i na wyborcza.pl
• 02.09 środa
• 05.09 sobota
• 09.09 środa
• 12.09 sobota

Maciej Siembieda

• dziennikarz i pisarz. Autor m.in. cyklu kryminalnego, którego bohaterem jest Jakub Kania, oraz sagi sensacyjnej „Katharsis”, „Nemezis”, „Kairos”. Trzykrotny laureat Nagrody Wielkiego Kalibru i sześciokrotny finalista plebiscytu Książka Roku portalu lubimyczytac.pl. Powieść „Gołoborze” została nominowana w 2026 roku do Nagrody Literackiej „Nike”.

– Takiś cwany? – spytał ten pierwszy, zaciskając dłonie w pięści.

– Nie pamiętam, żebyśmy pili na ty – stwierdził Szymura.

– To wypijemy – syknął tamten. – Spotkajmy się tu o piątej po południu. Zakład o sandacza. Kto złapie większą sztukę, wygrywa litra wódki.

Achim machnął ręką, ale ludzie zgromadzeni na brzegu poczuli dreszczyk emocji.

– Pokaż im, Szymura! – krzyczeli miejscowi. – Nie daj się! Niech zobaczą, kto tu rządzi.

Samotnik ze wzgórza poczuł, jak oblewa go fala ciepła. Ludzie, których od lat wymijał na ulicy bez słowa, nagle uznali go za swojego bohatera. Liczyli na niego i w niego wierzyli. Jak w piłkarzy na zeszłorocznym mundialu.

– Dobra – powiedział. – O piątej.

Gdy tamci odpłynęli z rykiem silnika, szepnął do Krystiana:

– Wracamy do domu.

Chłopak spojrzał na niego zaskoczony.

– Wycofuje się pan?

Szymura nie odpowiedział wprost.

– Wskakuj do łódki i wiosłuj do przystani. Dwa razy nie będę powtarzał – zezłościł się nagle.

Przez najbliższe piętnaście minut siedział w milczeniu pogrążony w myślach. Od czasu do czasu spoglądał na chłopaka, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Posłuchaj, synek – powiedział wreszcie. – Ja poczekam w łódce, a ty polecisz do chałupy i przyniesiesz wędki do łowienia na żywca. Stoją w sieni. – Sięgnął do kieszeni i podał mu klucz od domu.

– Nie będziemy łapać na spinning? – zdziwił się Krystian.

– Nie. Pojedziemy w miejsce, gdzie się nie łowi.

Chłopak stężał.

– Tam, gdzie pan zawsze siedzi na łódce?

Szymura skinął głową.

– Ale przecież pan też pływa tam bez wędek. Wszyscy już wiedzą, że to miejsce zaczepów, gdzie każdy zrywa żyłkę. Nawet ci, co od niedawna zjeżdżają do Kolonii, już się zwiedzieli i omijają ten rejon z daleka.

– My żyłki nie zerwiemy – powiedział twardo Szymura.

– Jak to?

Samotnik ze wzgórza popatrzył na niego badawczo.

– Wiesz, dlaczego wszyscy mają w tym miejscu zaczepy?

Krystian przecząco pokręcił głową.

I nagle go olśniło.

– Wiem... – powiedział z miną odkrywcy. – Tam był Weissdorf, prawda?

– Tam jest Weissdorf. Jeśli wrzucisz przynętę, to zahaczysz. Jak nie o dach domu, to o ścianę. Jak nie o ścianę, to o płot. Jak nie o płot, to o jabłoń w sadzie.

– To dlaczego my nie zahaczymy?

– Bo znam w Weissdorfie każdy kąt. Rozumiesz? Pamiętam sprzed wojny. Na łódce zamykam oczy i widzę wszystko z góry, jak ptak. Ale ze spinningiem nawet ja nie dam rady prowadzić koguta między domami. Dlatego popłyniemy nad plac obok remizy i zarzucimy żywca. Tam miejsca jest dużo, nie będzie żadnego zaczepu.

Krystian słuchał w skupieniu, wpatrując się w Szymurę jak uczeń czarnoksiężnika z niemieckiej bajki, którą ojciec przywiózł z Reichu.

– Panie Szymura, mogę o coś zapytać?

– No.

– Czy tam... w Weissdorfie są ryby?

Achim spojrzał w wodę.

– Pod nami, synek, jest rybie państwo. Weissdorf to jego stolica. Tam mieszka arystokracja. Dziesięciokilowe szczupaki i sandacze, wielkie garbate okonie, karpie takie, że byś nie uniósł. Węgorze, które po wyciągnięciu z wody mogą bez trudu złamać wędkarzowi rękę.

Chłopak otworzył usta ze zdumienia.

– Nikt ich tam nie niepokoi – mówił Szymura. – Mieszkają sobie w domach, są bezpieczne i wypływają tylko na żer.

– Powiedział pan, że tam się nie łowi. Dlaczego? Przez te zaczepy?

Samotnik ze wzgórza nagle spochmurniał.

– Nie przez zaczepy. W zalanej wsi mieszka rybia starszyzna i ma mieć spokój. Tylko ja dokładnie znam to miejsce i ja tak postanowiłem. Dopuszczam cię do tajemnicy Weissdorfu, ale pamiętaj, żebyś to postanowienie uszanował.

Krystian uniósł dwa palce.

– Przysięgam – powiedział z przejęciem.

– Raz czy dwa razy w roku tam łowię – wyznał Achim. – Ale w drodze absolutnego wyjątku. Dziś jest taki dzień. Utrzemy nosa tym dwóm ciulom.

– Złapiemy coś? – ożywił się chłopak.

– Daj mi ze dwa żywce, a zobaczysz.

Wpół do piątej, otoczeni przez kibiców z Kolonii, czekali w łódce, zerkając na czterokilowego sandacza szarpiącego siatką przywiązaną do wiosła i zanurzoną w wodzie.

Ale mistrzowie spinningu, którzy zaproponowali zakład, się nie pojawili.

– Mydło przydałoby się im nie tylko do umycia rąk, ale i honoru – stwierdził Achim piętnaście po piątej. Wyciągnął siatkę z rybą i podał ją Krystianowi.

– Zabierz do domu. Niech rodzice się ucieszą z tego, że ze mną łowisz.

Chłopak spojrzał z wdzięcznością, ale zaraz cofnął rękę.

– Skoro jest mój – powiedział – to mam prośbę. Wypuśćmy go. Niech wraca do swoich.

Szymura popatrzył na niego z szacunkiem.

Dziś o świcie Krystian przypomniał sobie tamto spojrzenie i uśmiechnął się w duchu. Głęboko odetchnął rześkim porannym powietrzem, dochodząc do wniosku, że zapowiadają się najpiękniejsze wakacje w jego życiu. ●

• **Odcinek 4 – w środę 2 września**

Kraj/34446209

PREMIERA GAZETA wyborcza wyborcza.pl

GUSTAW
nowela z nowej książki
MACIEJA SIEMBIEDY

KOLEJNE ODCINKI:
• 02.09 ŚRODA • 05.09 SOBOTA
• 09.09 ŚRODA • 12.09 SOBOTA

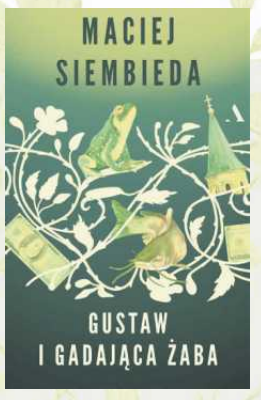

eprasa.pl c0f49db8b5

MNISZKA NA STRAŻY LODÓWKI

Żeński monastyr w Kuklen pod wezwaniem świętych lekarzy Kosmy i Damiana, jest ukryty w górach Rodopach, w okolicach Płowdiw. Pochodzi z XI wieku i słynie z uzdrawiania chorych

FOT. GETTY IMAGES

Mniszka krzyczała tak, że aż niosło się po dziedzińcu. A jeszcze przed chwilą siedzieliśmy w cerkwi i wydawało nam się, że chyba nie ma na świecie cichszego miejsca. Po tę ciszę przyjechaliśmy do monastyru w Kuklen.

Andrzej Goworski, Marta Panas-Goworska

– Jedziecie nad morze?
– Też, ale głównym celem są monastyry.
– Monastyry? W Bułgarii?
– Tak, klasztory w górach.

I zapadła cisza. Taka rozmowa z różnymi znajomymi powtarzała się kilka razy przed wyjazdem, Bo większość Polaków zna Bułgarię z all inclusive, Złotych Piasków, Słonecznego Brzegu, szopskiej sałatki, a starsi – z doskonałych wiertarek. My jechaliśmy tam, gdzie prawie nikt nie jedzie. Szukaliśmy świętości. Wyobrażaliśmy sobie, że monastyry to miejsca ciszy, porządku, duchowego spokoju. Że życie zamknięte za wysokimi murami toczy się według reguł, które chronią przed chaosem świata. Że tam, gdzie codzienność podporządkowana jest modlitwie, nie ma krzyku, niechęci, drobnych ludzkich sporów.

Chcieliśmy w monastyrach nocować, więc najpierw wysłaliśmy maile. Do Monastyru Rylskiego, do Baczkowa, do Kuklen. Pisaliśmy, że jesteśmy polskimi autorami, że podróżujemy z trójką dzieci...

Monastyry po raz pierwszy...

Pierwsze podejście było w kwietniu. Udało się nam z noclegiem w największej i najważniejszej świątyni – Monastyrze Rylskim ***(s. 32)***

Choć początkowo odpowiedź była odmowna, ale nasz prapradziadek i jego ojciec – Lew i Faust – byli duchownymi prawosławnymi na Podlasiu, więc odwołaliśmy się do rodzinnej tradycji. I wtedy nas zaproszono. Nie podano jednak informacji, jaka jest cena za nocleg. Od 1 stycznia br. w Bułgarii wprowadzono euro. Uznaliśmy, że noc w monastyrze nie może kosztować więcej niż 100 euro za dobę na nas wszystkich – i ruszyliśmy w drogę.

W połowie drogi na Nizinie Panońskiej na Węgrzech, nasz samochód się rozpadł i z autostrady do Miszkolca zjechaliśmy lawetą. Straciliśmy dwa dni i rezerwacja przepadła. W efekcie do monastyrów nie dotarliśmy, choć sam wyjazd, ze zmienioną marszrutą, udało się kontynuować. Ale to już inna historia.

...i po raz drugi

Do pomysłu wróciliśmy w połowie czerwca. Tym razem postanowiliśmy polecieć do Sofii samolotem i tam wynająć samochód. Ale najpierw znów trzeba było wysłać maile.

Monastyr Rylski już nie odpowiedział, ale przyszła wiadomość z drugiego co do wielkości monastyru Bułgarii, z Baczkowa.

Napisali: „Możete ostatsja w monastyr, cena na krowat – 30 ewro. Jesli reszite prijti, to nado do 24.07.2026g. poskolku s 24.07 budiet gruppa dietej i swobodnych nomierow nie budiet. Pozdrawlajju!”. Czyli: „Możecie zostać w monastyrze, cena za łóżko – 30 euro. Jeśli zdecydujecie się przyjechać, to trzeba do 24 lipca 2026, ponieważ od 24 lipca będzie grupa dzieci i wolnych pokoi nie będzie. Pozdrawiam!”.

Nie wiadomo, czy za jedną osobę, czy za dwoje dorosłych, czy za pięcioro, ale jeśli czytać literalnie – to 150 euro za jedną noc dla całej rodziny. Cena, która nas nieco zmroziła.

Przyszła też odpowiedź z żeńskiego klasztoru w Kuklen. Majka, czyli matka Anastazija wysłała SMS: „Za 18 i 19 juli. Zapowjadajte!” („Na 18 i 19 lipca. Zapraszamy!”). Podziękowaliśmy. Wysłała emotkę uśmiechniętej buźki. Ile ten nocleg może kosztować, już nie drążyliśmy. Na pewno nie więcej niż w Baczkowie.

Mamy plan i ruszamy w drogę...

Do Sofii przylecieliśmy 13 lipca. Na lotnisku odebrał nas busik i zawiózł do firmy wynajmującej samochody, gdzie przesiedliśmy się do siedmiomiejscowego Opla (niemal nowy, 5 tys. km przebiegu, automat i mnóstwo wskaźników). Koszt wynajęcia na 8 dni – nieco ponad 600 euro, plus depozyt 250 euro. Byłoby taniej, gdybyśmy wybrali podstawowe ubezpieczenie, ale wtedy trzeba drżeć o każdą rysę. Spokój ważniejszy, zwłaszcza że czekała nas podróż w nieznane i nieznanymi drogami.

W kukleńskim klasztorze mieliśmy być za cztery dni, więc po drodze postanowiliśmy zwiedzać mniejsze monastyry – jeździć od jednego do drugiego i mieć nadzieję, że uda się w którymś zatrzymać na noc. A jeśli nie, to na wszelki wypadek wyszukaliśmy sobie jakieś noclegi na znanym portalu rezerwacyjnym.

I ruszyliśmy w stronę Wielkiego Tyrnowa, dawnej stolicy Drugiego Królestwa Bułgarskiego, wokół którego znajduje się prawdziwe zagłębie mniej znanych monastyrów.

Kapinowo

Na początek Kapinowski, bo jego nazwa kojarzyła się nam z Puszczą Kampinoską, którą szczególnie lubimy.

Leży u podnóża Starej Płaniny, w jej wschodniej części zwanej poetycko Bałkanem Eleny. To męski monastyr pod wezwaniem św. Mikołaja Cudotwórcy. Z inskrypcji wiadomo, że w 1272 r., za panowania cara Konstantyna Ticha, wzniesiono tu świątynię Świętej Trójcy. Sam monastyr jest jednak starszy i najpewniej powstał za panowania bułgarskiego cara Iwana Asena II (1218-1241).

Zaparkowaliśmy na pustym placyku, weszliśmy przez otwarte wrota i... Wow!. „Chcemy tu zostać”! Wokół dziedzińca na pierwszym piętrze ciągnęły się drewniane krużganki oplecione winoroślą i kwiatami. Pośrodku stała niewielka cerkiew. No i koty. Skwar lał się z nieba, grubo ponad 30 stopni, więc szukały chłodnych zakamarków. W sumie kilkanaście. Wszystkie bacznie nas obserwowały. Dzieci od razu poczuły, że to jest dobre miejsce – zaczęły je liczyć, nadawać imiona i próbowały głaskać.

Wyszedł do nas mężczyzna ok. 60-tki, o chłopięcej, choć pooranej zmarszczkami twarzy. Nie miał na sobie ani szaty duchownej, ani krzyża, wyglądał raczej na osobę świecką. Przywitał nas i przeszedł na angielski i jakby bawił się własnymi słowami.

– Aha... szukacie noclegu? Aha... pójdę zapytać... aha... Z dziećmi? Pięcioro?

I wtedy chyba popełniliśmy błąd. Andrzej powiedział, że piszemy o monastyrach, jedziemy od klasztoru do klasztoru i ostatecznie zmierzamy do Monastyru Rylskiego. Dziś wydaje nam się, że właśnie wtedy spoważniał. Odpowiedział jeszcze: „Tak, tak, trzeba zapytać”, ale jego głos nie brzmiał już tak beztrosko.

Mężczyzna wrócił po kilku minutach.

– Sori... nie możemy was przyjąć. Nie mamy miejsc. Będziemy mieli gości. Następnym razem trzeba wcześniej się kontaktować.

Miejsce wyglądało na puste, ale nie mogliśmy kwestionować jego słów. Na odchodne polecił camping nad rzeką z wodospadem i basenem. Zapewniał, że tam na pewno coś będzie.

Niestety było miejsce tylko na namiot. Domki i przyczepy były zajęte, a namiotu nie mieliśmy. Ale usłyszeliśmy, że w okolicy są jeszcze inne monastyry i tam warto popytać.

Płakowo

Drogowskaz wskazywał szutrową drogę do Płakowskiego Monastyru św. Eliasza Proroka. Na Podlasiu kult tego świętego jest wyjątkowo żywy, więc zajechaliśmy pełni dobrych przeczuć. Kamienny budynek, inny niż poprzedni. Nie było zamkniętego dziedzińca ani krużganków, za to nad klasztorem powiewała bułgarska flaga. Wszystko wydawało się surowe, bardziej dzikie, niemal puste. Skojarzył się nam ze

eprasa.pl c0f49db8b5

średniowiecznym kościołem, jaki widzieliśmy w Oksfordzie.

Na spotkanie wyszły tym razem nie koty, lecz dwa stare, wielkie psy: czarny dog i potężny pies pasterski. Wyglądały na spokojne, rozleniwione upałem, ale... Marta i dzieci zostały w aucie, a gospodarzy poszedł szukać Andrzej.

Zza drzwi wyjrzał wysoki, postawny mężczyzna w świeckim ubraniu. Nie mówił po angielsku, ale rozumiał rosyjski. Andrzej zapytał o nocleg i wskazał ręką na budynek i dodał po bułgarsku „tuka", czyli „tutaj".

– Tuka nie ma – odpowiedział, ale zasugerował, że w nieodległym żeńskim Patriarszym Monastyrze Świętej Trójcy będą mieli miejsca.

Był spokojny i życzliwy. Ruszyliśmy więc na poszukiwanie zakonnic od Świętej Trójcy.

Najtańszy hotel na świecie

I wtedy się pogubiliśmy. W bułgarskim interiorze wariują Mapy Google'a, trochę jak kiedyś w Polsce. Za to dobrze działała fabryczna nawigacja w wynajętym aucie tylko, że punkt docelowy trzeba było wpisać cyrylicą lub idealnie trafić z transliteracją. Nam się nie udało.

Słońce chowało się za górami, dzieci były już zmęczone a my krążyliśmy wokół Wielkiego Tyrnowa. Raz nawet minęliśmy jakiś nieznany wcześniej monastyr. Wyglądał jak długi i wysoki mur z niewielkimi oknami. Pukaliśmy do bramy. Wołaliśmy, kilka okien było uchylonych, ale nikt nie otworzył.

W końcu po zmroku trafiliśmy do Debelca – miasteczka, które mimo późnej pory tętniło życiem. Znaleźliśmy hotel Corona. Internet podpowiedział, że zatrzymują się w nim głównie motocykliści jadący z Polski do Turcji oraz robotnicy pracujący w okolicznych zakładach.

Właściciel-recepcjonista, oznajmił po rosyjsku z niejaką dumą, że to „najtańszy hotel na świecie". Wynajęliśmy dwa pokoje za 50 euro łącznie. Ale to nie cena sprawiła, że zostaliśmy.

Wokół ciągnęły się domki z sadami. W gorącym wieczornym powietrzu unosił się zapach śliwek, jabłek i gruszek – częściowo jeszcze na drzewach, częściowo już gnijących w wysokiej trawie. Ta woń przeniosła nas do dzieciństwa, bo oboje wakacje spędzaliśmy wśród takich sadów. To ten zapach i późna pora sprawiły, że zostaliśmy w Coronie.

Z balkonu mieliśmy widok na most – kamienny, łukowy, zbudowany w 1862 r. przez ucznia słynnego bułgarskiego budowniczego, Kolju Ficzeto. Na nim, jak w powieści Ivo Andricia, toczyło się późnowieczorne życie towarzyskie. Zajrzeliśmy do internetu: most wzniesiono w miejscu starszej przeprawy sprzed ponad 300 lat. Legenda głosi, że ówczesny zarządca miasteczka, turecki bej, powiedział architektowi, że zetnie mu głowę, jeśli most się zawali. Czy dotrzymał słowa? Nie wiadomo.

Znaczenie monastyrów

Są dla Bułgarów czymś więcej niż miejscami modlitwy. Kiedy w 1393 r. upadło Wielkie Tyrnowo, a kraj na blisko 500 lat znalazł się pod panowaniem osmańskim, właśnie monastyry przejęły rolę państwa, którego nie było. To w nich przetrwał język, pamięć historyczna i kultura. Tu przepisywano księgi, przechowywano ikony i rękopisy, dokumnety i kosztowności,uczono czytać i pisać po bułgarsku.

Największym z nich był Monastyr Rylski – założony w X w. przez św. Jana Rylskiego, duchową ikonę Bułgarii. Dziś jest wpisany na listę UNESCO, ale dla Bułgarów to przede wszystkim świadectwo, że nawet w najciemniejszych czasach da się zachować światło.

W czasie niewoli osmańskiej w monastyrach ukrywali się powstańcy i ludzie z różnych powodów ścigani przez władze. To tutaj rodziło się bułgarskie odrodzenie narodowe. W pewnym sensie przez kilka stuleci monastyry były rozsianymi po górach stolicami Bułgarii. Ta rola nie skończyła się wraz z odzyskaniem niepodległości (22 września 1908 roku)

Dla wielu Bułgarów są nie tylko miejscami pielgrzymek, ale też rodzinnych świąt. W wielu można zatrzymać się na noc, porozmawiać z mnichami czy mniszkami, uczestniczyć w nabożeństwach albo po prostu pobyć kilka dni w ciszy. Są też monastyry, do których ludzie przyjeżdżają głównie po zdrowie. Woda ze świętego źródła, cudowna ikona czy uzdrawiające relikwie dla wierzących – nie tylko prawosławnych, ale też ludzi innych wyznań chrześcijańskich – są tak samo ważne jak modlitwa.

FOT. NATEJ STRONIE WŁADYSŁAW GOWORSKI (3)

• **Jedna z naszych córek pomaga ogrodniczce z klasztoru w Kuklen podlewać rośliny. Woda jest tu skarbem, bo monastyr jest znany ze swojego leczniczego źródła**

• **Cerkiew, której znajdują się relikwie świętych Kosmy i Damiana, i ich cudowna ikona**

• **Dzwony na tarasie z widokiem na Rodopy prośnięte dębowymi i bukowymi lasami**

Dlaczego Kuklen?

Nam najbardziej zależało na wizycie w Kuklen. To żeński monastyr ukryty w górach i lasach Rodopów, ok. 15 km od Płowdiw. Rylski ma ponad 1000 lat historii i jest symbolem całej Bułgarii. Kukleński jest mniejszy, ale jego dzieje też sięgają średniowiecza. Powstał w XI wieku, na miejscu, które uznawano za święte na długo przed pojawieniem się chrześcijaństwa. Najpierw było tu trackie sanktuarium, później rzymskie miejsce kultu i uzdrowisko. Od blisko 2000 lat ludzie wspinają się na tę górę z tymi samymi prośbami – o zdrowie, o ulgę w cierpieniu, o nadzieję.

Patronami monastyru są święci barcia lekarze Kosma i Damian, którzy wg tradycji leczyli ludzi za darmo. Na Bałkanach nazywa się ich Świętymi Wraczami, czyli lekarzami, zaś sam Kukliński Monastyr – Świętym Wraczem.

I właśnie na balkonie w „najtańszym hotelu na świecie" czytaliśmy artykuł polskiej antropolożki Magdaleny Lubańskiej z Uniwersytetu Warszawskiego o niezwykłych dziejach Kuklen. Od pokoleń pielgrzymi przyjeżdżają tu do słynnych żelaznych łańcuchów, którym przypisuje się moc uzdrawiania. Jak pisała Lubańska, „praktyki samouzdrawiania z użyciem łańcucha wywołały kontrowersje. Toczy się wyraźna walka o władzę nad fizyczną i symboliczną przestrzenią monastyru". Z jednej strony stoją opiekunowie – biskup i mniszki, dla których to zabobon, z drugiej pielgrzymi i lokalni przywódcy religijni, w tym wyznawcy ezoterycznego ruchu deunowian i dla nich łańcuch jest nośnikiem uzdrawiającej mocy.

Do Kuklen przyjeżdżają też ludzie związani z Babą Wangą, zmarłą w 1996 r. mistyczką, która w Bułgarii do dziś cieszy się ogromnym autorytetem, choć Kościół Prawosławny traktuje jej kult z nieufnością.

Kuklen – przyjazd

Jechaliśmy w górę. Skwar, 36 stopni, ale temperatura spadła wraz z wysokością do bagatela 28. Wąska droga wśród drzew – pierwotna puszcza górska, jedna z nielicznych w Europie, jak doczytał Andrzej. Z daleka widać kamienny budynek i jego solidne mury. Było koło godz. 14 i brama na oścież otwarta witała przyjezdnych. W cieniu kilkunastu pielgrzymów, przy drodze wężyk aut. Nieopodal mała restauracja.

Pierwsza osoba, którą spotkaliśmy, była kobieta w letniej sukience. Niewątpliwie związana z klasztorem, ale nie mniszka. Rozmawialiśmy po angielsku. Stwierdziła, że nie wie, czy będzie nocleg. Wtedy pokazaliśmy jej SMS-y od matki przełożonej. „Idę po osobę kwaterującą" – powiedziała.

Po kilku minutach z krużganka zeszła zakonnica, której trudno byłoby nie zauważyć. Bardzo wysoka, szczupła, z zabandażowanym palcem wskazującym i spojrzeniem osoby przyzwyczajonej do wydawania poleceń. Zaczęliśmy rozmawiać po angielsku, ale szybko okazało się, że i ona, i my wolimy mówić po rosyjsku. Poprosiła o paszporty. Andrzej poszedł po nie do auta. Dzieci szukały kotów, bo i tu było ich pełno, a Marta spojrzała na telefon zakonnicy z różnymi aplikacjami na ekranie. Ten szczegół dopiero później nabrał znaczenia.

Powiedziała, że za nas wszystkich za dobę zapłacimy „26 lewów od dorosłej osoby, czyli 52 lewy". Bułgarski lew to waluta wycofana już z obiegu, bo obowiązuje tylko euro, ale wciąż wiele osób podaje ceny po staremu. Po przeliczeniu to 26 euro. W porównaniu z poprzednimi noclegami – kwota symboliczna. Zapłaciliśmy dwa razy tyle i poprosiliśmy, żeby różnica była ofiarą na klasztor.

Wielka mniszka zaprowadziła nas na pierwsze piętro, na krużganek. Poinformowała, że nie można robić zdjęć w cerkwi, nie wolno wchodzić na mały krużganek, gdzie przebywa matka przełożona. Na końcu naszego krużganka otworzyła drzwi do pokoju. Pięć łóżek, biała, pachnąca pościel, toaleta, czysto. Mury grube na metr, na wielkim parapecie można spokojnie spać. Dzieci od razu zaczęły sprawdzać, które łóżko, jest najwygodniejsze, a syn stwierdził, że „to lepsze niż niejedne wakacje".

Awantura pierwsza

Mniszka powiedziała, że nie możemy liczyć tutaj na wyżywienie, więc albo zjemy w restauracji przy klasztorze, albo zrobimy sobie zakupy w pobliskim miasteczku Kuklen.

Byliśmy pewni, że potem będziemy mogli zakupy włożyć do lodówki w kuchni. Zjechaliśmy w dół stromą drogą między odwiecznymi lasami, mijając pielgrzymów lub turystów rozpalających grille – narodowy sport Bułgarów, i ze sprawunkami i wróciliśmy do monastyru.

Cztery mniszki (bo tyle ich tu jest) w zadaszonej altanie jadły obiad. Był jeszcze mężczyzna, chyba ich kierowca oraz dwie świeckie kobiety – młodsza, trzydzieścikilkalat, w letniej sukience i przygarbiona siedemdziesięciolatka, ogrodniczka. Mała przy wspólnym posiłku.

Nie chcieliśmy im przeszkadzać i Andrzej poszedł do kuchni, żeby zostawić jedzenie. Była spora, dobrze wyposażona. W lodowce naczynia zaślepione folią – jakieś różne farsze. I grzyby boczniaki. Andrzej wcisnął nasz prowiant, a do zamrażarki worek z kostkami lodu.

I nagle wpadła ta wielka. „Nie triabwa! Nie triabwa!" – Nie wolno! Nie wolno! Krzyczała, że nie możemy korzystać z kuchni. Andrzej przeprosił i otworzył lodówkę, żeby zabrać rzeczy.

eprasa.pl c0f49db8b5

A ona krzyczała jeszcze głośniej, że nie może otwierać, ale zmitygowała się, kiedy zobaczyła, że zabiera rzeczy. I bez słowa, schylając pod niską framugą, wyszła przez zasłonę z koralików jak w kuchni naszych babć. Byliśmy w szoku.

Popołudnie na dziedzińcu

Siedzenie w pokoju to nie był dobry pomysł. Nasza średnia córka bardzo chciała wyjść i głaskać koty, więc wyszliśmy rozglądając się, czy nie ma gdzieś strasznej mniszki. Monastyr ogrodzony jest murami i niczym warownia ma kilka poziomów: górny zamek i dolny oraz coś w rodzaju parku, gdzie jest cerkiew.

I tam spotkaliśmy kolejną zakonnicę, tym razem uśmiechniętą. Zapytaliśmy o hasło do wi-fi. „Tylko matka przełożona ma dostęp do sieci i nikomu nie daje" – odpowiedziała po angielsku. Pokazała swoją komórkę z małym ekranem. „Mam taki i wystarcza", i wróciła do podlewania roślin. Wtedy przypomnieliśmy sobie, że aplikacje wielkiej zakonnicy potrzebują internetu. A więc są tu równi i równiejsi.

Siedzieliśmy na ławce w cieniu buka, a nasz synek pomagał życzliwej zakonnicy w podlewaniu. Zapraszała nas na poranną mszę: przyjedzie batiuszka, ksiądz prawosławny, i od godz. 8 się zacznie. Zaproponowała też, żebyśmy zaszli do cerkwi jeszcze tego wieczorem. Pytała, czy jesteśmy wierzący – odpowiedzieliśmy, że Marta tak, a Andrzej nie. „Nabożeństwo jest „ważniejsze niż podlewanie roślin" – śmiała się. Dziewczynki próbowały złapać kota, a ten motyla.

Bramy wciąż były otwarte, choć godz. 18 dawno minęła i po monastyrze nadal chodziło kilka osób m.in. kobieta w niebieskiej sukience. O tej porze zaczynały się modlitwy w cerkwi i Andrzej z dziećmi poszedł do świątyni.

Modlitewny trans

Cerkiew w składa się z dwóch kwadratowych pomieszczeń. Pierwsze otoczone jest ławami z poduszkami, nieco na turecką modłę i ma minisklepik ze świecami. Na ścianach ikony i dwie warstwy fresków, oraz wyryte na nich napisy – głównie imiona ludzi, zapewne to podpisy wandali z czasów komunistycznych. Druga część to właściwa świątynia – pewnie tam znajdują się owe sławne łańcuchy, ale bijemy się w piersi, nie widzieliśmy ich. Dwie mniszki (w tym ta wielka i groźna)siedziały na ławie, a trzecia czytała Pismo Święte, kłaniając się i powtarzając: „Gospodi pomiłuj, Gospodi pomiłuj" czyli „Boże zmiłuj się". Półmrok – nad pulpitem lampka do czytania, blask świec i sączące się przedwieczorne światło z małych okien. Usiedliśmy na schodach i na dobre 10 minut daliśmy się ponieść rytmom modłów.

Weszedł ktoś nowy. Po stroju odgadliśmy, że to majka Anastazija, matka przełożona. Jakieś 60 lat, spokojna twarz, ale władczy głos. Nałożyła na ramiona czarny szal i kontynuowała czytania Pisma Świętego. Do tej części cerkwi weszła też kobieta w niebieskiej sukience, ale jedna z zakonnic dała jej znak, żeby wyszła. Okazało się, że byliśmy na specjalnych prawach. Dzieci zaczęły się kręcić. Pół godziny w jednym miejscu w skupieniu to i tak wyczyn.

Dzień dobry!

Wymknęliśmy się cicho i szliśmy do pokoju. Pierwsze schody, drugie schody i nagle... „dzień dobry". Andrzej wyjrzał przez balustradę i dostrzegł kobietę w niebieskiej sukience.

Powtórzyła „dzień dobry". Po polsku.

– Ja was znam. Ty jesteś Andrzej, a ty Marta, córka nieżyjącego profesora Panasa.

Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

– Mam na imię Anna, byłam na waszym spotkaniu w Lublinie kilka lat temu.

– A skąd jesteś? – i odpowiedź tak zaskakująca, jak to, co dotychczas usłyszeliśmy.

– Z Czeremchy.

Czeremcha to miejscowość na naszym Podlasiu, niedaleko jest zalew Repczyce, nasz lokalny atol, gdzie lubimy spędzać lipcowe dni. Przez chwilę czuliśmy się tak, jakby to działo się właśnie tam nad piaszczystym brzegiem. Ale może niekoniecznie był to aż tak wielki przypadek. Podlasie także jest ziemią klasztorów, cerkwi i w jakiś sposób bliżej jest z Kuklen do Bielska Podlaskiego, a zwłaszcza na Grabarkę, gdzie także jest żeński klasztor i Góra Krzyży – niż wskazywałaby to mapa.

Zdążyliśmy jeszcze wymienić się numerami telefonów, kiedy rozległ się podniesiony głos wielkiej zakonnicy.

Wielka kłótnia

Wyszła z cerkwi chyba żeby dopilnować zamknięcia bramy. Była godz.18.40. Krzyczała na ogrodniczkę, żeby natychmiast zamknąć wierzeje i władczo wskazała Annie drogę do wyjścia. Żeby nie wchodzić jej w drogę, zniknęliśmy, ale słyszeliśmy jeszcze jak krzyczała na mężczyznę. Wyłowiliśmy słowo „Poljaci!"(„Polacy!"). Pewnie winiła nas w jakiś sposób za to, że brama nie została zamknięta.

Ale wielka mniszak nie chciała się uspokoić i jej ofiarą padła teraz ogrodniczka. Miotała się po dziedzińcu i grzmiała jak góra strząsająca z siebie lawinę. Krzyczała, że źle podlewa rośliny. Po czym zniknęła.

– Czy możemy pomóc – Marta zapytała ogrodniczkę. Ta skinęła głową, a córki rzuciły się na szlauch. Na zmianę podlewały rośliny na dziedzińcu i później na wyższym poziomie.

I to był piękny czas – wydarzenia uspokoiły się. Ogrodniczka zmęczona siadała obok na ławeczce. Raz podszedł też mężczyzna, wziął końcówkę węża i napił się prosto ze strumienia. Z namaszczeniem. I dziś myślimy, że woda w monastyrze, także ta do podlewania jest święta. Kiedy się odwrócił dziewczynki oblały go szlauchem. Śmiech zagościł na dziedzińcu i poczuliśmy, że w monastyrze jest też radość.

Rośliny po skwarnym dniu odżywały. Grały koniki polne, głośno śpiewał ptak na krużganku majki Anastaziji. Słońce zaszło za góry i świat wydawał się być niemal doskonały.

Do czasu. Zakończyliśmy podlewanie i około godz. 21 poszliśmy na swój krużganek, żeby posiedzieć już razem. I wtedy wybuchła najsroższa awantura. Straszna zakonnica krzyczała wielkim głosem, kłóciła się tym razem z mężczyzną, który odgryzał się jej, pokrzykując, ale wszedł na piętro i schował się w swoim pokoju, trzaskając drzwiami. O co poszło, nie wiemy.

Zamknęliśmy się u siebie, a rano szybko wyjechaliśmy.

„Tak pięknie, jak strasznie"

W samochodzie było cicho. Dzieci, zmęczone wrażeniami, drzemały jeszcze na tylnym siedzeniu. W Bułgarii szukaliśmy świętości. I w pewnym sensie znaleźliśmy. Ale nie takiej, jakiej się spodziewaliśmy. Nie we freskach, nie w ciszy modlitwy, nie w łańcuchach, o których tyle słyszeliśmy, a których nie widzieliśmy. Znaleźliśmy ją w czymś zupełnie innym.

Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej pod Płowdiwem i Marta powiedziała:

– Było tak pięknie, tak naprawdę pięknie, że zapierało dech w piersiach. A jednocześnie – nie często używam tego słowa, tam była po prostu zła energia. Tak pięknie, jak strasznie.

Miała rację. Miejsce przepiękne – kamienne mury, bujna zieleń, zapach kadzidła, dzwony, które wysokim dźwiękami zdawały się przeganiać wszystkie złe myśli. A jednocześnie czuło się napięcie.

Paradoksalnie dzięki temu napięciu zobaczyliśmy coś, czego nie ma w idealnym monastyrze, gdzie wejścia są biletowane. Ludzi. ●

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Monastyr Rylski – narodowy skrab Bułgarii

Jest najważniejszym klasztorem prawosławnym w Bułgarii i jednym z najcenniejszych zabytków na Bałkanach. Dla Bułgarów jest jak Jasna Góra dla Polaków – najważniejszym miejscem pielgrzymkowym i symbolem narodowej tożsamości. Leży w malowniczych górach Riła, ok. 120 km na południe od Sofii, na wysokości ok. 1100 m n.p.m. Od 1983 roku jest na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Założył go w X w. pustelnik św. Iwan (Jan) Rylski, patron Bułgarii. Przez stulecia był najważniejszym ośrodkiem życia religijnego, kultury i piśmiennictwa bułgarskiego. W okresie panowania osmańskiego odegrał ważną rolę w zachowaniu tożsamości narodowej.

13 stycznia 1833 r. monastyr niemal doszczętnie spłonął. Odbudowano go dzięki wielkiej ofiarności Bułgarów w latach 1834-47.

FOT. GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

Jak prawie wszystkie tutejsze monastyry przypomina warowną twierdzę z wysokimi murami. Najważniejsze zabytki w tym kompleksie to:

• Cerkiew Narodzenia Bogurodzicy z czarno-białymi arkadami, krużgankami, pięcioma kopułami, przepięknymi freskami **(na zdjęciach)** oraz bogato zdobionym ikonostasem z relikwiami św. Jana Rylskiego.

• Wieża Chrela z XIV w. najstarsza część klasztoru (tylko ona ocalała z pożaru).

• Muzeum, w którym znajduje się m.in. słynny Krzyż misternie wyrzeźbiony przez mnicha Rafała.

• Biblioteka z cennymi rękopisami historycznymi.

Monastyr Rylski można zwiedzać samodzielnie lub z przewodnikiem. Obejrzenie kompleksu to 2-3 godz. Wejście na dziedziniec i do głównej cerkwi jest bezpłatne. Ale płaci się np. za muzeum i wejście na wieżę – kilka lewów. Niektóre ceny wciąż podaje się w lewach, chociaż od 1 stycznia br. w Bułgarii jest już euro. Parking przy klasztorze jest płatny i tu mamy cenę w euro – ok. 2,5-3 za samochód.

Jeśli np. mieszkamy w Sofii to monastyr Rylski jest świetnym miejscem na jednodniową wycieczkę.

Jest co prawda informacja, że Monastyr dysponuje pokojami dla pielgrzymów i turystów, ale liczba miejsc jest ograniczona (zwłaszcza latem i w czasie świąt religijnych). Jednak – jak wynika z opowieści autorów tekstu – rezerwacja jest bardzo trudna, a jeśli, tak, jak w ich przypadku np. popsuł się samochód i nie zdążyli dojechać na czas, to na kolejną nie ma szans. Choć to nie musi być reguła. Nocleg tutaj to kuszący pomysł. Gdy odjadą autokary wycieczkowe, pustoszeje i można lepiej poczuć jego wyjątkową atmosferę.

OPRAC. GRAŻYNA ŻABIŃSKA

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

ADAM MICHNIK POLECA

Idea wolności

Zaiste, wolność prawdziwy to ideał, jeśli cechą ideałów jest, że osiągnąć ich nie można.

Tadeusz Kotarbiński*

• „Personifikacja wolności", rycina z 1791 r. Twórcy: Karol Michał Gröll (1770-1857), Franciszek Smuglewicz (1745-1807). W zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Liberalizm odstawiono na boczny tor. Jedni mówią, że pójdzie do reperacji, inni – że na szmelc. Snuje on tu swe medytacje sposobem dialektycznym, wedle schematu: teza, antyteza, wreszcie synteza. Jako indywidualista· niechętny jest wprawdzie szablonom, lecz będąc skądinąd notorycznie racjonalnym i empirycznym – rad korzysta z wypróbowanego przez socjalizm rozsądnego wzorca.

Czy historia toczy się stale podobnym trybem, tego nie przesądza bynajmniej, wątpieniu raczej poddając koncepcję zbyt uproszczoną; że jednak kolejność dialektyczna będzie na miejscu w dialektyce, czyli w rozstrząsaniach, to dlań dostatecznie jasne. Akceptuje więc następstwo faz namysłu, małą jedynie wprowadzając zmianę.

Zaczyna mianowicie od negatywnej antytezy, potem zaś przechodzi do pozytywnej tezy, syntezą oczywiście kończąc. Czyż to bowiem nie naturalne, że ten i ów, zawieszony w czynnościach, docieka przede wszystkim, czemu właściwie odstawiono jego osobę na boczny tor?

GRZECHY WOLNOŚCI

Opaczne stosowanie idei

Trójca „wolności, równości i braterstwa" nie widnieje dziś na popularnych transparentach. Nikt nie idzie z tym okrzykiem na barykady. Nikt za ten właśnie kanon nie siedzi w więzieniu. Tzw. Duch – wieczny rewolucjonista ma swoje mody.

W dziedzinie pustej zabawy grano epidemicznie w „jo-jo". Teraz nikt nie gra. Podobnie bywa z prądami w dziedzinach poważnego życia. Nowy dreszcz wypiera poprzednie wstrząsy. Hasło dyktatury proletariatu, hasło faszyzmu panują nad umysłami młodej inteligencji.

Tamte nie tylko jednak wyliniały, jak futro letnie zwierza linieje przed nastaniem zimowych chłodów, by ustąpić miejsca uwłosieniu bardziej zwartemu, lecz dokuczyły niczym narowne wierzchowce. Zdyskredytowały się skutkiem opacznego stosowania. Przecież w imię równości bogacz i biedak płacą tyleż jednostek pieniężnych za dowiedzione wykroczenie, choć dla pierwszego tysiąc złotych jest niczym, dla drugiego – ogromem. I tyleż muszą składać kaucji za wypuszczenie na wolną stopę. Więc bogacz złoży ją i ucieknie sleepingiem, a biedakowi nie pozostanie nic innego, jak tylko czekać sądu na więziennej pryczy.

Braterstwo nieraz służyło do tego, by osłabiać gniew wyzyskiwanych bez poważniejszych koncesyj ze strony wyzyskujących. Z wolnością bywało podobnie. Dość ma się już wszelkiego liberum veto i wszelkiego „wolnoć Tomku w swoim dornku". Zbyt już jawnie korzystano z wolności najmu i umów w ogóle, by płacić byle co, żądać pracy, ile wlezie, wyrzucać na bruk po wyssaniu sił, zrzeszać się w trusty i łupić z konsumenta ostatni grosz.

Wolność gryzła się zresztą z równością częstokroć, niby dwie złe suki, zaprzężone do wspólnych sani, ile że równość najłatwiej się osiąga przemocą, wolności przeciwną, a wolność, prowadząc do jednego niby swobodnego startu, daje nierówność w wynikach tego startu, w sytuacjach końcowych.

Na degrengoladę wolności złożyły się nadużycia jej posiadaczy i błędy w dedukcjach z tej prostej abstrakcji na użytek zawiłej konkretności.

Negatywny charakter wolności

Ale nie one tylko zawiniły. Głębsza przyczyna tkwi w samym jądrze ideału, zawierającym pierwiastki negatywności, względności i niepraktyczności. Swobody potrzebuje ten tylko, kto skrępowany: rwać kajdany – to dobry cel... dla niewolników, a obrazy działań obronnych mniej porywają płomienną wyobraźnię niż wizje czynów zdobywczych.

Moc, bycie górą, pełnia życia, dosyt nienasyconych pożądań— to pociąga nade wszystko: rozkwit życia narodowego, potęga mocarstwa, chwała ojczyzny, socjalistyczne budownictwo, tworzenie nowego ładu, nowego wspaniałego świata – to są formuły pozytywne, sugerujące perspektywy rosnącego w nieskończoność przepychu.

Ten rodzaj opium zawiera w swym składzie substancję wolności, lecz jako składnik stłumiony i drugorzędny. Wolność została po prostu przelicytowana. Nie szuka się leków, bo się ma w sperandzie [ma się nadzieję na] eliksir wiecznej młodości.

eprasa.pl c0f49db8b5

Z samą wolnością co począć? Przypuśćmy, że ktoś już się jej dochrapał. Co mu pozostaje nadal do roboty? Czy tylko pilnować, by znowu nie stracić wolności?

Narzuca się tutaj analogia z majątkiem, a przecież byłby skarcony przez rozumnych, kto by naczelnie dążył do milionów, po to tylko co najwyżej, by sobie ich potem nie pozwolić odebrać.

Więc mają rację Niemcy, twierdząc, że ideał swobody od czegoś (Freiheit von etwas) musi być uzupełniony przez koncepcję swobody ku czemuś (Freiheit zu etwas), inaczej, że potrzebna jest wolność tylko jako swoboda od przeszkód w dążeniu do czegoś poza tym.

Nieuchronna relatywizacja

Dalej, gdy możliwe jest np. pod każdym względem zdrowie, niemożliwa jest wolność pod każdym względem. Toteż zawsze, ilekroć woła się o nią, część okrzyku, dopowiedziana lub utajona, zawiera relatywizację.

Dawniej wołano: „Precz z tyranią", mając dość rodzimej przemocy politycznej, dziś jest raczej zapotrzebowanie na samowładców, którzy by wiedli gromady ludzkie ku różnym wyzwoleniom: proletariat – z opresji posiadaczy, naród z więzów obcej niewoli.

A jak bardzo swoboda pod jednym jakimś względem kłócić się może z wolnością w innej dziedzinie, o tym poucza dobitnie jaskrawy przykład. Oto katechizm swobód obywatelskich, deklaracja praw człowieka z r. 1793, wyliczając, do czego każdy ma prawo, zastrzega, iż nikt nie ma prawa sprzedać swojej swobody. W ten sposób owa konstytucja, chcąc zapewnić człowiekowi swobodę rozporządzania sobą w przyszłości, ogranicza jego swobodę rozporządzania sobą w danej chwili.

Okazuje się bowiem, że wolność nieograniczona i pod każdym względem prowadziłaby prostą drogą do absurdu i do samounicestwienia. Ba! Przecie i ta jej miara, która została w deklaracji nietknięta, nosi w sobie zarodki takich następstw, skoro ten sam właśnie artykuł XVIII zezwala obywatelowi sprzedawać swój czas i swe usługi. Nie upłynęło od owej chwili sto lat, a rozpętała się burza robotniczego protestu przeciwko więzom powstałym z takiej swobody.

Idea wolności jest więc nie tylko negatywna i względna, lecz nadto zagrożona sprzecznością i nieuchronnie w rozpędzie swym ograniczona.

Antynomie tolerancji

Sprzeczność, absurd, niekonsekwencja – różne te nazwy oznaczają słabość tę samą. Gdybyż to była tylko wada dowodu lub wykładu! Nie, dysharmonie tego rodzaju odbijają się na energii czynu, znamionując zawodność idei jako kierowniczki działań, zdradzając jej niepraktyczność.

Oto najzłośliwszy rodzaj bakterii toczących ideę wolności. Jakkolwiek bowiem ograniczać jej zasięg, zawsze w końcu tego będzie się domagała, by tym a tym osobom zezwalano robić co im się podoba w tych a tych granicach dowolności. A więc niech sobie kapryszą nawet i dziwaczą, niechaj się zachowują źle, niechaj obstają przy błędach, jeśli tak się im właśnie podoba.

Jest to już fatalnością wolności, że można jej udzielać tylko albo za dużo, albo za mało. Dawać swobodę – to dawać możność niedobrego jej używania. Toteż dla niejednego złe użycie wolności jest dopiero rzetelnym dowodem tego, że ją posiadł naprawdę. Wtedy wiem, powiada Jaś do Stasia, że mam forsę, kiedy ją mogę puścić bez sensu. Liberał znosi tortury, jeżeli będąc przekonanym zwolennikiem pisowni uproszczonej, bez „ż" i „rz", bez „ó" i „u", bez „h" i „ch", słyszy dokoła swobodną propagandę tradycjonalizmu; ale nie zamknie stronie przeciwnej ust, choćby miał władzę po temu, gdyż liczyć się będzie z dziwną osobliwością wolności.

Bo tym się ona odznacza, że w zakreślonych przez się granicach dobru i złu udziela praw jednakich. Jej zwolennicy zakładają, że w wolnych zapasach to, co należyte, ostatecznie zwycięży lub że przynajmniej zwycięstwo nierozumu w sferze pozostawionej swobody nie dotknie celów, do których się dąży poza tym.

Lecz wolność – to wszak tolerancja, a tolerancja dla dążeń przeciwnych naszemu równa się dopomaganiu tym przeciwnym dążeniom. Czy można się zdobyć na większą niekonsekwencję czynu, na większą niepraktyczność? Można... Jeżeli się postawi kropkę nad „i" i z zasady tolerancji wysnuje dyrektywę tolerowania działań, przeciw samej tolerancji zwróconych. A przecie i takie działania cierpieć musi w pewnym dozwolonym zakresie zwolennik swobody.

Nic dziwnego, że liberalizm, ten ulubiony styl życiowy postępowej inteligencji, uchodzi za jedno ze źródeł bezwładu klerków [intelektualistów dystansujących się od polityki]. Obok wysubtelnienia, supremacji powściągów nad popędami, sceptycyzmu u oglądaczy obu stron wszelkich medali, i ów program wolnościowy przez konsekwencje najrdzenniejszej swej treści przyczynił się do paraliżu intelektualistów.

Rozproszenie wolnych monad

Więc ludzie czynu odwracają się od niego. I dorzucają do listy oskarżeń następującą jeszcze inwektywę. Inteligent, powiadają, ma skłonność do indywidualizmu. Ceni sobie nad miarę odrębność własnej osobowości, kultywuje ze specjalną pieczołowitością to, co w niej jest oryginalnego, lubi chodzić samopas, nie znosi postępowania wedle cudzych, nie wedle własnych przekonań.

Ludzie poważni nie uganiają się za pełnią życia, za wyżyciem się w pełni. Takie zapędy prowadzą prostą drogą do katastrofy, przesytu, zawodu i zbrodni

Atoli staje się jasne, że nadchodzą czasy działań zbiorowych, gdzie taki samoistnik mało do czego się przyda. Nawet by walczyć o prawa jednostki – trzeba się zbić w gromadę. Łatwiej się obejdziemy bez efektownych solistów niż bez karnych grajków, umiejących nie wypadać z taktu w orkiestrze. A niech to będzie, dajmy na to, orkiestra dział i mitraliez! Na wojnie trzeba być pionem, trzeba słuchać, wykonywać cudzą wolę. [Mitralieza – broń wielolufowa, poprzedniczka karabinu maszynowego].

Dla swobód indywidualnych tyle tylko miejsca zachować można, ile pozostawia wykonawcom do wyboru rozkaz ogólnikowy. Ano jeszcze może tyle, że wolno sobie postawić wedle uznania bombę jasnego lub ciemnego piwa – jeżeli piwo jest – kiedy już odtrąbiono i nadeszła godzina spoczynku.

Słuchajmy pilnie takich groźnych głosów i strzeżmy się lekceważenia zawartej w nich mądrości. Wojna nie tylko wywołała wstrząsy emocjonalne, lecz i nauczyła żyjących dzisiaj ludzi pewnych wyraźnych prawd socjotechnicznych.

Byłoby błędem przypisywać surowość kombatanckich wskazań jedynie, a choćby nawet przede wszystkim, brutalności uczuć. Odbył się eksperyment na wielką skalę, odbył się w rzeczywistości, a powtarzany jest ustawicznie w myślach. Ruszyły przeciwko sobie gromady ludzkie, zagrożone wzajem jak najpoważniej i zmuszone do stosowania form czynu jak najskuteczniejszych. Postarano się o realizację tych form, rozumiejąc, że bardzo ważną jest rzeczą unikanie wojny, lecz jeszcze ważniejszą – niedopuszczenie do przegranej, skoro wojna już trwa.

Ujawniły się w ten sposób w najwyższej skali napięcia, a przeto z maksymalną jaskrawością warunki nie tylko boju orężnego, ale i powodzenia wszelkiej akcji zespołowej jako takiej, niezbędne, ilekroć praca się odbywa w okolicznościach jak najbardziej utrudnionych.

Radykałowie kolektywizmu wysnuwają z tego eksperymentu morał rygorystyczny: nie ma, powiadają, miejsca na żadne wolności w wielkiej maszynie zorganizowanego zespołu: kręć śrubkę według planu i nie·pozwalaj sobie na·mędrkowanie własnym rozumem. Jeśli to dziś nie jest jeszcze dla ciebie jasne, stanie się jasne jutro.

Patrz, koncentrują się wszelkie gałęzie produkcji w wielkie wytwórnie centralne. Nawet pracownie naukowe i szkoły nabierają tego typu. Państwo obejmuje coraz więcej funkcyj i dziś już nikomu nie przychodzi do głowy podtrzymywać postulat liberałów klasycznych, którzy żądali, by nie mieszało się ono wcale do przemysłu ani w ogóle do niczego, co się nie mieści w zakresie bezpośredniej troski o bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne.

Wojsko, policja i sąd – tym miało się zajmować państwo i niczym więcej. W szczególności miało się nie wtrącać do podaży i popytu na pracę najemną. Myślano, że gdy będzie w przemyśle tak rozumiana wolność, wówczas sama konkurencja, jak w przyrodzie, doprowadzi do supremacji najlepszych pracowników i najlepszych wytworów, a na leniwych i nierozgarniętych przyjdzie kres, pożądany i zbawienny.

Ale ta doktryna załamała się z kretesem. Od państwa dziś żąda się likwidacji bezrobocia, żąda się i dostarczenia, i ochrony pracy. I nie tylko dlatego ani dlatego tylko, że wszystko ma znaczenie dla wojny, państwo wchłania wszystko, tu koleje, tam szkoły, ówdzie ziemię etc. etc., lecz i dlatego też, że racjonalizacja działań rozrastającego się społeczeństwa, żyjącego w zmaganiach z innymi, prowadzi do centralizacji, jednolitego planu, standaryzacji wszystkich działań produkcyjnych.

Samo już mistrzostwo, jako takie, zmusza do rezygnowania z ekstrawagancyj indywidualnych, polega bowiem na rzeczowości jak największej, na obiektywnym przystosowaniu czynu do materiałów i zadań, i słusznie powiedział jeden ze znakomitych szachistów, twierdząc, że im większy mistrz, tym mniejsza jest jego swoboda. A cóż dopiero, gdy mowa o całościach społecznych.

Trafnie się stwierdza malejącą miarę swobody jako charakterystykę postępu cywilizowanych urządzeń: przecież nikt na wiejskich drogach·polnych nie zabrania chodzić czy jeździć po tej czy tamtej stronie i przechodzić w poprzek, gdzie się chce; ale pięknie·by wyglądał nieuregulowany ruch·uliczny w wielkim mieście współczesnym.

Zaiste, wolność – prawdziwy to ideał, jeśli cechą ideałów jest, że osiągnąć ich nie można... Ideał w zaniku, na skarleniu, albowiem jego postulaty są nieorganizacyjne, antyorganizacyjne, destrukcyjne i coraz mniej zgodne z warunkami pracy zbiorowej. Dążymy do pełni swobody, a nie zdajemy sobie sprawy z· tego, że jedynym jej urzeczywistnieniem byłaby zupełna samotność.

Na koniec jeszcze jedno. Czy ludzkość nie doszła do wyrobienia w sobie cnót charakteru i różnych umiejętności przez borykanie się z przymusem, zwłaszcza z przymusem wywieranym przez jednych ludzi na drugich? Czym to zastąpić?

WDZIĘKI WOLNOŚCI

Bez niej przykro żyć

W obliczu tak ciężkich oskarżeń czy można jeszcze dążyć do wolności? Czy może być liberałem ktoś, kto sobie to wszystko uświadomił?

Odpowiedź brzmi, że właśnie ten tylko może być współczesnym z ducha miłośnikiem wolności, kto przy niej obstaje mimo tych wszystkich zarzutów. Kocha on wolność nie dlatego, by próżna była grzechu, lecz dlatego, że nieskończenie ponętna, a bez niej życie traci wszelki urok.

Wystawmy sobie społeczność zupełnie pozbawioną swobody. Co za koszmarny zwid! Ludzie nie przestali działać, lecz działają bez nieobliczalnych zainteresowań, jak automaty. Już nie maszyna jest przedłużeniem człowieka, tylko człowiek– sługą i naśladowcą maszyny. Wszystko dzieje się według przepisu, wszystko jest wykonaniem cudzego planu.

Codzienny tryb zajęć w koszarach, żywot maszynowy robotnika przy taśmie automatycznej, wegetacja urzędników biurowych: maszynistek, kancelistów, referentów, dają lekki przedsmak takich rozkoszy. Ale to wszystko bądź tymczasowe, bądź ograniczone w czasie i dopuszcza luzy dla wolności.

Przede wszystkim jest wreszcie fajrant i wtedy każdemu wolno się odprężyć, wolno „robić, co mu się podoba". Wielbłąd cały dzień cierpiał pragnienie, lecz pod wieczór łyknie sobie parę haustów stęchłej wody. Do tej chwili uśmiecha mu się zaharowana dusza w godzinach udręki. Ta chwila nadaje życiu wartość.

Ale niech by się ziściły marzenia pomylonych entuzjastów o przyszłym urządzeniu stosunków idealnie wydajnym. Szkoły potraktowane jako wytwórnie pracowników wyspecjalizowanych, podległe standaryzacji absolutnej. Wolność wykładania wedle przekonań, stosowanie metod indywidualnych, intuicyjnie uzasadnionych – poniechane i wzgardzone, że to niby przeżytki zapędów anarchicznych. Nauczyciel ograniczony ściśle do roli posłusznego wykonawcy szczegółów programu...

Standaryzacja techniki prowadzi do tego, że człowiek staje się sługą automatu, standaryzacja nauczania ma za skutek, że człowiek sam staje się automatem. Nikt się nie odzywa z krytyką albo projektami w sprawach publicznych. Rzecz jasna: nie mogąc żyć prawdą, a nie chcąc żyć fałszem, trzeba żyć milczeniem.

Nikt nie ma prawa niczego się domagać, o nic się upominać, bo w ogóle nie ma żadnych praw, które by mógł przeciwstawić rozkazom zwierzchności. Monady funkcjonują jak dobrze nakręcone zegary.

Próbowano raz urządzić społeczeństwo w ten sposób, co prawda z dość prymitywnego materiału zbudowane, w Paragwaju, za czasów teokracji jezuickiej. Stosunek do indywidualności poszczególnych ludzi określało wtedy porównanie dobitne: pod względem inicjatywy własnej mieli oni być traktowani perinde ac cadavera, na równi z umarłymi...

Oto jest ostateczna treść takiej dążności: zanik osobowości za życia. Czy nie lepiej umrzeć przed tym, zanim by mogły powstać takie stosunki? Jeżeli wolność, pozostawiona własnemu rozpędowi, prowadzi do samozaprzeczenia, to równie absurdalne, równie sprzeczne w sobie byłyby takie tyrańskie kulminacje sprawności organizacyjnej, skoro samą tę sprawność cenimy o tyle, o ile służy jakiemuś wyzwoleniu.·Ukochać jedną formę niewoli dlatego, by się wyzwolić od niej - to bądź co bądź wewnętrznie pozostać niewolnikiem.

Twórcy dzielniejsi od automatów

Na szczęście jednak perspektywy tego rodzaju nie wydają się ani najpraktyczniejsze, ani konieczne, ani możliwe. Maszerować noga w nogę nie jest bynajmniej tym samym, co iść ręka w rękę. Są bowiem rzeczy, które lepiej robią ludzie wolni niż automaty. Nic nie jest tak solidną gwarancją, że sprawa będzie dobrze załatwiona, jak to, że spoczywa ona w ręku ludzi rozumnych, zamiłowanych, twórczych i mających swobodę działania. Przynajmniej wiele bywa takich spraw.

Do nich należy myśl badawcza i konstrukcyjna i wychowawcze urabianie dusz. Czy podobna rozwiązywać zagadnienia wedle prawdy, jeśli się je rozwiązuje wedle rozkazu? W tych sprawach nieporządek może zabić twórczość, porządek absolutny zabija ją na pewno. Wiadomo też zelantom etatyzmu, o ile bywa sprawniejszy tok gospodarki na swoim od politycznej administracji sprawowanej za pośrednictwem zautomatyzowanych biurokratów.

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

Paraliżowi inteligenckiego indywidualizmu odpowiada jako godne pendant ociężałość centralistycznej aparatury ludzkiej, poddanej detalicznym zabiegom kontrolnym i ograniczeniom ruchu. Kardynalna wada radykalnego centralizmu polega na tym, że jest on zawsze pozorny, zresztą szczyt jednolitości bynajmniej nie jest szczytem sprawności; nie jest on szczytem uzgodnienia.

Prawda natomiast, że pozostawienie należytej swobody nawet najpodrzędniejszym członkom organizacji nie tylko ogranicza kierownictwo, lecz ułatwia sprawowanie go w sposób bardziej celowy. Wiele lasów wyrąbano i kanałów przekopano rękami więźniów, lecz bohaterowie bili się zawsze lepiej, idąc w ogień za wolność, niż rekrut wzięty do szeregów przemocą.

W wolności najcenniejsza jest jej świadomość. Większe dzieła powstają z zapału niż ze strachu, a przecie zapał ma w sobie ducha świadomej wolności, lęk – tchnie zaduchem świadomej niewoli.

Zupełna negacja wolności równie jest niemożliwa, jak zupełnie wszelkiej wolności urzeczywistnienie. Jedno wszak rzuca się w oczy od razu: to, że działania oparte na bezwzględnym posłuszeństwie wymagają swobodnego rozkazodawstwa. I okazuje się, że nie ma unicestwienia wolności, tylko przywilej na nią. Wolność dla władców, niewola dla podwładnych.

Jeżeli jednak prawdą jest, że nie należy rozpuszczać podwładnych, to prawdą również pozostaje, że nie należy rozzuchwalać zwierzchników. Bo czyż takie przeciwieństwo równości jest konieczne czy to w sensie praktycznym, czy to w sensie rozwojowym. W tym drugim znaczeniu przez konieczne rozumiemy to wszystko, ku czemu rozwój zmierza nieuchronnie.

Dla niektórych bywa to argumentem do popędzania rozwoju w tę właśnie stronę. Społeczeństwa stają się niby coraz bardziej totalne, zmierzając do totalizacji zupełnej, i ludzkość czeka podobna faza końcowa, jaką już osiągnęły termity i niektóre owady błonkoskrzydłe, np. pszczoły, mrówki i inne.

Jednak przyznajmy, że równie trudno zrobić z człowieka termita, jak z termita – człowieka. Faktem jest zresztą, że plemiona pierwotne były bardziej totalne niż nowoczesne narody europejskie. Widocznie zatem rozwój w tym kierunku nie jest bynajmniej prostolinijny. A dalej, w różnych gatunkach zwierząt różne się ustaliły stopnie zjednolicenia.

Są w dalekich krajach wróble, które budują hurmem wspólne gniazdo w postaci ogromnego kapelusza, a wróblowi warszawskiemu wystarczają gromadne wiece na drzewach, przy odrębności gniazd, i nie ma powodu do mniemania, że i tu także rozwój zmierza w kierunku wspólnej czapy.

Przypuśćmy zresztą, że trzeba już zaniechać wszelkiej gry solo i wiązać się w orkiestry... dlaczego jednak ideałem orkiestry miałaby być orkiestra wojskowa? Zresztą, w takiej orkiestrze czy innej, aby móc dobrze dąć, trzeba móc przede wszystkim swobodnie oddychać.

Gdyby się stało wyraźne, że koszarowość bytu stanowi dla społeczeństw ludzkich konieczność w sensie praktycznym, że jeśli które nie urządzi się w ten sposób, to zginie, jak poginęły z innych powodów plemiona czerwonoskóre, uparte w swym względnym (w porównaniu z białymi) prymitywizmie - wtedy trudno by było nie przewidywać zaniku wolnościowych urządzeń, zaniku jako fazy ostatecznej, rozwojowo nieuchronnej...

Lecz skąd taki pesymizm? Ostatecznie, tyle jest jasne, że wraz ze wzrostem gęstości zaludnienia i postępami nauk, techniki i racjonalizacji pracy, w organizacjach ludzkich zanika wolność pod pewnymi względami, lecz w zamian za to rodzą się nowe niejako wymiary wolności.

Nie wolno wyrzucać odpadków na jezdnię, lecz wolno za to bez myta wyjechać za rogatki, nie wolno sprawować byle komu praktyki lekarskiej, lecz za to lekarzowi wolno... robić sekcje zwłok, nie wolno żenić się z nieletnią, lecz wolno wybrać sobie żonę samemu, nie wedle woli rodziców itd. itd.

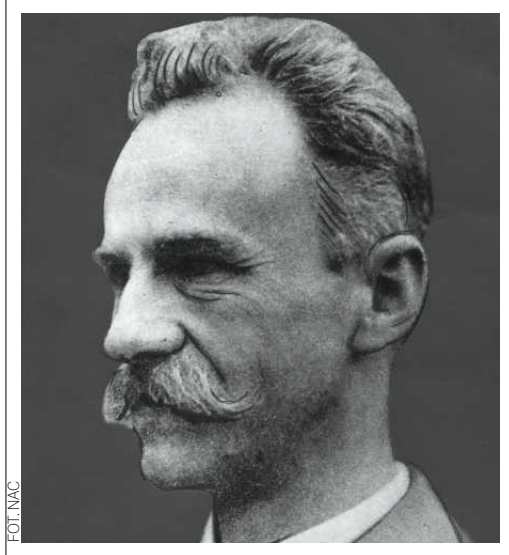
FOT. NAC

Kotarbiński, 1936: – Hasło dyktatury proletariatu, hasło faszyzmu panują nad umysłami młodej inteligencji

Wygląda to tak, jak gdyby do postępu było rzeczywiście niezbędne wyzbywanie się pewnych swobód, lecz nie wyzbywanie się swobody w ogóle. Przeciwnie, narastanie nowych swobód godzi się z postępem. Jasne jest po drugie, że największe napięcie skrępowań w zespołach·zorganizowanych powstaje przy konkurencji zespołów: wtedy się żyłuje pracowników, by jak najtaniej wyprodukować jak najlepszy towar i w ilości dostatecznej do opanowania rynku.

Ale czyż ten stan rzeczy musi trwać wiecznie? Jeśli kartele posiadaczy umieją okiełznać szał konkurencji kosztem zarówno konsumenta, jak pracownika, dlaczego nie ma tego uczynić choćby kontrola państwowa ludowładczego społeczeństwa? Ludzkość nie potrzebuje wcale ani produkcji jak najobfitszej, ani produkcji jak najuciążliwszej.

I przyjdzie czas, kiedy nie będzie się wyciskało z pracownika ostatniej kropli potu, przyjdzie czas, kiedy się nie będzie wylewało do kanałów nadmiaru mleka ani paliło nadmiaru zżętego zboża. Wtedy będzie się żyło swobodniej. A i wojny przecie ustaną z czasem, jak ustała już w wielu krajach krwawa zemsta rodowa, zbrojne najazdy na sąsiadów, pojedynki.

Czy zasady militarnego postępowania staną się wzorem dla wszelkich instytucji, czy też ustali się zrozumienie powszechne: że te formy czynu przeżyć się muszą, tak jak się przeżyła w gatunku ludzkim chwytna forma ogona? Czy ludzkość musi wejść w fazę chronicznego stanu ochrony wzmocnionej, czy też może się wywikłać z karabinowych stosunków? Nie ma powodu rezygnować z tej drugiej możliwości, zwłaszcza że pragną tego wszystkie matki, wszyscy ludzie dobrzy i rozumni, a przede wszystkim ludzie biedni, których kosztem zarówno przegrywa się wojny, jak wygrywa.

Gdy ta epoka skończy się i mitraliezy zaczną rdzewieć po muzeach, nastąpi era budowania kooperacji nie na przymusie, lecz na porozumieniu. Bo i ludzie będą się wyzbywali warcholstwa, a nabywali rozumu, skoro rozkwitnie szkolnictwo powszechne, a na kształcenie człowieka przeznaczać się będzie powszechnie przynajmniej całą młodość aż do pełnoletności.

Cóż bowiem mówią doświadczeni i mądrzy pedagogowie? Powiadają, że bez przymusu nie tylko w życiu w ogóle, lecz i w wychowaniu obejść się nie sposób; ale że przymus zmienia swe formy. Zamiast kary zaczyna wystarczać groźba kary, zamiast groźby kary... działać zaczyna świadomość złych skutków czynu destrukcyjnego, zamiast względu na własną przykrość bezpośrednią wyrasta jako motyw wzgląd na towarzyszów i całość instytucji, a i ta przykrość własna, która powstrzymuje od wykroczeń, nabiera coraz nobliwszego oblicza: chodzi już czasem o zachowanie honoru, o to, by zasłużyć na szacunek tych, którzy sami godni są szacunku. I powstaje współdziałanie ludzi, którym nie trzeba rozkazywać i zabraniać, współdziałanie o lepszej gwarancji powodzenia, niż gdyby było oparte na przymusie.

Słowem, idea wolności nie tylko jest umiłowana, lecz, jak się zdaje, też i zdolna do życia. Czy więc liberalizm się przeżył, czy raczej życie doń jeszcze nie dorosło? Czy nie jest to cechą ogólną szlachetnych dążeń, że trzeba za nimi iść, zanim raczy do nich dopełznąć opieszała rzeczywistość?

Summa summarum

Rozważywszy wszystkie pro i contra, uświadomiony liberał musi zatem wyznaczyć sobie jakąś drogę syntezy. Mógłby on przyjąć np. następujące wytyczne. W naczelnych dążeniach społecznych opowie się za tendencją obronną, nie zdobywczą, mimo negatywnego piętna pierwszej, a pozytywnego – drugiej.

Tak zresztą żyją w ogóle ludzie poważni. Nie uganiają się za satysfakcją kompletnego nasycenia, za rekordami możliwości wrażeń, za pełnią życia, za wyżyciem się w pełni. Takie zapędy prowadzą prostą drogą do katastrofy, przesytu, zawodu i zbrodni. To już zabawa w używanie życia.

Zresztą maksimum użycia daje umiarkowanie. I nawet kiedy bywa pożytecznym głoszenie haseł skrajnych, nie przestaje być jedynie rozumnym wyznawanie haseł umiarkowanych. Otóż równowagę zachowują ci, co opędzają się od zła, na tym trawiąc główny swój wysiłek. Walka z cisnącą lub grożącą klęską: z·mrozem, głodem, chorobą, nędzą, niewolą – oto cele takiego rodzaju.

Tężyznę zachowują te społeczeństwa, którym siedzi na karku taka zmora, jako obecne lub ewentualne zło. I całe życie społeczne organizuje się najlepiej przez takie cele. Optimum pozytywności jest wtedy, kiedy ktoś znajduje bogactwo form wyżycia się osobistego w służbie idei społecznej o takim charakterze obronnym.

Maksymalny rozkwit indywidualności narodowej, potęga mocarstwowa, jak największa bujność życia gromadnego pod każdym względem, rekordy nowego budownictwa społecznego – to są wszystko ideały zachłanne, łakome, dosytowe, jak marzenie o kapiącym od złota bogactwie.

Liberał więcej ma zrozumienia dla obrony przed uciskiem, zachowania niepodległości, walki z wszelakim złem. W ideałach obronnych widzi walory najwyższe. I słusznie, bo walka dla obrony jest sprawowaniem dzielności, walka dla używania – awanturą żywiołów niepowściągliwych.

Po drugie - oddzieli się miłośnik wolności od tych, z którymi nazbyt długo chadzał pod wspólnym sztandarem, od przemysłowych laissez-faire'ystów. Gdy bowiem tamci dążą do zysków, nieskrępowanych przez dozór państwa, on, wolnościowiec, przeciwstawia się wyzyskowi jako zaprzeczeniu wolności. Za czasów [Johna Stuarta] Milla zdawało się ludziom tak myślącym, że wyzysk, jak i wszelka inna niesprawiedliwość, najlepiej likwiduje się sam, podobnie jak z pewnych chorób leczy się człowiek najlepiej sam, bez interwencji lekarzy.

Gdy ta myśl okazała się ułudą, wyszła też na jaw dwoistość elementów składowych stronnictw liberalnych. Woda, uważana dotąd za jednolitą, przy bliższym badaniu zdradza niejednakową naturę swych drobin: w jednych wodór jest lekki, w innych ciężki. Też niby wodór, a jednak bardzo odmienny co do cech fizycznych.

Tak samo rzecz się ma z liberałami w przemysłowym rozumieniu tego słowa i liberałami jako wyrazicielami dążeń postępowej, wolnościowej inteligencji. Pierwsi domagają się wolności dla kapitału, drudzy – wolności od kapitału. O drugich tylko chodzi nam obecnie.

Nie jest taki liberał – po trzecie – z upodobania rewolucjonistą, lecz ewolucjonistą, ponieważ metoda rewolucyjna w istocie swej zawiera gwałt i terror. Uczuciowy kult rewolucji świadczy o gorszym guście niż zamiłowanie do walki byków. Obca jest ewolucjoniście żwawa pochopność sangwiników, gotowych natychmiast podpalić dom, aby w nim zrobić dezynfekcję. Oczywiście, decyduje się i on chwycić z konieczności ostatecznych środków, jeśli istniejący chroniczny gwałt i terror tylko tą drogą da się obalić, a nowy porządek zaleca się czymś tak bardzo cennym w porównaniu z ładem panującym, że diabła nawet Belzebubem wypędzić warto.

Taki krok jednak zawsze jest dla liberała aktem tragicznego wyboru, a nie upodobania. Nie dziwimy się takim, którzy cofają się przed nim zawsze, a podzielamy zdanie tych, co w uprawianiu rewolucji nie widzą nigdy moralnego obowiązku.

Miłośnik wolności jest – po czwarte – kimś zgoła innym niż taktyk opozycyjny, domagający się swobód, póki podważa władzę cudzą, by je stłumić bez ceremonii, gdy sam dojdzie do władzy. (Znamy takich specjalistów od pilnowania własnych praw i cudzych obowiązków! Ludzi wygodnych, którzy wołają tylko o to, co pożądane, innym pozostawiając troskę o to, co możliwe...). Przeciwnie, ceniąc wolność dla niej samej, nie tylko dla taktycznych jej pożytków, liberał prawdziwy domaga się od rządów tego, czego sam gotów by przeciwnikom udzielić w przypadku dojścia do władzy.

Wczuwa się tedy w położenie ludzi rządzących i wie, że grzechy rządów mają za jedno z głównych źródeł ekscesy opozycji. Mniema, że rządy są od tego, by w granicach rozumnego prawa obsługiwać obywateli przymusem. Sądzi więc, że obywatele wdzięczni być winni ludziom, którzy nimi rządzą, o ile i ponieważ ci spełniają za nich i dla nich tę tak przykrą czynność. Nie chce tedy malowanych rządów; chce raczej, by rząd był dość silny, aby się móc oprzeć wichrzycielom... lecz dość słaby, żeby się nie móc oprzeć rozumnemu prawu. Bo władza nie tym jest niebezpieczna, że ma władzę, lecz tym, że może jej swobodnie nadużywać.

Zastanawiając się przeto nad zasadami opiekowania się swobodą ze strony władz, miłośnik wolności dochodzi do pewnych refleksyj pojednawczych. Myśli sobie, że osoby rządzące muszą się orientować przede wszystkim wedle czego innego niż wedle utrzymywania swobód obywatelskich. Muszą dbać o obronność państwa na zewnątrz, o sprężysty ład i bezpieczeństwo wewnątrz, o urządzenia broniące przed nędzą, o budżet racjonalny itd. Więc gotów liberał – po piąte – przyjąć za swoje dwa wskazania naczelne: aksjomat pierwszy - nie cofać się przed żadną ofiarą z wolności, niezbędną dla rzeczywistej konieczności państwowej, aksjomat... drugi – nie pozwalać na jakiekolwiek uchybienie wolności, jeśli to nie jest dla racji stanu konieczne. Słowem, wolność wszędzie tam obowiązuje, gdzie tylko jest możliwa.

W tych aksjomatach streszczają się różnice między postawą liberalną a postawami: etatyzmu totalnego z jednej, obojętności państwowej z drugiej strony.

Totaliści akceptują pierwszy aksjomat, lekceważąc drugi i dążąc w praktyce do uczynienia go bezprzedmiotowym: bo cóż zostanie osobnikowi jako dziedzina wolności, jeżeli państwo obejmie wszystkie dziedziny, a przy zespoleniu w spójnej organizacji wszystkiego z wszystkim można się będzie dopatrzeć konieczności państwowej zawsze i wszędzie.

Ludzie państwowo obojętni, a do swobód przywiązani, obstają przy drugim aksjomacie, mało się troszcząc o pierwszy. W praktyce prowadzi to do usunięcia z pierwszego aksjomatu wszelkiej rzeczowej treści: bo nie zechce uznać nic za konieczność państwową (nawet fortyfikacji obronnych!) ten, dla kogo samo bezpieczeństwo państwa jest sprawą obojętną.

Ta postawa sąsiaduje o krok z anarchizmem, chronicznym i absolutnym w obecnych na świecie stosunkach opozycjonistą,

eprasa.pl c0f49db8b5

który w tych stosunkach tylko jako protestowicz może w ogóle trwać. Liberał oświecony zatem – właśnie on! – traktować musi kult swobód obywatelskich, a więc swobody słowa i zrzeszeń etc. jako dyrektywę pomocniczą, podobnie jak humanitarne dowództwo wojskowe traktuje ideę dobroci ucieleśnioną w akcji Czerwonego Krzyża. A podobny jest los w tym programie idei sprawiedliwości, rozumianej czy to jako równość uczestnictwa w dobrach, czy to jako proporcjonalność świadczeń i represyj w stosunku do zasług i win, czy to jako realizacja obietnic i umów.

Dziwne to, ale prawdziwe: w społeczeństwach walczących o chleb troska o wolność, dobroć i sprawiedliwość jest z konieczności troską wtórną, a jednak nie walka o byt, lecz właśnie i tylko pilnowanie tych dóbr wyższego rzędu daje moralną, nie biologiczną czysto, satysfakcję. Przy tym inne jeszcze zachodzi zjawisko: oto ludzie grupują się w dwóch klasach.

Z jednej strony harcują po świecie życiowcy, zapaleni do gromadnej walki o życie, surowce, stopę życia. Tym po prostu nie bardzo się chce troszczyć o wolność, dobroć i sprawiedliwość. Czasem nie dlatego, że tacy źli, lecz dlatego, że nikt nie lubi w ogóle troszczyć się o to, co nie jest w jego programie na pierwszym miejscu.

Z drugiej – działają ludzie sumienia, dla których owe dobra wyższe są naczelnymi. Ci znowu nie dbają o byt, bo za nich dbają o to inni. A jasnym jest, że bez tych innych zmierzaliby bezapelacyjnie do nieuchronnej zagłady.

Aktualności lokalne

Ale dość już tego. Dajmy spokój wreszcie tezom, antytezom i syntezom i całej tej namysłowej dialektyce. Przyjmijmy już za ustaloną treść tendencji liberalnej i zapytajmy na zakończenie, czego by się mógł domagać od rzeczywistości obecnej i tutejszej taki tej tendencji adherent, z którym czulibyśmy się solidarni.

Radby on widział sanację sanacji, mniemając, że nie może być teraz w Polsce nic mniej przykrego od tego, co jest, byleby to, co jest, było mniej przykre. Nie pragnie on wcale podważać konieczności państwowego bytu. Stwierdza tylko, że z trudnych do zrozumienia powodów wolność obywatelska w pewnych dziedzinach jest traktowana z równą pieczołowitością, jak przeciętny pacjent w kasie chorych. Tam jednak wszystko się tłumaczy przeważnie oszczędnością, czy konieczną – nie poważamy się sądzić.

Ale dlaczego np. smutny los bezwyznaniowców miałby stanowić niezbędny warunek dzielności Rzeczypospolitej? Niechże im raz już nareszcie będzie wolno zapisywać dzieci do ksiąg ludności bez uprzedniego chrztu czy obrzezania. Niech mają prawo pobierać się bez zbędnej interwencji osoby duchownej. Niech mają możność palenia zwłok, a póki krematorium jeszcze nie zbudowano, niech mają gdzie chować zmarłych na porządnym cmentarzu miejskim.

Przede wszystkim zaś trzeba koniecznie pozwolić rodzicom bezwyznaniowym uczyć potomstwo w szkołach bezreligijnych i nie wymagać stopnia z religii (podawanej dogmatycznie przez jej wyznawcę) jako warunku otrzymania matury.

Kościół nie powinien rządzić Nauką, skoro Nauka nie rządzi Kościołem. Kuratela wyznaniowa degraduje napięcie intelektualne szkoły. Ale nie jest ona jedynym czynnikiem, który działa w tym samym kierunku. Podobny skutek odnosi presja, którą władze wywierają na ogół nauczycielstwa.

Proszę porozmawiać z kolegami, zwłaszcza pracującymi na prowincji! Proszę czytać między wierszami zawodowych organów nauczycielstwa. Czy mogą budzić płomień myśli dociekliwej ludzie, którzy oglądają się na prawo i na lewo, zanim powiedzą coś z własnego przekonania? Czy to ma być warunkiem niezbędnym utrzymania niepodległości, by maturzyści byli przesądni, a nauczycielstwo zahukane?

A profesura szkół wyższych? Trudno taić, że ustawa o usuwalności profesorów głęboko zasmuciła koła liberalne w tym środowisku. Nie jest ona bynajmniej bezużytecznym papierem.

Oto niedawno jeden z profesorów ośmielił się publicznie ocenić rolę ważnych osób w ważnych wypadkach niezgodnie z przekonaniem sfer decydujących. Była to zresztą, jak mówią inni znawcy, którym ufam, ocena niezgodna z rzeczywistością. Dobrze, ale czy profesor jest od tego, by mówił prawdę, czy od tego, by mówił to, co wedle najlepszego swego przekonania za prawdę uważa? A jeśli marnie wypełnia swe zadanie, niechże go sądzą ludzie niezależni.

Kolega, o którym mowa, spadł z etatu. Nie jest on jedynym, w ten sposób wyeliminowanym. Do czegóż więc zmierzamy? Czy nie lepiej tolerować przekonania profesorów z taką przynajmniej względnością, z jaką się toleruje ich zawodowe roztargnienie?

Nie jest może powszechnie wiadomym, że od dnia 28 czerwca ubiegłego roku profesor wyjeżdżający za granicę nie ma prawa dopuścić do wywiadu w prasie ani sam wypowiedzieć się w gazecie bez uprzedniego ścisłego uzgodnienia tekstu z przedstawicielstwem dyplomatycznym Rzeczypospolitej. Wiedzą o tym dobrze zagraniczni koledzy i kiwają głowami, powtarzając sobie w myśli: przecież brak wolności słowa na tym właśnie polega, że wolno mówić tylko to, co wolno.

Jeśli chodzi o stosunki w szkołach wyższych, to wolelibyśmy ograniczenie nie tyle ruchów języka, ile ruchów rąk. Mamy na myśli panującą w uniwersytetach wolność bicia przy braku wolności spokojnego uczenia się. Karykaturalne stosunki. Zamiast ochraniać wolność, tolerujemy piekielne nadużywanie i hańbienie swobody.

Ale czy dziś są czasy lojalnego respektowania cudzych praw? Ba, czy się ludzi wychowuje w poczuciu praw·własnych wobec innych, wobec społeczeństwa, wobec zwierzchności? Dużo zależy od tego, czy członek społeczeństwa czuje się, jako taki, jedynie współpoddanym, czy też i współwładcą. Jak jest u nas?

Prawi się ciągle tylko o obowiązkach i posłuszeństwie, tępiąc niby w ten sposób warcholstwo; choć moraliści wołają zgodnym chórem, że świadomość praw własnych jest nieodłączna od osobistej godności, a bez tej znowu popada się w serwilizm. Nic dziwnego, że liberalizm przeciwko temu powstaje, skoro sama jego nazwa powstała przez antytezę do nazwy serwilizmu. Oto pojęcia naprawdę przeciwstawne!

Dużo by jeszcze było do mówienia o tym, co bez żadnych konieczności z punktu widzenia niezależnego bytu i sprawnego ładu robi się dzisiaj u nas wbrew postulatom wolności. Ale i miejsca już brak i nie te sprawy lokalne były tematem głównym obecnych ogólniejszych dociekań.

Gdy jednak mowa o ideale wolności, niepodobna zapomnieć, że z nim właśnie zrośnięte było dotychczas to, co w duszy polskiej jaśniało wielkością; niepodobna nie zająć się pytaniem, jakie też są dzisiejsze losy tego dostojnego dziedzictwa. ●

• Tekst za: Kotarbiński, „Wybór pism", tom I, „Myśli o działaniu", PWN, Warszawa 1957. Pierwodruk: ,,Epoka" nr 1 (66) i 2 (67) / 1936.

***Tadeusz Kotarbiński**

• Filozof, logik, etyk, twórca prakseologii. Żył w latach 1886-1981. Czołowy przedstawiciel filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej. W latach 1957-62 prezes PAN. W dwudziestoleciu międzywojennym występował przeciwko klerykalizmowi, antysemityzmowi i nacjonalizmowi.

POŁĄCZYŁA NAS FILOZOFIA

Podczas konferencji w 1991 r. filozof rosyjski apelował, by Ukraina nie odłączała się od Rosji. Siedzący obok mnie profesor ze Lwowa skomentował: – Patrz, starszy brat znowu nas poucza

Jan Woleński*

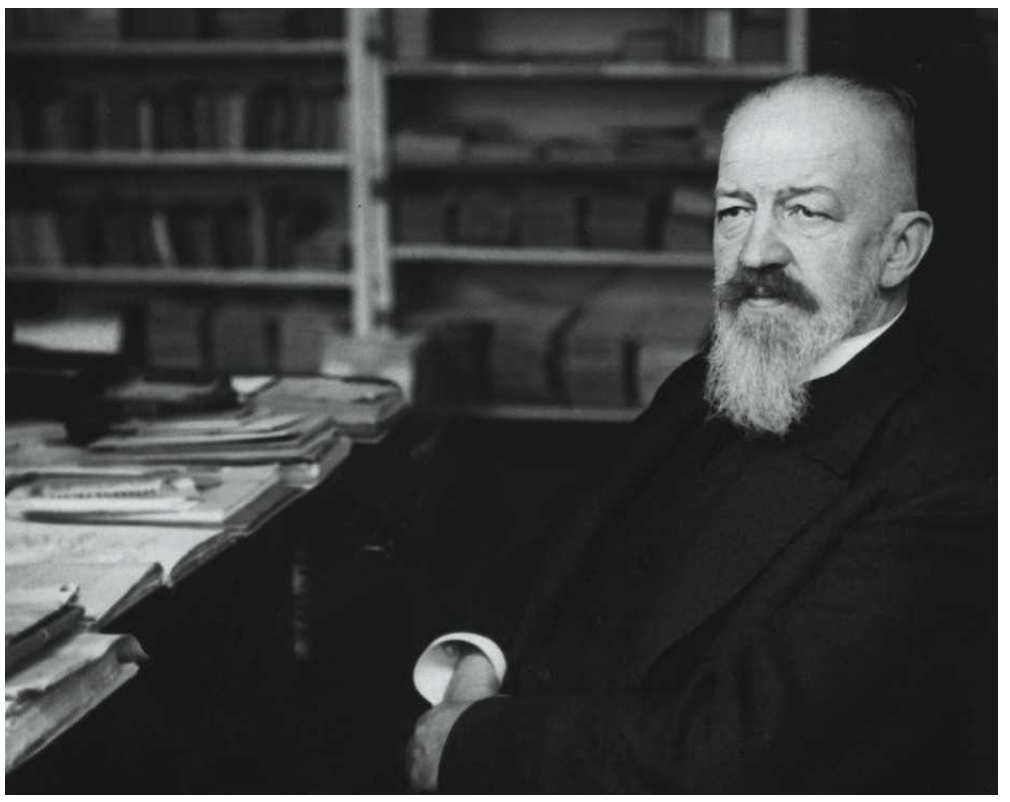

• **Kazimierz Twardowski – filozof, psycholog, profesor Uniwersytetu Lwowskiego.** FOT. NAC

Polsko-ukraińska szkoła lwowsko-warszawska (dalej SLW), może najważniejsza w historii filozofii polskiej, to konkretny przykład współpracy Polaków i Ukraińców. Powstała we Lwowie na przełomie XIX i XX wieku.

Lwów był w tym czasie jednym z głównych ośrodków odrodzenia narodowego Ukraińców (Polacy nazywali ich wtedy Rusinami, ale będę używał bardziej współczesnego języka). Na tym tle pojawiły się konflikty polsko-ukraińskie, podsycane przez władze austriackie wedle zasady „Dziel i rządź".

Gdy zdecydowano się na degermanizację uniwersytetu we Lwowie (ostatecznie stało się to w 1870 r.), miała to być uczelnia dwujęzyczna, tj. z dwoma językami wykładowymi oraz profesorami polskimi i ukraińskimi. Trudno dziwić się, że Polakom zależało na polonizacji uniwersytetu; a zrealizowali ten cel z tego prostego powodu, że nie było wystarczającej kadry po stronie ukraińskiej.

Na jednym z posiedzeń senatu akademickiego jeden z profesorów Ukraińców zaczął mówić po ukraińsku. Kazimierz Twardowski, założyciel SLW, zaprotestował, powiadając, że statut uczelni przewiduje niemiecki i polski jako oficjalne języki urzędowe.

Gdy w 1905 r. miał miejsce strajk lwowskich Ukraińców o podłożu narodowościowym, Twardowski był uważany za ich wroga. Ta opinia nie była trafna, ponieważ nie miał nic przeciwko studentom ukraińskim, ale zdecydowanie opowiadał się za polskością uniwersytetu we Lwowie. Niemniej jednak jest rzeczą zrozumiałą, że stosunek Ukraińców do SLW od początku nie był nadmiernie przychylny.

Sytuację dodatkowo skomplikował fakt, że władze polskie po I wojnie światowej nie spełniły obietnicy uruchomienia ukraińskiego uniwersytetu w Stanisławowie.

Miasto pod szczególnym nadzorem

W 1985 r. wyszła moja monografia „Filozoficzna Szkoła Lwowsko-Warszawska" (PWN, II wydanie WN PWN, Warszawa 2023). Gdy ją przygotowywałem, w ogóle nie myślałem o ukraińskich uczniach Twardowskiego. Dokładniej mówiąc, nic nie wiedziałem o takowych, z wyjątkiem psychologa Stefana Baleya.

Izydora Dąmbska, uczennica Twardowskiego, z którą szczegółowo konsultowałem osobowy skład SLW, nie poruszała tego wątku, zapewne z powodu swego sentymentu do Lwowa, miasta, które nadal uważała za polskie. W perspektywie oficjalnej, chociaż polskiej przeszłości Lwowa nie dało się pominąć

eprasa.pl c0f49db8b5

milczeniem, władze radziecko-ukraińskie jak i polskie minimalizowały to historyczne dziedzictwo.

PWN początkowo nie zaakceptował tytułu mojej książki (projekt przesłałem w 1979 r.), a zgodził się z nim dwa lata później, czyli w czasie solidarnościowej odwilży.

W 1958 r. Kazimierz Ajdukiewicz zorganizował konferencję z okazji 20. rocznicy śmierci Twardowskiego. Gdy zaczął wspominać Lwów, Adam Schaff, jeden z czołowych polskich marksistów, wstał, powiedział: „To jest prowokacja" i wyszedł z sali (historyjkę tę znam z opowiadań).

Wprawdzie spuścizna Twardowskiego znalazła się w Polsce (przywiózł ją Ajdukiewicz), ale niektóre materiały pozostały we Lwowie. Dąmbska powiedziała mi, że Twardowski przygotował swoją autobiografię filozoficzną po niemiecku, ale pozostała w maszynopisie. Pisała do Lwowa z prośbą, aby tekst jej przekazano, ale otrzymała odpowiedź, że niczego takiego nie ma.

Twardowski miał, w roku akademickim 1899/1900, wykład o „nowinkach" logicznych, ważny chociażby z tego powodu, że Jan Łukasiewicz, wybitny logik, był jednym ze słuchaczy. Tekstu wykładu (a przynajmniej notatek do tego kursu) nie było w materiałach przywiezionych przez Ajdukiewicza. Pytałem, czy może coś zachowało się z tego wykładu, ale odpisano mi, że nie. Jens Cavallin, szwedzki filozof zajmujący się Twardowskim, powiedział mi, że tekst wykładu czytał.

Takie sytuacje ilustrowały oficjalny stosunek do polskości Lwowa i zniechęcały do zajmowania się „ukrainianami" w historii SLW. Było oczywiste, że historia tego miasta znajdowała się pod szczególnym nadzorem politycznym, a tego prostym świadectwem była w miarę normalna współpraca z kijowskim środowiskiem akademickim, natomiast kontakty ze lwowskim były nader ograniczone.

„Takiej szkoły w ogóle nie było"

Sytuacja zaczęła się zmieniać pod koniec lat 80. zeszłego wieku. Do Polski przyjeżdżali młodzi filozofowie ze Lwowa i mówili nam, że tradycja Twardowskiego nie jest tam nieznana. Wcześniej dowiedziałem się o dwóch książkach Marata Wiernikowa, profesora we Lwowie, jednej po rosyjsku, drugiej po ukraińsku, w których SLW była omawiana, oczywiście, jako szkoła idealistyczna.

W 1988 r. otrzymałem anonimową przesyłkę, w której znajdowało się rosyjskie tłumaczenie (w formie druku przeznaczonego do użytku wewnętrznego) wspomnianej autobiografii filozoficznej Twardowskiego. Potem okazało się, że nadawcą był Borys Dombrovski, którego poznałem parę miesięcy później w czasie mojego pierwszego pobytu we Lwowie w lipcu 1989 r.

Zorganizowano wtedy seminarium w prywatnym mieszkaniu, na którym wygłosiłem wykład o SLW. Zapytałem, dlaczego moje wystąpienie nie miało miejsca w uniwersytecie; powiedziano mi, z wyraźnym przekąsem, że tam niektórzy uważają, że „takiej szkoły w ogóle nie było".

Poruszyłem też sprawę autobiografii Twardowskiego i pytałem, czy można otrzymać niemiecki oryginał. Dombrovski obiecał, że postara się coś uczynić w tej sprawie. Słowa dotrzymał i po pewnym czasie dostarczył mi stosowne fotokopie, prosząc, aby nie wspominać jego nazwiska, gdy tekst zostanie opublikowany (to też jakoś świadczy o rzeczywistej atmosferze wokół SLW w tym czasie we Lwowie). Rzecz ukazała się w „Przeglądzie Filozoficznym" (po polsku) i w „Grazer Philosophische Studien" (po niemiecku).

W 1991 r., niedługo po ogłoszeniu niepodległości przez Ukrainę, odbyła się we Lwowie konferencja „Myśl filozoficzna i społeczna w Galicji na przełomie XIX i XX wieku" (była to chyba pierwsza konferencja filozoficzna w niepodległej Ukrainie – temat był w tej sytuacji symboliczny, aczkolwiek rzecz była zaplanowana znacznie wcześniej).

Wprawdzie galicyjski wątek polski był jednym z dominujących, ale dało się wyczuć wyraźną rezerwę kolegów ukraińskich w mówieniu o SLW. W prywatnych rozmowach byli bardziej otwarci – Wiernikow, którego wtedy poznałem, powiedział mi, że tradycja Twardowskiego nigdy nie wymarła we Lwowie, a niektórzy jego uczniowie i powojenni (po 1945 r.) profesorowie we Lwowie zachęcali w swych seminariach do studiowania dzieł założyciela SLW jako wartościowych dla każdego filozofa.

W 1995 r. przypadła 100. rocznica pierwszego wykładu Twardowskiego we Lwowie. Andrzej Grzegorczyk uzyskał środki na zorganizowanie międzynarodowej konferencji z tej okazji. Odbyła się ona we Lwowie i w Warszawie w 1996 r., przy licznym udziale gości z Europy Zachodniej – w sumie wygłoszono ponad 100 referatów.

Impreza była komentowana we lwowskiej prasie i lokalnym radiu. Uznano ją za znaczące międzynarodowe wydarzenie naukowe i ważny przejaw współpracy pomiędzy Polską i Ukrainą, natomiast media polskie pominęły milczeniem tę konferencję, mimo że były o niej informowane.

Niemniej jednak nikt z władz Uniwersytetu Lwowskiego nie przybył na otwarcie i zakończenie; prywatnie wyjaśniono mi, że SLW była ciągle uważana za coś „trefnego" przez oficjalne czynniki ukraińskie. Organizatorzy ustalili, ze referaty mogą być wygłoszone po angielsku, polsku i ukraińsku, ale nie po rosyjsku, co można uznać za coś więcej niż ciekawostkę, tym bardziej, że wśród uczestników byli również filozofowie z Rosji.

Na przyjęciu z okazji wspomnianej konferencji w 1991 r. jeden z filozofów rosyjskich apelował, aby Ukraina nie odłączała się od Rosji. Siedzący obok mnie profesor ze Lwowa rzekł z wyraźną irytacją: „Patrz, starszy brat znowu nas poucza, co mamy robić".

Studenci ukraińscy wybrali język polski

Pod koniec lat 90. z inicjatywy premiera Jerzego Buzka odbyło się w Krakowie seminarium o mniejszościach narodowych w Polsce międzywojennej. Zostałem zaproszony do wygłoszenia referatu o SLW z założonego programowego punktu widzenia całej imprezy.

Moim głównym tematem byli Żydzi wśród filozofów lwowsko-warszawskich, ale wspomniałem również o Ukraińcach. Po moim odczycie podszedł do mnie Bohdan Osadczuk, znany dysydent ukraiński z czasów radzieckich, i powiedział, że ukraińscy słuchacze Twardowskiego byli impregnowani na nacjonalizm. To okazało się niezupełnie trafne, gdyż byli wśród nich także banderowcy, ale stwierdzenie Osadczuka było interesujące samo w sobie, a może warto je przypomnieć w kontekście obecnych dyskusji o stosunkach pomiędzy Polską i Ukrainą.

W 2004 r. koledzy ukraińscy zaprosili mnie do przeprowadzenia semestralnego kursu z filozofii nauki w Uniwersytecie Iwana Franki (taką nazwę przyjęła uczelnia w 1939 r.). Zaproponowałem studentom, że mogę wykładać po angielsku lub polsku - wybrali tę drugą możliwość. I tak, po raz pierwszy od 1941 r., miał miejsce wykład z filozofii w języku polskim w Uniwersytecie Lwowskim.

W 2004 roku koledzy ukraińscy zaprosili mnie do przeprowadzenia kursu z filozofii nauki w uniwersytecie lwowskim. Zapytałem studentów, czy mam wykładać po angielsku czy po polsku. Wybrali polski

W 2014 r. ukazała się monografia Stepana Ivanyka o ukraińskim skrzydle SLW („Filozofowie ukraińscy w Szkole Lwowsko-Warszawskiej", Warszawa, Wydawnictwo Semper; rzecz jest oparta na pracy doktorskiej obronionej wcześniej w UW). Są w niej wymienieni uczniowie Twardowskiego, głównie psychologowie, którzy zrobili doktoraty pod jego kierunkiem i byli czynni w uczelniach ukraińskich po II wojnie światowej.

W 2019 r. założone zostało Lwowskie Towarzystwo Filozoficzne im. Kazimierza Twardowskiego, m.in. organizujące doroczne konferencje w rocznicę śmierci założyciela SLW. Jego aktywnymi członkami(-iniami) są m.in. Olga Honczarenko (obecna przewodnicząca) i Ihor Karivec. Oboje przetłumaczyli moją książkę o SLW na język ukraiński – czeka na wydanie i mam nadzieję, że do tego dojdzie pomimo trwającej wojny. A jeszcze w 2004 r., gdy rozmawiałem z prorektorką Uniwersytetu Iwana Franki i sugerowałem ukraińskie wydanie mojej monografii, powiedziała, że to raczej nie wchodzi w rachubę.

Polski, czyli antyukraiński?

Można zaobserwować wyraźną zmianę na plus w stosunku Ukraińców do SLW, jak i Polaków do wątku ukraińskiego w tej szkole. To drugie nie ma sugerować, że szkoła założona przez Twardowskiego była polsko-ukraińska (podobnie jak nie była polsko-żydowska, chociaż liczba Żydów była w niej nawet znaczniejsza niż filozofów ukraińskich). W samej rzeczy, sami Ukraińcy w rozmowach na temat SLW nigdy nie uważali jej za należącą do ich narodowej kultury.

Wskazany wyżej ich dystans do polskiej filozoficznej tradycji we Lwowie miał przyczyny polityczne, wypływające z sytuacji po II wojnie, ale także inne podniesione na początku tego szkicu.

Uważam, że kwestie te nie są wystarczająco wyjaśnione w monografiach dotyczących historii uniwersytetu lwowskiego (np. Jan Draus, „Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie 1918-1946", Księgarnia Akademicka, Kraków 2007; „Academia Militans. Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie", pod red. Adama Redzika, Wydawnictwo Semper, Warszawa 2015), które w pewnych sformułowaniach przejawiają „polski", czyli antyukraiński punkt widzenia.

Niniejszy szkic powtarza w wielu miejscach to, co wcześniej pisałem o SLW, w szczególności w przedmowie do II wydania książki „Filozoficzna Szkoła Lwowsko-Warszawska". Uważam, że przypomnienie stosunkowo niewielkiego (bo tak to trzeba określić) epizodu filozoficznego może zwrócić uwagę na to, że empatyczne zrozumienie historii może pomóc w pokonywaniu nawet poważnych rozbieżności, także w wielkiej polityce.

Prowokacje

Tak się złożyło, że mamy obecnie do czynienia z poważnym kryzysem w stosunkach polsko-ukraińskich, spowodowanym niefortunną decyzją prezydenta Zełeńskiego o bohaterach UPA. Wedle stanowiska oficjeli obu stron zaistniała sytuacja szkodzi obu państwom i powinna być szybko zażegnana, co na pewno nie będzie proste. Poczekamy, zobaczymy.

W internecie znalazłem taką enuncjację „Jeśli [Ukraińcy] przyznają nam rację, przeproszą i pójdą ze wszystkim na rękę, to może rozpocząć się droga do wybaczenia i proces zmierzający do rosnącej przyjaźni. Już niczego nie trzeba im dawać".

To można ewentualne uznać za przejaw przebrzmiałej (?) narodowej mitumanii (termin Leca), ale pytanie Przemysława Czarnka (skądinąd kandydata na premiera) „dlaczego w tym rządzie dalej są Ukraińcy obrażający Polaków?", zapowiedź Janusza Kowalskiego, że przeprowadzi kontrolę poselską w sprawie ukrainizacji administracji publicznej, oraz Tobiasza Bocheńskiego i Michała Moskala w sprawie deportacji Ukraińców z Polski, wyglądają na prowokacje polityczne.

Wiadomo komu to służy, w każdym razie nie Polsce i Ukrainie. ●

Tytuł i śródtytuły tekstu – „Wyborcza".

***Jan Woleński**

• Rocznik 1940. Filozof. Emerytowany profesor UJ, profesor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, członek PAN i PAU. Zajmuje się historią filozofii, filozofią nauk, logiką i filozofią prawa.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

46. ROCZNICA SIERPNIA '80

Czesław Miłosz

Który skrzywdziłeś

Wiersz za tomem Czesława Miłosza **„Światło dzienne",** Instytut Literacki, Paryż 1954. Fragment utworu jest umieszczony na Pomniku Poległych Stoczniowców 1970 w Gdańsku.

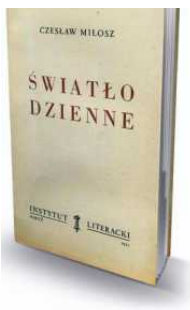

Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,

Choćby przed tobą wszyscy się skłonili
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi że jeszcze jeden dzień przeżyli,

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy
I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta.

eprasa.pl c0f49db8b5

ALE HISTORIA

Co się stało Z PANNĄ „S”

„Solidarność”, niegdyś znany na całym świecie symbol walki z komunizmem, odgrywa dziś rolę zaplecza i osłony partii Jarosława Kaczyńskiego. Jego działacze traktują swe funkcje wyłącznie jako dożywotnie synekury.

Z **BOGDANEM BORUSEWICZEM,** JEDNYM Z LEGENDARNYCH PRZYWÓDCÓW SIERPNIA ’80, ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

• **Bogdan Borusewicz, a w tle Stocznia Gdańska, gdzie 46 lat temu organizował strajk, w efekcie którego narodziła się „Solidarność”. 24 sierpnia 2026**
FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdy PRL w końcu upadł, władzom związku początkowo udawało się radykalne, prawicowe tendencje powstrzymywać. Ale do czasu. Ważny był wpływ Kościoła katolickiego, który nadawał „Solidarności” ideologiczny kierunek. Widać to było szczególnie w Gdańsku

W 1982 roku, w czasie stanu wojennego, Jan Krzysztof Kelus napisał słynną piosenkę pt. „Sentymentalna panna S”. Subiektywnie zrecenzował w niej kilkanaście miesięcy istnienia „Solidarności”. Sięgnął po metaforę spektaklu teatralnego, w którym główną rolę grał zdelegalizowany właśnie przez komunistów związek. Była to recenzja raczej słodko-gorzka. Z jednej strony nacechowana zachwytem – „młodym robotnikiem w kasku” i plakatami „Solidarności”, które zdobiły „naszych ulic szarość”. Z drugiej rozczarowaniem, bo – jak śpiewał Kelus – „Solidarność” nie była w pełni w jego typie i raził go jej język. Jednak kiedy została zniszczona, był przygnębiony: „I teraz szukam jej na mieście/ i tęsknie za nią jak idiota/ i choć surowo zabronione/ maluje imię jej po płotach...”.

Sześć lat później, po fali strajków w sierpniu 1988 roku, Jacek Kaczmarski wykorzystał muzykę Kelusa i napisał niejako kontynuację jego piosenki. Zatytułował ją „Powrót sentymentalnej panny S”. Sierpniowe protesty przyspieszyły zmiany, okazały się wstępem późniejszego Okrągłego Stołu. Piosenka Kaczmarskiego jest bardziej optymistyczna. Pisał ją, gdy „Solidarność” była wprawdzie przetrącona i już nie tak liczna, ale jednak znaleźli się młodzi ludzie, którzy – jak śpiewał – „na ramionach ją ponieśli” i nagle w niej „coś jakby odmłodniało”.

Obie piosenki legendarnych bardów odnosiły się do czasów największej świetności „panny S”. Gdy była wzorem dla świata, symbolem walki o wolność i motorem pozytywnych zmian nie tylko w Polsce.

A czym jest dziś? Nikt chyba nie ma większego prawa, by stać się recenzentem kolejnego etapu jej istnienia, czyli działalności po 1989 roku, niż Bogdan Borusewicz, współtwórca największych sukcesów „Solidarności”. Każdy, kto choć trochę zna historię strajku w Stoczni Gdańskiej, wie, że jego przywódcą był Lech Wałęsa, ale powinien też wiedzieć, że bez Borusewicza, działacza Wolnych Związków Zawodowych, Komitetu Obrony Robotników, tego strajku by po prostu w ogóle nie było. Borusewicz był jego duszą i najważniejszym organizatorem, a potem, w stanie wojennym, brawurowo uciekającym przed bezpieką działaczem podziemia, a w końcu więźniem politycznym. Po 1989 roku został parlamentarzystą, w latach 2005-2015 był marszałkiem Senatu.

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Przed nami kolejna rocznica Sierpnia 1980 roku. Czym dziś jest NSZZ „Solidarność”?
BOGDAN BORUSEWICZ: Ciągle jest związkiem zawodowym, tyle że działa jako polityczna przybudówka Prawa i Sprawiedliwości.

Ma pan w „Solidarności” jeszcze jakichś kolegów?
– Mam znajomych. Po tylu latach działalności mam ich w zasadzie wszędzie.

Rozmawia pan z nimi?
– Dość rzadko. Spotykamy się przy rocznicowych okazjach. Oczywiście to nie jest tak, że nie podajemy sobie rąk. W dzisiejszej „Solidarności” są różni ludzie, także tacy, którym nie podoba się to, że związek jest tak jednoznacznie związany z PiS.

Myśli pan, że ktoś to wprost kontestuje?
– Myślę, że tak, ale nie mam z takimi działaczami bezpośredniego kontaktu. Znam ludzi w całym kraju i nie zdziwiłbym się, gdybym w takim kontekście usłyszał, takie czy inne nazwisko, ale pewnych informacji nie mam.

„Solidarność” już się kilka razy personalnie zmieniła, ale od wielu lat nie ma w niej wyborów przewodniczącego. W pewnym momencie Marian Krzaklewski [przewodniczący NSZZ „Solidarność” w latach 1991-2002] doprowadził do uchylenia zasady kadencyjności władz i tak już zostało. Jeżeli ktoś chce, to ma dożywotnią posadę. Zarówno na szczeblu krajowym, regionalnym, jak i w zakładach pracy.

A gdy już pan z tymi znajomymi z „Solidarności” rozmawia, to o czym?
– W ubiegłym roku interweniowałem u przewodniczącego regionu gdańskiego, którego dobrze znam z czasów, gdy sam byłem szefem „Solidarności” na Wybrzeżu. Chodziło o to, że związek zgodził się na to, by w Sali BHP, czyli w tym miejscu w Stoczni Gdańskiej, gdzie 31 sierpnia 1980 roku podpisano Porozumienia Sierpniowe, zorganizować spotkanie z człowiekiem o bardzo niejasnej przeszłości. Głosił tezy, że podczas wojny Narodowe Siły Zbrojne odegrały ważniejszą rolę niż Armia Krajowa. Takie twierdzenia uznaję za skandaliczne. Zwróciłem na to uwagę przewodniczącego.

I przyjął to?
– Owszem, co miał zrobić? Ale już po fakcie, bo sala została wynajęta. Dzwoniłem po to, żeby mu uzmysławiać, że to historyczne miejsce i trzeba starannie dobierać ludzi, którym pozwala się tam występować. Ludzie, którzy tworzyli „Solidarność” w podziemiu, wszyscy już odeszli. Dla nowych fakt, że w Sali BHP organizuje się spotkania ugrupowań skrajnych czy szowinistycznych, nie jest problemem.

Szymon Hołownia chciał rok temu w Sali BHP rozpocząć swoją kampanię wyborczą. Zgody nie dostał.
– Jak miał ją dostać, skoro związek jest ideologicznie związany z PiS-em? Na początku lat 90. „Solidarność” jeszcze się jakoś starała przez pewien czas trzymać środka. Ale potem politycznie skręciła w prawo i dlatego poniosła straty. Ludzie o innych poglądach niż PiS-owskie się do związku nie zapisują. Choć dziś już nie tylko o zwolenników PiS-u chodzi. Nie zdziwiłbym się, gdyby wśród członków „Solidarności” rozwijały się poglądy bliskie Konfederacji.

Dlaczego „Solidarność” wybrała w latach 90. akurat taką drogę?
– Myślę, że od początku byli w niej ludzie, którzy mieli skrajne poglądy. Ale wcześniej musieli się liczyć z realiami życia i ograniczeniami w komunistycznej Polsce. Wówczas do związku zapisywali się jednak – i to masowo – ludzie o różnych poglądach. I to była siła tej naszej pierwszej „Solidarności”. Jej siłą było także to, że przychodzili do niej ludzie, którzy należeli do PZPR. Przecież z tego powodu partia szybko zaczęła się trząść w posadach i dlatego zakazała swoim członkom wstępowania do związku.

Bardzo wtedy pilnowaliśmy, żeby był on otwarty światopoglądowo, żeby były w nim różne sposoby myślenia i tożsamości. Było tak również wtedy, gdy później „Solidarność” odtwarzała się po stanie wojennym. Jednak była już wówczas cieniem tej olbrzymiej, dziesięciomilionowej organizacji, która powstała po sierpniu 1980 roku. U kresu PRL-u liczyła około półtora miliona członków. Wielu ludzi w stanie wojennym władza skutecznie zastraszyła, złamała i do „Solidarności” już nie wrócili.

Gdy PRL w końcu upadł, władzom związku początkowo udawało się te radykalne, prawicowe tendencje powstrzymywać. Ale do czasu. Ważny był wpływ Kościoła katolickiego, który nadawał „Solidarności” ideologiczny kierunek. Widać to było szczególnie w Gdańsku. Wszak znaczna część członków to byli ludzie wierzący.

Po 1989 roku „Solidarność” była wielką polityczną siłą. Na jej czele stał uważany wówczas za herosa Lech Wałęsa. W 1990 roku został jednak prezydentem.
– A ja po wyborach w 1991 roku szefem klubu parlamentarnego „Solidarności”. To był taki dziwny twór, w PRL-u mówiono ni pies, ni wydra – z jednej strony reprezentował ludzi zrzeszonych w związku zawodowym, a z drugiej był elementem bieżącej polityki. Sama „Solidarność” miała jednak nie wiązać się z żadną partią i nie wchodzić do żadnego rządu. Przez pierwsze lata ta-

eprasa.pl c0f49db8b5

ki dystans udawało się zachować. Aż w czerwcu 1993 roku Marian Krzaklewski, ówczesny przewodniczący, nakazał klubowi głosowanie za odwołaniem rządu Hanny Suchockiej. To była bezmyślna decyzja. A potem było już tylko gorzej. Wtedy zdecydowałem się odejść z „Solidarności".

Jak na ten skręt w prawo patrzył Lech Wałęsa?
– Bardziej wtedy chyba zajmował się sobą, oskarżeniami o współpracę z SB, które wówczas na niego spadały, także ze strony dawnych współpracowników. Z tego powodu został kompletnie od związku i jego aparatu odcięty. Nigdy już do „Solidarności" nie wrócił. Nie dlatego, że nie chciał, ale był tam persona non grata.

Ale w „Solidarności" nie brakowało nadal ludzi, którzy byli z Wałęsą blisko, którzy go znali i wiedzieli, że te oskarżenia są po prostu nieuczciwe...
– Znaczna część ludzi, którzy decydowali o związku po 1989 roku, nie była zaangażowana w działalność podziemną, nie wiedziała o niej wiele i nie odczuła na własnej skórze, czym była bezpieka. Nie docierało do nich, że niektórzy ludzie mogli mieć – tak jak Wałęsa – dość skomplikowaną historię. Co więcej, przecież Lecha najostrzej atakowali ci, którzy na początku polskiej wolności byli w niego zapatrzeni jak w obrazek. Traktowali go nawet nie jako wielkiego wodza, ale wręcz jak jakiegoś zbawiciela. A potem ich drogi się niespodziewanie rozeszły...

Wróćmy do radykalizmu „Solidarności" po 1989 roku. Czy w czasach trudnej gospodarczej transformacji, gdy okazało się, że szybko cudu nie będzie, a reformowanie Polski to będzie krew, pot i łzy, związek zawodowy mógł nie być radykalny?
– To było możliwe, jeśliby na pierwszym miejscu stawiano w nim przyszłość Polski. Nam na początku lat 90. nie chodziło o nic innego. Poziom życia się wtedy pogorszył, doszło do upadku wielu zakładów przemysłowych, pojawiły się bezrobocie, bieda. Niezadowolenie było potężne. Po 1989 zdecydowałem – wraz z grupą kolegów – że zostajemy w „Solidarności", żeby, pozostając niezależnymi od polityków, przeprowadzić kraj przez te rafy. I to się udawało. Ale ludzie, którzy działali wówczas w samym związku, a nie tak jak my uczestniczyli w reformowaniu kraju, myśleli inaczej. Dla nich najważniejsza była organizacja, którą tworzyli. Znaleźli się pod ogromną presją mas, wielkich pretensji, niezadowolenia. To był taki czas, że każdy coś tracił, w każdym przedsiębiorstwie zwalniano pracowników, wszyscy traciliśmy oparcie, usuwał się nam grunt spod nóg. Każdy z niepokojem patrzył w przyszłość, zastanawiając się, do czego to doprowadzi.

Nowa grupa przywódców „Solidarności", która przyszła razem z Krzaklewskim, zagospodarowała te emocje i zdecydowała, że będzie robić politykę na kontrze. Stwierdzili, że to oni poprowadzą Polskę. Skończyło się odwołaniem rządu Suchockiej, rozwiązaniem Sejmu, klęską w wyborach.

Cztery lata później Krzaklewski wrócił na czele wielkiej siły – Akcja Wyborcza Solidarność zdobyła w 1997 roku 200 mandatów w Sejmie, 51 w Senacie.
– Ale po kilku latach się rozpadła. Ci, którzy mieli być sojusznikami Krzaklewskiego, utworzyli nowe partie. Bracia Jarosław i Lech Kaczyńscy powołali Prawo i Sprawiedliwość, przejmując elektorat AWS-u i ludzi „Solidarności". Wielu działaczy z drugiego szeregu znalazło się wówczas w PiS-ie.

Czy rozpad Akcji Wyborczej Solidarność był nieuchronny?
– Jestem przeciwnikiem determinizmu historii, nic się nie musiało się skończyć, tak jak się skończyło. AWS był jednak – to może zabrzmieć nieelegancko wobec moich kolegów, którzy tam byli – zbieraniną polityczną, a w ówczesnej Polsce coraz bardziej zaczęły się wyostrzać różnice ideowe. Dotyczyło to nie tylko AWS, ale i Unii Wolności.

Wewnątrz tego tak nie eksponowano, można się było ciągle dogadywać, ale na zewnątrz było coraz ostrzej. Politycy stawali się przez to coraz bardziej radykalni. Wspólny mianownik, jakim była AWS, stał się dla nich zbyt wąski. Przecież początkowo pod egidą „Solidarności" mieściła się i skrajna prawica, i nawet lewica niekomunistyczna. AWS rozpadła się na partie bardziej jednolite, ale mniej łączące, mniej wspólne.

• **Sala BHP w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, 15 sierpnia 1980. Narada prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, trzeci z lewej Bogdan Borusewicz, pierwsza z prawej jego żona Alina Pienkowska (1952-2002), na lewo od niej siedzi Joanna Duda-Gwiazda, a w środku jej mąż Andrzej Gwiazda (z brodą), drugi z lewej Zdzisław Kobyliński** FOT. ZBIGNIEW TRYBEK / FORUM

Brak wyborów władz związku powoduje, że nie ma przepływu krwi, żadnej konkurencji, jest skostnienie struktur. Dlatego „Solidarność" powoli zamiera

Nikt się nie przeciwstawiał temu, że „Solidarność" stawała się przybudówką PiS-u?
– Zmiana w związku nie polegała na tym, że przyszli młodsi działacze, a starzy odeszli. Chodzi o to, że ludzi, którzy walczyli z reżimem, w końcu zastąpił ktoś, kto w stanie wojennym jako żołnierz czerwonych beretów bronił telewizji reżimowej. [Chodzi o obecnego przewodniczącego „Solidarności" Piotra Dudę, który w stanie wojennym odbywał zasadniczą służbę wojskową]. To, że związek stał się bardziej radykalny, wynika właśnie z tego.

Zresztą większość w związku miała rzeczywiście narodowo-katolickie poglądy. W ogóle moje środowisko zbyt mocno wierzyło, że masy mają takie poglądy jak my: otwarte, liberalne, że stronią od radykalizmu, chcą budować, a nie dzielić. Okazało się, że to nieprawda. Teraz, gdy nasze pokolenie już powoli odchodzi z polityki, okazuje się, że polskie społeczeństwo nie miało i nie ma idealnych, jak wtedy myśleliśmy, poglądów na kraj, świat i sąsiadów.

W którym momencie doszedł pan do takiego wniosku?
– W połowie lat 90. przesunięcie na prawo w polityce, któremu nikt się specjalnie nie przeciwstawiał, nie było jednak równoznaczne z nagłym przesunięciem na prawo polskiego społeczeństwa. Bo ono było prawicowe od zawsze, tylko my karmiliśmy się iluzjami. Nawet ci, którzy w PRL-u budowali komunizm i z tamtego systemu czerpali korzyści, również okazali się prawicowi. Komunizm to był jedynie taki naskórek. Ci ludzie są przecież dziś w polityce, na przykład dawni podoficerowie z ludowego Wojska Polskiego, którzy przed 1989 rokiem należeli do partii, a dziś są wśród najbardziej prawicowych kręgów PiS-u. Gdzie podziały się ich dawne poglądy? I to nie są jednostki, to cała duża grupa polityków.

„»Solidarność« ma korzenie chrześcijańskie i jako jeden z nielicznych związków odwołuje się do społecznej nauki Kościoła rzymskokatolickiego, więc tylko ona przywołuje należytą wagę do godności i podmiotowości pracownika". To słowa Piotra Dudy, obecnego przewodniczącego związku.
– Barbara Niemiec, działaczka „Solidarności" z Krakowa, twierdziła, że to nauka społeczna Kościoła ma być podstawą działalności związku. Później to wyewoluowało w kierunku fundamentalizmu religijnego. To sekciarstwo. Brzmi jak wezwane do krucjaty. Ale to jest pokłosie tego zwrotu w kierunku Kościoła, który dokonał się po odejściu Wałęsy. W latach 90. na zjeździe „Solidarności" jeden z moich współpracowników zaproponował, aby przyjąć uchwałę przeciwko aborcji. Widziałem, jak Wałęsa, który siedział obok mnie, podnosił i opuszczał rękę. Wielu wtedy się jeszcze wahało.

Uchwała jednak przeszła chyba dwoma czy jednym głosem. Dziś poparłoby ją ponad 90 proc. delegatów. Widziałem ten zwrot na własne oczy i pomyślałem, że od tego się zacznie, a później związek z Kościołem będzie coraz silniejszy, a „Solidarność" będzie coraz bardziej iść w prawo.

W 2000 roku Krzaklewski z kretesem przegrał wybory prezydenckie z Aleksandrem Kwaśniewskim. Po nim władze w „Solidarności" przejął Janusz Śniadek.
– On już był organicznie związany z PiS-em. Zrośnięty. Zresztą widać to po tym, gdzie ostatecznie zawędrował – PiS wysłał go do Sejmu. Nie przeszkadzało mu to. Przeciwnie, uważał zapewne, że to mu pomaga, wzmacnia, bo trzeba się z nim liczyć. Ale oczywiście „Solidarności" to nie pomagało.

W 2015 roku PiS wygrał wybory i rozpoczął trwające osiem lat rządy. Jaką rolę odgrywała w tym układzie „Solidarność"?
– Związek stał się wyłącznie zapleczem i osłoną dla Kaczyńskiego. W czasie rządów Zjednoczonej Prawicy nie organizował żadnych protestów. Nie dostrzegał żadnych społecznych problemów. Choć szczerze mówiąc, dużych strajków „Solidarność" nie organizowała już od połowy lat 90., bo przecież, żeby zrobić strajk, trzeba mieć struktury i ludzi gotowych na konfrontację. Za rządów PiS-u nawet w górnictwie panował spokój, wszystko było pod kontrolą. Chociaż – to zaskakujące – Śląsk przez lata był najbardziej liberalnym regionem „Solidarności".

W 2016 roku kolejny przywódca związku Piotr Duda zapowiadał, że „Solidarność" nakryje przeciwników PiS-u czapkami. Jak pan odbierał te słowa?
– Jako czcze groźby człowieka, który widział, że jego wpływy dramatycznie malały. I dziś są jeszcze mniejsze. Rządy Piotra Dudy to kontynuacja uległej linii Śniadka. Tyle że Duda ma podejście dyrektora z czasów PRL-u. Ceni wygody.

Uważa pan, że „Solidarność" ma małe wpływy?
– Tak. Opiera się na aktywie, który traktuje funkcje w związku jako dożywotnią synekurę. Brak wyborów władz związku powoduje, że nie ma przepływu krwi, żadnej konkurencji, jest skostnienie struktur. Dlatego „Solidarność" powoli zamiera, a, pakując się na skrajną, prawą stronę, tylko ten proces przyspiesza.

Związek mógłby się uzdrowić? Wrócić do korzeni?
– Nie widzę na to szans. Nie widzę takich przywódców. Musiałoby dojść do jakiegoś olbrzymiego wstrząsu w Polsce. A tego nie przewiduję. Związek stał się zakładnikiem własnego aparatu. Niby jest bogaty, odzyskał część majątku z funduszu wczasów pracowniczych, dostał rekompensaty i tym majątkiem obraca. W Gdańsku przejął „Dziennik Bałtycki", ale go sprzedał, by móc sfinansować kampanię wyborczą AWS. W połowie lat 90. „Solidarność" wpływała na obsady dyrektorów w zakładach pracy, w których działała, i zblatowała się z kierownictwem. Nowi dyrektorzy obdarowali „Solidarność" ośrodkami wczasowymi. Tak było w gdyńskiej Stoczni i w Dalmorze. Ośrodki następnie sprywatyzowano. W górnictwie związek organizował firmy pomocnicze, które żerowały na kopalniach.

W PiS-ie doszło właśnie do rozłamu, Kaczyński słabnie. Może to szansa, by związek odzyskał niezależność, wrócił do dawnej roli?
– Nie wierzę w taki scenariusz. Gdy PiS się rozpadnie, „Solidarność" będzie popierała kogoś innego.

Konfederację...
– Może tak być. „Solidarność" w wyborach popierała ugrupowanie na prawo od centrum. Nie jestem do końca pewny, czy w przyszłym roku nie poprze wprost Konfederacji. Ale na pewno nadal będzie popierała PiS Kaczyńskiego, a nie powstającą formację Mateusza Morawieckiego. Ale w zasadzie to jest kres możliwości politycznych „Solidarności". Jej zmierzch. ●

Rozmawiał Bartosz T. Wieliński

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

Okruchy historii

Niemiecka niepamięć o powstaniu

Czy w monografii poświęconej Heinrichowi Himmlerowi można pominąć jego rozkaz wymordowania 150 tysięcy Warszawiaków? Okazuje się, że tak.

Motyka

Książkę „Himmler. Buchalter śmierci” pióra Petera Longericha kończyłem czytać z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, to pasjonująca lektura, oparta na bogatej bazie źródłowej, pozwalająca wręcz wniknąć w zakamarki światopoglądu jednego z największych zbrodniarzy w historii ludzkości. Ale z drugiej, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że dla Longericha ważniejsze są, mówiąc dosadnie, problemy Ericha von dem Bacha-Zelewskiego z hemoroidami, niż fakt, że Himmler wydał rozkaz wymordowania wszystkich mieszkańców powstańczej Warszawy.

O tych pierwszych opowiada od strony 410 aż do 412, nie szczędząc przy tym szczegółów tej wstydliwej choroby. Na tym między innymi przykładzie pokazuje troskliwość szefa SS o swoich podwładnych – interesował się on ich problemami osobistymi i zdrowotnymi, otaczając instytucjonalną pomocą. Wdzięczny Bach-Zelewski deklarował w rewanżu: „Reichsführerze, dowiodę Panu [...] że Pańskich starych wojowników nie złamią nawet takie doświadczenia”. I by dowieść prawdziwości swych słów, w latach 1941-1943 brutalnie prowadził akcje „przeciwpartyzanckie” na Białorusi, tysiącami zabijając mieszkańców, głównie Żydów. Longerich skrupulatnie wymienia te mordy, tym bardziej jednak brakuje w książce informacji, że von dem Bach-Zelewski w 1944 r. kierował tłumieniem powstania warszawskiego. O bohaterskim zrywie polskiej stolicy w książce wspomniano zresztą tylko na stronie 853, dosłownie w sześciu wersach.

Z tej wzmianki można się dowiedzieć, że po zdławieniu powstania doszło do „zniszczenia Warszawy”, co „wydaje się robotą Himmlera”. Dowódca SS miał się bowiem chwalić na szkoleniach oficerskich, iż rozkazał „zrównać Warszawę z ziemią”, a każdy kwartał domów podpalać i wysadzać w powietrze.

Co charakterystyczne, wzmianka o powstaniu warszawskim znajduje się w podrozdziale pokazującym postępującą w 1944 brutalizację wojny, na dowód czego podano przykłady zgładzenia 68 osób w Oslo „bez żadnego postępowania sądowego” oraz rozstrzelania kilkuset więźniów politycznych pod Vught w Holandii. Jednak na temat 150 tysięcy zamordowanych cywilnych Warszawiaków w książce nie pada nawet słowo!

Te krytyczne uwagi nie zmieniają oczywiście faktu, że monografia Longericha jest cennym wkładem w badanie nazistowskiego aparatu represji. Autor w błyskotliwy sposób pokazał osobiste zaangażowanie Himmlera w eksterminację Żydów. Szef SS odwiedzał kolejne postępujące za frontem Einsatzgruppen SS, wydając bezpośrednio rozkazy intensyfikacji egzekucji. Po jego inspekcji komanda SS dotądrozstrzeliwujące tylko mężczyzn natychmiast przystępowały do mordowania wszystkich osób pochodzenia żydowskiego, bez patrzenia na wiek i płeć.

Longerich podkreśla, że „Systematyczny mord europejskich Żydów – który dziś najczęściej kojarzony jest z nazwiskiem Himmlera – był w jego oczach jedynie wstępem do krwawego zaprowadzenia »nowego porządku« na całym kontynencie europejskim” (s. 896). Represje miały obejmować po Żydach kolejne narody. Nie można więc postawić Longerichowi zarzutu lekceważenia polskich cierpień. W książce opisano choćby masowe mordy popełnione przez Niemców na polskiej ludności, na stronach 527-532 autor omówił egzekucje z lat 1939-1940 na tysiącach przedstawicieli polskiej inteligencji, księżach i ziemianach oraz na pacjentach szpitali psychiatrycznych. Longerich zapewne nie pisze o mordach w powstaniu warszawskim, bo zwyczajnie o nich niewiele wie lub składa je na karb przemocy będącej wypadkową walk z powstańcami. Przyznam szczerze, że mam z tego powodu mniejsze pretensje do niemieckiego historyka, a bardziej do nas samych – tak bowiem koncentrujemy się na sporach o zasadność wywołania powstania, że zapominamy, iż za popełnione w jego trakcie zbrodnie odpowiadają niemieccy sprawcy, a nie dowództwo AK desperacko próbujące ratować polską niepodległość.

W tym kontekście przestaje mnie dziwić, dlaczego z takim trudem przychodzi budowa w Berlinie pomnika ku czci polskich ofiar niemieckiego nazizmu. Bo przecież, jeśli tak wybitny historyk, jak Peter Longerich nie wie o rozkazie Hitlera–Himmlera, aby wymordować bezwzględnie wszystkich Polaków w Warszawie, to skąd mogą o tym wiedzieć zwykli Niemcy?!

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

REKLAMA

Kraj/34448134

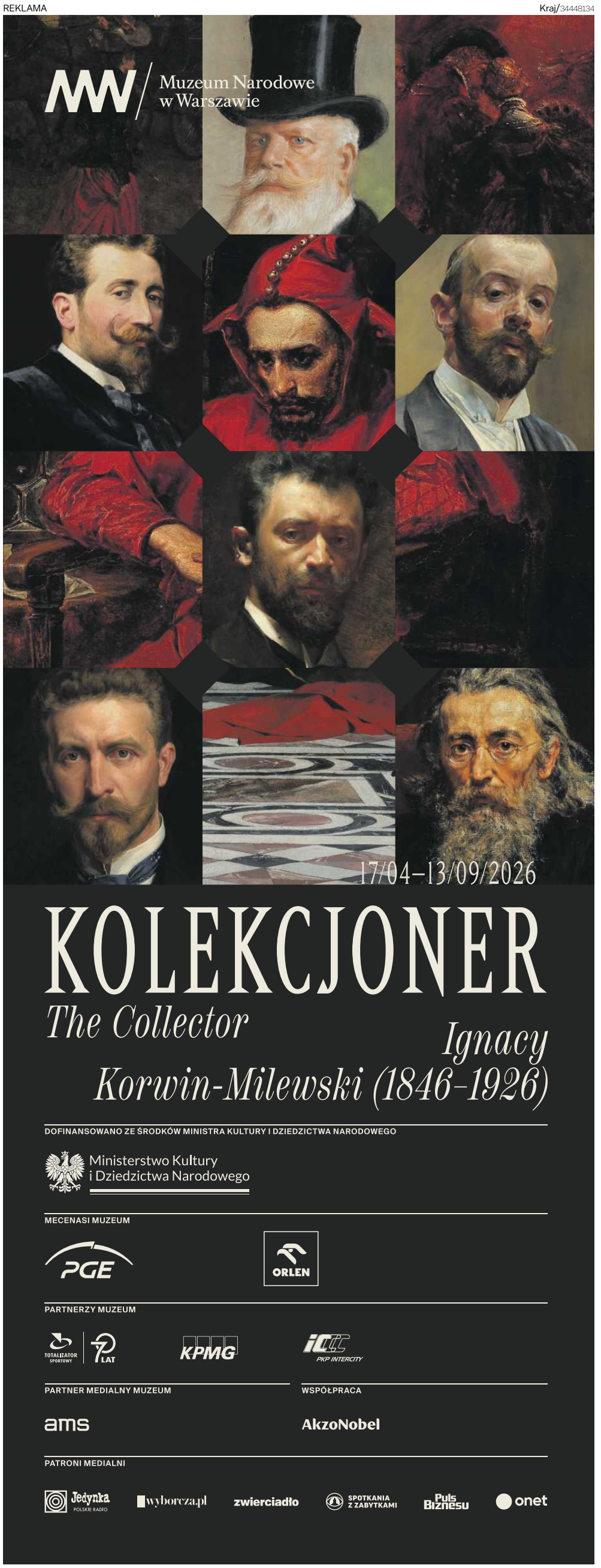

eprasa.pl c0f49db8b5

DUMA I CHWAŁA ŚLĄSKA

Ekspozycja „Stulecie" we wrocławskim Pawilonie Czterech Kopuł to próba odtworzenia słynnej wystawy śląskiego gotyku sprzed stu lat. Nie jest jednak jej wierną kopią.

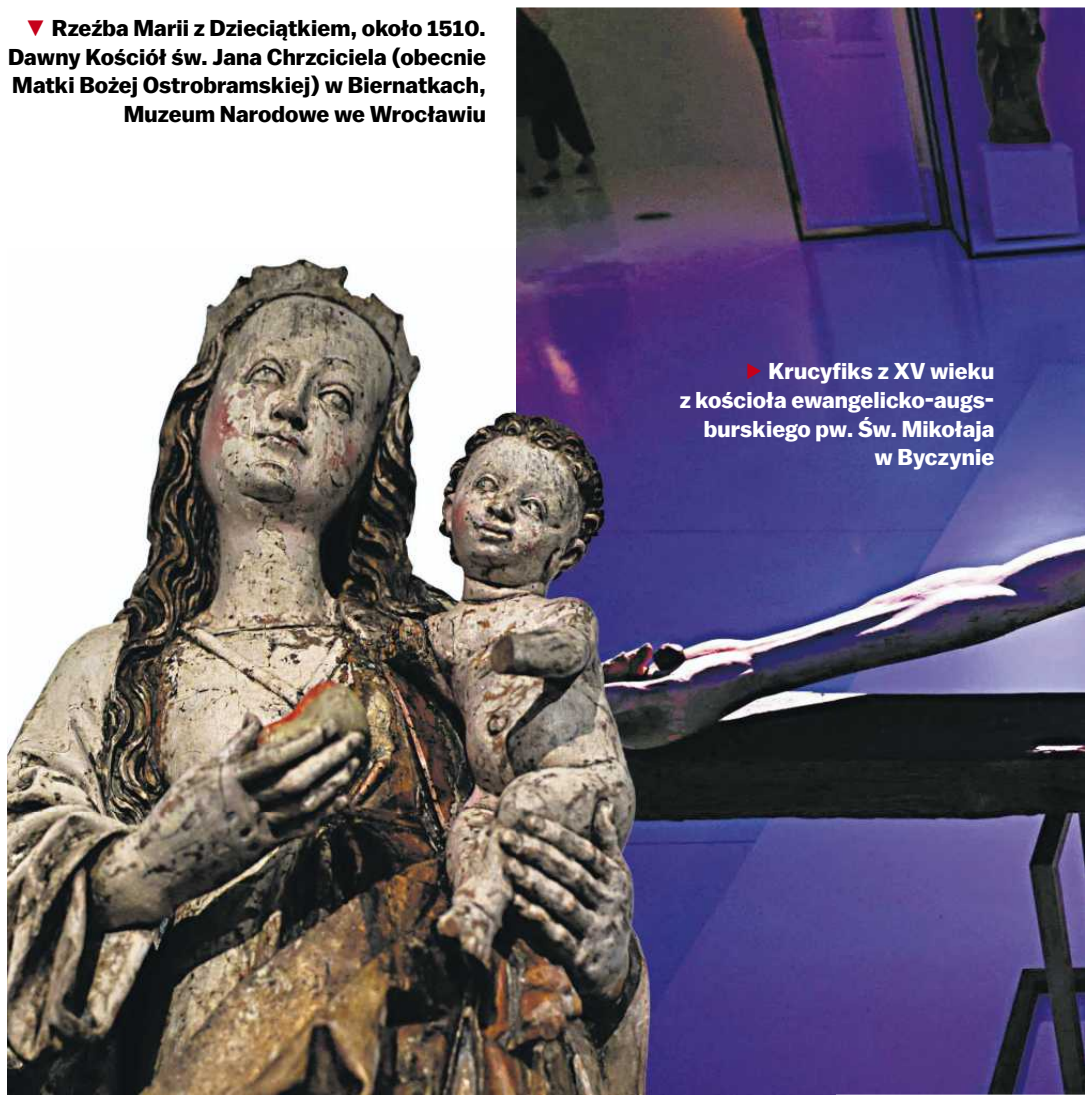

▼ Rzeźba Marii z Dzieciątkiem, około 1510. Dawny Kościół św. Jana Chrzciciela (obecnie Matki Bożej Ostrobramskiej) w Biernatkach, Muzeum Narodowe we Wrocławiu

▶ Krucyfiks z XV wieku z kościoła ewangelicko-augsburskiego pw. Św. Mikołaja w Byczynie

Beata Maciejewska

W 1926 roku Breslau poruszył Niemcy wystawą śląskiego gotyku w modernistycznej oprawie. Wrocławskie Muzeum Narodowe powtarza teraz ten projekt, pokazując losy średniowiecznych skarbów i zmiany, jakie zaszły w muzealnictwie przez sto lat.

Zaskoczenie, zachwyt, duma. Tak śląska prasa przyjęła monumentalną wystawę sztuki średniowiecznej, przygotowaną przez Heinza Braunego, ówczesnego dyrektora Śląskiego Muzeum Sztuk Pięknych i Ericha Wiesego, przyszłego szefa tej instytucji.

„To, co przez lata uważaliśmy w naszych wiejskich kościołach za skromne rzemiosło, na wystawie w Pawilonie Czterech Kopuł objawia się jako sztuka pierwszej rangi. Śląsk doby gotyku nie był ślepym naśladowcą Pragi czy Norymbergi, lecz stworzył własny, głęboko poruszający język formy" – ekscytowała się przed wiekiem „Breslauer Zeitung".

Rozmach wystawy był zdumiewający, bo ściągnięcie do Wrocławia około 280 rzeźb, ołtarzy, epitafiów i obrazów z całego Śląska wydawało się niemożliwe. Część należała do wyposażenia kościołów, cześć znajdowała się w zbiorach prywatnych kolekcjonerów, a negocjacje z takimi właścicielami wciąż są trudne. Muzeów też nie można łatwo namówić na wypożyczenie cennych obiektów z ich kolekcji.

– Transport takich skarbów z odległych zakątków Śląska również był problemem, kuratorzy wysyłali do proboszczów szczegółowe instrukcje jak zbijać skrzynie na rzeźby i wypychać je słomą lub sianem, a przewóz organizowali miękko wyścielanymi wozami meblowymi – opowiada dr Agata Stasińska, kuratorka wystawy „Stulecie".

ROZMOWA MUZEALNIKA Z PROBOSZCZEM

Ona też ma za sobą długie negocjacje i zapewne więcej niż niemieccy kuratorzy niespełnionych marzeń dotyczących wypożyczeń obiektów na „Stulecie", choć usprawiedliwia odmowy muzeów: „nikt nie chce tracić hitów ze stałych wystaw". Za to nie pisała już instrukcji i nie wysyłała wozów meblowych, bo teraz transport organizują specjaliści.

System amortyzacji, kontrola temperatury i wilgotności, specjalne materiały pakowe, windy wyładunkowe zwiększyły bezpieczeństwo obiektów, które mają już kilkaset lat i w przeszłości doznały uszkodzeń.

– Ale nawet taki transport może zaszkodzić, dlatego na przykład nie wypożyczyliśmy przepięknej kamiennej rzeźby Matki Boskiej Brzemiennej z Görlitz (Maria in der Hoffnung – red.). Jest pęknięta i po konsultacji z pracownikami Kulturhistorisches Museum Görlitz uznaliśmy, że nie można ryzykować – tłumaczy kuratorka.

Organizatorów wystawy w Breslau tak surowe zasady bezpieczeństwa nie obowiązywały, ale i oni rezygnowali z wypożyczenia obiektów w gorszym stanie. Proponowali też przeprowadzenie nieodpłatnej konserwacji w pracowni Muzeum Sztuk Pięknych i zobowiązywali się pokryć wszystkie koszty wypożyczenia. A nie były to czasy prosperity instytucji kultury, więc tym bardziej zdumiewa podjęcie się tak karkołomnego przedsięwzięcia.

TO SIĘ NIE MOŻE UDAĆ!

Wprawdzie cała Republika Weimarska zmagała się z permanentnym kryzysem, ale we Wrocławiu był wyjątkowo dotkliwy. Powstanie niepodległej Polski odcięło miasto od rynków zbytu w Wielkopolsce i na Pomorzu Gdańskim, małe firmy, dominujące w stolicy Śląska, w okresie złej koniunktury natychmiast szły pod wodę, pracownicy zarabiali coraz mniej, w końcu lądowali na bruku.

Miasto było przeludnione, sieć kanalizacyjna i wodociągowa wymagały pilnych napraw i rozbudowy, w kasie miejskiej hulał wiatr, a magistrat skarżył się Ministerstwu Spraw Wewnętrznych na „nędzę komunalną", wyliczając, ile we Wrocławiu brakuje szkół i placówek opieki społecznej. A tu Śląskie Muzeum Sztuk Pięknych startuje z taką ekspozycją, fiu-bdźiu intelektualistów!

To się nie powinno było udać, a tymczasem Braune i Wiese stworzyli jedną z największych wystaw mediewistycznych w XX-wiecznej Europie i przygotowali monumentalny katalog (wydany trzy lata po wystawie), który jest kamieniem milowym w badaniach sztuki średniowiecznego Śląska i punktem odniesienia dla współczesnych historyków sztuki.

Co więcej, pokazali gotyckie skarby we wnętrzach bardzo nowoczesnych, bez dodatkowych dekoracji. Ale ten rodzaj ekspozycji okazał się korzystny. Pawilon Czterech Kopuł to jedna z ostatnich inwestycji belle epoque Wrocławia. Zaprojektowany przez Hansa Poelziga wciąż zachowuje awangardowy sznyt, bo choć architekt nawiązał do stylu doryckiego i architektury fryderycjańskiej z początku XIX wieku, to jednak zdecydował się na szkieletową konstrukcję żelbetową, wypełnioną ceglanym murem i przykrycie ze szklanych świetlików. Idealny do celów wystawienniczych, mieści dziś kolekcję sztuki współczesnej wrocławskiego Muzeum Narodowego. Sto lat temu był symbolem nowoczesności.

– Zachowały się archiwalne fotografie wystawy, ekspozycja była bardzo prosta. Wzdłuż ścian pokryte tkaniną podwyższenia, na których (na jednej wysokości) umieszczono dzieła. Było ich tak dużo, że obrazy niemal stykały się ramami, konkurując o uwagę z gąszczem rzeźb i ustawionych jedna za drugą nastaw ołtarzowych. Na podłodze rozłożono szerokie dywany, prowadzące zwiedzających do poszczególnych części ekspozycji – opowiada dr Agata Stasińska. – Wyjątkowe wrażenie robiła sala pod kopułą, w której powieszono krucyfiksy.

SKARBY UTRACONE I ROZPROSZONE

Wystawa „Stulecie" zaczyna się tymi fotografiami. Zmontowano z nich film, wyświetlany w sali immersyjnej. Projekcja ściska mieszkańców Śląska za serce, bo część zdjęć jest ostatnim śladem po średniowiecznym dziedzictwie regionu.

– Około 30 proc. eksponatów z 1926 roku to straty wojenne. Być może uległy zniszczeniu, ale wciąż mam nadzieję, że się odnajdą. Bo takie powroty nadal się zdarzają – mówi Agata Stasińska. – Marzę, że zobaczę jeszcze figurę św. Jerzego z Oleśnicy.

Stała pierwotnie w kościele pw. NMP i św. Jerzego, nad wejściem do loży książęcej. Podobna — przedstawiająca rycerza po zabiciu smoka – znajdowała się w ziębickiej farze, a dziś można ją oglądać we wrocławskim Muzeum Archidiecezjalnym.

Nie ma też co ukrywać, że najwspanialsze dzieła śląskiego średniowiecza, pokazane sto lat temu, wyjechały po 1945 roku do Warszawy i innych miast Polski.

Krucyfiks mistyczny z ok. 1330-1340 roku, pochodzący z wrocławskiego kościoła Bożego Ciała, trafił do Muzeum Narodowego w Warszawie. Tam też można oglądać

eprasa.pl c0f49db8b5

▲ **Ze zdjęć dokumentujących wystawę z 1926 roku zmontowano film pokazywany w sali immersyjnej**

◀ **Rzeźba Chrystusa Frasobliwego, warsztat śląski, ok. 1500, Kościół Świętej Trójcy w Lubaniu, Städtische Sammlungen für Geschichte und Kultur w Görlitz**

▶ **W dolnym rzędzie od lewej: 1. Chusta św. Weroniki (Veraikon), malarz czeski lub śląski, ok. 1410, Kościół św. Marii Magdaleny we Wrocławiu, Muzeum Narodowe w Warszawie**
2. Pieta, warsztat Mistrza Tyńskiego Ukrzyżowania, ok. 1410-1420, Kościół Podwyższenia Krzyża Świętego w Smarchowicach Śląskich, Muzeum Narodowe we Wrocławiu
3. Reliefy ze scenami z życia Marii, warsztat śląski, ok. 1360, Kościół Parafialny św. Jerzego w Ziębicach, Muzeum Narodowe w Warszawie

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL (7)

nastawę XV-wiecznego ołtarza z kościoła św. Barbary (dziś katedra prawosławna), Pentaptyk Zwiastowania Marii z Jednorożcem z końca XV wieku, przeznaczony dla wrocławskiego kościoła św. Elżbiety i Pietę z Lubiąża, która jest jedynym zachowanym w Polsce przykładem Piety o monumentalnych wymiarach.

Losy tej rzeźby mogłyby posłużyć za punkt wyjścia do opowieści o śląskich zabytkach, bo w czasie II wojny światowej została objęta akcją ewakuacji dzieł sztuki, prowadzonej przez słynnego konserwatora zabytków, Günhera Grundmanna. Też wywożono je wozami meblowymi i umieszczano w skrytkach wciąż rozpalających wyobraźnię poszukiwaczy skarbów – klasztorach, zamkach, pałacach, sztolniach i wieżach rycerskich.

Pietà trafiła najpierw do składnicy w Lubomierzu, a potem przeniesiono ją do skrytki w Szklarskiej Porębie, wreszcie została przejęta przez Rosjan, „odbita” przez polską ekipę i w końcu pojechała do Warszawy. A kościół klasztorny w Lubiążu, którego była największym skarbem, jest dziś pustą skorupą, bo wydarto z niego wszystko, co wydrzeć się dało, rozsyłając wyposażenie po Polsce.

Notabene, zapełniając śląskimi dziełami sztuki ogołocone w czasie wojny polskie muzea i kościoły, rozdzielano ołtarze na mniejsze elementy. Dzięki wystawie „Stulecie” możemy zobaczyć w jednym miejscu kwatery ołtarzowe ze scenami z legendy o św. Piotrze, które są obecnie w zbiorach muzeum wawelskiego, szczecińskiego i wrocławskiego. W 1926 r. pokazano je jako wyposażenie jednego z górnośląskich kościołów, ale były już własnością hrabiowskiej rodziny Maltzanów z Milicza.

ZOBACZ Z BLISKA

Niestety, lubiąskiej Piety, ani Pentaptyku Zwiastowania z Jednorożcem nie zobaczymy dzisiaj w Pawilonie Czterech Kopuł. Kuratorka „Stulecia” podkreśla, że ekspozycja nie jest wierną powtórką projektu z 1926.

Po pierwsze, pokazuje tylko 150 eksponatów, a nie 282, co dla widzów jest wbrew pozorom korzystne, bo zbyt obfita uczta może zmęczyć nawet największego żarłoka. Tym bardziej że kontakt z tymi dziełami jest wręcz intymny i wymaga czasu.

Ogląda się je długo, bo z tak bliskiej odległości najmniejsze detale – wzór na sukni, zawartość misy, wnętrze komnaty – są dobrze widoczne, przez co ołtarz staje się dokumentem epoki. W kościele, z daleka, w obecności innych dzieł sztuki, nie docenimy kunsztu średniowiecznych mistrzów. W większości muzeów też nie, bo słupki i sznurki nie pozwalają widzom bliżej podejść.

Po drugie, na wystawie są też obiekty, których niemieccy kuratorzy nie wykorzystali, a które wyszły z tych samych warsztatów, co największe skarby średniowiecznego Śląska. Nie zobaczymy wprawdzie ołtarza św. Barbary, wykonanego w warsztacie Wilhelma Kalteysena von Ohe, imigranta z Nadrenii (von Ohe czyli z Akwizgranu), ale możemy podziwiać „Chustę św. Weroniki”, która według historyków sztuki jest dziełem tych samych rąk.

Obraz pochodzi z kościoła Najświętszej Marii Panny w Legnicy, miał być pokazany na wystawie, ale był w złym stanie i kuratorzy go wycofali. Został oddany do konserwacji, wrócił do Legnicy i zaginął. Odnalazł się dopiero w 1971, podczas prac w świątyni i został przekazany do Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Warto też zwrócić uwagę na rzeźbę anioła z rogiem myśliwskim ze zbiorów wrocławskiego Muzeum Narodowego. – Nie jest w stałej ekspozycji, to wyjątkowa okazja, żeby rzeźbę zobaczyć – podkreśla Agata Stasińska.

Wygląda niemal identycznie jak Archanioł Gabriel z Poliptyku Zwiastowania z Jednorożcem i uchodzi za dzieło tego samego warsztatu. A warsztat był świetny, bo Poliptyk Zwiastowania z Jednorożcem to jeden z najcenniejszych ołtarzy w polskich zbiorach, perła średniowiecznej kolekcji warszawskiego Muzeum Narodowego.

Ogromny, osiem metrów wysokości, powstał około 1480 roku dla kościoła farnego pw. Św. Elżbiety we Wrocławiu i jest prawdopodobnie fundacją patrycjuszowskiej rodziny Bancków. Najważniejsza część przedstawia scenę Zwiastowania. Na kolana Maryi wspina się jednorożec i przytula głowę do jej łona (to mityczne zwierzę zwabić mogła tylko dziewica), a Archanioł Gabriel dmie w myśliwski róg.

NA TROPIE WITA STWOSZA

Centralnymi punktami wystawy „Stulecie” jest krucyfiks z opolskiej Byczyny i „Poliptyk Zaśnięcia Marii” ze Świdnicy.

Ekspozycja ogromnego krucyfiksu, który został ułożony na trasie przejścia przez wystawę, robi wstrząsające wrażenie. To jedyne dzieło, które pozostało z najstarszego wyposażenia kościoła św. Mikołaja w Byczynie (obecnie ewangelicko-augsburskiego) i jego zdjęcia pojawiają się w relacjach wielu turystów odwiedzających Opolszczyznę. Ma 500 lat, szczęśliwie przetrwał przebudowy, wojny i zmiany konfesyjne świątyni. Przed otwarciem wystawy przeszedł konserwację, a bliskość i odpowiednie światło pozwalają docenić mistrzostwo śląskiego warsztatu.

Jeszcze bardziej zachwyca „Poliptyk Zaśnięcia Marii” z katedry w Świdnicy. Dzieło niezwykłe, z 1492 roku, najstarszy na Śląsku przykład dzieła wzorowanego na kompozycji głównej sceny Ołtarza Mariackiego autorstwa Wita Stwosza. Świdniccy mieszczanie dołożyli się do ołtarza Stwosza – z Krakowem mieli związki biznesowe i rodzinne – i być może chcieli mieć podobne dzieło w swoim kościele. W każdym razie jest to jedyny gotycki ołtarz, który zachował się w katedrze po barokowej rewolucji dokonanej przez jezuitów.

W świdnickiej świątyni zajął Chór Mieszczański należący do Bractwa Maryjnego, na który wchodzi się po kamiennych stopniach z głębokimi wyżłobieniami. To odciski kolan grzeszników, którzy pielgrzymowali do świętych relikwii, odmawiając na każdym schodku modlitwy, żeby dostać odpust od kar czyśćcowych i ta droga do ołtarza buduje wokół niego nastrój, którego – wydawałoby się – nie da się odtworzyć w warunkach muzealnych.

A jednak ołtarz, który po stu latach znowu opuścił Chór Mieszczański, przyciąga jak magnes. To zasługa zmieniającego się oświetlenia, muzyki i skrócenia dystansu. W świdnickiej katedrze wszystkich detali nie zobaczymy.

– Nie jesteśmy w przestrzeni sakralnej i nie chcemy oszukiwać widzów, tworząc takie złudzenie. Ale światło i muzyka buduje nastrój w świątyniach, pozwala się skupić. Scenografia wystawy to dzieło znakomitych specjalistów, Agnieszki Sowy-Szenk i Tomasza Szenka – mówi Agata Stasińska.

ŚLĄSK BOGATY I AMBITNY

Warto też zwrócić uwagę na epitafia wrocławskich mieszczan. Tutejsi kupcy prowadzili interesy na całym niemal kontynencie, w ich kieszeniach siedzieli królowie. To ludzie, którzy mieli kontakty z najważniejszymi centrami artystycznymi i chcieli, żeby Wrocław grał w pierwszej lidze. Miejscem, w którym pokazywali swoje ambicje i potęgę, były fary — elżbietańska i magdaleńska. Wspaniałe kaplice fundowane, wyposażone i użytkowane przez kolejne pokolenia mieszczańskich rodów, wypełnione nagrobkami, epitafiami, tablicami inskrypcyjnymi i tarczami herbowymi, wiązały ściśle życie świątyń z życiem Wrocławia. Najbogatsi zamawiali dzieła sztuki u najlepszych. I nawet w mniejszych miejscowościach Śląska – w Skarbimierzu, Strzegomiu czy w Świdnicy — średniowieczna sztuka olśniewa.

Wystawa wrocławskiego Muzeum Narodowego nie budzi już takiego zaskoczenia jak ekspozycja sprzed stu laty, wiemy, że nie jest to „skromne rzemiosło” i nawet w wiejskich kościółkach Śląska oglądamy skarby. Ale zachwyt i duma są równie wielkie. ●

Wystawa „Stulecie. W rocznicę wielkiej wystawy śląskiej sztuki średniowiecznej” w Pawilonie Czterech Kopuł Muzeum Sztuki Współczesnej we Wrocławiu, czynna do końca 2026 roku.

eprasa.pl c0f49db8b5

LUBUSKIE złoto SCYTÓW

Skąd się wziął scytyjski skarb w Witaszkowie koło Gubina? Kto go tam zakopał 2500 lat temu? Zastanawiają się nad tym od lat badacze naszych pradziejów.

Przemysław Urbańczyk

Kiedy 5 października 1882 roku niemiecki rolnik August Lauschke wyszedł na swoje pole w Vettersfelde (dzisiejsze Witaszkowo koło Gubina), nie spodziewał się, że ten dzień zapisze się złotymi zgłoskami w historii badań nad odległą przeszłością Europy Środkowo-Wschodniej. Zupełnie przypadkowo dokonał bowiem niezwykłego odkrycia, o którym obowiązkowo wspominają publikacje badawcze i popularnonaukowe poświęcone pradziejom tej części kontynentu.

Znaleziony przez niego depozyt złotych przedmiotów: okucie sajdaka/łubi (skórzanego pokrowca na łuk) wytłoczone z blachy o kształcie wielkiej ryby, okucie pochwy sztyletu typu akinakes, naszyjniki, naramienniki, zawieszki, oprawka kamiennej osełki, pierścień i inne przedmioty ważyły łącznie ponad 4,5 kilograma. Ich identyfikacja kulturowa nie sprawiła większych problemów, bo kształty i zdobienie tych przedmiotów jednoznacznie wskazywały na Scytów, których wyrafinowany gust zaspokajały nadczarnomorskie warsztaty złotnicze.

IMPERIUM SCYTÓW

Ci azjatyccy koczownicy w VII-VI wieku p.n.e. przybyli ze stepów syberyjskich i opanowali tereny rozciągnięte od Morza Kaspijskiego do północnych brzegów Morza Czarnego. Stamtąd organizowali wyprawy wojenne, którymi terroryzowali znaczne połacie Europy i Bliskiego Wschodu – aż do Egiptu. Wspominani są przez Herodota, Strabona, Diodora i innych historyków starożytnych nie tylko jako mistrzowie sztuki wojennej, ale też lud o niezwykłych obyczajach, np.: udział kobiet w bitwach, picie krwi zabitych wrogów, których też skalpowano, oraz odurzanie się konopiami indyjskimi.

Ich strategii opartej na wysoce mobilnych oddziałach konnych łuczników uzbrojonych też w żelazne czekany osadzone na długich trzonkach długo nie potrafiły sprostać europejskie wojska bazujące na pieszych oddziałach falangi wspomaganych przez trudne do manewrowania rydwany. Nie mogąc ich pokonać, Grecy i Persowie wynajmowali czasem Scytów, wykorzystując ich umiejętności militarne w wewnętrznych konfliktach.

Próbowali też przejmować przywiezione przez nich z Azji wynalazki, np. oporządzenie konia bojowego. Najtrudniejszy, a nawet chyba wręcz niemożliwy do podrobienia był łuk refleksyjny (odwracalny) mozolnie klejony z kawałków drewna, kości i poroża w trakcie wielomiesięcznego procesu produkcyjnego. Ta broń pozwalała Scytom wystrzeliwać strzały zakończone charakterystycznymi trójgraniastymi ostrzami na nieosiągalną dla europejskich łuczników odległość nawet 500 metrów, co zapewniało morderczą skuteczność bitewną.

Jak typowi koczownicy przemierzali stepy ze swoimi stadami, znacząc swój pobyt kurhanami sypanymi zmarłym dostojnikom. Ich władca Idantyrsos wyłuszczył, na czym polegało znaczenie tego zwyczaju w 513 roku p.n.e. w posłannictwie do nieskutecznie próbującego go pokonać perskiego króla Dariusza: „[...] My Scytowie nie mamy ani miast, ani uprawnej ziemi, żeby zbyt śpieszno nam było wdawać się z wami w walkę [...], jednak [...] posiadamy przecież groby naszych ojców [...]", których obrona była honorowym obowiązkiem.

To właśnie rozrzucone na wielkim obszarze Europy Wschodniej kurhany scytyjskie są najbardziej atrakcyjnymi obiektami badań ich niezwykłej kultury materialnej. Często wypełnione złotymi precjozami i dobrze widoczne w stepowym krajobrazie, przez stulecia skupiały uwagę rabusiów. Do dzisiaj mają z nimi problem służby konserwatorskie Ukrainy zajętej desperacką obroną przed rosyjską agresją. Miraż złotych łupów przyciąga bowiem amatorów łatwych zysków, chociaż o niezrabowany kurhan jest już bardzo trudno.

Wielka liczba i niezwykła jakość artystyczna tych znalezisk sprawiły, że „złoto scytyjskie" stało się terminem powszechnie rozpoznawalnym. Wizualna atrakcyjność i wielka wartość antykwaryczna tych prominentnych przykładów starożytnej sztuki jubilerskiej skutecznie przyciąga do muzeów rzesze zwiedzających i zapewnia wysoką sprzedawalność kolorowym albumom.

• **Czterdziestocentymetrowa złota ryba, jeden z 20 przedmiotów znalezionych w 1882 roku na polu w Witaszkowie (wówczas Vettersfelde) koło Gubina**

FOT. GARY TODD FROM XINZHENG, CHINA, CCO, VIA WIKIMEDIA COMMONS

ZACHODNIA BRAMA SCYTII

Niestety, ziemie położone między Odrą a Bugiem nie były zbytnio atrakcyjne dla ekspansywnych Scytów. Nie oznacza to, że się tam nie zapuszczali, bo znaleziska archeologiczne potwierdzają ich co najmniej okresową obecność. W ogromnej większości są to charakterystyczne trójgraniaste ostrza strzał, które potwierdzają militarno-łupieżczy charakter tych wizyt.

Ten jednostronny obraz zmieniły badania archeologiczne prowadzone od 2016 roku w południowo-wschodniej Polsce. Zaskakujące było odkrycie w Chotyńcu w powiecie jarosławskim pozostałości dużego grodu scytyjskiego, którego mieszkańcy utrzymywali kontakty ze strefą cywilizacji helleńskiej. Świadczy o tym największa w Polsce kolekcja ponad 200 fragmentów greckiej ceramiki, z których udało się zrekonstruować piękną amforę. W pobliżu znaleziono też niewielkie osady otwarte powiązane organizacyjnie z grodem, który stanowił centrum tej najdalej na północ wysuniętej enklawy osadnictwa scytyjskiego.

Jej mieszkańcem był zapewne mężczyzna pochowany w unikatowym, bo jedynym w Polsce grobie scytyjskiego wojownika odkrytym w Sobiecinie koło Jarosławia. Nie ma w nim wprawdzie złotych przedmiotów, ale żelazny czekan bojowy nie pozostawia wątpliwości, kogo pochowano tam na przełomie VII-VI wieku p.n.e.

Te znaleziska rzucają zupełnie nowe światło na zasięg stałej obecności Scytów daleko od ich siedzib nadczarnomorskich. Polscy archeolodzy ochoczo, chociaż trochę na wyrost nazwali tę forpocztę koczowniczego imperium „zachodnią bramą Scytii".

POCHÓWEK CZY DEPOZYT?

Odkrycia spod Jarosławia nie dorównują jednak atrakcyjnością złotemu skarbowi z Witaszkowa, który wytrzymuje konfrontację z najcenniejszymi zabytkami scytyjskimi. O ile jednak składające się na niego przedmioty są łatwe do identyfikacji, o tyle trudno było ustalić charakter tego znaleziska, to znaczy przyczyny zdeponowania takiej ilości złota tak daleko od właściwych siedzib Scytów. Przypadkowość tego odkrycia uniemożliwiła bowiem ustalenie szczegółów jego kontekstu.

Aż do początku XXI wieku dominował domysł, że musi to być pozostałość po rozoranym grobie scytyjskiego dostojnika, który zmarł nagle podczas jednej z dalekich wypraw łupieżczych. Stanowiły one wielkie zagrożenie, o czym świadczą szeroko rozprzestrzenione znaleziska charakterystycznych trójgraniastych ostrzy strzał, które nie pozostawiają wątpliwości, kim byli ich właściciele.

To właśnie w agresywnej aktywności Scytów upatruje się jednej z przyczyn – obok niekorzystnych zmian klimatycznych – upadku potężnej kultury łużyckiej, która po ponadtysiącletniej dominacji w północnej części

eprasa.pl c0f49db8b5

Europy Środkowo-Wschodniej zanikła w V wieku p.n.e. Wojownik pochowany w Witaszkowie miałby być wodzem jednego z łupieżczych zagonów. Alternatywnie podejrzewano, że mogła to być zdobycz wojenna schowana w ziemi przez lokalną ludność.

Niepewną kwestię interpretacji natury złotego skarbu postanowili zweryfikować dwaj badacze z Instytutu Archeologii warszawskiego Uniwersytetu im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wydawało się, że zadanie, którego podjęli się profesorowie Zbigniew Kobyliński i Louis Daniel Nebelsick, miało małe szanse powodzenia, bo po stu kilkudziesięciu latach pamięć o okolicznościach tamtego odkrycia zaginęła, a naukowej dokumentacji wówczas nie sporządzono. Fiaskiem skończyły się więc wcześniejsze próby ustalenia dokładnego miejsca znaleziska, aby pozyskać z ziemi więcej informacji.

Okazało się jednak, że systematyczność i cierpliwość są nagradzane i projekt zrealizowany w latach 2001-2004 umożliwił rozwiązanie zagadki. Dzięki informacjom znalezionym w archiwach berlińskich i szerokopłaszczyznowym poszukiwaniom geofizycznym udało się bowiem precyzyjnie zlokalizować poszukiwane miejsce na polu położonym między wsiami Kozów i Witaszkowo.

Archeolodzy odkryli tam obudowane kamieniami i otoczone brukiem źródło połączone drewnianym pomostem z dużym paleniskiem. Dokonane tam znaleziska – m.in. kilkaset miseczek służących do czynności rytualnych – wskazują, że mamy do czynienia z ceremonialnym źródłem – miejscem kultu bogów wodnych. Czczono ich przez zbiorowe libacje kultowe i składanie bogatych darów. Złoto z Witaszkowa byłoby więc raczej dobrowolnym wkładem Scytów w lokalne obyczaje, co miało spacyfikować potencjalne konflikty.

CO DALEJ ZE ZŁOTEM Z WITASZKOWA?

Do II wojny światowej złoty skarb eksponowano w berlińskiej Antikensammlung. Podzielił on wojenny los mnóstwa cennych świadectw przeszłości. Z zagrożonego bombardowaniami miasta został przewieziony do kopalni soli koło dolnosaksońskiego Helmstedt, gdzie znaleźli go żołnierze brytyjscy. Ostatecznie do Berlina dotarła tylko część ze złotych precjozów, bo reszta zaginęła w powojennym chaosie administracyjnym, padając zapewne łupem wojskowych lub cywilnych złodziei.

Kiedy decyzją zwycięskich mocarstw państwo polskie zostało przesunięte na Zachód, ziemia lubuska znalazła się w jego granicach, a Vettersfelde stało się Witaszkowem w gminie Gubin powiatu krośnieńskiego. Nie oznaczało to jednak, że złoty skarb scytyjski został przekazany Polsce. Dzisiaj można go oglądać w Berlinie, a nasze muzea muszą się zadowolić kopiami.

Czy kiedykolwiek te wspaniałe przedmioty znajdą się w granicach państwa, na którego obecnym terytorium je znaleziono? Szanse na to są niewielkie, bo repatriacja kolekcji muzealnych jest wszędzie problemem niezwykle trudnym, nawet w stosunkach między zaprzyjaźnionymi państwami. Dotyczy tylko pojedynczych przedmiotów, które przekazywane są w jednostkowych gestach dobrej woli. ●

Pod koniec maja nakładem Wydawnictwa Naukowego PWN ukazał się drugi tom monografii „Korzenie Polski” prof. Przemysława Urbańczyka.

1 RP

Antypolityka historyczna

Drewniane kościoły nie płoną

Tak niedawno go oglądałem, zachwycałem się nim. Dziś zostało z niego tylko trochę zwęglonych belek.

Janowski

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

W sierpniu 2025 roku zwiedziłem wreszcie (zbierałem się już od dawna) skansen w Sanoku. Kiedy dziś przeglądam zdjęcia, przypominam sobie, jak wiele uwagi poświęciłem wówczas pewnemu drewnianemu kościołowi. Dość typowemu dla Małopolski: wieża z izbicą po stronie przeciwnej niż prezbiterium, tak, że przez dolną część wieży wchodzi się do nawy głównej; dwuspadowy dach kryty gontem; na wieży również gontem kryty dach w kształcie nieregularnego, bo rozszerzającego się ku dołowi, ostrosłupa o kwadratowej podstawie. Górne piętro wieży to tak zwana izbica – nadwieszone poza ściany korpusu wieży czworoboczne pomieszczenie, w którym zwykle znajdują się dzwony. Ze wszystkich stron otaczają kościół podcienia kryte gontem, tak zwane soboty. Drewniane słupy, podtrzymujące dach nad sobotami, połączone są z innymi belkami przez skomplikowany system wcięć, dzięki któremu konstrukcja jest stabilna bez użycia gwoździ. O kunszcie budowniczych świadczy też kształt daszku nad sobotami, podnoszącego się jak fala, aby pomieścić pod sobą główne wejście do kościoła. Twarda drewniana konstrukcja faluje jak kawałek materiału poruszany wiatrem. Zwraca uwagę detal – na dachach i ścianach widzimy poziome linie zachodzących na siebie gontów, zaś izbica pokryta jest pionowymi deskami o trójkątnych dolnych zakończeniach wystających poza obręb ścian wieży. Trójkątne są również zakończenia dolnej linii gontów na dachach. Połączenie rytmu detali z rytmem konstrukcji całej świątyni – wąskie prezbiterium, szersza nawa i smukła wieża – daje wybitny efekt artystyczny.

Ale nie chodzi jedynie o estetykę. Badanie historii przecież dlatego jest tak wciągające, że każdy punkt obserwacyjny daje nam nową perspektywę na całość wydarzeń. Analogia z krajobrazami zmieniającymi się podczas górskiej wycieczki sama się narzuca. Drewniana architektura ukazuje panoramę zjawisk szerszych niż ona sama. Oglądam i myślę: prezbiterium jest zamknięte nie prostokątnie, jak w wielu drewnianych kościołach (choćby w Dębnie czy Grywałdzie), lecz trzema ścianami – dlaczego? Może dlatego, że kościół jest większy, a może dlatego, że przyszła nowa moda? A jeśli moda – to jakimi drogami przychodziła? Dlaczego izbice w różnej formie spotykamy w całym regionie karpackim – na wieżach cerkwi w północnej Rumunii czy kościołów protestanckich we wschodnich Węgrzech – a nie spotykamy ich na Mazowszu? Dlaczego w tym właśnie kościele dachy nad prezbiterium i nad główną nawą są nachylone pod różnym kątem, podczas gdy zwykle w Małopolsce mamy do czynienia ze wspólnym dachem obu tych części świątyni? Kto ten kościół budował? Lokalni cieśle czy wędrowni fachowcy? Kto malował obrazy, rzeźbił ołtarze? Kto fundował? Biskup, pan wsi czy sama wieś? Gdybym umiał rozwiązać te problemy (nie umiem), to może choć trochę bym zrozumiał, jak funkcjonowało polskie społeczeństwo kilkaset lat temu.

• **Zgliszcza drewnianego kościoła p.w. św. Mikołaja Cudotworcy z Bączala Dolnego, który spłonął w skansenie w Sanoku w nocy z 15 na 16 sierpnia. Poniżej zdjęcie kościoła sprzed rok** FOT. PATRYK OGORZAŁEK, MACIEJ JANOWSKI

I ten właśnie kościół, z drugiej połowy XVII wieku, pod wezwaniem św. Mikołaja Cudotwórcy, pochodzący ze wsi Bączal Dolny, niedaleko Jasła – doszczętnie spłonął w nocy z 15 na 16 sierpnia. Tak niedawno go oglądałem, a zostało z niego trochę zwęglonych belek. Metafizyczne wrażenie robią zdjęcia z pożaru, kiedy konstrukcja jeszcze stoi, ale już objęta morzem czerwonych płomieni na tle czarnego nieba.

Wyciągam z półki książkę Ryszarda Brykowskiego i Mariana Korneckiego o kościołach drewnianych w Małopolsce południowej; jest w niej zdjęcie naszego kościoła z czasów, kiedy jeszcze stał w Bączalu Dolnym. Zamiast pięknych falujących gontów jest zwykłe pokrycie blaszane. Na pierwszy rzut oka trudno dostrzec, że ściany są z drewna. Od północnej strony przytłacza świątynię wielka murowana przybudówka. Ta stara fotografia uzmysławia nam, jak wiele musieli zrobić konserwatorzy w skansenie, aby przywrócić kościół do pierwotnego stanu. To daje pewną nadzieję. Ostatecznie – pocieszam się – pożar i odbudowa są wpisane w dzieje architektury drewnianej, a wiele drewnianych świątyń, które dziś podziwiamy, powstało na miejscu swoich spalonych poprzedników. W skansenie w Sanoku kilka lat temu pięknie zrekonstruowano spaloną przez Niemców drewnianą synagogę z Połańca; z pewnością odbuduje się i tę świątynię. A może jednak drewniane kościoły, podobnie jak rękopisy, w ostatecznym rozrachunku „nie płoną”, a w każdym razie nie ostatecznie. ●

eprasa.pl c0f49db8b5

Florenckie archiwum Geremka

To międzynarodowe środowisko naukowe stworzyło człowieka, który stał się jednym z architektów polskiej drogi na Zachód.

Paweł Sowiński

W Villi Salviati, perle medycejskiego renesansu, umieszczono papiery Bronisława Geremka (1932-2008). Najciekawsza część jego spuścizny to listy, które otrzymywał przez ponad pół wieku. W zbiorach florenckich, które stanowią część archiwum Unii Europejskiej, zachowała się korespondencja z 234 osobami, w sumie nie więcej niż tysiąc listów lub kartek pocztowych. Wśród nadawców znajdziemy plejadę gwiazd międzynarodowego środowiska historycznego. Głównie mężczyzn, kobiety niestety zdarzają się znacznie rzadziej, to może być prawdziwa gratka dla zwolenników refleksji genderowej i równościowej.

Przesyłki z różnych stron świata trafiały pod adres na Piwnej, a potem na Słomińskiego, gdzie profesor wraz z żoną mieszkał w Warszawie. A w latach 60. również do Paryża, gdzie przez kilka lat pracował. Listy bywają źródłem mocno prywatnym. Szczególnie ciekawe bywają te pisane przez dobrych znajomych. Choć trafiają się listy prywatne od osób prawie obcych jak na przykład od żony profesora Gerharda Kaisera do Hanny Geremek z ofertą pomocy materialnej w stanie wojennym. Nadawcy na ogół piszą bez intencji upubliczniania swoich myśli. Mimo że upłynęło już sporo lat, omijam zatem sprawy nazbyt prywatne.

FRANCJA DODA CI SKRZYDEŁ!

Działalność naukowa profesora była zarazem przełamywaniem żelaznej kurtyny. Z lat 50. i 60. wywodzą się jego ważne przyjaźnie z francuskim historykami z kręgu Ècole Pratique des Hautes Ètudes z Fernandem Braudelem na czele. Geremek staje się ważnym ogniwem pośredniczącym w kontaktach polskich i francuskich historyków. W liście z 1960 roku Braudel informuje Geremka, wówczas szefa placówki Uniwersytetu Warszawskiego w Paryżu, że zwrócił się do polskich kolegów o przysłanie mu fotografii średniowiecznych rycerzy krzyżackich wydobytych z błota w okolicach Łodzi, ale zdjęcia wciąż nie nadchodzą. List napisany nie jako ponaglenie, ale raczej jako zapewnienie o zainteresowaniu Braudela publikacją zdjęć rycerzy z łódzkich mokradeł.

Czy fotografie ostatecznie dotarły do Paryża trudno dziś ustalić bez żmudnych poszukiwań. Ważniejsze jest żywe zainteresowanie króla francuskiej historiografii Polską i jej życiem naukowym. Braudel naprawdę nie musiał się nami zajmować, a jednak chciał w swoich pracach rozwijać refleksję europejską uwzględniającą polskie odkrycia naukowe.

Tymczasem Polacy przyjeżdżali do Paryża dzięki współpracy, którą Geremek rozwijał w okresie nieciekawych rządów Władysława Gomułki. Z listu Jacques'a Le Goffa, francuskiego mediewisty i przyjaciela Polski, dowiadujemy się, że w 1960 roku przyjechała do Paryża Teresa Wąsowicz „świetnie zadomowiona, energiczna, przebojowa". Wąsowicz wydała mu się zbyt dynamiczna. Nie tylko ona zapewne. W atmosferze Francji badacze z Polski rośli, nabierali rozpędu, dawali z siebie więcej niż w ojczyźnie. Mogło tu działać zauroczenie trudno dostępnym źródłami, dającymi (wreszcie) szanse na rozwinięcie badań prawdziwie europejskich – transnarodowych i bez kontroli władz komunistycznych.

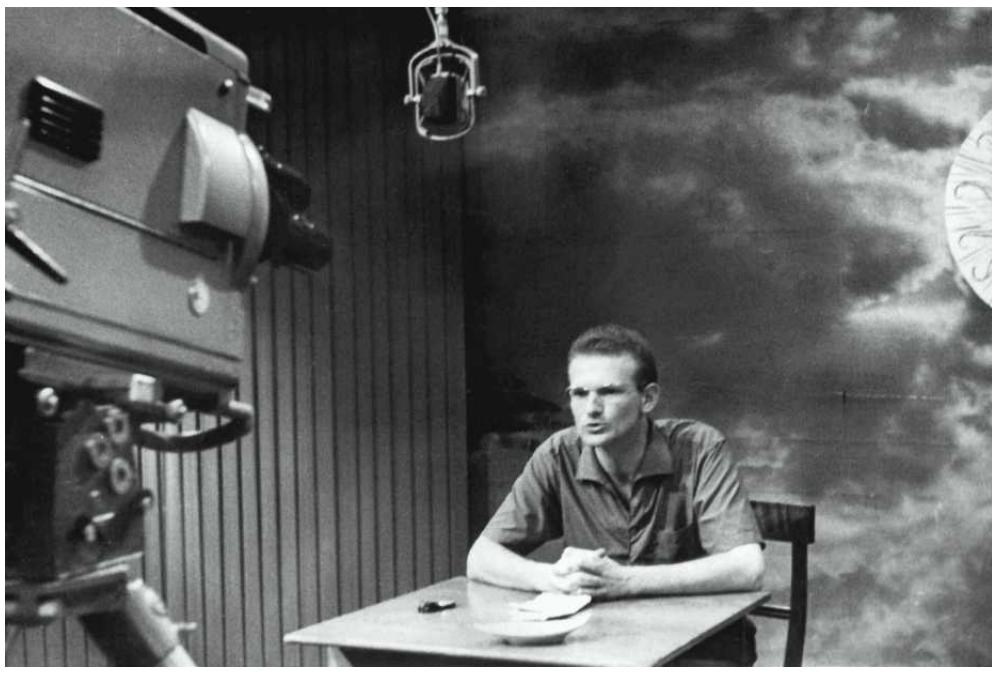

• **Bronisław Geremek (1932-2008) w latach 60. podczas nagrywania programu telewizyjnego o historii** FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Niemniej ważny był jednak pośpiech i niepewność, czy uda się wrócić do Paryża, czy jeszcze raz dostanie się szansę, stypendium, paszport. Polacy zapewne chcieli też dobrze wypaść przed francuskimi gospodarzami, mając nadzieję na utrzymanie nawiązanych nad Sekwaną kontaktów. Pożerało się archiwa i biblioteki – wspomina Marcin Kula, podróżujący do Paryża w tamtych czasach.

MODŁY DO MERKUREGO

Le Goff pisze w liście z 1960 roku: „Dzisiaj rano miałem przyjemność posłuchać [Witolda] Kuli, który właśnie przyjechał. W czwartek zjem obiad z nim, Braudelem i [Ruggiero] Romano". Od tego ostatniego naukowca zachowała się duża porcja listów do Geremka, która dobrze poświadcza, że nawiązane kontakty okazały się trwałe.

W latach 80. XX wieku Geremek wyszedł właśnie z więzienia i został objęty nadzorem służb specjalnych PRL jako doradca „Solidarności", a wcześniej od 1978 roku współorganizator opozycyjnego Towarzystwa Kursów Naukowych. W lutym 1983 roku Romano pisze do przyjaciela: narzeka, że nie dochodzą jego listy, książki ani kartki wysłane z Paryża. Romano nadziei na poprawę upatruje w siłach wyższych. Poleca swój list Merkuremu, rzymskiemu bogu posłańców, obraca ciężką rzeczywistość w żart, w zaklęcie, w mit.

W mitologii Merkury patronuje również handlarzom, celnikom i złodziejom. Romano zapewne przypuszcza, że jego list znów nie dojdzie do Geremka, nie wysila się więc zanadto, nie pisze na poważnie. „W podobnych sytuacjach list bywa nie tyle przekaźnikiem treści, ile sygnałem, że ktoś żyje, a z drugiej strony, że o kimś pamiętamy, myślimy" – zauważa Marcin Kula. Romano, przeczuwa, że to, co napisze, może być przeczytane przez osoby do tego niepowołane. Pisze zatem o niczym, szyderczo zauważa: „otaczają nas idioci". Ten ostry sąd o ludziach łagodzi jednak fakt, że nikogo nie wymienia z nazwiska. A zatem jest to pretensja do świata, wynik jakichś napięć. Na koniec stwierdza, że nie wie, co napisać i chciałby wsiąść w samolot, polecieć nad Wisłę, by pogadać z Geremkiem.

Poczta w tamtych czasach mogła funkcjonować słabo również z innych powodów, ale jednak byłoby to chyba zbyt naiwne wytłumaczenie w wypadku Geremka. W archiwaliach profesora koperty z ostrzeżeniem „ocenzurowano" podsuwają inną interpretację. Listy nie dochodziły, gdyż były konfiskowane przez władze. Doświadczony historyk Tadeusz Łepkowski wyczuwał działanie organów innych niż poczta i na samym początku listu do Geremka (1983?) wspominał o „lękach epistolograficznych". Z kolei Jerzy Jedlicki pisał w lipcu 1982 roku, że „jedynym uchem" wciąż tkwi w obozie internowania, co mogło być aluzją do spodziewanej cenzury. Jedlicki pisał z wolności, że jego organizm nie może się wciąż przestawić do życia na wolności: „czuję głód dokładnie w godzinach posiłków w Darłówku".

SAMSONOWICZ GNA PRZEZ EUROPĘ

W kolekcji Geremka znajdziemy wiele głosów mówiących bardziej o Polsce niż o Francji tamtych czasów. W latach 60. XX wieku połączenia telefoniczne był kosztowne i zawodne. Henryk Samsonowicz opisał w liście przejazd swoim samochodem z Les Sables-d'Ollonne (słynne plaże atlantyckie w Wandei!). Na polską granicę zajechał o godzinie dziewiątej wieczorem, już nieźle wykończony dwudniową podróżą, a tu czynności celne w Zgorzelcu przedłużyły się do drugiej w nocy. Na powracających z Zachodu patrzono wtedy podejrzliwie.

Brawurowy przejazd Samsonowicza przez pół Europy w połowie lat 60. może wskazywać na znaczną poprawę pozycji materialnej osób wyjeżdżających na stypendia francuskie. Ale właśnie zacofanie naszego kraju sprawiało, że posiadanie jakiegokolwiek samochodu zachodniego oznaczało problemy. Samochód Geremka marki Morris – nie wiem, kiedy kupiony – okazał się na tyle kłopotliwy, że profesor prosił niejakiego Romana o zakup i sprowadzenie części zapasowych z Wielkiej Brytanii. Pan Roman odpowiada listem pisanym w 1974 roku. Nie zdołał zidentyfikować owych części w garażu serwisowym Morrisa w Londynie. Bezradnie tłumaczył z polskiego na angielski nazwy zepsutych elementów, ale ani on, ani profesor nie znali się na tym na tyle, by się dogadać z mechanikami Morrisa. Z tego zabawnego epizodu można wnioskować, że popsuty w Polsce Morris pozostał uziemiony na dłużej.

WSZYSTKIE FAJECZKI NAPRAWIONE...

Paryż oferował polskim badaczom wiele uroków życia francuskiego. We florenckim archiwum zachowała się intrygująca oferta: Tarif de vins fins z 30 września 1963 roku Loiusa Fauconniera, przedstawiciela win wyborowych i szampanów. Starsze „roczniki są bardzo rzadkie, a zatem wzbogacą Pana piwnicę i dodadzą blasku na Pana stole" – kusił paryski marszand. Czy skusił Geremka? Nie wiadomo. Więcej da się powiedzieć o remontach fajek Geremka: „wysłane fajeczki wszystkie naprawione, zdatne do dalszego użytkowania" – oznajmia Janina Rzucidło (?) z wytwórni cygarniczek i fajek w Przemyślu w liście z 1974 roku. Prosiła również o przesłanie 250 złotych tytułem należności za wykonaną naprawę, co późniejszy szef polskiej dyplomacji skrzętnie uczynił, a o czym informuje nas kwit pocztowy.

Rękopisy sprawiają trudności i nazwisko pani Janiny może brzmieć inaczej, niż odczytałem. Podobne trudności nasuwa rozszyfrowanie treści widokówek do Geremka pisanych różnymi duktami pisma, na ogół skrótowo, małymi literami i niewyraźnie, a do tego w różnych językach.

Z pewnością zapędy europejskie polskich historyków hamowały władze PRL, niekiedy prowadziło to do humorystycznych momentów. Gdy usuwano Geremka z Instytutu Historii PAN w 1985 roku za działalność w opozycji demokratycznej, jego znajomi podpisali list protestacyjny do władz PRL. Relacjonuje Marcin Kula: „Potem powiedziano nam, że unieważniono nasze paszporty (których i tak nie mieliśmy przecież w kieszeni). Następnego dnia, idąc przez Piwną na Rynek, spotykam Geremka i mu opowiadam o sytuacji. Na to on się szelmowsko uśmiechnął: »tak, teraz będę jeździł tylko ja«. Spojrzałem zdziwiony. On: »No bo ja przecież nie podpisałem!«".

Jednak Geremek też bywał objęty zakazem wyjazdów. Z drugiej strony oddziaływała francuska dyplomacja, która starała się przeciwdziałać polityce represji PRL wobec osób związanych z Francją. Prywatna kolekcja Geremka z Florencji może taką tezę uprawdopodabniać, ale jednak nie będzie najlepszym źródłem do ukazania subtelnych instrumentów dyplomacji krajów zachodnich.

Jak pisał Braudel, nad nami, ludźmi, zawsze działają potężniejsze siły historyczne. Przestudiowanie tej wyższej siły wymagałoby sięgnięcia po inne archiwa. Listy do Bronisława Geremka pokazują jednak żywe, oddolne kontakty między Polską i Francją. Środowisko międzynarodowe stworzyło człowieka, który stał się jednym z architektów polskiej drogi na Zachód w 1989 roku i później. ●

Za pomoc w napisaniu tekstu dziękuję Andreji Casar, Lesly Escobar, Marcinowi Kuli i Gjovalinowi Nicoli.

Paweł Sowiński

• jest historykiem, profesorem w Instytutcie Studiów Politycznych PAN, autorem artykułów i książek, m.in. „Tajna dyplomacja. Książki emigracyjne w drodze do kraju 1956–1989", „Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989".

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

Zamki, krypty, kościoły. Co zostało po Piastach mazowieckich?

Choć ostatni Piastowie mazowieccy zeszli ze sceny ponad pięć wieków temu, ich dziedzictwo wciąż można odnaleźć na Mazowszu. Zamki, kościoły, grobowce i dawne ośrodki książęce przypominają o dynastii, która przez stulecia kształtowała polityczny i kulturowy krajobraz regionu.

Piastowie mazowieccy byli jedną z najdłużej działających gałęzi tej dynastii. Władali Mazowszem od czasu podziału dzielnicowego, a ich księstwo z czasem stało się ważnym ośrodkiem politycznym. Książęta zakładali i rozwijali miasta, fundowali kościoły, rozbudowywali zamki i umacniali swoje siedziby. Ich historia zakończyła się w 1526 roku wraz ze śmiercią Janusza III, ostatniego męskiego przedstawiciela linii. Nie oznaczało to jednak końca ich dziedzictwa. Ślady panowania mazowieckich Piastów do dziś można odnaleźć w wielu miejscach regionu.

Płock – najważniejszy ośrodek władzy

Szczególną rolę w dziejach książąt mazowieckich odgrywał Płock, który przez długi czas był jednym z najważniejszych ośrodków władzy na Mazowszu. Szukając śladów Piastów, warto rozpocząć spacer od Wzgórza Tumskiego. To tu górował zamek, z którego książęta mazowieccy podejmowali strategiczne decyzje. Zamek został wzniesiony na początku XIV wieku przez Bolesława II i rozbudowany przez Kazimierza Wielkiego. Dziś zachowały się po nim dwie wieże: Szlachecka i Zegarowa oraz fragment murów obwodowych**.**

Obowiązkowym punktem programu powinna być wizyta w Muzeum Mazowieckim w Płocku. Z okazji 500 lat od inkorporacji Mazowsza do Królestwa Polskiego Muzeum przygotowało największą od lat wystawę poświęconą historii regionu w dobie średniowiecza – „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego".

Podczas wystawy, dostępnej od 10 września do 10 grudnia 2026 roku, będzie można zobaczyć hermę św. Zygmunta z piastowskim diademem, będącą jednym z najcenniejszych zabytków polskiego średniowiecza, miecz sprawiedliwości Zygmunta I Starego – symbol przejęcia władzy nad Mazowszem przez króla Polski, kielich i patenę księcia mazowieckiego Konrada I, fragmenty ornatu fundacji jego żony – księżnej Agafii, Graduał Bolesława II, Biblię Płocką, Złoty Kodeks Pułtuski, Kodeks Świętosława z Wojcieszyna, średniowieczne dokumenty i unikatowe monety książąt mazowieckich oraz przykłady gotyckiej rzeźby i malarstwa. To niepowtarzalna okazja, by w jednym miejscu podziwiać tak wiele pamiątek po minionych wiekach.

Tropem dawnych militariów

Kolejny ważny ślad po Piastach mazowieckich można znaleźć w Liwie. Na początku XV wieku z inicjatywy księcia mazowieckiego Janusza I Starszego powstał tu zamek. Miał przede wszystkim znaczenie obronne – strzegł przeprawy przez rzekę Liwiec i granicy księstwa. Mieszkała tu księżna mazowiecka Anna z Radziwiłłów, polska królowa Bona Sforza oraz mianowani przez króla starostowie liwscy i kasztelani.

Do dziś zachowała się część średniowiecznych murów oraz wieża bramna, a w odbudowanym fragmencie zamku działa Muzeum Zbrojownia na Zamku w Liwie. Można tu podziwiać militaria polskie i obce: broń, uzbrojenie ochronne, mundury, odznaczenia wojskowe, mapy, a także, meble, tkaniny i obrazy zakupione, otrzymane w darze lub przyjęte w długoterminowy depozyt.

Podróż w czasie

Jednym z najlepiej zachowanych średniowiecznych śladów po Piastach mazowieckich jest również Zamek Książąt Mazowieckich w Czersku. Czersk to dzisiaj niewielka miejscowość, ale za czasów książąt mazowieckich (do początku XV w., kiedy stracił swe znaczenie na rzecz Warszawy) znajdował się tu najważniejszy, obok Płocka, ośrodek władzy na Mazowszu. W miejscu słowiańskiej osady już w XI wieku powstał gród, a potem monumentalny zamek. Do dziś zachowały się przede wszystkim charakterystyczne trzy wieże, fragmenty murów oraz pozostałości zabudowy zamkowej. Warto wejść na średniowieczne wieże, by podziwiać widok na okolice, obejrzeć wystawy historyczne, spacerować wzdłuż murów obronnych oraz wziąć udział w imprezach plenerowych i turniejach rycerskich organizowanych w sezonie letnim.

Z okazji 500 lat od inkorporacji Mazowsza do Królestwa Polskiego Muzeum Mazowieckie w Płocku przygotowało największą od lat wystawę poświęconą historii regionu w dobie średniowiecza – „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego".

Z Piastami mazowieckimi związany jest również Zamek Królewski w Warszawie. W miejscu dzisiejszej budowli już w czasach książąt mazowieckich znajdowała się rezydencja książąt. Warszawa stopniowo zyskiwała na znaczeniu jako ośrodek władzy, a książęta mazowieccy rozbudowywali tutaj swoją siedzibę. Po wygaśnięciu mazowieckiej linii Piastów w 1526 roku zamek przeszedł w ręce królów Polski.

Miejsce pochówku książąt

Piastowie byli również fundatorami wielu świątyń. Szczególne znaczenie ma Katedra pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Płocku. Obecnie istniejąca budowla została wzniesiona od fundamentów z inicjatywy biskupa płockiego Andrzeja Krzyckiego w I połowie XVI wieku, po wielkim pożarze, który strawił pierwotną romańsko-gotycką świątynię. W podziemiach przylegającej do północnej nawy tzw. kaplicy Królewskiej znajdują się grobowce ze szczątkami władców Polski – Władysława I Hermana i jego syna, Bolesława III Krzywoustego, a także piętnastu książąt mazowieckich, chowanych w kościele od XII do XV wieku.

Szczątki dwóch ostatnich książąt mazowieckich z dynastii Piastów – braci Janusza III i Stanisława spoczywają natomiast w archikatedrze św. Jana Chrzciciela w Warszawie. Kryptę ze szczątkami książąt odnaleziono w 1953 roku podczas odbudowy zniszczonej w czasie wojny świątyni. Obaj książęta zmarli bezpotomnie, co doprowadziło w 1526 roku do włączenia Mazowsza do Korony i zakończyło rządy dynastii Piatów.

Dziedzictwo Piastów Mazowieckich wciąż jest widoczne w krajobrazie regionu. Zamki, kościoły, grobowce i dawne ośrodki książęce przypominają o dynastii, która przez wieki miała istotny wpływ na rozwój polityczny, historyczny i kulturowy Mazowsza.

Szeroko zakrojony projekt „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego", realizowany jest przez Muzeum Mazowieckie w Płocku i finansowany ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego. Projekt łączy wystawiennictwo, edukację, naukę i popularyzację historii regionu.

Od 2024 roku jego działania docierają do szkół i miejscowości historycznego Mazowsza. Obejmują m.in. zajęcia edukacyjne dla dzieci i młodzieży, wystawę plenerową, badania i konferencję naukową oraz spotkania popularnonaukowe. Dzięki wsparciu Samorządu Województwa Mazowieckiego 500. rocznica inkorporacji stała się okazją do przypomnienia dziedzictwa książęcego Mazowsza mieszkańcom całego regionu.

eprasa.pl c0f49db8b5

weekend ówka

JEDNYM ŚLADEM

W Kaiserliches Patentamt, czyli Cesarskim Urzędzie Patentowym w Berlinie, 29 sierpnia 1885 roku zarejestrowano zgłoszenie od Gottlieba Daimlera, które dotyczyło „Fahrzeug mit Gas-bzw. Petroleum Kraftmaschine", czyli pojazdu z silnikiem naftowym lub gazowym. Pojazd, w którym zastosowano silnik spalinowy Daimlera – wynalazca opatentował ową jednostkę napędową niedługo wcześniej, w kwietniu 1885 r. – przypominał rower. Silnik umieszczony był centralnie w ramie, napęd przechodził na koło dzięki zastosowaniu pasa, a oprócz dwóch kół miał też... mniejsze kółka boczne, które pozwalały kierującemu zachować równowagę. Daimler zbudował pojazd, zwany potem Daimler Reitwagen (czyli wóz do jazdy, czy może pojazd jeździecki, bo jazda nieco przypominała siedzenie na koniu), wraz z Wilhelmem Maybachem.

Wniosek otrzymał numer DRP 36 423, a oficjalnie został pozytywnie rozpatrzony blisko rok później, 11 sierpnia 1886 roku. Nieco wcześniej, bo 10 listopada 1885 roku w Cannstatt pod Stuttgartem Reitwagen odbył swoją dziewiczą podróż – maszynę poprowadził 17-letni syn Daimlera, Paul.

To jego zatem można – w dużym skrócie i uproszczeniu! – określić mianem pierwszego motocyklisty. Bowiem uznaje się, że dzieło Gottlieba Daimlera opatrzone nr. patentowym DRP 36 423 dało początek motocyklom.

Co ciekawe Daimler wcale nie patentował wtedy motocykla. Tzn. zgłaszał do urzędu pojazd, ale bardziej chodziło mu o pokazanie wszechstronności silnika, który skonstruował: jednocylindrowej jednostki napędowej o pojemności 264 cm sześć. i mocy 0,5 KM. Silnik mógł rozpędzić ważącego ok. 90 kg Reitwagena do prędkości ok. 12 km/h.

We wniosku patentowym, prócz pierwowzoru motocykla, był też projekt zastosowania silnika w pojeździe przypominający sanki, zresztą Daimler szybko zaczął wykorzystywać swoje dzieło w różnych innych maszynach; samochodach czy łodziach.

W styczniu 1894 roku rodak Daimlera, Alois Wolfmüller opatentował pojazd Hildebrand& Wolfmüller, a we wniosku patentowym po raz pierwszy udokumentowana została nazwa „motocykl" – Motorrad (współtwórcą tej maszyny był Hans Geisenhof), zaś firma Hildebrand& Wolfmüller (w spółce byli też bracia Heinrich i Wilhelm Hildebrandowie) była pierwszą w świecie produkującą seryjnie motocykle.

Dzisiejszą „Weekendówkę", z okazji rocznicy przełomowego patentu Daimlera, dedykujemy zatem motocyklom. W drogę! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl

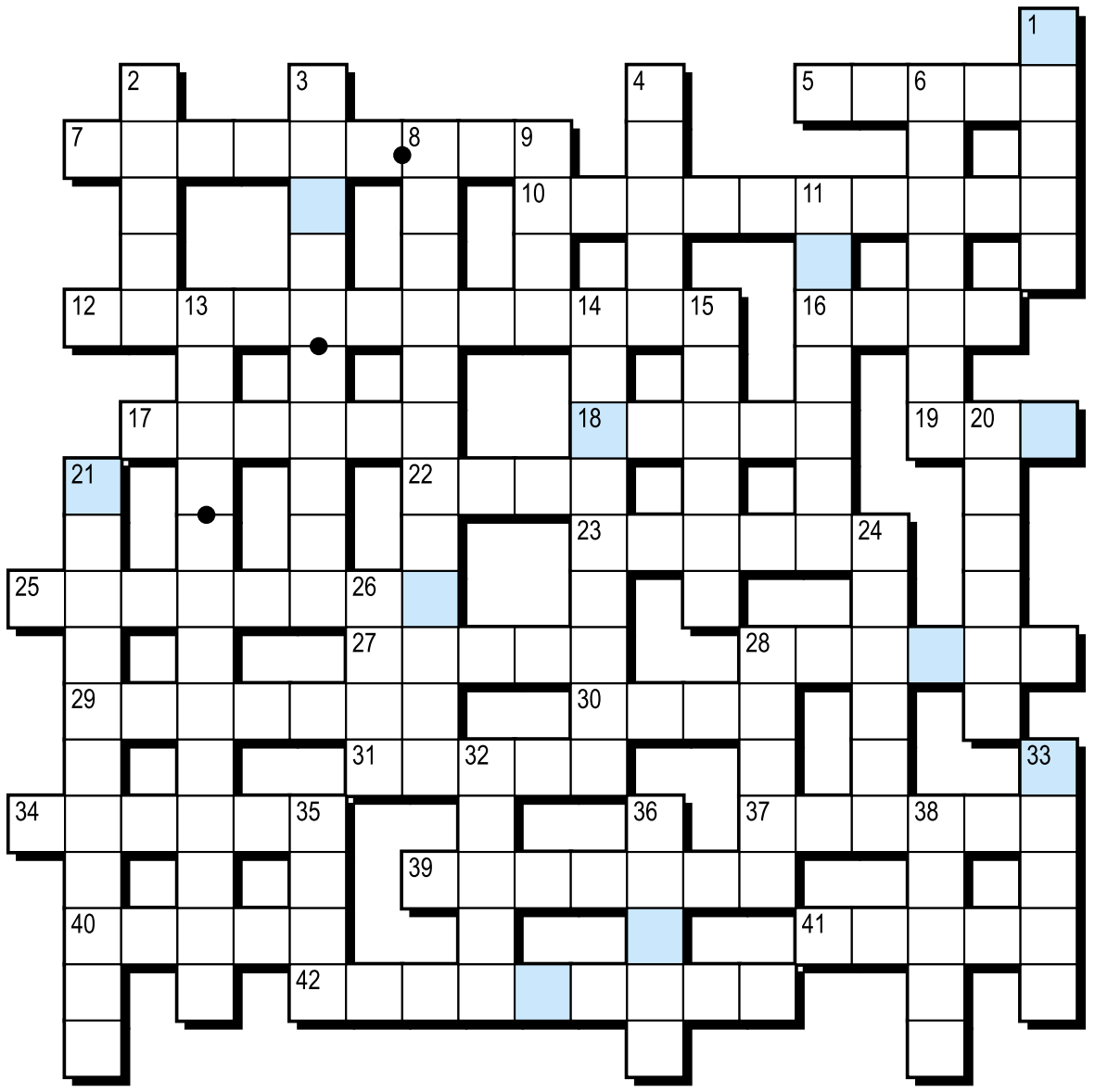

KRZYŻÓWKA MOTOCYKLOWA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) polski producent rowerów i motocykli
7) piosenka Dżemu („Kiedy siedzę na maszynie, totalny czuję luz")
10) mieszkaniec kraju, w którym odbywa się wyścig Daytona 200
12) zostawienie motocykla na postoju
16) skórzane czy nie, powinny chronić przed kaprysami pogody
17) rywalizacja na torze motokrosowym albo żużlowym
18) „Easy ...", film z udziałem 3 pionowo i Dennisa Hoppera
19) mistrzowie, najlepsi z najlepszych
22) chroni głowę żużlowca
23) ... silnika motocykla (RPM)
25) ... Ninja, japoński motocykl sportowy
27) sypią się na ostrych zakrętach podczas wyścigów motocyklowych
28) model marki z określenia 5 poziomo (ang. młotek)
29) pomysł na ... dla motocyklisty? Np. kominiarka albo breloczek z logo ulubionej marki
30) motocyklowe – odlewane lub szprychowe
31) ... motocyklowe, grupy jeżdżące niezgodnie z prawem, popełniające przestępstwa
34) ... silnika (łączna pojemność skokowa cylindrów)
37) ... filmowy, np. „Dzienniki motocyklowe" z 2004 r.
39) zapala się, gdy w baku niedługo kończy się paliwo
40) ... zapłonowe, z uzwojeniem
41) np. Anthony Hopkins występujący w „Prawdziwej historii"
42) skórzana kurtka często zdobiona dżetami, naszywkami

Pionowo:
1) Ducati – Włochy, Harley-Davidson – ? (potocznie)
2) motocyklem, rowerem lub quadem
3) zagrał u boku Hoppera w filmie z określenia 18 poziomo
4) zmieniane dzięki przekładni
6) dźwignia ręczna (... przepustnicy)
8) Valentino Rossi
9) czeska marka motocyklowa
11) ... K2, wykona skecz „Motocykliści"
13) tu początkujący motocyklista szlifuje umiejętności przed egzaminem
14) często handlują nimi członkowie 31 poziomo
15) wyścigi motocyklowe odbywające się w wymagającym terenie
20) „A więc kto ma największy ... w mieście?", śpiewa Sidney Polak
21) gwałtowne poderwanie się, np. do jazdy
24) japońska marka motocyklowa
26) motocykl Suzuki B-...
28) japońska marka motocyklowa
32) na jego tle mknął Hagrid na motocyklu (w I tomie przygód Harry'ego Pottera)
33) początek wyścigu
35) drobne kamyczki tryskające spod kół pojazdu
36) wyścig przełajowy
38) klub żużlowy z Lublina

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 218 z 22.08:
Poziomo: 3) Geppert 5) wiosna 7) plusy 9) Kasandra 10) twarz 11) Szekspir 12) klasa 15) energia 16) zło 17) Benigni 19) piękno 20) Pogoda ducha 22) Zaucha 24) afirmacja 27) cele 28) blaski 30) łapka 31) endorfiny 32) wiara 34) Adam Asnyk 36) pieniądze 37) religia.
Pionowo: 1) światełko 2) Kowalska 3) grubosze 4) płyta 6) nadzieje 7) Pollyanna 8) pragnienia 11) szczypta 13) Osiecka 14) wehikuł 17) biadanie 18) dobre strony 21) szklanka 23) happy end 25) Fellini 26) fraszka 27) cyfra 29) Wolter 33) rada 25) dni.
HASŁO: WIATR ODNOWY.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

1 RP

eprasa.pl c0f49db8b5

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza

14 / Zdrowie psychiczne
Dysmorfofobia: w szponach obsesji

25 / Podróże
Z dzieckiem zwiedzili 40 krajów

LINDSEY VONN

Odmowa mnie nakręca

– tekst Anny Kwiatkowskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 34 (1405) SOBOTA – CZWARTEK, 29 SIERPNIA – 3 WRZEŚNIA 2026

eprasa.pl c0f49db8b5

Nasz człowiek

ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

W świecie popandemicznym, czasach pracy zdalnej, kontaktów online, randek przez aplikacje, związków z botami, rozmów z czatami, doceniam dobre relacje i więzi, jakie mam z ludźmi. Z mężem, synem, siostrą, przyjaciółkami. Niektóre przyjaciółki mam od ponad 35 lat, niektóre poznałam jako osoba dorosła. Doceniam każdą najmniejszą relację. Staram się je pielęgnować, jak wymierający gatunek, bo są jednocześnie potężne i kruche. Przyjaźnie to często związki najdłuższe, czasem najtrwalsze, bywają też najgłębsze. Niektóre przetrwały ze mną dzieciństwo, dojrzewanie, edukację, wchodzenie w dorosłość, przeżyły ze mną różne porażki i sukcesy. Przyjaciółki pamiętają świat, którego już nie ma. Były świadkiniami wydarzeń, o których wiemy tylko my. Były ze mną na dobre i na złe. Wiem, że przyjaciółki to skarb. Szczególnie we współczesnym świecie, kiedy coraz trudniej nawiązywać relacje, przyjaźnie.

Mówi się, że mamy teraz epidemię samotności. „Żyjemy w świecie, który jest bardzo narcystyczny i który promuje narcystyczne zachowania", mówił dr Cezary Żechowski, psychiatra, psychoterapeuta w rozmowie na Wyborcza.pl. Co to znaczy? „Na przykład to, że drugiego człowieka można traktować instrumentalnie", wykorzystać go i porzucić, manipulować nim, żeby osiągnąć swoje cele. Wiele osób jest bardzo skupionych na sobie, swoich korzyściach etc.

Ostatnio wstrząsnęła mną historia Józefa Gatesza, emerytowanego pracownika Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, o której „Wyborcza" pisała 17 sierpnia. Ciało mężczyzny leżało przez lata w jego mieszkaniu w bloku pełnym ludzi i nikt go nie szukał. Śledczy ocenili, że umarł ok. czterech lat wcześniej. Jak to możliwe!? „Takich historii będzie w Polsce coraz więcej", uważa prof. Waldemar Kuligowski, antropolog kulturowy. Przypadek Józefa nazywa śmiercią społeczną.

Jednym z głównych tematów debiutanckiej powieści Tary Menon, z którą rozmowę przeczytacie na łamach „WO", badaczki XIX-wiecznych powieści, wykładowczyni Harvarda, jest przyjaźń między dwoma dziewczynami, które wspólnie odkrywają świat, przeżywają przygody. Menon uważa, że o przyjaźni między kobietami pisze się mało. Może dlatego, że przyjaźń bywa nudna, jest mało ekscytująca jako temat? Według niej nuda to jedna z najlepszych cech przyjaźni, choć dziś nuda jest przecież „fe". W końcu rolka na IG nie może być nudna. Tymczasem ta „nudna", ciepła relacja daje nam poczucie bezpieczeństwa, stałości, przekonanie, że jesteśmy cenni i ważni. Że ktoś o nas pamięta.

Relacje międzyludzkie bada Lisa Berkman z Uniwersytetu Harvarda, ich wpływ na samopoczucie i zdrowie. Twierdzi, że prawdziwa przyjaźń może nam zastąpić nawet miłość i rodzinę. Każdemu życzę, żeby miał przyjaciela albo przyjaciółkę. Nie ma nic cenniejszego niż ludzie, „nasi ludzie". Przyjaźń daje poczucie, że mamy obok siebie osobę, przy której możemy być autentyczne, możemy pośmiać się, pogadać o trudnych rzeczach i liczyć na wsparcie. Jeśli z kimś mamy taką więź, trzymajmy się jej i dbajmy o nią. ▲

Aleksandra Lubańska-Czubak – redaktorka „Wysokich Obcasów"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EKSTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Sandra Bullock: Życie jak film ■ **TEMAT NUMERU:** • Rozstanie to nie koniec świata
■ **PSYCHOLOGIA:** • Koniec przyjaźni: Co niszczy relacje • Wakacje na dziko: Pod namiotem też można wypocząć
■ **TWARZE:** • Rosemary Kennedy: Wymazana z pamięci i • Agnieszka Cegielska: Przerwane dzieciństwo • Anthony Burdain: Gonzo przy garach

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Aleksandra Lubańska-Czubak

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronie 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 34 (1405)
NA OKŁADCE:
LINDSEY VONN
FOT. MATERIAŁY PRASOWE IMPACT

eprasa.pl c0f49db8b5

HIPERNAWILŻANIE

Nowa linia Biodermy Hydrabio zawiera kwas hialuronowy i glicerynę, a krem Riche również lipidy. Opatentowana technologia Aquagenium + (niacynamid i ekstrakt z pestek jabłka) wzmacnia naturalne rezerwy wilgoci. Perłowe pigmenty optycznie wygładzają skórę i wyrównują jej koloryt. (Lekki fluid rozświetlający SPF 30, ***40 ml/99 zł***, tonik Hydrabio ***250 ml/52 zł***)

NA CO DZIEŃ

Marka Inglot stworzyła linię, która skupia się na pielęgnacji skóry. Nowością Inglot Lab 1983 jest nawilżająco-wygładzający krem do twarzy o lekkiej formule, która łączy ochronę UV (SPF 50+) z działaniem pielęgnacyjnym (zawiera m.in. ekstrakt z wąkroty azjatyckiej). ***(50 ml/119 zł)***

PODUSZKA NAWILŻAJĄCA

Ciekawym kosmetykiem koreańskiej marki CLIV jest Cushion z kwasem hialuronowym i SPF 50+. Łączy działanie kojące, ochronne i nawilżające. Miękka poduszeczka nasączona jest też wąkrotką azjatycką. ***(139 zł)***

CERA MUŚNIĘTA SŁOŃCEM

Wielofunkcyjny CC Cream SPF 30, Kess Berlin, nadaje efekt zdrowej, naturalnej cery bez obciążania jej. Lekka formuła wyrównuje koloryt skóry, nadaje świeży wygląd. W składzie m.in. gliceryna, hialuronian sodu, wit. E oraz ekstrakt z kwiatu Hoya lacunosa. ***(30 ml/165 zł)***

W PODRÓŻ

Polska marka kapsułowa LUÃRE stworzyła podróżne wersje szamponu i odżywki The Signature. Szampon nie ma w składzie SLS i SLES. Oba kosmetyki zawierają prebiotyki, bioferment z bambusa, olej mongongo, ekstrakt z açaí, francuskie algi i pięknie pachną. (***70 ml/59 zł***, Sephora, luarebeauty.com)

EFEKT WAKACJI

Nowy puder brązujący Prodigieux® Nuxe dzięki zapachowi i efektowi skóry muśniętej słońcem przywołuje atmosferę lata niezależnie od pory roku. Pozwala uzyskać subtelny, naturalnie wyglądający efekt opalenizny. ***(10 g/94 zł)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (XX); OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl c0f49db8b5

Lindsey Vonn na mecie zjazdu na igrzyskach w Vancouver w 2010 r. Tym przejazdem wywalczyła swoje jedyne olimpijskie złoto

eprasa.pl c0f49db8b5

LINDSEY VONN

Niczego *nie żałuję*

Tuż przed igrzyskami, w wieku 41 lat, była najlepszą narciarką alpejską na świecie, z wielkimi szansami na olimpijskie złoto. „Chcę, żeby to z tej niesamowitej zimy zapamiętali ludzie. A nie ten okropny wypadek”

eprasa.pl c0f49db8b5

TEKST **ANNA KWIATKOWSKA**

„Ten okropny wypadek" wydarzył się przy czwartej bramce na trasie zjazdu na igrzyskach w Cortinie d'Ampezzo 8 lutego tego roku. Przejazd Amerykanki trwał tylko 13 sekund. Miał – i mógł, wbrew temu co mówili sceptycy – dać Vonn upragnione drugie olimpijskie złoto. A o mały włos nie skończył się utratą nogi i kalectwem. – Ale to było 13 cholernie dobrych sekund – podkreśla Lindsey Vonn w rozmowie z „Vanity Fair".

Pewnie podobnie określiłaby 13 miesięcy, które trwała jej druga alpejska młodość.

PIĘKNA, BOGATA, ZAWZIĘTA

Lindsey Vonn ma w Stanach Zjednoczonych status celebrytki, choć narciarstwem alpejskim interesuje się tam garstka kibiców. Ma wszystko, co do tego potrzebne: jest atrakcyjna, bogata, dobrze radzi sobie w social mediach (3,6 mln obserwujących na Instagramie, 1,9 mln na Facebooku), nie ma obaw przed dzieleniem się życiem prywatnym, bywa na czerwonych dywanach, pozuje do zdjęć w bikini (a nawet bez), zna inne gwiazdy (w tym naszą Igę Świątek), udziela się charytatywnie i mówi to, co myśli.

Ale niech nikogo nie zwiedzie ta celebrycka otoczka. Lindsey Vonn, zanim w lutym 2019 r. w wieku 33 lat zakończyła (wtedy wydawało się, że definitywnie) karierę, zdobyła wszystko, co w narciarstwie alpejskim można zdobyć: cztery wielkie Kryształowe Kule dla najlepszej zawodniczki sezonu, 16 małych Kul za wygranie klasyfikacji w jednej konkurencji, medale olimpijskie – złoto, czyli trofeum, które w Ameryce znaczy najwięcej, i dwa brązy, medale mistrzostw świata – dwa złote, trzy srebrne i trzy brązowe.

W grudniu 2024 r. – kilka miesięcy po 40. urodzinach, po prawie sześciu latach sportowej emerytury – ponownie stanęła w bramkach startowych. W Pucharze Świata od grudnia 2024 r. do lutego 2026 r. sześć razy zajęła miejsce na podium, dwa razy zwyciężyła. Wielu świetnych alpejczyków nie osiągnęło przez kilkanaście lat tyle, co ona w 13 miesięcy.

10 stycznia 2026 r., w dniu swojego 84. (na razie ostatniego) zwycięstwa, Vonn miała 41 lat, 2 miesiące i 23 dni. Najstarsza do tej pory zwyciężczyni w alpejskim Pucharze Świata, Federica Brignone, była młodsza o ponad sześć lat.

Vonn zajmowała pierwsze miejsce w klasyfikacji zjazdowej jeszcze na początku marca, na dwa tygodnie przed finałami Pucharu Świata. Gdyby nie kraksa na igrzyskach, jej kolekcja Kryształowych Kul prawdopodobnie powiększyłaby się o kolejny egzemplarz.

SPORT DLA SZALEŃCÓW

Narciarstwo wyczynowe to sport piękny, ale i okrutny. Zwycięzców od przegranych często dzieli zaledwie kilka setnych sekundy. To też sport bardzo wrażliwy na kaprysy natury. Podmuch wiatru, chmura, przebłysk słońca – zależy, co wylosujesz w pogodowej loterii – może zniweczyć twój wysiłek albo zrobić z ciebie bohatera dnia.

Żeby trenować zjazd, czyli koronną konkurencję Vonn, trzeba nie mieć jakiejś klepki w mózgu – albo wręcz przeciwnie, mieć jedną dodatkową. Zjazdowiec na twardej jak skała, stromej, często nierównej trasie przekracza prędkość dopuszczalną na autostradzie. A w razie upadku chronią go tylko kask i poduszka powietrzna na karku. Cienki aerodynamiczny kombinezon ciężko nazwać jakąkolwiek ochroną.

– Strach nie jest elementem układanki. Nie biorę go pod uwagę. Oczywiście oceniam ryzyko, ale pod kątem tego, jak pojechać, by wygrać – opowiadała Vonn w 2017 r. w CBS News.

Kariera Amerykanki przebiegała w rytmie: sukces – kontuzja – rehabilitacja – powrót. Za każdym razem, gdy zwożono ją z trasy toboganem lub odlatywała helikopterem, zapowiadała, że wróci. Na liście części ciała, które w ciągu kilkunastu lat naraziła na szwank, są: oba kolana, kostka, ramię, bark, nadgarstek, mały palec u ręki oraz kciuk, który zraniła, otwierając szampana po jednym ze zwycięstw. Kilka razy – a pewnie i więcej, bo nie po każdym upadku decydowała się na badania – miała wstrząśnienie mózgu.

> Przyjechałam wygrać. Musiałam postawić wszystko na jedną kartę, *bo właśnie tego wymaga olimpijskie zwycięstwo*

Przez sześć lat Vonn ścigała się z niesprawnym i bolącym prawym kolanem. To przez nie po mistrzostwach świata w Åre w lutym 2019 r. zakończyła karierę. Zakończyła po swojemu: z trasy supergiganta wypadła i mocno się potłukła, a kilka dni później wywalczyła brąz w zjeździe.

Koniec zawodowego ścigania nie oznaczał, że ból minął. – Przez ponad dziesięć lat nie byłam w stanie w pełni wyprostować prawej nogi i normalnie chodzić – opowiadała w niemieckiej telewizji Sport1 w kwietniu 2024 r.

Chwilę wcześniej Vonn zdecydowała się na wszczepienie w prawe kolano częściowej protezy z tytanu. Za pół roku (Lindsey urodziła się 16 października 1984 r.) miała jej stuknąć czterdziestka. Normalny człowiek w jej wieku, nawet emerytowany sportowiec, pomyślałby wtedy na przykład tak: „Fajnie, będę mógł chodzić na długie spacery". Co pomyślała Vonn? „Fajnie, to chyba wrócę do ścigania się na nartach".

Powrót Lindsey Vonn bardzo zdenerwował wielu ekspertów i byłych alpejczyków. Szczególnie zajadłe (a może po pro-

eprasa.pl c0f49db8b5

stu zazdrosne?) były starsze koleżanki Vonn, które kariery pokończyły w okolicach trzydziestki.

– Lindsey wraca, bo nie umie żyć poza światłem reflektorów. Jest mi jej żal. Nie wierzyłam, że jest aż tak głupia, żeby naprawdę próbować się ścigać z metalem w kolanie – to Szwajcarka Sonja Nef, 54-letnia była mistrzyni świata, która też ma protezę kolana.

– Czy ona chce się zabić? Moja rada dla Lindsey: powinna odwiedzić psychologa – to 53-letnia podwójna mistrzyni olimpijska Austriaczka Michaela Dorfmeister.

Odpowiedziała im – dość pompatycznie – na Instagramie po swoim pierwszym po powrocie zwycięstwie. Ujęciom z trasy w St. Moritz towarzyszy głos Theodore'a Roosevelta. To słynny fragment z jego przemówienia na Sorbonie w 1910 r. „Nie krytyk się liczy; nie ten, który wskazuje, jak potyka się silny. (...) Chwała należy się człowiekowi, który jest na arenie, którego twarz jest umazana kurzem, potem i krwią; który dzielnie walczy, który błądzi, który raz po raz ponosi porażkę" – peroruje 26. prezydent USA. Lindsey dodaje od siebie: „Do wszystkich, którzy mówili, że nie dam rady, że mój czas minął. (...) Dziękuję wam. Ale nie wróciłam dla was. Zrobiłam to dla siebie. (...) Wam, hejterzy, dziękuję za dodatkową motywację do wysiłku".

Dziewięć dni przed walką o kolejne olimpijskie złoto Vonn zerwała więzadło w lewym – tym mniej uszkodzonym – kolanie. Wtedy wszyscy, nawet jej sztab, byli pewni, że to koniec. A co na to Vonn? Na pięć dni przed olimpijskim zjazdem zwołała konferencję. I zapowiedziała: – Wiem, że moje szanse już nie są tak wielkie jak przed wypadkiem. Ale są. A dopóki są, to muszę spróbować.

NIE ZNOSI SŁOWA „NIE"

Vonn nie znosi, gdy się jej mówi, że czegoś jej nie wolno albo że czegoś nie potrafi. – To mnie dopiero nakręca. Wtedy zrobię wszystko, żeby udowodnić, że jest odwrotnie – tłumaczy.

Kiedy w wieku 16 lat po raz pierwszy trafiła do kadry, podsłuchała, jak starsze koleżanki i trenerzy mówią, że niczego specjalnego się po niej nie spodziewają. Nie miała wyjścia – musiała im pokazać, na co ją stać.

Miała 23 lata, gdy postanowiła wyjść za mąż za starszego o dziewięć lat zawodnika (a potem jej trenera) Thomasa Vonna. Od tego pomysłu próbował odwieść ją ojciec. Posłuchała? A gdzie tam! Przez kolejne lata nie rozmawiała po prostu z ojcem. Choć to on miał rację, bo małżeństwo nie było udane, zakończyło się po kilku latach trudnym rozwodem.

Vonn kilka razy próbowała przekonać działaczy FIS, żeby pozwolili jej ścigać się z mężczyznami. – Trenuję z nimi i wiem, że od wielu jestem po prostu szybsza. Jasne, ze wszystkimi nie wygram, ale chciałabym sprawdzić się z najlepszymi i zobaczyć, jak wypadnę – tłumaczyła w rozmowie z Grahamem Bensingerem na jego kanale na YouTubie w 2020 r. Ale działacze pozostali nieugięci, bo to „wbrew zasadom".

W 2023 r., w czasie swojej przerwy w ściganiu, Vonn zagrała działaczom na nosie. Jako pierwsza kobieta przejechała po Streifie – trasie legendarnego męskiego zjazdu w Kitzbühel. I to w nocy. FIS nie pozwolił jej się ścigać z mężczyznami? To ona pościga się sama ze sobą na tej najbardziej męskiej z tras.

W POGONI ZA OLIMPIJSKIM ZŁOTEM

Amerykanie, wpatrzeni w swoich futbolistów, koszykarzy i bejsbolistów, inne sporty dostrzegają w rytmie olimpiad. Chcesz mieć swoje pięć minut? Przywieź olimpijski medal, najlepiej złoty. Nie udało się? Następna szansa za cztery lata.

Lindsey Vonn przed Cortiną w igrzyskach startowała cztery razy. Zadebiutowała w 2002 r., jeszcze jako nastolatka. Jej szóste miejsce w kombinacji było niespodzianką. Cztery lata później do Turynu jechała jako faworytka. Miała przywieźć złoto, może dwa. Rozbiła się na treningu zjazdu, jeszcze przed ceremonią otwarcia. Ze stoku zabrał ją helikopter. Lekarze podejrzewali, że mogła złamać kręgosłup. Okazało się, że miała szczęście i jest tylko bardzo mocno poobijana. Wystartowała, ale do medalu nawet się nie zbliżyła.

OGŁOSZENIE

eprasa.pl c0f49db8b5

Z igrzysk w Pjongczangu Vonn przywiozła brąz. Na zdjęciu: ceremonia zamknięcia, 25 lutego 2018 r.

Met Gala w Nowym Jorku. Pierwsze wyjście alpejki po lutowej kraksie w Cortinie d'Ampezzo, 4 maja 2026 r.

W styczniu 2023 r. Lindsey Vonn przejechała po arcytrudnej trasie zjazdowej w Kitzbühel. W oficjalnych zawodach ścigają się tu tylko mężczyźni

W swojej książce autobiograficznej „Rise: My Story" Lindsey Vonn podkreśla, że porażka w Turynie wiele ją nauczyła: „Zrozumiałam wtedy, że wszystko może zostać odebrane w każdej chwili, więc trzeba doceniać każdy dzień, każdy wyścig". Upragnione olimpijskie złoto wywalczyła w zjeździe w 2010 r. w Vancouver. Z tych igrzysk przywiozła też brąz w supergigancie.

Szanse na występ w Soczi Vonn straciła przez kraksę w Schladming rok przed ich początkiem. Bardzo poważnie uszkodziła wtedy prawe kolano. To, które lekarze naprawili jej dopiero w 2024 r. Po operacji za wcześnie wróciła na stok. I ponownie naderwała więzadło. Po miesiącu rehabilitacji znów zaczęła trenować. Poddała się dopiero miesiąc przed startem igrzysk. „Okazało się, że bez więzadła krzyżowego nie jestem w stanie ścigać się na najwyższym poziomie" – napisała w swoich mediach społecznościowych.

Z Pjongczangu przywiozła brązowy medal. Liczyła oczywiście na więcej. Do igrzysk przygotowywała się ostrożnie. Chciała dotrwać do nich bez kontuzji. Dawkowała sobie starty.

„Każdy posiłek, każda sesja na siłowni w ciągu ostatnich dwóch lat, wszystko było podporządkowane tym dwóm minutom na trasie zjazdu" – wspominała w „Guardianie" Karen Kildow, siostra Lindsey.

TEN OKROPNY WYPADEK

Lindsey Vonn podkreślała: gdyby konkurencje alpejskie kobiet nie były na igrzyskach rozgrywane na trasie Olympia delle Tofane w Cortinie d'Ampezzo, jej powrotu mogłoby nie być. Bo

eprasa.pl c0f49db8b5

z tą trasą Amerykanka ma specjalną relację: między rokiem 2008 a 2018 wygrała tu sześć zjazdów i sześć supergigantów.

Tylko czy ulubiona trasa może zrekompensować brak więzadła w kolanie? Wątpliwości miał nawet Aksel Lund Svindal, były wybitny alpejczyk i przyjaciel Vonn, który zgodził się zostać jej trenerem na ten olimpijski sezon. Ale kiedy zobaczył swoją zawodniczkę na ostatnim oficjalnym treningu przed startem, wątpliwości zniknęły.

8 lutego o godz. 11.30 Vonn po raz czwarty w karierze stanęła na starcie olimpijskiego zjazdu. Nie dojechała nawet do pierwszego pomiaru czasu. Po 13 sekundach było po wszystkim. Vonn pojechała zbyt blisko tyczki, zahaczyła o nią ręką i runęła na zmrożony śnieg. Mocno dokręcone wiązania nie wypięły się i alpejka toczyła się w dół stoku z przypiętymi nartami. Krzyczała. W końcu zatrzymała się w siatkach zabezpieczających trasę.

W czasie upadku Vonn pogruchotała obie kości w lewym podudziu. Po piątej, na razie ostatniej operacji, którą przeszła już w Stanach, pokazała na Instagramie rentgenowskie zdjęcie. Kombinacja płyt i śrub, które trzymają jej kości w ryzach, wygląda na nim jak wieża Eiffla.

A jakby tego było mało – alpejka złamała też kostkę w prawej nodze.

Dziś Lindsey Vonn jest już w stanie chodzić bez laski. Ale przez pierwsze dni po wypadku w klinice we Włoszech lekarze stoczyli ciężką batalię nie o to, by mogła się znowu ścigać na nartach czy chodzić, ale o uratowanie jej nogi. Po pierwszej operacji łydka zaczęła gwałtownie puchnąć z powodu nagromadzonych płynów. Gdyby nie udało się przywrócić prawidłowego krążenia krwi, mogłoby dojść do martwicy tkanek i infekcji.

W kwietniu dziennikarz „New York Timesa" spytał Vonn, czy żałuje, że nie pojechała dalej od tyczki. – To byłaby bardziej zachowawcza linia, a nie taki był mój plan – odpowiedziała bez wahania. – Przyjechałam wygrać. Musiałam postawić wszystko na jedną kartę, bo właśnie tego wymaga olimpijskie zwycięstwo.

Przed Vonn teraz jeszcze kilka operacji (trzeba wyjąć trochę żelastwa z jej lewej nogi i naprawić zerwane w więzadło) i długa rehabilitacja. Ale nie tym martwi się alpejka. – Nie chcę, żeby ludzie skupiali się wyłącznie na tym upadku i żeby właśnie z tego mnie zapamiętali – przyznała gorzko rozmowie z „Vanity Fair". – Przed igrzyskami byłam liderką klasyfikacji generalnej. A teraz nikt nie pamięta, że wygrywałam.

Zapytana, czy będzie znowu walczyć o powrót na stok, odpowiedziała: – Nie lubię definitywnie zamykać sobie żadnych drzwi, bo nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądało moje życie za dwa, trzy czy cztery lata. Do tego czasu mogę mieć dwójkę dzieci. Mogę nie mieć dzieci i znów chcieć się ścigać. Mogę mieszkać w Europie. Mogę robić cokolwiek. ▲

Lindsey Vonn będzie gościnią konferencji Impact Leading Minds, która odbędzie się 2 września w Nowym Teatrze w Warszawie. Więcej na www.impactleadingminds.com

FOT. KEVIN DIETSCH/UPI/SHUTTERSTOCK; DANIEL ANDERSON/ZUMA PRESS WIRE/SHUTTERSTOCK; YVONNE TNT/BFA.COM/SHUTTERSTOCK; JORG MITTER/ RED BULL CONTENT POOL VIA AP IMAGES/EAST NEWS

OGŁOSZENIE

PRENUMERATA Z PŁATNOŚCIĄ CYKLICZNĄ CO WYDANIE

KAŻDY EGZEMPLARZ ZA JEDYNE 18,90 ZŁ

ZAMAWIASZ RAZ, A MY DOSTARCZAMY KOLEJNE WYDANIA
ZESKANUJ I SPRAWDŹ

eprasa.pl c0f49db8b5

Najlepsza *przyjaciółka*

– Kiedy umiera przyjaciółka, tracimy nie tylko ukochaną osobę, lecz także wspólny język, pamięć i wersję siebie, która istniała tylko przy niej. A mimo to kultura wciąż nie traktuje tej żałoby tak poważnie jak straty romantycznej

TARA MENON

– pisarka i badaczka literatury. Wykłada literaturę angielską na Harvardzie, zajmuje się m.in. powieścią XIX-wieczną. „Pod wodą" to jej debiut.

FOT. FLORIAN RYCHLIK

eprasa.pl c0f49db8b5

Z **TARĄ MENON**, PISARKĄ, ROZMAWIA **ALEKSANDRA PAKIEŁA**

Pod wodą" opowiada o dwóch rodzajach straty. W powieści jest żałoba Marissy po śmierci najlepszej przyjaciółki Arielle, ale także żałoba po świecie przyrody, który znika na naszych oczach. Dlaczego katastrofa klimatyczna stała się tłem twojego debiutu literackiego?

– Pisanie tej książki zajęło mi osiem lat, a przez ponad siedem niemal nikomu jej nie pokazywałam. Nikt nie wiedział, nad czym pracuję, więc nie miał okazji powiedzieć mi, że katastrofa klimatyczna jest zbyt ryzykownym tematem na debiut. Byłam natomiast bardzo niezadowolona ze sposobu, w jaki literatura opowiadała o zmianach klimatu. Historie często rozgrywały się w odległej przyszłości i miały dystopijny charakter. Tymczasem zmiana klimatu to nie widowiskowy koniec świata, który kiedyś nadejdzie. To również fakt, że za kilka dni temperatura w Polsce może sięgnąć 41 stopni C. Dzieje się teraz, w zwyczajny, codzienny sposób. Chciałam napisać właśnie o tych mniej spektakularnych przejawach katastrofy. O tym, że często nie dostrzegamy zniszczenia, ponieważ dokonuje się stopniowo i po cichu.

W książce piszesz, że ludzie wyobrażają sobie katastrofę jako spektakl. Tymczasem rafa koralowa nie znika w jednym dramatycznym momencie. Najpierw zaczyna blednąć. Czy można opłakiwać coś, co jeszcze istnieje, ale prawdopodobnie niedługo przestanie?

– Dla mnie jest to powieść o żałobie na dwa różne sposoby. Z jednej strony mamy osobistą rozpacz kobiety po śmierci przyjaciółki. Z drugiej – żałobę po środowiskach, gatunkach, zwierzętach, roślinach i całych ekosystemach, które już straciliśmy albo wkrótce możemy stracić. Chciałam, żeby ta książka była swego rodzaju listem miłosnym, ale podszytym poczuciem żałoby. Dlatego tak ważne były dla mnie szczegóły świata przyrody. Niektóre z opisanych w książce koralowców umierają na naszych oczach. Ich znikanie niekoniecznie wygląda dramatycznie. Czasem po prostu stopniowo tracą kolor.

Chciałam też zwrócić uwagę na ogromne piękno rzeczy, które są obok nas, ale których na co dzień nie zauważamy – również wtedy, gdy właśnie odchodzą.

Marissa i Arielle kochają nie tylko siebie nawzajem, ale też ocean, rafę, manty i cały podwodny świat. Zwierzęta nie są tutaj dekoracją.

Zależało mi, żeby pokazać zwierzęta jako istoty, które rzeczywiście zajmują miejsce i żyją wśród nas. W XIX-wiecznych powieściach, o których wykładam, zwierzęta często występują w tle albo pełnią funkcję symbolu. Chciałam zrobić coś innego.

W „Pod wodą" zwierzęta i rośliny pojawiają się właściwie na każdej stronie, niezależnie od tego, czy akcja rozgrywa się w Tajlandii, czy w Nowym Jorku. Przez cały czas są obok bohaterów. Często zapominamy o tej najbardziej podstawowej prawdzie: dzielimy świat z ogromną liczbą innych istot. Moja książka opowiada o miłości do przyjaciółki i żałobie po niej, ale pod tą historią znajduje się druga – o miłości do natury i żałobie po świecie przyrody.

Wiedza przyrodnicza w powieści jest bardzo szczegółowa, zwłaszcza wszystko, co dotyczy mant. Nurkowałaś z nimi?

– Nigdy ich nie widziałam na żywo! Musiałam więc przeprowadzić bardzo dokładny research: czytałam artykuły naukowe i popularnonaukowe, przewodniki po dzikiej przyrodzie, oglądałam filmy dokumentalne. Próbowałam zrozumieć nie tylko, jak wyglądają manty i jak się zachowują, lecz także jak to jest znaleźć się pod wodą w ich obecności. Zależało mi, żeby te sceny były wiarygodne i żeby czytelnik mógł poczuć zachwyt, jaki budzą te ogromne, niezwykłe zwierzęta.

Na co dzień zajmujesz się literaturą XIX-wieczną. Jak twoja praca naukowa wpłynęła na sposób, w jaki zbudowałaś tę powieść?

– To są dla mnie dwie osobne sfery pracy, ale wiedza o historii powieści bardzo mi pomogła. Przez lata analizowałam, jak konstruuje się fabułę, buduje napięcie i prowadzi relacje między bohaterami. Kiedy zaczęłam pisać własną książkę, mogłam świadomie korzystać z tych narzędzi, a czasem także próbować je podważać.

Jednym z ważnych literackich kontekstów „Pod wodą" jest poemat Alfreda Tennysona „In Memoriam A.H.H.", napisany po śmierci jego przyjaciela Arthura Hallama. Czy ten tekst otworzył ci drogę do pisania o żałobie po przyjaźni?

– Po raz pierwszy przeczytałam go na studiach, zrobił na mnie ogromne wrażenie jako piękny, hipnotyczny zapis bardzo długotrwałej żałoby. Po jednym z wykładów ktoś zasugerował, że Hallam musiał być kochankiem Tennysona. To właśnie wtedy zaczęłam myśleć o świecie, w którym nie potrafimy już wyobrazić sobie, że można się przyjaźnić z kimś tak głęboko i tak bardzo rozpaczać po jego śmierci. Jakby intensywność tych uczuć automatycznie musiała świadczyć o relacji romantycznej. Tymczasem dla mnie całkowicie zrozumiałe jest to, że śmierć przyjaciela lub przyjaciółki możemy przeżywać równie mocno jak utratę partnera czy najbliższego członka rodziny. Czasem nawet mocniej. Chciałam pokazać właśnie taką perspektywę.

Przyznam, że na początku lektury sama szukałam między dziewczynami romantycznego napięcia. Literatura przyzwyczaiła nas, że kiedy dwie osoby są sobie tak bliskie, musi kryć się za tym romans.

– Kiedy rozpoczynałam pracę doktorską, chciałam pisać o XIX-wiecznych powieściach, które zdają test Bechdel. To test stosowany najczęściej w odniesieniu do filmów: sprawdza, czy pojawiają się w nich co najmniej dwie kobiety, które rozmawiają ze sobą o czymś innym niż mężczyźni i związki romantyczne. Okazało się, że analizowane przeze mnie książki właściwie tego testu nie zdają, więc mój pierwotny pomysł na doktorat upadł.

Zastanawiałam się, dlaczego w powieściach pisanych przez kobiety, o kobietach i często dla kobiet tak rzadko pojawia się przyjaźń między nimi. Zrozumiałam, że problem może być konstrukcyjny. Powieść potrzebuje fabuły: początku, konfliktu, napięcia, punktu kulminacyjnego i rozwiązania. Przyjaźń nie zawsze nam to daje. Jedną z jej najpiękniejszych cech jest przecież to, że bywa naprawdę nudna. Kiedy wszystko układa się dobrze, nie ma w niej wyraźnego konfliktu ani kulminacji. Dlatego tak trudno umieścić ją w centrum powieści. Potrzebujemy mechanizmu, który pozwoli nam o tej relacji opowiedzieć. W „Pod wodą" takim mechanizmem jest, niestety, śmierć jednej z przyjaciółek. To ona nadaje książce strukturę i sprawia, że możemy przyjrzeć się ich więzi.

Tajlandzka część powieści jest pełna przygód. Marissa i Arielle nurkują, pływają podczas sztormu, przemierzają las, obserwują zwierzęta. Rzadko czytamy dziś książki, w których dziewczynki przeżywają tak swobodne i niebezpieczne przygody.

eprasa.pl c0f49db8b5

– Najważniejsze było dla mnie pokazanie charakteru ich relacji. Jest intymna, bo dziewczynki bardzo się o siebie troszczą. Jednocześnie jest zwrócona na zewnątrz. Uczą się razem świata, obserwują go i poświęcają się czemuś, co znajduje się poza nimi. Łączy je również sposób patrzenia. Ich więź wyrasta z tego, że widzą świat podobnie i wspólnie angażują się w coś większego od nich samych.

Relacje romantyczne często przedstawia się jako całkowicie skierowane do wewnątrz. Najważniejsze staje się poznawanie drugiej osoby i organizowanie wokół niej własnego życia. Przyjaźń Marissy i Arielle ma inny charakter. Dziewczynki są sobie bliskie między innymi dlatego, że wspólnie patrzą na ocean, zwierzęta i rośliny. Chciałam pokazać właśnie tę cechę przyjaźni.

Nie chciałabym zabrzmieć jak boomerka, ale czy takie dzieciństwo – spędzane niemal bez przerwy w oceanie i lesie – jest jeszcze możliwe?
– Myślę, że tak, chociaż świat bardzo się zmienił i możliwości jest coraz mniej. W książce ważniejsza od próby odtworzenia konkretnego modelu dzieciństwa była jednak sama relacja dziewczynek oraz to, czego uczą się razem. Nie chodzi tylko o to, że przeżywają przygody. One zdobywają bardzo głęboką wiedzę o miejscu, w którym żyją. Potrafią oceniać fale, rozpoznają prądy, wiedzą, które rośliny są trujące, kiedy żółwie składają jaja i obok których zwierząt można bezpiecznie pływać. Nie są obserwatorkami krajobrazu. Należą do niego.

W powieści stale powraca też problem języka: brakuje nam słów na miłość przyjacielską i żałobę po przyjaciółce. Jednocześnie język określa tożsamość bohaterek, które nie czują się w pełni związane z jednym miejscem. Czy tutaj książka zbliża się do twojego doświadczenia?
– Bardzo zależy mi, żeby podkreślać, że „Pod wodą" nie jest książką autobiograficzną. Marissa nie jest mną. Mamy inne osobowości. Gdybym już miała porównywać się z którąś z bohaterek, powiedziałabym, że jestem bardziej podobna do Arielle – między innymi dlatego, że podobnie jak ona często się złoszczę. Jest jednak coś, co dzielę z bohaterkami: poczucie, że nie istnieje jedno miejsce, które mogłabym bez wahania nazwać domem. One nie przynależą w pełni nigdzie i ja również znam ten stan.

Etymologie pojawiające się w powieści są próbą odkrywania przeszłości ukrytej pod powierzchnią słów. Pozwalają dotrzeć do innego poziomu znaczenia. Były dla mnie ważnym elementem konstrukcji tej książki.

Jak znaleźć język dla żałoby po przyjaciółce, skoro kultura nie dostarcza nam gotowych słów ani rytuałów?
– W nowojorskich fragmentach Arielle jest właściwie wszędzie. Towarzyszy Marissie jak duch. Jednak do pokazania żałoby potrzebowałam nie tylko nieobecności, ale pełnego obrazu ich relacji. Nie da się opowiedzieć straty bez pokazania tego, co wcześniej przynosiło radość. Dlatego zależało mi, żeby tajlandzkie historie były tak żywe, pełne przygód, bliskości i zachwytu nad światem. Dopiero kiedy zobaczymy szczęście bohaterek, możemy naprawdę zrozumieć rozmiar późniejszej pustki. Żałoba nie jest wyłącznie bólem po śmierci człowieka. Jest też pamięcią całej radości, która istniała dzięki jego obecności.

Zapytałam o wątki autobiograficzne, bo – jako czytelnicy – mamy pokusę, żeby odnajdywać w powieściach życie autora. Jak myślisz, z czego to wynika?
– To prawdopodobnie wiąże się z popularnością autofikcji. Wiele współczesnych książek łączy fikcję z materiałem autobiograficznym, więc czytelnicy przyzwyczaili się do szukania takich powiązań. Czytałam znakomite książki autofikcyjne, między innymi autorów francuskich. Były fascynujące nie tylko dlatego, że ich twórcy mieli interesujące życie. Najważniejsze, że potrafili pisać z socjologiczną świadomością. Opowiadając o sobie, opisywali jednocześnie całą klasę społeczną albo określoną grupę ludzi.

Ale nie sądzę, żeby każdemu się to udawało. Sama uważam się za dość nudną osobę. Gdybym miała napisać książkę tylko na podstawie własnego życia, musiałabym wiele rzeczy wymyślić, żeby była interesująca.

Jednym z najważniejszych bohaterów „Pod wodą" jest sam ocean. Dla dziewczynek stanowi źródło zachwytu, ale w końcu przynosi śmierć.
– Bardzo ważna była dla mnie podwójna natura wody, szczególnie oceanu. Jest jednocześnie miejscem pocieszenia, odżywienia, radości i bezpieczeństwa oraz przestrzenią ogromnego niebezpieczeństwa. Nigdy nie jest tylko jednym albo drugim. Zawsze niesie w sobie obie możliwości. Przez większą część książki Marissa znajduje się metaforycznie pod wodą. Została zatrzymana w jednym momencie życia i nie potrafi się wynurzyć. Nie chciałabym wyjaśniać zakończenia, bo stawia ono czytelnikowi pytanie: czy jest już zdolna wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza?

Woda łączy się z niezwykłą interpretacją mitu o Narcyzie. Według niej Narcyz nie wpatruje się we własne odbicie, lecz w twarz zmarłej siostry bliźniaczki.
– Od dzieciństwa obsesyjnie czytałam mity i ich interpretacje. Ta historia szczególnie mnie fascynowała. Narcyz stracił siostrę bliźniaczkę i próbuje odnaleźć jej twarz w lustrze wody. Nie może oderwać się od obrazu, ponieważ chce zatrzymać ją przy sobie. Uważam tę wersję za jedną z najpiękniejszych interpretacji mitu w literaturze angielskiej. W pewnym sensie odwraca historię Narcyza. To już nie opowieść wyłącznie o próżności i zapatrzeniu w siebie, lecz o utracie i niemożności rozstania się z ukochaną osobą.

Scena w szpitalu dotycząca bliźniąt była dla mnie najtrudniejsza do napisania. Mój ojciec jest bliźniakiem, dlatego ten fragment – choć nadal nie jest autobiograficzny – miał dla mnie osobisty ciężar.

Książka jest niezwykle gęsta: pojawiają się w niej mity, literatura, etymologie, historia naturalna, kryzys klimatyczny. Jak udało ci się zachować wartką fabułę i nie przytłoczyć jej erudycją?
– Wydana książka ma około 50 tysięcy słów, a pierwszy rękopis liczył ich 150 tys. Usunęłam więc 100 tys. słów. Naprawdę były okropne, dlatego ich nie ma.

Myślę, że to ważna część mojego procesu pisania. Najpierw trzeba wydobyć z siebie wszystkie impulsy i zapisać wszystko, co wydaje się konieczne. Dopiero później okazuje się, że większości rzeczy, które tak bardzo chciało się powiedzieć, wcale nie trzeba mówić. Należy się ich pozbyć.

Teraz piszę drugą książkę. W pewnym momencie wróciłam do materiału usuniętego z „Pod wodą". Pomyślałam, że może znajdę tam coś, co da się wykorzystać. Okazało się, że naprawdę nic się nie nadaje.

Marissa nosi przy sobie ostre papryczki chili i w chwilach napięcia je rozgryza. Ciało reaguje, jakby znalazło się w ogniu. To sposób regulowania emocji czy rodzaj autodestrukcji?
– Nie chcę rozstrzygać, czy jest to zachowanie autodestrukcyjne. W powieści pewne rzeczy powinny pozostać otwarte na interpretację. Gdybym powiedziała: „Tak, właśnie to oznacza ta scena", zamknęłabym

eprasa.pl c0f49db8b5

inne możliwości jej odczytania. Mogę natomiast powiedzieć, dlaczego interesowało mnie działanie kapsaicyny. Kiedy jemy bardzo ostrą papryczkę, ciało reaguje tak, jakby się paliło albo miało wysoką gorączkę. Aktywowane zostają receptory odpowiedzialne za ostrzeganie nas przed wysoką temperaturą, mimo że w rzeczywistości nie istnieje takie niebezpieczeństwo. Organizm uruchamia alarm w odpowiedzi na zagrożenie, którego nie ma.

To miniatura stanu psychicznego Marissy. Po przeżyciu tsunami jej ciało i umysł przez cały czas oczekują kolejnego zagrożenia, nawet kiedy jest bezpieczna. Żyje w stanie najwyższej czujności.

Podobne doświadczenie staje się udziałem czytelników. Cały czas czekamy na coś nieuchronnego. Czy to alegoria życia w kryzysie klimatycznym?
– Tak. Właściwie od pierwszych stron wiemy, że coś się wydarzy. Czytelnik zna przyszłość dziewczynek. W nowojorskiej części bohaterowie wiedzą, że nadciąga huragan i czekają na niego. To bardzo przypomina nasze obecne doświadczenie kryzysu klimatycznego. Wiemy, że wydarzy się coś złego. Wiele zmian już zachodzi. Jednocześnie nie modyfikujemy swojego zachowania w stopniu odpowiadającym wiedzy, którą posiadamy. Nadal wykonujemy codzienne czynności. Chciałam oddać to napięcie.

Pamiętasz pierwszą iskrę, od której zaczęłaś pracę nad powieścią?
– Wciąż ktoś mnie o to pyta. Prawda jest taka, że nie pamiętam.

Od początku wiedziałam, że chcę opowiedzieć o osobie, która przeżyła katastrofę i dla której zwyczajne życie stało się przez to absurdalne. Chodzenie po mieście, spotkania z przyjaciółmi, kolacje – wszystko wydaje jej się pozbawione sensu wobec tego, co się wydarzyło. Chciałam opisać stan człowieka, który patrzy na codzienność i myśli: „Co właściwie wszyscy robimy? Jak możemy nadal tak żyć?".

Dorastałaś w różnych miejscach. Czy dziś któreś z nich nazywasz domem?
– Urodziłam się w Indiach, ale wyjechałam stamtąd jako trzymiesięczne dziecko. Dorastałam w Singapurze i chodziłam do międzynarodowej szkoły, ale wielu moich kolegów pochodziło z innych krajów – z Francji, Niemiec i wielu innych. Ale miałam też lokalnych przyjaciół, m.in. dzięki temu, że grałam w rugby. Później zamieszkałam w USA, ale wyraźnie czuję, że nie jestem Amerykanką. Nie czuję, że przynależę do jednego kraju. I właściwie lubię ten stan. Dzisiaj postrzegam go raczej jako zaletę niż wadę.

Po przeczytaniu twojej książki miałam ochotę zadzwonić do najlepszej przyjaciółki i wybrać się z nią do lasu.
– To piękne, nikt wcześniej mi czegoś takiego nie powiedział. Ludzie widzą w niej historię o przyjaźni, żałobie, naturze i katastrofie klimatycznej, a bardzo chcę, żeby zostawiała też coś prostszego: pragnienie, by pobyć z kimś, kogo kochamy. ▲

TARA MENON
„Pod wodą", tłum. Aleksandra Weksel, Wydawnictwo Poznańskie

OGŁOSZENIE

Diamond BRIGHT ARIEL STAIN REMOVER
Kaufland Carrefour Auchan dealz
Niektóre znaki towarowe używane na podstawie licencji udzielonej przez The Procter & Gamble Company lub podmioty powiązane.
eprasa.pl c0f49db8b5

Kiedy lustro *kłamie*

Osoba z dysmorfofobią widzi jakiś element swojego ciała jako szkaradny, odpychający i jest przekonana, że wszyscy widzą go tak samo i czują odrazę

Z **DR. MICHAŁEM FELDMANEM**, PSYCHIATRĄ, ROZMAWIA **IRENA CIEŚLIŃSKA**
RYSUNEK **JAGODA STĄCZEK**

Dr Michał Feldman: Zróbmy eksperyment. Proszę zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że pani nos zaczyna rosnąć. Staje się ogromny, karykaturalny, zasłania znaczną część twarzy. A teraz ma pani z takim nosem wyjść na ulicę. Wszyscy patrzą, dzieci pytają, co się pani stało.

Wybrałabym możliwość pracy zdalnej. Na spotkaniach można użyć jednego z filtrów. Zamawiałabym zakupy online. Chodziłabym na spacery nocą. Niech pan już zabierze ode mnie to wyobrażenie, bo nie mogę się skupić.
– Właśnie tak wygląda doświadczenie osoby z dysmorfofobią. Widzi ona jakiś element swojego ciała jako szkaradny, odpychający, wręcz potworny, i jest przekonana, że wszyscy dostrzegają go równie wyraźnie i czują odrazę. Mogą to być koszmarny nos, odrażająca skóra, zęby. I nie potrafi uwolnić się od myślenia o tym. Bo na chorobę składają się dwa mechanizmy. Pierwszy dotyczy przetwarzania wzrokowego. Zakładamy, że wszyscy widzimy świat podobnie, choć tak nie jest. Potrafimy przyjąć, że ludzie mają inne poglądy czy upodobania, ale rzadko myślimy o tym, że mogą również inaczej widzieć.

Inaczej? Czy oko nie jest czymś w rodzaju aparatu fotograficznego? Czy zrobię zdjęcie lustrzanką czy iPhone'em, mój nos czy broda pozostaną mniej więcej takie same i w tym samym miejscu?
– To, co widzimy, w ogromnym stopniu zależy od procesów zachodzących w mózgu. Fotony trafiają na siatkówkę, a następnie informacja przechodzi przez kolejne struktury, aż dociera do kory wzrokowej. Po drodze zachodzi wiele niezwykle złożonych procesów.

Badanie, które pozwala uchwycić różnice w postrzeganiu osób zdrowych i ludzi z dysmorfobią, to tzw. face inversion effect test, czyli test odwróconej twarzy. Wyobraźmy sobie trzy ustawione pionowo twarze. Dwie należą do tej samej osoby, trzecia do kogoś innego. Osoba zdrowa bardzo szybko odróżnia jedną twarz od dwóch pozostałych, bo widzi ją całościowo. Jeśli odwrócimy wszystkie trzy twarze do góry nogami, zadanie staje się znacznie trudniejsze. Osoba zdrowa zaczyna porównywać poszczególne elementy: usta, nos, oczy. Zajmuje jej to wyraźnie więcej czasu. Osoba z dysmorfofobią zauważy różnicę równie szybko jak wcześniej. Jest przyzwyczajona do widzenia szczegółów, nie całości.

Czy dotyczy to tylko twarzy?
– Nie. To ogólniejszy sposób postrzegania rzeczywistości. Takiej osobie trudno zobaczyć cały obraz, poszczególne elementy dostrzega natomiast niezwykle intensywnie.

> To jedno z zaburzeń psychiatrycznych o najwyższym ryzyku samobójczym.
> *Nie ma tu miejsca na żarty*

Czyli widzi za dużo szczegółów i ma trudność z uchwyceniem całości?
– Tak. A na to nakłada się drugi mechanizm: zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne. Człowiek nie potrafi przestać myśleć o dostrzeżonym defekcie. Porównuje się, sprawdza wygląd, próbuje wadę zasłonić. Wychodzi tylko po ciemku, chowając twarz pod kapturem albo w ogóle przestaje wychodzić. Do tego osoby z dysmorfofobią często odczytują neutralne emocje innych jako negatywne. Nie mają problemu z rozpoznaniem uśmiechu, ale neutralną twarz interpretują jako wrogą lub pełną odrazy. Ktoś tylko przesunął po nich wzrokiem, a one widzą: „Odwrócił się, bo się mną brzydzi".

Co sprawia, że własny nos widzi inaczej niż nosy pozostałych ludzi? Bo przecież inni nie mają jego zdaniem tak uderzających defektów?
– Tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że widzi go niezwykle ostro i inaczej niż otoczenie. Część pacjentów nie pozwala się fotografować. Inni robią sobie setki zdjęć, lecz wyłącznie dla siebie, aby bez końca sprawdzać i porównywać ten straszliwy defekt. Fotografowanie samo staje się natręctwem.

Przedziwna choroba.
– I bardzo niebezpieczna. Jeśli chory przez kilka lat nie otrzyma pomocy, co najmniej co czwarty podejmie próbę samobójczą. Dysmorfofobia należy do zaburzeń o najwyższym ryzyku samobójczym w psychiatrii. Nie ma tu miejsca na żarty.

Tylko że chorzy chyba nie przychodzą do psychiatrów. Jeśli ktoś uważa, że ma ogromny nos, raczej idzie do chirurga plastycznego.
– Oczywiście. Do psychiatry trafiają zwykle dopiero wtedy, gdy pojawiają się myśli samobójcze, lęk społeczny lub całkowita izolacja. Nawet wtedy niechętnie mówią o nosie czy skórze, bo strasznie się tego wstydzą. Łatwiej im przyjdzie zwierzenie się z myśli samobójczych, lęku przed ludźmi i niewychodzeniem z domu.

Poza tym wszystko przecież widać. Nie trzeba o tym mówić. A czy zabiegi medycyny estetycznej mogą pomóc?
– Nie, ponieważ pacjent widzi siebie inaczej niż chirurg. Wielu rozsądnych lekarzy odmówi operacji, jeśli nie ma rzeczywistych wskazań. Jeżeli jednak znajdzie się ktoś, kto zabieg wykona, jego efekt i tak będzie inny, niż oczekiwał pacjent. I pacjent nie będzie zadowolony.

eprasa.pl c0f49db8b5

eprasa.pl c0f49db8b5

Czasem po operacji odczuwa krótką ulgę, ale po kilku tygodniach lub miesiącach natręctwo przenosi się na inną część ciała. Znajdzie swój kolejny ohydny defektu. Coraz więcej lekarzy wie, że pacjent z dysmorfofobią może otrzymać najlepszy możliwy zabieg, a mimo to pozostanie niezadowolony. Trzeba umieć go rozpoznać i delikatnie odwieść od kolejnej operacji.

Odwieść – rozumiem. Jak jednak skierować go do psychiatry, skoro jest przekonany, że potrzebuje chirurga?
– Część klinik wymaga przed zabiegiem oceny psychologa. Pomaga czasami pewien paradoks podatkowy: zabieg wykonywany ze wskazań zdrowotnych nie podlega VAT. Lekarz może więc powiedzieć: „Proszę przynieść zaświadczenie psychiatryczne, wtedy operacja będzie o 23 proc. tańsza". Pacjent trafia do psychiatry i wtedy można z nim naprawdę porozmawiać.

Skoro problem tkwi w mózgu, to co psychiatra może zrobić?
– Jako psychiatra mogę zrobić całkiem dużo. Są leki zmniejszające albo wygaszające natręctwa, przede wszystkim leki z grupy selektywnych inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny, popularnie nazywane antydepresantami. Pacjent może nadal uważać, że jego defekt jest straszny, ale odzyskuje zdolność myślenia także o czymś innym. Osoba z dysmorfofobią potrafi spędzać cztery, sześć, dziesięć, a nawet dwanaście godzin dziennie na myśleniu, sprawdzaniu i porównywaniu części ciała, która budzi jej lęk. Leki nie muszą od razu zmienić sposobu widzenia, lecz pozwalają znów przeczytać książkę, napisać artykuł, pracować.

Tylko że ja przychodzę do pana z nieforemnym nosem, a pan mówi mi, że jestem wariatką, i proponuje tabletki.
– Właśnie tak pacjenci to odbierają. Miałem dwudziestokilkuletnią pacjentkę, która przyszła z myślami samobójczymi. W rozmowie powiedziała, że nie może znieść swojego szkaradnego nosa, choć nie miała żadnej widocznej deformacji. Poprosiłem, by poczytała o dysmorfofobii. Wróciła po tygodniu i powiedziała: „To ciekawa choroba, ale dotyczy ludzi, którzy uważają, że wyglądają źle, choć wyglądają dobrze. Ja wyglądam koszmarnie, więc to nie jest mój przypadek".

Żelazna logika.
– Dlatego drugim filarem leczenia jest terapia poznawczo-behawioralna. Uczymy pacjenta dostrzegania całego obrazu, przerywania natrętnych ciągów myślowych i odzyskiwania wpływu na własne życie. Co ciekawe, ani leki, ani terapia nie wpływają bezpośrednio na samą percepcję. Kiedy jednak natręctwa słabną, pacjent zaczyna czuć się lepiej, a z czasem często również widzi siebie bardziej adekwatnie.

Ktoś tylko przesunął po nich wzrokiem, a one widzą: *„Odwrócił się, bo się mną brzydzi"*

Co sprawia, że cierpienie jest aż tak nieznośne? Są ludzie rzeczywiście oszpeceni przez oparzenia czy nowotwory, a jednak ich życie nie zawsze zostaje całkowicie zniszczone.
– Decyduje głowa, która nie pozwala myśleć o niczym innym. Jeśli potrafi pani czasem zapomnieć o swoich niedostatkach, znaleźć inne źródła satysfakcji i pamiętać o swoich mocnych stronach, może pani funkcjonować. Jeśli myśli nigdy nie milkną, życie staje się nie do zniesienia.

Czyli wygląd jest treścią choroby, ale jej silnikiem są natręctwa?
– Tak. Dlatego nie wolno sprowadzać zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych do zabawnego dziwactwa. Proszę sobie wyobrazić, że wyjście z domu zajmuje półtorej godziny, bo kilkadziesiąt razy wraca pani sprawdzić klamkę. To jest życie w pułapce.

Niemal każdy, zwłaszcza nastolatek, przejmuje się wyglądem. Gdzie kończy się kompleks, a zaczyna choroba?
– Kompleksy ma prawie każdy. Są badania pokazujące, że Polacy, a zwłaszcza Polki, należą w Europie do narodów najgorzej oceniających własny wygląd.

Może dlatego, że u nas nie wypada się chwalić?
– Nie tylko nie wypada się chwalić. Nie wypada też przyjmować komplementów. Gdy ktoś mówi: „Masz piękną sukienkę", należy odpowiedzieć: „Ta? Z przeceny", czyli natychmiast ją zdewaluować, albo odbić komplement: „Ale twoja jest naprawdę świetna". Kulturowo trudno nam powiedzieć po prostu: „Dziękuję, wiem, cieszę się". W Stanach Zjednoczonych taka odpowiedź jest naturalna, u nas mogłaby zostać uznana za przejaw pychy.

Czy Polki rzeczywiście źle się postrzegają, czy raczej wiedzą, że wypada powiedzieć: „Nie jestem żadną pięknością"?
– Badania socjologiczne sugerują, że rzeczywiście są niezadowolone ze swojego wyglądu. To jednak lata świetlne od dysmorfofobii. Prawie każdy dostrzega u siebie jakieś niedoskonałości i samo to nie jest problemem. Choroba zaczyna się, gdy nie można przestać o nich myśleć, pojawiają się rytuały i kompulsje, a wszystko zaczyna niszczyć naukę, pracę, relacje i zwykłe życie.

Kiedy zwykle pojawiają się pierwsze objawy?
– Najczęściej między czternastym a osiemnastym rokiem życia. Rodzice myślą: „Dojrzewa, bardziej przejmuje się wyglądem, to minie". Tymczasem zaburzenie rozwija się podstępnie. Dziecku coraz trudniej zająć się czymkolwiek innym. Myje się przy przygaszonym świetle, nie chce jechać na wakacje, bo w hotelu będą inne lustra, przegląda się w witrynach i szybach samochodów. Bliskich zasypuje pytaniami: „Czy dzisiaj mój nos wygląda lepiej? Czy inni też widzą, jaki jest straszny?".

eprasa.pl c0f49db8b5

Czy chory wie przynajmniej, że lustro może go oszukiwać?
– To ważna sprawa – świadomość, że własne przeżycie może wynikać z choroby. W schizofrenii pacjent nie mówi: „Mam wrażenie, że słyszę głosy"; on wie, że je słyszy. Blisko jedna trzecia osób z dysmorfofobią dopuszcza, że widzi siebie inaczej niż inni. Widok nadal jest dla nich nie do zniesienia, ale potrafią pomyśleć: „Może to jednak choroba sprawia, że tak siebie odbieram". Reszta nie dopuszcza tej możliwości albo dopuszcza ją tylko w minimalnym stopniu.

Ta choroba jest tak niezwykła, że musi być bardzo rzadka.
– Cierpi na nią dwa procent populacji, czyli mniej więcej co pięćdziesiąta osoba. To znacznie więcej, niż się sądzi. Ludzie nie mówią o tym lekarzowi ani rodzinie, bo natrętne zajmowanie się wyglądem bywa brane za próżność czy narcyzm.

Czy choroba dotyczy tylko twarzy?
– Najczęściej twarzy, włosów, skóry czy zębów, ale może objąć każdą część ciała. Mam wysokiego pacjenta na ważnym stanowisku, przekonanego, że ma za małe stopy. Nosi buty o trzy numery za duże i wypycha je materiałem.

Samo noszenie za dużych butów nie brzmi jeszcze tragicznie.
– Dopóki człowiek nie unika plaży, basenu i bliskości, bo nie potrafi przy kimś zdjąć butów.

DR MICHAŁ FELDMAN

– psychiatra, kierownik poradni dysmorfofobii w Centrum Terapii „Dialog"

Zna pan osoby całkowicie wyleczone?
– Tak. Prawie zawsze można przynajmniej zmniejszyć nasilenie natręctw i przywrócić pacjenta do życia. Około trzydziestu procent udaje się wyleczyć całkowicie. Proces jest długi, ale efekt potrafi być spektakularny.

Czy mija tylko obsesja, czy pacjent zaczyna także widzieć siebie bardziej adekwatnie?
– Zwykle zaczyna widzieć siebie trafniej, choć niezwykła wrażliwość na szczegół może pozostać.

Po czym pan poznaje, że zaczyna się zdrowienie?
– Najpierw pojawia się wątpliwość. W ciężkim stanie pacjent wie, że wygląda potwornie. Gdy zaczyna zdrowieć, mówi: „Spojrzałem rano w lustro i pomyślałem: nie jest aż tak źle". Albo: „Pierwszy raz od trzech lat przeczytałem książkę".

Dysmorfofobia brzmi jak choroba naszych czasów: Instagrama, filtrów i przedniej kamery telefonu.
– A została opisana jeszcze w 1886 roku przez włoskiego psychiatrę Enrica Morsellego. Badania prowadzone od lat 70. XX w. w różnych krajach i kulturach pokazują, że odsetek pacjentów cierpiących na to zaburzenie pozostaje niezmienny. Ciekawa rzecz: w latach 70. XX w. wieszczono, że kolorowe pisemka i fotografie modelek zwiększą częstość występowania zaburzenia. Dziś oskarżamy media. One mogą wywoływać kompleksy, ale nie potrafią same wytworzyć natręctw ani zaburzyć przetwarzania wzrokowego. Patrzenie na atrakcyjnych ludzi nie wystarczy, by spowodować dysmorfofobię. Mogą natomiast nasilać objawy u osoby, która już choruje. Pacjent dostaje nieograniczony dostęp do twarzy, z którymi może się porównywać. W zwykłym życiu spotyka kilkanaście czy kilkadziesiąt osób; w sieci może jednego dnia obejrzeć setki albo tysiące.

A co pan powie pozostałym dziewięćdziesięciu ośmiu procentom ludzi, którzy nie mają dysmorfofobii, ale mają kompleksy?
– Że mają prawo być niezadowoleni z jakiejś części swojego ciała. Problem zaczyna się nie wtedy, gdy nie lubimy nosa, lecz wtedy, gdy poza nosem przestajemy widzieć cokolwiek innego.

Czyli cała sztuka polega na tym, żeby własny nos nie zasłonił nam świata. ▲

OGŁOSZENIE

FASCYNUJĄCA OPOWIEŚĆ O STARZENIU SIĘ I DŁUGOWIECZNOŚCI.
Tomasz Ulanowski rozmawia z ekspertami, zagląda do badań naukowych i odkrywa 8 filarów długiego życia w zdrowiu.

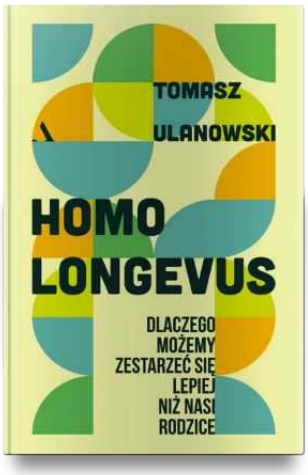

DLA TYCH, KTÓRZY CHCĄ CIESZYĆ SIĘ ŻYCIEM NIE TYLKO W MŁODOŚCI!

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

eprasa.pl c0f49db8b5

Oswoić *fiordy*

Kocham Norwegię miłością wielką i wędrowałam po niej wiele razy. Oto mój przewodnik dla początkujących

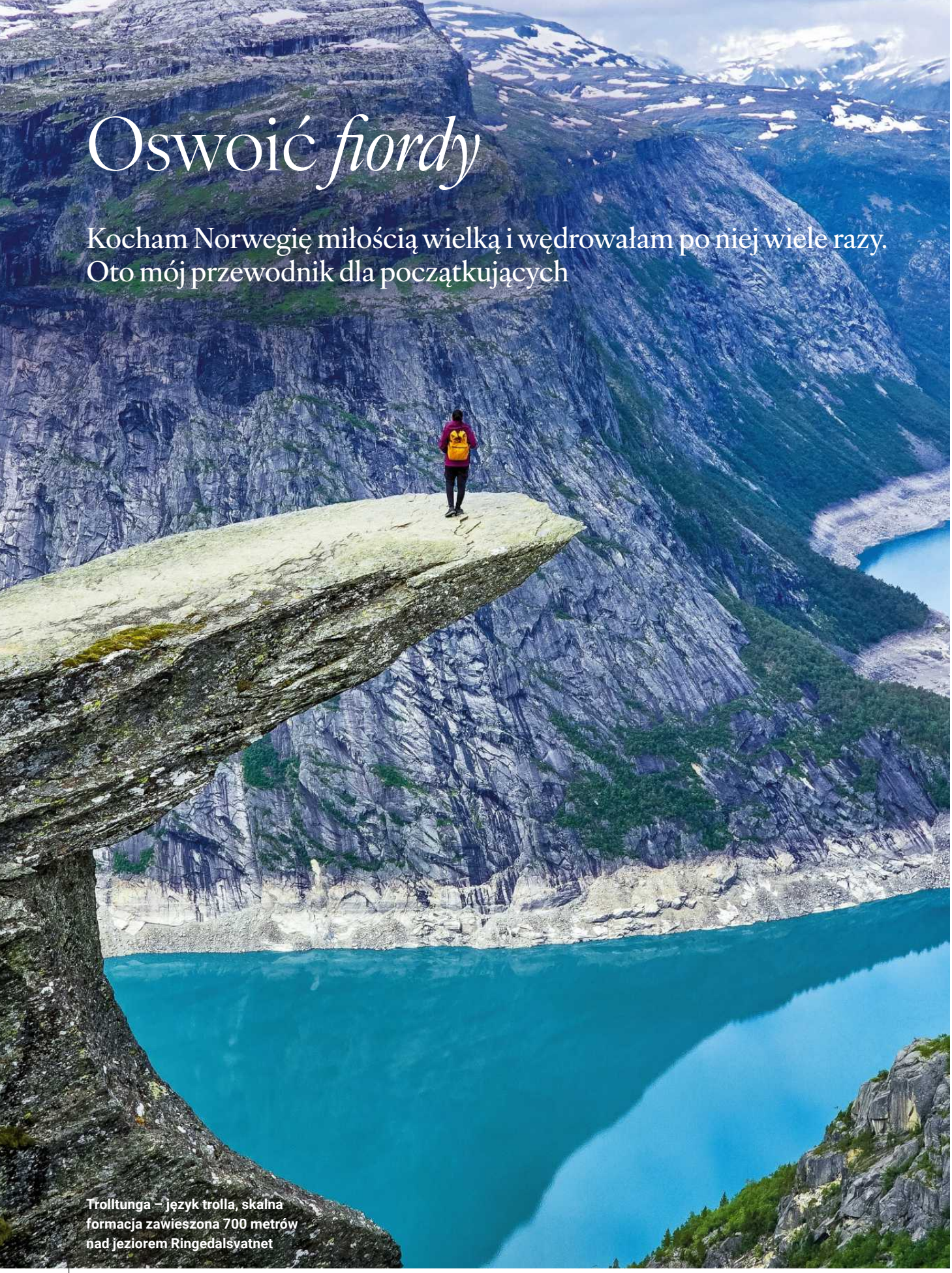

Trolltunga – język trolla, skalna formacja zawieszona 700 metrów nad jeziorem Ringedalsvatnet

eprasa.pl c0f49db8b5

Bergensbanen, kolej między Oslo i Bergen

Stavanger

TEKST **MARZENA FILIPCZAK**

Czy Norwegia jest rzeczywiście zaporowo droga? Czy da się podróżować bez samochodu? Czy naprawdę wszędzie można spać na dziko? – słyszę takie pytania bardzo często. Bliżsi i dalsi znajomi wiedzą, że kocham Norwegię miłością wielką i wędrowałam po niej wiele razy o różnych porach roku. Zapytana o to, co polecam na pierwszy raz, bez wahania odpowiem – region fiordów. To najpiękniejsze miejsca w kraju, wyglądają rzeczywiście tak, jak je sobie wyobrażamy.

Pętlę, którą proponuję na początek, można modyfikować na wiele sposobów, skrócić albo wydłużyć o różne wycieczki. Całą trasę można pokonać pociągami, autobusami, promami, wszystkie trasy są widokowe, pozwalają zobaczyć, jak bardzo jest zróżnicowana norweska natura. To też dobre miejsce na spróbowanie pierwszych noclegów na dziko i górskich wędrówek. Znajdziecie tu tereny wystarczająco odległe, pozwalające poczuć atmosferę „końca świata", a równocześnie na tyle bliskie cywilizacji, że w razie załamania pogody czy stwierdzenia, że to jednak nie to, można sprawnie i bezpiecznie znaleźć nocleg pod dachem albo transport dalej.

BYĆ JAK POLARNIK

Oslo, dworzec główny, tuż przed 8 rano. Peron, z którego odjeżdża mój pociąg, rozpoznaję w ciemno: jest na nim gwarniej, leży więcej plecaków i walizek, widać, że pasażerowie nie jadą do pracy, ale na wycieczkę. Skład jest długi, napisy na zielonych wagonach głoszą: Bergensbanen. 471 km, jakie dzielą dwa największe norweskie miasta, czyli Oslo i Bergen, pociągi pokonują w 6,5 do 7,5 godz., co nie jest czasem imponującym, ale nie o prędkość przecież chodzi. Ba, żeby nieznający północnych realiów goście nie wysiedli z pociągów rozczarowani, kolejarze informują: „Zimą wyjedź rano albo przed południem, bo dzień trwa średnio od godz. 9 do 15". Ta kolej jest jak kino na kołach, a jako że jadę nią po raz kolejny, wiem, że lepsze miejsca na widowni są po lewej stronie. Na początku, kiedy przemierzamy lasy, rzeki, łagodne pagórki, może tego nie widać, ale gdy pociąg powoli się wspina – seans czas zacząć.

Linia, która jest jedną z najwyżej położonych w Europie Północnej, przecina obrzeża płaskowyżu Hardangervidda. To bezdrzewne pustkowie, na którym polarnicy trenują przed wyprawami do największej w kraju populacji dzikich reniferów (wyjaśnienie dla mniej zorientowanych: większość skandynawskich stad stanowią renifery hodowlane). Nie prowadzą tędy żadne drogi, kolejne stacje ze światem łączy tylko pociąg: po torach przyklejonych do skalnych ścian i w 182 tunelach. Tylko jeden z nich, wcale nie najdłuższy, bo liczący 5311 m tunel Gravehalsen budowano przez prawie 10 lat – w całości ręcznie.

Najciekawszy widokowy fragment to dwie godziny między stacjami Geilo i Voss, po drodze pociąg zatrzymuje się m.in. w Haugastøl (odtąd wzdłuż linii nie będzie drogi), Finse (najwyżej położona stacja – 1222 m n.p.m.) i Myrdal (odbicie kolejki do Flåm). Za Voss zaczyna się część nizinna, co nie znaczy, że nudna. Za oknem tym razem wysokie góry, rozległe doliny, wodospady.

CO TU JESZCZE MOŻNA ROBIĆ

■ **PRZEJECHAĆ SIĘ ROWEREM.** Norweski klasyk to Rallarvegen, czyli dawna droga zaplecze dla budowniczych kolei, z Haugastøl do Myrdal (65 km) i dalej w dół do wsi Flåm (kolejne 17 km). Ostatni odcinek to jazda na łeb na szyję z płaskowyżu nad fiord z bardzo wymownymi znakami rowerzysty robiącego fikołka przez kierownicę. Ale pierwszy, wzdłuż linii Bergensbanen, jest przygodą dla każdego, pozwalającą posmakować nieco Hardangerviddy z poziomu szutrowej drogi. Najciekawsze odcinki: Finse – Hallingskeid (21 km) albo dalej do Myrdal (36 km, na końcu długi, ale niezbyt stromy zjazd). Rower można wypożyczyć w Haugastøl albo Finse;

■ **RALLARVEGEN** jest także świetnym wyborem na wędrówkę, pozwala doświadczyć surowego i groźnego rejonu w sposób dość bezpieczny: na trasie jest kilka stacji, w razie załamania pogody można więc wskoczyć w pociąg, są też możliwości noclegowe (Finse, Hallingskeid, Myrdal). Z tego samego powodu to niezłe miejsce na doświadczenie noclegu w namiocie na dziko – polecam np. okolice kawiarni-muzeum Fagernut niedaleko najwyż-

FOT. SHUTTERSTOCK (2), MATERIAŁY PRASOWE VISIT NORWAY

eprasa.pl c0f49db8b5

szego punktu trasy (1343 m n.p.m.) albo cyple nad rzeką Flåmselvi za słynnym łukowym mostem Klevabrua;

■ ŁATWE, ŁADNE TERENY NA WĘDRÓWKI SĄ W OKOLICY STACJI GEILO, np. do Prestholtseter, czyli starej kawiarni u stóp grzbietu Hallingskarvet (1242 m n.p.m.). Stamtąd można ruszyć na kolejne szlaki albo zejść łatwą trasą do Ustaoset, przystanku na trasie kolei do Bergen.

PRAWDZIWE ZNACZENIA SŁOWA: STROMO

Ze stacji w Myrdal odbija Flåmsbana, czyli kolejka do Flåm. Jest to najbardziej stroma linia o standardowym rozstawie torów w Europie, na długości 20 km pociąg zjeżdża z wysokości 865 m n.p.m. na poziom fiordu. Dla bezpieczeństwa ma dwie lokomotywy – na początku i końcu składu, osiąga maksymalnie 30 km/h. Prostych odcinków jest niewiele, większość to ostre zakręty, pętle, spiralne zjazdy, strome wykute w ścianach półtunele. Kolejka, która kiedyś dla Flåm i farm w dolinie stanowiła jedyne lądowe połączenie ze światem, dziś służy głównie turystom. Polecam pokonać trasę i na jej pokładzie, i wędrując poprowadzoną równolegle Rallarvegen, bo dopiero taki zestaw pozwala zrozumieć, na co się porwali budowniczowie.

Największe wrażenie robi pierwszy czterokilometrowy odcinek poprowadzony 23 szerokimi serpentynami na 350 metrach przewyższenia; dalej jest kilka ładnych wodospadów, opuszczonych farm, w czasach świetności zamieszkiwanych przez kilkadziesiąt osób, tabliczki informacyjne równie skrzętnie odnotowują populację owiec i bydła. Pociąg ma na stacjach kilku-, kilkunastominutowe postoje. Ostatnia – Flåm, leży w dolinie na brzegu fiordu Aurlandsfjord, a ten jest jedną z odnóg Sognefjord, czyli najdłuższego fiordu w Europie (204 km). Miejscowość wzbudza skrajne odczucia; za dnia bywa irytująco głośna i zatłoczona, bo z kolejnych pociągów wysypuje się tłum zostających tu godzinę, dwie pasażerów. Albo jeszcze gorzej – dołączają do nich setki z ogromnych, zupełnie niepasujących do tej dzikiej scenerii statków wycieczkowych. Dlatego warto tu zostać na noc i zobaczyć, jak przybiera twarz spokojnej wsi; kilka minut pieszo od wybrzeża jest rozległy, położony kaskadowo kemping z pięknym widokiem na fiord.

Dzisiaj z Flåm do Bergen można dojechać nawet autobusem. Ale byłoby wielką szkodą nie skorzystać z okazji i nie wybrać rejsu fiordem. Trzeba rozwiązać tylko jeden problem: jak płynąć? Można pokonać wodą całą drogę do Bergen, co przekłada się na pięć godzin rejsu Sognefjordem i wzdłuż wyspowego wybrzeża, albo wybrać prom wpływający w Nærøyfjord, czyli wąski otoczony wysokimi klifami fiord wpisany na listę UNESCO. Na jego krańcu leży wieś Gudvangen z osadą wikingów. Oprócz etatowych wikingów jest tu całkiem spora grupa wolontariuszy: dzieci w wakacje, starsi w weekendy – jeśli akurat mają wolny czas – zakładają tuniki, biorą toporki i dołączają do obsady. Z Gudvangen jedziemy autobusem do Voss – z widokiem na skalne ściany z nitkami wodospadów, by tam znowu wsiąść do kolei bergeńskiej.

CO TU JESZCZE MOŻNA ROBIĆ

■ NAD FIORDEM NÆRØYFJORD jest kilka przystani, do których prom przybija na żądanie – jeśli chcecie się tam zatrzymać, trzeba z góry (np. na przystani we Flåm) kupić bilet także na dalszą podróż, w innym przypadku prom tu nie przypłynie. To świetne miejsca na zaznanie atmosfery prawdziwego spokoju i „końca świata" – znajdują się w nich pojedyncze gospodarstwa albo drogi do nich w góry. Jedyna większa osada to Undredal z XII-wiecznym kościółkiem oraz kawiarnią na przystani, w której serwują pyszny sernik z wytwarzanego tu sera brunost. Ten norweski przysmak, ser o karmelowym smaku, jedni kochają (ja też, ja też), inni – się krzywią;

■ AURLANDSDALEN – ulubienica piechurów i łowców widoków, polodowcowa dolina pełna wodospadów, jeziorek, głazów, łatwo dostępna z Flåm. Wiedzie tędy jedna z 18 norweskich narodowych tras turystycznych (Aurlandsfjellet), czyli dróg z najlepszymi widokami – a mówimy przecież o kraju słynącym z nich. Najważniejszy przystanek: punkt widokowy Stegastein, stalowo-betonowo-szklana platforma zawieszona 650 metrów nad tonią Aurlandsfjordu. Na parkingu przy nim znajduje się oryginalna toaleta z widokami przez panoramiczne lustra weneckie. Z Flåm można tu dojechać w sezonie letnim – autobusem albo wypożyczonym rowerem elektrycznym.

WYSZŁO SŁOŃCE, NIE WIEM, GDZIE JESTEM

Do Norwegii przyjeżdża się dla zachwytów nad przyrodą, a nie miastami i zabytkami. Kropka. Ale są wyjątki, a miejsce szczególne zajmują Bergen i Stavanger. Nie dość, że niezwykłe same w sobie, to połączone trasą wzdłuż pięknego wybrzeża.

Zapewne nie tylko ja mam tak, że kiedy mówię: „Bergen", widzę Bryggen. To kolorowe domy z trójkątnymi poddaszami ustawione ciasno jeden obok drugiego frontem do nabrzeża. Choć trudno w to uwierzyć, są między nimi przejścia prowadzące w głąb drewnianej średniowiecznej dzielnicy, którą w czasach hanzetyckich zamieszkiwali kupcy. Najbardziej ze wszystkiego bano się tu pożarów, które kilka razy strawiły znaczne części dzielnicy. Żeby je ograniczyć, zimą zakazywano rozpalania ognia, zdarzały się więc przypadki śmierci z wychłodzenia. W Bergen nie ma siarczystych mrozów, ale zimno bywa przenikliwe, co jest związane z dużą wilgotnością. To jedno z najbardziej deszczowych miast na świecie, ze średnią opadów 200-240 dni w roku, swego czasu na ulicach testowano nawet parasolomaty – automaty do sprzedaży parasoli. Kawał z brodą głosi, że jeśli jesteś w Bergen, a tam nie pada, to znaczy, że jesteś gdzie indziej. Dementuję: otóż w czasie kilku podróży padało bardzo, przelotnie, było pochmurno i mglisto, ale raz – na czystym niebie świeciło najprawdziwsze słońce. Choć był to środek dnia w środku tygodnia panowała atmosfera fiesty, na trawnikach i w parkach pełno było piknikujących ludzi.

Bergen i Stavanger dzieli 200 km szkierowego piękno-dzikiego wybrzeża. Można go podziwiać na dwa sposoby: z autobusu jadącego ok. pięciu godzin nabrzeżem, groblami, wyspami, na pokładach kolejnych promów albo z promu łączącego oba miasta (6,5 godz.). Stavanger wyrosło na przetwórstwie rybnym, o czym przypomina oryginalne Muzeum Konserw, dziś jest przede wszystkim naftową stolicą Norwegii – wieczorne wybrzeże na równi z gwiazdami rozświetlają platformy. Jego stara część ma swój urok miasta jak z obrazka: kamienne ulice, drewniane białe domy ze spadzistymi dachami, zaskakująco dużo zieleni w miniogródkach i donicach. Najmocniejszy akcent kolorystyczny to ulica Fargegaten z domami jak tęcza, muralami, kawiarniami, restauracjami.

Ze Stavanger do Oslo można pojechać pociągiem (trasa Sørlandsbanen), znowu długo i pięknie – 545 km, 8-9 godz.

CO TU JESZCZE MOŻNA ROBIĆ

■ MIĘDZY BERGEN I STAVANGER, w głębi lądu, znajduje się jedno z najczęściej fotografowanych miejsc w Norwegii. Trolltunga, do-

eprasa.pl c0f49db8b5

Bryggen, dawna dzielnica hanzetycka w Bergen

Aurlandsfjord, część Sognefjordu – najdłuższego fiordu w Europie

słownie: język trolla, to skalna formacja zawieszona 700 metrów nad jeziorem Ringedalsvatnet. Prowadzi do niej stromy, ale wart każdego wysiłku szlak z ponad 750 m przewyższenia, samodzielnie można wędrować tylko w sezonie letnim. Jest wiele możliwości połączenia go z innymi punktami na opisywanej trasie – autobusy kursują do i z Voss, Stavanger oraz Bergen;

■ STAVANGER jest punktem startowym wielu wycieczek lądem i wodą. Najbardziej znane i fotografowane co najmniej tak chętnie jak Trolltunga miejscówki znajdują się w okolicy fiordu Lysefjord. To Preikestolen, czyli skalna półka 640 metrów nad tonią fiordu, do której prowadzi skalisty, dość łatwy szlak, oraz Kjeragbolten – głaz zakleszczony między dwoma oddalonymi od siebie o około dwa metry klifami na wysokości prawie 1000 metrów.

CZY NORWEGIA JEST DROGA

Po Norwegii podróżuje się inaczej niż np. po Hiszpanii, szuka się natury, odosobnionych miejsc – nie za bardzo więc jest gdzie wydawać pieniądze. Noclegi najtańsze są na kempingach (popularne są też apartamenty, domy do wynajęcia z kuchnią). Ceny w sklepach są oczywiście wyższe (zwłaszcza warzywa, owoce, choć z drugiej strony – ryby są tanie), ale w porównaniu z zachodnimi różnice nie robią już wielkiego wrażenia. Tym bardziej że kurs korony norweskiej w ostatnich latach spadł. Drogie są restauracje, bardzo drogi – alkohol. Tanie supermarkety to Rema 1000, Kiwi, Coop, Spar, w miejscowościach odwiedzanych przez turystów któryś z nich będzie na pewno (np. Flåm – Coop, Geilo – Spar); przy niektórych znajdują się kąciki/pomieszczenia, gdzie można odgrzać kupione jedzenie, zrobić kawę. Kartusze z gazem – najtańsze w sklepach ogrodniczo-budowlanych.

Woda pitna – w każdym kranie, a w terenie trzeba się wcześniej upewnić, czy wokół nie ma pastwisk i zwierzęcych odchodów. A co ze spaniem na dziko? W Norwegii dostęp każdego człowieka do natury jest tradycją chronioną przez prawo (allemannsretten), ale człowiek ma ją i innych traktować szacunkiem. Można wędrować po terenach prywatnych, biwakować na nich z zachowaniem 150 m od zabudowań. W praktyce jednak dotyczy to terenów odległych, noclegów na dłuższych wędrówkach. W popularnych turystycznie rejonach, w tym opisywanym rejonie fiordów czy na Lofotach, coraz częstsze są lokalne ograniczenia – można się rozbić tylko na kempingach i w wyznaczonych miejscach. Przykład z opisanej trasy: można spać na dziko przy Rallarvegen na płaskowyżu, nie powinno się tego robić na jej fragmencie z Myrdal do Flåm i w bliskiej okolicy tej miejscowości.

Allemannsretten dotyczy ludzi (piechurów, rowerzystów), nie pojazdów. Podróżując kamperem, należy przestrzegać lokalnych zwyczajów, zakazów i np. nie nocować na dziennych parkingach. Generalnie na terenach, które nie są naprawdę odludne, kamper równa się pobyt na kempingu, nie ma czegoś takiego jak parkowanie/nocowanie w każdym miejscu. Przestrzeganie tych zasad pozwoli cieszyć się norweską naturą. W Norwegii jest darmowa: nie ma opłat za wejścia do parków narodowych, na szlaki, punkty widokowe itd. (jedynym, jaki kojarzę, jest Nordkapp).

Ceny komunikacji: bilety na pociągi, niektóre autobusy i promy – vy.no; bilety kolejowe trafiają do systemu z trzymiesięcznym wyprzedzeniem, im wcześniej je kupicie, tym więcej jest cen promocyjnych (tzw. minipris), np. Oslo – Stavanger – ok. 120 zł, Oslo – Bergen – ok. 140 zł. Kalendarze niskich cen udostępniają także poszczególni przewoźnicy, np. prom Bergen – Stavanger – ok. 110 zł (fjordline.com). Nie dotyczy to wszystkiego, np. kolejka Flåm kosztuje ok. 210-220 zł, ale jest tego warta podobnie jak sernik z sera brunost na przystani – ok. 60 zł porcja. Nie ma sensu oszczędzać na wszystkim, bo znika frajda z wyjazdu. W ogólnym rozrachunku Norwegia wychodzi mniej „strasznie drogo", niż się wydaje.

Część opisanych miejsc (Oslo – Myrdal- Flåm – Bergen) znajduje się na trasie „Norway in a nutshell", tzn. bilety na łączące je pociągi, promy i autobusy można kupić w pakiecie – fjordtours.com. Ale kupowane osobno u przewoźników kosztują tyle samo, a wybór jest dużo większy.

Szczyt sezonu to lipiec i pierwsza połowa sierpnia. Bardzo dobrym czasem jest druga połowa sierpnia i co najmniej pierwsza września, kiedy jest już luźniej, ale jeszcze wszystko otwarte, a pogoda – dosyć stabilna. ▲

eprasa.pl c0f49db8b5

Dobre duchy *Kimby*

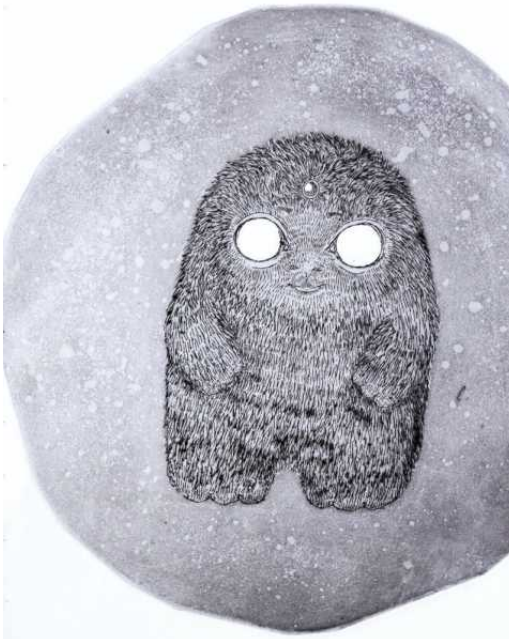

Pierwszy kontakt z nimi wywołuje dreszcze i otwiera w nas przestrzeń na spotkanie ze światem nieznanym

TEKST **MAGDALENA KACALAK**

Kimba określa się jako obywatelka świata. Zaryzykowałabym, że bardziej świata baśni i przypowieści niż Polski, w której żyje od 18 lat; lub Ameryki, gdzie się wychowała. Jej mama jest Polką, zadbała by w rodzinnym domu mieli wiele ilustrowanych opowieści, także z Polski. Kimba szczególnie upodobała sobie ilustracje autorów z lat 70., Marii Kownackiej i Jana Marcina Szancera. Rysował surrealistyczne minipotworki jak z obrazów Boscha, żyjące obok ludzkich postaci, ukryte w codzienności. Ta wizja równoległych światów głęboko zapadła przyszłej artystce w pamięć i ukształtowała jej sposób postrzegania rzeczywistości. Sprawiła, że Kimba w swoich pracach odwołuje się do świata baśni i legend, czerpie inspiracje z mitologii różnych krajów, mieszając wątki skandynawskie ze słowiańskimi bóstwami, szintoistyczne japońskie bóstwa i duchy natury zamieszkujące lasy, łąki i przestrzenie liminalne. Animizm u Kerner daleko odbiega od współczesnych, ugładzonych wersji dla dzieci. Artystka sięga do pierwotnej, terapeutycznej funkcji baśni, która jest opowieścią o transformacji. W ceramice Kerner proces ten jest widoczny dosłownie – surowa glina przechodzi przez ogień i przeistacza się w trwały obiekt, tak jak bohater baśni zmienia się pod wpływem trudnych doświadczeń.

Z tych magicznych opowieści artystka wyciąga esencję, by celebrować ucieczkę od racjonalnego, pozbawionego duchowości życia. Nadmienia, że bajki są w naszym życiu wciąż obecne, tylko w dorosłości stwarzamy je na swój temat. Za każdym razem, gdy wracamy do przeszłości, nasza pamięć aktualizuje zasoby, coś zmienia i coś przestawia – jak klocki Lego. Autoprezentacji też nie jest daleko do budowania mitu na swój temat.

Kimbaki są więc łącznikiem ze sobą sprzed lat, istnieją na przekór realności – same proszą się o powołanie ich do istnienia. Bywa, że Kimba miewa jakiś zamysł na nowego kimbaka – bo tak nazywa swoje stworzenia – ale glina zmienia go w trakcie pracy; 98 proc. z nich nie ma nawet szkicu. Siada do lepienia i zamienia się w medium, to proces w zasadzie automatyczny. Czasem robi jednego na tydzień, a innym razem ma dwa miesiące przerwy. Bywa, że rozpoczęta praca czeka latami na dokończenie, i nagle jednego dnia coś zaskoczy. Trudno Kimbie określić moment krytyczny, gdy jej twórczość skręciła w tym kierunku. Od dziecka rysowała i lepiła z modeliny, do dziś jej mama trzyma w domu pudło z tamtymi figurkami. Z wiekiem były to coraz większe formy. Wiele z jej obiektów ceramicznych przypomina rytualne maski lub fetysze, które w dawnych kulturach służyły do odstraszania złych mocy, ochrony domostwa lub nawiązywania kontaktu z przodkami. Animistyczne rzeźby Kimby mają w sobie dziecięcą naiwność, ale czuć w nich też pewien rodzaj mroku, coś niepokojącego. Jak w filozofii Junga, potrzebna jest tu równowaga między dobrem a złem. Wedle niej Kerner nie traktuje sztuki jedynie jako estetycznej formy, lecz jako kanał komunikacji z nieświadomością zbiorową. Kimba czuje się swego rodzaju przekaźnikiem, choć trudno w jej pracach nie dostrzec jej radosnej energii i poczucia humoru. Raz zdarzyło się jej nasycić rzeźbę trudniejszymi emocjami, które potrzebowała z siebie wyrzucić, w większości przypadków jej totemy mają chronić i przypominać o cieszeniu się małymi rzeczami, pielęgnowaniu w sobie

FOT. DAWID ZUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl c0f49db8b5

eprasa.pl c0f49db8b5

FRANCES KIMBA KERNER

– artystka wizualna, ceramiczka, graficzka. Absolwentka Parsons School of Design w Nowym Jorku i wzornictwa przemysłowego na ASP w Krakowie

dziecka. Otwierają szerokie pole do interpretacji i zachęcają do zabawy wyobraźnią, jeśli ktoś ma w sobie na to otwartość.

Niedługo po przeprowadzce do Warszawy Kimba zrealizowała pewien eksperyment. W 2016 r. rozłożyła w różnych miejscach Warszawy kimbaki, jak mówi – ukryła je w codzienności, z ciekawości, co się z nimi stanie. Bez karteczki z informacją o autorce. W ciągu tygodnia wszystkie rzeźby zostały zniszczone lub rozkradzione. Ta przy stawiku na Morskim Oku już w ciągu pierwszych dwóch godzin. Możliwe, że ostatnia z nich ukryta jest w jednym z drzew w ogrodzie Domu Zabawy i Kultury DZiK. Nie każdy jest gotowy na kontakt z dzieckiem w sobie, choć kimbaki kupują dorośli, głównie dla siebie. Wiele osób próbuje je czytać poprzez logikę, chce dokładnie wiedzieć, czym są i skąd płynęły inspiracje do konkretnej rzeźby, ale artystka woli te pytania pozostawiać bez odpowiedzi. Opis zabija własną interpretację, a chodzi o to, by stworzyć w sobie przestrzeń na odbiór emocjonalny, a nie intelektualne tłumaczenie.

Cała twórczość Kerner to rodzaj emocjonalnego transferu. Tak jest z pisaną przez nią poezją, tekstami piosenek i grafiką warsztatową, obejmującą linoryty i ryciny, które autorskim sposobem przenosi na kafle ceramiczne i wyszukaną przez siebie na targach staroci ceramikę. Na jej kafelkach układanych w większe panele ścienne uwiecznione są persony o głowach ptaków lub jeleni, które prowadzą bezimienne postaci ludzkie przez zawiłe krajobrazy – to czyste wcielenie jungowskiego archetypu przewodnika dusz między światami. Motyw gęstego, mrocznego lasu pojawia się u niej wielokrotnie. W baśniach las to klasyczna przestrzeń inicjacji – miejsce, do którego bohater musi wejść by zagubić się, stawić czoła nieznanemu i powrócić odmienionym. Tworzenie tych złożonych form odpowiada jungowskiemu procesowi stawania się pełnym człowiekiem – scalania przeciwieństw (jasności i ciemności, świadomości i nieświadomości). Porcelana i ceramika, ze swoimi spękaniami szkliwa i nierówną fakturą, idealnie oddają wspomnienie czegoś dawnego, wykopanego z ziemi. Jakby prace Kerner nie były nowo stworzonymi obiektami, lecz artefaktami odnalezionymi podczas archeologicznych wykopalisk w nieświadomości.

W rękach Kerner naczynia, kafle i rzeźby nie są bezdusznymi przedmiotami użytkowymi. Mają własne twarze, spojrzenia i historię. Kimbaki, które teraz stoją w pracowni, są zaczątkiem nowego pomysłu. Wszystkie zamieszkują świat z wyobraźni artystki, który doczeka się wkrótce większego projektu, tym razem już dla dzieci. ▲

Trudno ustalić status ceramicznych rzeźb Kimby Frances Kerner. Czy to potworki czy dobre duchy, *talizmany czy totemy?*

eprasa.pl c0f49db8b5

Dziecko kolekcjonuje *emocje*

Zwiedzili z dzieckiem 40 krajów na sześciu kontynentach. Prowadzą bloga i pokazują, że rodzicielstwo nie oznacza końca podróżowania

Zuza i Bartek Bielawa prowadzą bloga Wspólnie Przez Świat

eprasa.pl c0f49db8b5

TEKST **MAGDALENA WOJCIECHOWSKA**

Kiedy Zuza i Bartek opowiadają o swoich podróżach, najczęściej słyszą: „Wy mieliście szczęście". Kręcą wtedy głowami. – To nie było szczęście – mówi Bartek. – Szczęściem byłoby wygrać los na loterii. My podejmowaliśmy kolejne decyzje i ponosiliśmy ich konsekwencje.

NOWY JORK

Kiedy się poznali, spotkały się dwa światy. Zuza marzyła o podróżach. Bartek nie wyjechał nawet poza granice swojego województwa.

– Nie miałem potrzeby podróżowania. Moim hobby były gadżety – mówi Bartek.

Zuza: – Dla mnie ważniejsze od rzeczy były wspomnienia. Uwielbiałam odkrywać nowe miejsca, poznawać ludzi, próbować lokalnego jedzenia. Uważam, że świat jest piękny i szkoda go nie zobaczyć.

Nie zaczęła od małych kroków. Powiedziała Bartkowi: „Jedziemy do Nowego Jorku". – Pamiętam, jak wyszedłem z metra i zobaczyłem budynek „New York Timesa" – wspomina Bartek. – Wszystko stało się prawdziwe: żółte taksówki, wozy strażackie, multikulturowość. To nie był już film. Zrozumiałem, że warto.

WYSPA LANKAWI

Przez wiele lat podróżowali sami. Pojawienie się na świecie ich syna, Szymka, nie sprawiło, że przestali. Zaczęli odkrywać świat na nowo, i to wtedy wydarzyły się najdalsze podróże. Wiele osób uważa, że narodziny dziecka oznaczają koniec marzeń o dalekich podróżach. U nich było odwrotnie. Dzisiaj Szymek ma dziesięć lat. Odwiedzili z nim 40 krajów na sześciu kontynentach.

– Szymek podróżował z nami jeszcze przed narodzinami – śmieje się Zuza. – Kiedy byłam w trzecim miesiącu ciąży, pojechaliśmy na trzy tygodnie do Azji. Wtedy przekonaliśmy się, jak bardzo ten kontynent jest przyjazny rodzinom.

Kilkanaście miesięcy później pojechali do Malezji we troje. Pierwsze samodzielne kroki Szymek postawił na wyspie Langkawi.

– On jest naszym talizmanem – śmieje się Bartek. – Odkąd podróżujemy z dzieckiem, paradoksalnie czujemy się bezpieczniej. Zaczęliśmy planować rozsądniej, mniej ryzykować i bardziej ufać ludziom.

Szybko zauważyli coś jeszcze. Małe dziecko otwiera drzwi, których dorośli często nawet nie widzą. – W wielu krajach rodzina jest traktowana z ogromnym szacunkiem. Ludzie pomagali nam bezinteresownie. Dzięki Szymkowi przestawaliśmy być anonimowymi podróżnikami.

Kiedy ktoś pyta ich, czy warto podróżować z dziećmi, odpowiadają bez wahania, że jak najbardziej . To dorosłym wydaje się, że dziecko potrzebuje zabawek i idealnych warunków. Szymek podczas podróży miał jedną książkę i jedną maskotkę. Wystarczyły mu dwie poduszki, z których budował bazę w nowych miejscach.

PO PIERWSZE: PRZYGOTOWANIE

Czy z dzieckiem można pojechać wszędzie?

– Są miejsca, do których po prostu byśmy nie pojechali. Nie chcemy nic udowadniać – odpowiada Bartek. Ktoś może powiedzieć, że podróżowanie z dziećmi jest nieodpowiedzialne. Nie zgadzają się z tym.

– Nieodpowiedzialne jest lekceważenie zagrożeń. A podróżowanie sprawia, że dziecko poznaje świat i ludzi – mówi Zuza.

Przed każdym wyjazdem Zuza i Bartek sprawdzają sytuację polityczną, zagrożenia sanitarne i pogodę. Czytają lokalne media, na miejscu rozmawiają z mieszkańcami i z innymi podróżnikami. Jeśli coś budzi ich wątpliwości, zmieniają plany.

– Zawsze można pojechać, gdzie indziej – mówią zgodnie. Co nie znaczy, że wszystko da się przewidzieć.

Na Sri Lance byli podczas zamachów terrorystycznych w Wielkanoc 2019 r. – Jeden z hoteli mijaliśmy dosłownie dzień wcześniej. Kiedy zobaczyliśmy zdjęcia w telewizji, długo nie mogliśmy dojść do siebie – opowiada Zuza. – Postanowiliśmy przenieść się w głąb wyspy. Lokalni mieszkańcy przepraszali nas za to, co się wydarzyło, jakby ponosili za to odpowiedzialność.

Przed wyjazdem do Meksyku znajomi ostrzegali ich przed metrem, autobusami, ulicami po zmroku. Na miejscu okazało się, że najwięcej dostali... życzliwości.

– W metrze ktoś zawsze ustępował miejsca Szymkowi albo mi, kiedy miałam go na rękach. Nikt nas nie zaczepiał. Nikt nie próbował oszukać – opowiada Zuza.

Przez lata wypracowali prostą zasadę. Nigdy nie udają, że wiedzą lepiej od mieszkańców. Jeśli gospodarz pensjonatu mówi, żeby po zmroku nie chodzić do konkretnej dzielnicy, nie chodzą. Jeśli radzi wybrać inną drogę, wybierają inną. – Turyści czasami myślą, że skoro przeczytali kilka wpisów w internecie, wiedzą wszystko. My wolimy słuchać ludzi, którzy mieszkają tam od urodzenia – mówi Bartek.

Podróżując transportem publicznym, trzymają się zasady, że Szymek jest zawsze między nimi. Ma już dziesięć lat i on sam ciągle trzyma się tej zasady. Kiedy był mniejszy, w tłumie Zuza najczęściej brała go na ręce albo Bartek na barana. Chodziło o to, aby był blisko. Kolejną zasadą jest, aby pierwszego dnia po przybyciu do nowego miejsca robić rekonesans – spacerować, ale bez aparatu. Kiedy mogą, wybierają transport publiczny. Wielu turystom taki sposób podróżowania wydaje się męczący. Dla nich stał się najciekawszą częścią wyjazdu.

eprasa.pl c0f49db8b5

– W autobusie widzisz ludzi wracających z pracy, dzieci jadące do szkoły, starsze panie z zakupami. To jest prawdziwe życie. Nie jego wersja przygotowana dla turystów – opowiada Zuza.

Z uśmiechem wspominają Tanzanię. Szymek naliczył kiedyś trzydzieści osób w siedmioosobowym busie. Na dachu leżały bagaże. Między siedzeniami stały worki z warzywami. Ktoś trzymał kurę, ktoś przewoził telewizor.

Na Zanzibarze wybierali lokalne dala dala, lokalne mikrobusy.

– Było ciasno, gorąco. Ale właśnie dzięki temu mogliśmy zobaczyć codzienne życie mieszkańców. Rozmawiać z nimi, śmiać się, obserwować świat z ich perspektywy – opowiada Bartek.

Zastanawiali się, czy po zobaczeniu tylu niezwykłych miejsc Szymek będzie jeszcze potrafił zachwycać się światem. Zrozumieli, że patrzą na podróże inaczej niż ich syn. Oni pamiętają Wielki Kanion, australijskie bezdroża czy afrykańskie safari. Szymek pamięta dzień, kiedy przez godzinę budował z rodzicami wielbłąda z piasku na plaży w Dubaju. Bieganie promenadą w kostiumie Sonica. Pamięta śmiech, zabawę i czas spędzony razem. – Dzieci nie kolekcjonują zabytków ani krajobrazów. Kolekcjonują emocje – mówi Zuza.

NAJTRUDNIEJSZY DZIEŃ

To, czego bali się najbardziej, w końcu nastąpiło. Na szczęście nie na pustyni, nie w dżungli, nie na oceanie podczas sztormu. Kiedy byli na Zanzibarze Szymek dostał bardzo wysokiej gorączki, która jednak po jednym dniu ustąpiła. Następnego dnia jechali do Dubaju, a Szymek od rana skarżył się na ból brzucha. Najpierw myśleli, że to zatrucie, potem, że wirus. Z każdą godziną było jednak gorzej.

– Wiedzieliśmy, że nie możemy czekać – wspominają. W szpitalu diagnoza padła szybko. To był pęknięty wyrostek robaczkowy. Kilka godzin później chłopiec był na stole operacyjnym. – To były najdłuższe godziny w naszym życiu – wspomina Zuza. – Przestało mieć znaczenie wszystko inne. Liczyło się tylko to, żeby Szymek był zdrowy. Operacja się udała. Ale lekarze zabronili na razie dalszej podróży. Znowu przekonali się, że można liczyć na życzliwość innych ludzi. Znajoma z Dubaju, którą poznali podczas jednej z podróży, bez wahania zaprosiła ich do siebie. Zostali u niej, aż Szymek odzyskał siły.

Dziś opowiadają o tym z jedną, wyraźną intencją. – Wykupcie dobre ubezpieczenie – podkreśla Zuza.– Nigdy na tym nie oszczędzajcie. To może uratować życie.

W ich przypadku polisa pokryła wszystkie koszty leczenia, operacji, pobytu w szpitalu i opieki nad dzieckiem.

Kiedy sytuacja zdrowotna Szymka się unormowała i lekarz wyraził zgodę na podróż, pojechali do Australii. Później na Bali, Cypr i Maltę.

MARZENIE: ŻÓŁTY SCHOOL BUS

Podczas jednej z podróży po Stanach Zjednoczonych na plaży zobaczyli szkolny autobus przerobiony na kampera. Żółty, z napisem School Bus, przyciągnął ich uwagę. Kilka lat później taki autobus przypłynął do Polski. Kupili go w Stanach i sprowadzili statkiem.

– Kiedy go odebraliśmy, nadal był wyposażony w szkolne siedzenia. Trzeba było wszystko rozebrać, ocieplić, położyć instalację, zrobić meble. Budowaliśmy dom od zera – opowiada Bartek.

Większość prac wykonał Bartek. Nauczył się rzeczy, których wcześniej nigdy nie robił. Zaprojektował i wykonał instalację elektryczną, wodną, meble, ogrzewanie. Pomagali znajomi, ale to on przez wiele tygodni kończył swoją pracę i do późnego wieczora znikał w autobusie. – Kiedy jedziesz kilka tysięcy kilometrów z rodziną, nie możesz sobie pozwolić na prowizorkę. Wszystko musiało być zrobione porządnie – podkreśla.

Po przeróbce trudno uwierzyć, że to dawny szkolny autobus. Są kuchnia z dużym blatem, łazienka z prysznicem, toaleta, lodówka, szafki, miejsca do spania. Każdy centymetr został wykorzystany.

– To jest nasz dom. Nie dlatego, że ma cztery ściany. Dlatego, że jesteśmy w nim razem – mówi Zuza.

Autobus przejechał już tysiące kilometrów. Odwiedził kilkanaście krajów i niemal wszędzie wywoływał uśmiech. Na stacjach benzynowych kierowcy trąbią i machają. Na kempingach ludzie przychodzą obejrzeć wnętrze.

– Zaczynają się rozmowy, ktoś opowiada swoją historię, ktoś inny daje namiary na piękne miejsce. Dzięki niemu poznaliśmy mnóstwo osób – dodają.

Kiedy pytam, czy mają jeszcze podróżnicze marzenia, patrzą na siebie i uśmiechają się. – Pewnie, że mamy. Jednak najważniejsze nie jest to, dokąd pojedziemy, ale że możemy pojechać razem.

Zuza i Bartek pracują cały czas zdalnie. Kiedy Szymek był mały podczas podróży uczył się w edukacji domowej. Z czasem zapragnął jednak mieć grupę przyjaciół. Dziś uczęszcza do szkoły w Walencji, a każdą wolną chwilę nadal spędzają w żółtym autobusie, ruszając wspólnie w kolejne podróże.

Pytam ich, jak zacząć podróżowanie? Mówią, że warto zorganizować wyjazd niedaleko siebie, potem coraz dalej, zrobić biwak, spać w namiocie. Potem pojechać do innego województwa, kolejnego państwa, a następnie na inny kontynent. Podróżowanie zaczyna się od pierwszego kroku. ▲

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl c0f49db8b5

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

TEMAT NUMERU:
ROZSTANIE TO NIE KONIEC ŚWIATA

PSYCHOLOGIA: Jak rozpada się przyjaźń

RELACJE: Seks to nie nagroda

URODA: Reanimacja po lecie

eprasa.pl c0f49db8b5